

Bestsellerowy thriller psychologiczny z Norwegii

RUTH

LILLEGRAVEN

ODBIOREŃ  
CI  
WSZYSTKO

RUTH  
LILLEGRAVEN  
ODBIORĘ  
CI  
WSZYSTKO

Z norweskiego przełożyła  
KAROLINA DROZDOWSKA



*Wszystko jest bliskie, wszystko oddalone.*

*Wszystko człowiekowi jest wypożyczone.*

*Wszystko do mnie należy i wszystko będzie mi zabrane,*

*wkrótce wszystkie rzeczy będą postradane.*

*Drzewa i chmury, i grunt, po którym stągam.*

Pär Lagerkvist,

*Najpiękniej jest o zmierzchu (fragment)*

## PROLOG – CLARA

1988

– Samochód uderzył w lustro wody z ogromnym impetem. Byłam zdziwiona, gdy po otwarciu oczu stwierdziłam, że nadal żyjemy. Nigdy nie leciałam samolotem, ale wydaje mi się, że tak właśnie musi wyglądać katastrofa lotnicza. Sekundę czy dwie po uderzeniu w wodę wszystko ucichło, a ja pomyślałam, że nic nam się nie stanie, będziemy się unosić na powierzchni zupełnie jak w łodzi, aż ktoś w końcu przyjdzie i nas uratuje. Ale potem woda zaczęła się wlewać do środka przez te otwory od wentylacji i w ogóle ze wszystkich stron i pojęłam, że nikt nie zdąży nas ocalić.

Ojej, przepraszam, powinnam była zacząć od początku... Czyli tak: była środa, zachorowała nasza nauczycielka od robót ręcznych i puścili nas wcześniej do domu. Mogłam wrócić do taty, bo to u niego mieszkam. Ale Magne, mój ojczym, powiedział mi jakiś czas temu, że może byśmy któregoś dnia pojechali razem do szpitala i odwiedzili mamę. Operowali ją niedawno na jakieś tam takie kobiece sprawy. Świetnie się składa, bo mam akurat wolne, pomyślałam wtedy. I poszłam do gospodarstwa, w którym mieszkają mama i Magne.

Ojczym ucieszył się na mój widok. Wsiadliśmy do auta i ruszyliśmy szutrową drogą biegnącą przy ich gospodarstwie. Wyjechaliśmy na szosę i skręciliśmy w stronę szpitala. Gdy zbliżaliśmy się do Storagjelet, zza chmur wyszło słońce, promienie były bardzo ostre i nas oślepiły.

Trochę trudno mi to sobie przypomnieć, bo wszystko stało się tak szybko.

Ale pamiętam, że w jednej sekundzie wjeżdżaliśmy w zakręt, a już w następnej wypadliśmy z trasy. Musieliśmy jechać za szybko i za blisko skraju szosy. Zdażyłam właściwie tylko krzyknąć, a potem uderzyliśmy w wodę. Magne odpiął mój pas i zawołał, że mam opuścić okno i uciekać tamtędy. Myślałam, że zrobi to samo, ale gdy się odwróciłam, on nadal siedział na fotelu kierowcy, tkwił tam po prostu, wyprostowany i tak jakby zeszywniały, nie mam pojęcia dlaczego. Wydostałam się z auta i spróbowałam otworzyć drzwi od swojej strony, ale nie dało rady, były jak zamknięte na klucz. Opłynęłam więc

auto dookoła, chwilę to trwało. Samochód zaczął tonać, szarpałam z całych sił drzwi od strony Magnego, ale i one były zablokowane, zaczęłam walić w okno, coś do niego wołać, ale on tylko tam siedział, a auto tonęło, było coraz głębiej i głębiej. W końcu musiałam popłynąć do brzegu.

Woda okazała się dużo zimniejsza, niż się spodziewałam, byłam cała sztywna, ledwie udało mi się wydostać na brzeg. W końcu usiadłam na jakimś kamieniu, trzęsłam się i płakałam. Właściwie to nie wierzę w Boga, ale nigdy nic nie wiadomo, więc się chwilę pomodliłam. Ale Magne nie wypłynął i dotarło do mnie, że to się już nie stanie, że nigdy go więcej nie zobaczę. Ojej, przepraszam, nie powinnam płakać, ale to takie straszne, że on mi pomógł, a ja tak po prostu pozwoliłam mu utonąć. Biedna mama, biedny Magne.

– Dziękuję, Claro – mówi policjant, wskazuje skinieniem głowy butelkę napoju pomarańczowego i drożdżówkę na stole, chce, żebym jadła i piła, ale mnie się robi niedobrze na sam widok żółtego budyniu o konsystencji galarety.

Ten policjant jest całkiem w porządku, choć zastanawiam się, czy to jeden z tych, co niczego nigdy nie rozumieją.

Patrzę przez okno na ludzi, parkują samochody na chodniku i idą do przychodni lekarskiej sąsiadującej przez ścianę z urzędem gminy, w którym teraz jesteśmy.

Po drugiej stronie ulicy widzę sklep. Szkołę. I dom starców. Nad budynkami pną się w niebo góry, nie wiem, czy nas tu strzegą, czy więżą.

W oddali leży fiord.

– Resztę tej historii już znam – mówi policjant. – Nie powinnaś się obwiniać, postąpiłaś bardzo dzielnie, wydostając się z auta i próbując ratować Magnego. Najważniejsze, że żyjesz i że wszystko już będzie dobrze.

# CZĘŚĆ 1

## 1 – Haavard

Cokolwiek miałbyś zrobić, nie rozwódź się.

Przestrozę tę wygłosił kiedyś przy piwie mój rozwiedziony kolega, w tle leciał mecz Premier League. Rozwód jest drogi jak jasna cholera, powiedział. To jakby się dać obedrzeć ze skóry. Wyobraź sobie największą twoim zdaniem możliwą katastrofę ekonomiczną i pomnóż straconą sumę przez dwa. Nie, lepiej przez trzy! Tyle mniej więcej kosztuje rozwód.

No i co robić, daję sobie jakoś radę, trzymam się tego, co mam.

Trzaskają głośno drzwi – w ten właśnie pasywno-agresywny sposób ma mnie w zwyczaju budzić Clara. Przez łopoczące białe firanki dostrzegam jej wysoką, szczupłą sylwetkę na przylegającym do sypialni tarasie.

Clara ma swoje przyzwyczajenia. Uwielbia stać tam każdego poranka przez minutę albo dwie w tej samej pozycji rodem z *Titanica*, którą przyjmuje, gdy jesteśmy na zachodnim wybrzeżu i płyniemy promem.

Ostatnie dni były wręcz napastliwie gorące, powietrze aż drgało, takie lato zaskakuje po długiej, mroźnej zimie oraz wiośnie, której właściwie nie było. Dzieci w szkole i ludzie na ulicy, w sklepie, w całym mieście mówią o zimie, która dopiero co minęła, wiośnie, która nigdy nie przyszła, i niezwykłości tych wczesnych afrykańskich upałów.

Ja jestem nimi zachwycony. Niech tylko Clara doprowadzi do końca ten swój projekt ustawy, to wreszcie pojedziemy do Kilsund. Moi rodzice nie robią się młodszy, poza tym trzeba zainaugurować sezon w domku wakacyjnym.

– Wstawaj – mówi Clara, wróciwszy do sypialni. – Bo się spóźnicie do szkoły.

To my odpowiadamy w tym tygodniu za odwożenie dzieciaków z sąsiedztwa i zobowiązałem się, że wezmę to na siebie.

Wciąż czuję w ustach gorzkawy posmak IPA. Przesadziłem chyba wczoraj o parę butelek, ostatnio coraz gorzej znoszę alkohol.

Oczy mam nadal zamknięte, udaję, że śpię. Clara od zawsze się na mnie irytuje, że nie jestem takim rannym ptaszkiem jak ona. Co wcale nie znaczy, że



zaniedbuję odwożenie dzieciaków do szkoły, gdyż przeważnie to ja tego pilnuję.

– Haavard? – mówi moja żona, szturchając mnie kolanem w udo. Właściwie całkiem boleśnie.

– Co ty wyprawiasz? – pytam z pretensją w głosie. – Znęcasz się nade mną?  
Clara wzdycha.

– Mam o ósmej ważne spotkanie, muszę niedługo wychodzić.

– Mnie natomiast czeka całonocny dyżur – mamroczę.

– Nie tylko ty ratujesz ludzkie życie – oświadcza Clara.

Siadam na łóżku, stawiam stopy na podłodze, ziewam.

– Dzieci już jadły?

– Właśnie kończą.

Clara idzie do łazienki, uznawanej przez nią za jej prywatny pokój kąpielowy, by nałożyć swoją ministerialną maskę. Budzi się we mnie przekora, zrywam się więc i wyprzedzam ją biegiem. Nie zamykam nawet drzwi, podnoszę klapę sedesu i sikam, starając się robić przy tym jak najwięcej hałasu.

Moja żona stoi na progu łazienki, nie mówiąc ani słowa.

Czemu łązi po domu długo po tym, jak już powinna była wyjechać, i marudzi, że ma mało czasu i że to ja powinienem się spieszyć? Dlaczego musi mnie kontrolować i nade mną sterczeć, zupełnie jakbym nie nawykł do bycia sam na sam z dziećmi? Przecież to jej właściwie nigdy nie ma w domu.

Odkąd pracuje nad tym projektem ustawy, zaczęła dzwonić w dni, kiedy planuje przyjść do domu na obiad, a nie odwrotnie.

Wychodzę z łazienki, pogwizdując.

Clara wmaszerowuje do środka, nawet na mnie nie patrząc, i zatrzaskuje drzwi.

Ubieram się i schodzę na dół.

Chłopcy siedzą przy stole. Jak zawsze rozczulam się, widząc ich w piżamach. Mięknę na widok ich wąziutkich barków, włosów Nikolaia, które po nocy sterczą na wszystkie strony, loczków na karku Andreeasa.

Ale w następnej chwili dostrzegam, że jedzą płatki czekoladowe. I do tego jeszcze, niech to szlag, obaj siedzą pochyleni nad iPadami.

– Przecież się umawialiśmy, że jemy je tylko w weekendy – mówię, wskazując na opakowanie z płatkami. – Doskonale o tym wiecie. To opakowanie jest pewnie zdrowsze od zawartości.

– Mama nam pozwoliła – wołają chłopcy chórem.

Wyjmuję z szafki paracetamol, popijam tabletkę mlekiem prosto z kartonu.

– A co mówi babcia o iPadach?

– Że to idiotyzm! – wrzeszczą znów chóralnie.

– Nie. Że dostaniecie od nich kwadratowych oczu.

Chłopcy pozerają czekoladowe płatki zalane mlekiem, które przybrało jasnobrązową barwę, kłócąc się jednocześnie o jakąś grę o nazwie *Fortnite*, na którą zapewne są jeszcze za mali.

Dołącza do nas Clara.

– Płatki czekoladowe? – pytam, unosząc brwi. – Poważnie?

– Nie chcą jeść niczego innego. Ty spałeś, a ja przecież musiałam ich czymś nakarmić.

– Rany boskie – mamroczę.

Chłopcy, nadal w piżamach, zrywają się od stołu i wybiegają z kuchni.

– Halo! – krzyczę za nimi. – Gdzie się wybieracie? Wracać mi tu! Ale już!

Po chwili rzeczywiście wracają, niosąc w rękach gałązki bzu. Mam ochotę na nich nakrzyczeć za nagłą ucieczkę od stołu i połamane krzewy, ale tłumię w sobie złość, nasi synkowie są tacy słodcy i tacy z siebie dumni.

– Jeden dla mamy, drugi dla taty – mówi Nikolai, Andreas zaś posyła nam bezzębny uśmiech. – Nie kłóćcie się już.

– Już nie będziemy – odpowiadam. – Serdeczne dzięki, jesteście kochani.

Wyciągam z szuflady jeden z moich przyniesionych z pracy skalpeli i zaczynam przycinać gałązki. Przy drugiej z kolei wąskie ostrze wyślizguje mi się nagle z rąk i jakimś cudem udaje mi się wbić je sobie w czubek palca.

– Kurwa! – krzyczę.

– Te skalpele naprawdę nie powinny leżeć porzucane po całym domu, tyle razy ci już mówiłam – odzywa się Clara.

– Dzięki – syczę. Krwawię jak zarzynane prosię.

– Tato, co się stało? – pyta Nikolai.

– Niech to szlag – mówię, po czym biorę się w garść. – Nic takiego, zaciąłem się w palec.

– Boli?

– Troszkę. Dobrze, że jestem lekarzem i mogę sam to sobie zszyć – odpowiadam, siląc się na wesołość. Chłopcy nie wydają się przekonani.

– Mógłbyś chociaż raz trochę uważać? – pyta Clara, jak zawsze pełna empatii. Jest taka za każdym razem, gdy ja albo któryś z chłopców robimy sobie krzywdę, zupełnie jakby to była dla niej oznaka słabości.

Oglądam palec, odrywam z rolki kawałek papierowego ręcznika i owijam go wokół rany, próbuję być tatą twardzielem.

– Pamiętaj tato, że nie wolno przeklinać – mówi Andreas.

– Nic ci nie będzie? – pyta Nikolai.

– No to na razie – rzuca Clara, przemierzając kuchnię i korytarz szybkim krokiem. Dopiero gdy słyszę, jak trzaskają za nią drzwi, mogę odetchnąć i posłać synkom szczery uśmiech.

Oto nasze małżeństwo. Oto co się z nami stało.

## 2 – Clara

Minister sprawiedliwości Anton Munch praktycznie nigdy nie kontaktuje się telefonicznie ze swoimi podwładnymi ani nie zaprasza ich osobiście na spotkania. Zazwyczaj to Vigdis, jego sekretarka, dzwoni do mnie z pytaniem, czy mogłabym przyjść do jego gabinetu. Właśnie odebrałam od niej telefon.

Vigdis zadaje to pytanie uprzejmym tonem, mimo że ma ono charakter wyłącznie retoryczny.

Masz przyjść i już. Natychmiast.

– Już idę – odpowiadam także tym razem, wstaję i poprawiam kostium, zapisuję dokument, nad którym pracowałam. Moje trzecie dziecko. Projekt ustawy zmieniającej norweskie prawo. Sygnatura Prop. 220 L. Siedemdziesiąt osiem stron tekstu. Jedenaście rozdziałów. Wstęp, uzasadnienie celowości, opis aktualnie obowiązujących przepisów, ich ocena wraz z komentarzem. Na końcu uwagi. A potem już sam projekt tekstu nowej ustawy.

Zwieńczony absurdalną, standardową formułką: „My, Harald, Król Norwegii”.

Nowa ustawa nakładałaby na pracowników wszystkich instytucji, szpitali, urzędu ochrony praw dziecka, przedszkoli i gabinetów lekarskich obowiązek bezwzględnego informowania organów ścigania w razie podejrzenia stosowania przemocy bądź seksualnego wykorzystywania dzieci.

W dotychczasowym prawodawstwie o obowiązku informowania wspomina się tylko mgliście, duży nacisk kładąc za to na obowiązek dochowania tajemnicy zawodowej.

Ale teraz wszystko się zmienia.

Projekt jest już w zasadzie gotowy. Jeszcze tylko dopieszczę, poleruję i szlifuję tekst, zupełnie jakby był jakąś rzeźbą, staram się, by wszystko pięknie lśniło.

Chlubię się tym, że potrafię unikać mglistego, niejasnego języka, cechującego wiele produkowanych przez nas, prawników, tekstów, w których

przecinek goni przecinek, a wtrącenie – kolejne wtrącenie, aż robi się z tego kompletnie nieczytelna, mętna woda, rzecznicy prasowi rwą sobie włosy z głowy, próbując przygotować z tego jakiś komunikat dla mediów, a zastępy zewnętrznych konsultantów pobierają rok po roku sute honoraria za nieprzynoszące żadnych widocznych rezultatów kursy tak zwanego języka dla ludzi, które się dla nas organizuje.

Chcą języka dla ludzi, to będą go mieli.

Przemierzam korytarze w drodze do sekcji politycznej. Obcasy moich butów stukają o parkiet. W naszej, urzędniczej części gmachu ministerstwa chodzi się po linoleum, lecz tu, w tych świętych sferach niedostępnych dla zwykłych śmiertelników, mają podłogi z drewna tekowego z eleganckimi czarnymi fugami oddzielającymi od siebie poszczególne klepki.

Pierwsze, co rzuca mi się w oczy po wejściu do sekcji politycznej, to ten idiotyczny wypchany niedźwiedź polarny stojący na tylnych łapach, zastrzelony podobno na kościelnych schodach na Svalbardzie. Stoi wyprostowany i gapi się tępo przed siebie. Sięgam mu głową zaledwie do przednich łap.

Od dłuższego czasu współpracuję z ministrem bezpośrednio, z pominięciem zwyczajowej służbowej ścieżki. W ostatnich miesiącach zaczęłam się coraz bardziej zbliżać do Muncha, i – co za tym idzie – również do mojego celu.

Wszystkie wątpliwości i pytania moich przełożonych zostały wyjaśnione w ciągu kilku ostatnich dni. Projekt, zanim będzie wniesiony do Stortingu, ma być co prawda jeszcze poddany dyskusji na posiedzeniu rządu, ale jeśli ma się zielone światło od ministra, to jest to właściwie formalność.

Pracując w ministerstwie, szybko można wyczuć, czy nowy szef to naturalny typ przywódcy, czy też nie. Munch piastuje stanowisko już od roku i czas ten wystarczył nam w pełni, by zdiagnozować go jako pozera, choć osobiście żywię wobec niego cieplejsze uczucia niż moi koledzy, właśnie ze względu na ten projekt.

Punkt kulminacyjny nastąpił tydzień temu, gdy rozmawialiśmy o ustawie w jego biurze. Minister rozparł się w fotelu, splótł dłonie na karku i oświadczył:

– Okej, Claro. Robimy to.

Siedział wtedy, podobnie jak teraz, za ogromnym brązowym biurkiem, do którego kazał dopasować półki na książki.

Wiszące w gabinecie obrazy wyrzucił na śmietnik dzień po przejęciu kluczy. Wstawił sobie za to kolosalny telewizor z płaskim ekranem i ozdobił całą sekcję mnóstwem modeli śmigłowców i pojazdów uprzywilejowanych, który to fakt uwielbiają podkreślać dziennikarze w każdym poświęconym mu artykule.

Lśniący tekowy stół, misa z owocami, białe filiżanki do kawy, telewizor, segregatory za jego plecami, kaktusy przyznawane za gafę tygodnia przez tabloid „Se og Hør”, stosy dokumentów, nic z tego nie wygląda szczególnie ciekawie ani charakterystycznie. Mimo to człowiek siedzący za biurkiem piastuje jedno z najważniejszych stanowisk w kraju.

– Wejdz – mówi, nie podnosząc wzroku znad telefonu.

– Cześć, Claro – odzywa się inny głos i dopiero teraz dostrzegam Ernsta Wolla, który siedzi po drugiej stronie stołu konferencyjnego, wciśnięty właściwie w kąt.

Całe kierownictwo polityczne naszego ministerstwa stanowią mężczyźni. Woll jest z nich wszystkich najbystrzejszy, jako jedyny ma doświadczenie prawnicze. Przypadło mu największe biuro i ma najwyższy nieformalny status.

Wcześniej na czele ministerstwa stał minister wspierany przez sekretarza stanu. Obecnie zaś mamy całą bandę sekretarzy i politycznych doradców. Wszyscy oni rywalizują o względy ministra sprawiedliwości, każdy chce być tym, który pracuje najciężej i najbardziej się stara.

Gdy jest się na stanowisku politycznym, cały czas trzeba udowadniać, że ma się tam coś do roboty, co w praktyce oznacza, iż należy się mieszać absolutnie do wszystkiego. To z kolei sprawia, że sekretarze stanu nieustannie opóźniają wszystkim pracę, przydzielając nonsensowne zadania urzędnikom, którzy powinni zajmować się czymś zupełnie innym.

Sam minister jest kimś w rodzaju symbolu, reprezentanta opowiadającego o naszej pracy w mediach i na Facebooku, sekretarze stanu chodzą natomiast na zebrania, wiszą nad urzędnikami i podejmują wiele decyzji o charakterze politycznym.

Mimo to udało mi się, jak wspomniałam, zaangażować Muncha w sprawę mojego projektu. Wolla zaś udawało mi się unikać. Do teraz.

– Nie zabierzemy ci zbyt wiele czasu – mówi Woll.

– Nigdzie mi się nie spieszy – odpowiadam.

- Słuchaj, Claro – zaczyna Munch, w końcu podnosząc wzrok znad komórki.
- Nasz projekt został poddany dyskusji na posiedzeniu rządu...

Zapada cisza.

– Tak? – pytam i dociera do mnie, że to zupełnie inne spotkanie, niż się spodziewałam. Moi rozmówcy zerkają po sobie. Munch wydaje się speszony. Woll wzrusza ramionami, widać, że chce to już mieć za sobą.

– No i cóż... musimy na jakiś czas go odłożyć – oświadcza w końcu Munch.

– Co masz na myśli? – pytam, głos mam zachrypnięty. – Ministrowie przeczytali przecież i zatwierdzili mój wniosek o rozpatrzenie tego punktu?

– Takie rzeczy się zdarzają, przecież wiesz. Projekt był kontrowersyjny. Mamy koalicyjny rząd. Wielu ministrów jest zdania, że taka ustawa byłaby zbyt radykalna. A ja mam inne sprawy, które muszę teraz przepchnąć.

– Ale ta ustawa to najważniejsze, co zrobisz przez wszystkie spędzone tu lata – mówię. – Czy wiesz, co ona oznacza dla najbardziej bezbronnych członków naszego społeczeństwa?

Woll wydaje za moimi plecami krótki, cichy rechot.

– Raz na wozie, raz pod wozem. Sprawa jest już przesądzona – wchodzi mi w słowo, a w jego głosie słyszę nutę mściwej satysfakcji, niczym złośliwe warknięcie.

Tak to już jest. Wszystko się kręci wokół władzy.

Wszystko można wynegocjować. Wszystko można wymusić.

– Minister wyczerpał już temat. Dziękujemy, że przyszedłeś – rzuca Woll, po czym wstaje. Zostaję ministerialnie wyrzucona za drzwi.

Munch wgapia się w komórkę, nie patrzy mi w oczy.

Odwracam się, właściwie trochę zaskoczona, że moje ciało nadal mnie słucha, idę do drzwi, mijam biurko sekretarki Muncha, mijam gigantyczną misę z owocami, dwa razy większą niż wszystkie misy w naszym wydziale.

Mijam niedźwiedzia, który, mimo że dawno zdążyłam już przywyknąć do tego dość niesamowitego elementu dekoracji, nagle mnie przeraża.

Mijam kolekcje modeli śmigłowców i pojazdów uprzywilejowanych, opuszczam część budynku, w którym urzęduje sekcja polityczna, ruszam przez korytarze.

W końcu wracam do swojego biura, zamykam drzwi, opieram się o nie plecami i osuwam na podłogę, gdzie zamieram z podciągniętymi pod brodę kolanami.

Haavard nazywa mnie królową śniegu. Sam beczy przy byle okazji.

Ja za to nie płakałam chyba od tamtego dnia przed trzydziestoma laty i nie mam zamiaru teraz zaczynać. Muszę jednak zasłonić twarz dłońmi, przycisnąć palce do oczu. Próbuję uspokoić oddech, ale mi się nie udaje.

Gdy skończyłam trzynaście lat, rok po wypadku, zaczęłam nocować sama w chacie na górskich pastwiskach. Po trzy czy cztery noce z rzędu. Gotowałam sobie na kuchni z fajerkami, potem zamykałam chatę i wracałam do domu.

Pewnego razu uparłam się, że wejdę na szczyt Trollskavlen. Trasa była długa i ciężka, ale tata wyjaśnił mi, któredy wspinał się tam w młodości, obejrzałam sobie wszystko na mapie i byłam pewna, że dam radę. Z pewnością bym zresztą dała, gdyby czystego, lazurowego nieba, które rozciągało się nad moją głową, kiedy wychodziłam z domu, nie zasnuły nagle ciemne chmury.

Gdy do szczytu zostało mi zaledwie kilkaset metrów, spłynęła ku mnie gęsta mgła.

Najpierw straciłam z oczu sam szczyt. Potem już w ogóle nic nie widziałam.

Wszystko było białe.

Wyjęłam kompas i mapę, ruszyłam w kierunku, który wydawał mi się właściwy. W końcu doszłam do stromego zbocza, po którym – jak doskonale pamiętałam – wspierałam się wcześniej. Odwróciłam się, położyłam na brzuchu i zaczęłam powoli schodzić, aż w pewnym momencie utknęłam, z rozpostartymi rękoma i nogami, niczym Spider-Man, w połowie wysokości, nie będąc w stanie ruszyć się w górę ani w dół.

Tata opowiadał mi, że czasem tak kończą w górach owce. Włazą na porośniętą trawą półkę skalną, z której nie potrafią zejść, i stoją na tej zielonej półce pośrodku czarnej skały, żałośnie becząc.

Zdarza się, że takie owce pozwalają się wciągnąć na górę, pod warunkiem że ktoś je na czas znajdzie. Zdarza się jednak, że trzeba je po prostu zastrzelić.

Wtedy to ja tak utknęłam. Miałam do pokonania kilka dobrych metrów i nie potrafiłam znaleźć miejsca, o które mogłabym oprzeć stopę.

Po chwili zaczęłam się ostrożnie zsuwać, kawałek po kawałeczku.



Przytrzymując się tu i tam, gdzie się dało.

Pokonałam tak z metr albo dwa. A potem odpadłam od skały.

Uderzyłam w ziemię i leżałam kilka dobrych minut, łapiąc powietrze i próbując ustalić, czy coś sobie zламаłam.

Tak samo czuję się teraz, gdy siedzę na podłodze w gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości i Bezpieczeństwa Publicznego trzydzieści lat później.

Tyle zainwestowałam w ten projekt ustawy, był dla mnie ważniejszy niż cokolwiek innego.

A teraz tamci dwaj mi go zabrali, zniszczyli, nie mając nawet pojęcia, co robią.

### 3 – Haavard

Gdy tylko wkładam biały kitel lekarski i wchodzę na oddział, dociera do mnie, że ten dyżur będzie przypominał maraton. Piękna pogoda sprawiła, że całe miasto ruszyło na łono natury. My zaś odczuwamy wszystkie tego skutki uboczne w formie urazów i chorób. Pacjenci napływają nieprzerwanym strumieniem. 15.35 – mała dziewczynka w śpiączce hipoglikemicznej. 16.21 – cierpiący na astmę chłopiec ze wstrząsem anafilaktycznym. 16.53 – rodzeństwo ranne w karambolu. 17.20 – poważnie odwodniony sześciolatek.

A o godzinie 18.53 wpada do nas cała rodzina.

Mężczyzna po trzydziestce niesie na rękach chłopca, na oko czterolatka, tuż za nim podąża kobieta, zapewne matka. Wszyscy troje wyglądają, jakby pochodzili z Pakistanu, a może to Afgańczycy. Chłopiec jest ubrany w niebieskie szorty i czerwony T-shirt. Na prawym palcu wskazującym ma naklejony plaster z *Gwiazdnymi wojnami*. Pod paznokciami – brud, na nadgarstku – bransoletka z paciorków z kilkoma literami. Ma drobną twarzyczkę i kruczoczarne włosy.

Nie widać oznak życia.

– Rozmawiać z lekarzem! – wrzeszczy ojciec, ma na sobie niebieską koszulkę Chelsea i czapkę z daszkiem, jego twarz szpecą ślady po młodzieńczym trądziku.

Zaraz za nim wpada Roger, ciągnąc za sobą zapach wody po goleniu. Jakiejś słodkiej, staromodnej, może Jeana Paula Gaultiera we flakonie przypominającym męski tors, marynarski mundur czy Bóg wie co jeszcze.

Nie mam nic przeciwko gejom ani mężczyznom pielęgniarzom. Roger to prawdziwy fachowiec, biegły w tym, co robi, doświadczony, serdeczny i opiekuńczy. Mężczyzna wielu zalet i talentów. Tyle że za mocno się perfumuje.

– Próbowałem tłumaczyć, że ich przyjmę – mówi. – Powinni byli przyjść na oddział ratunkowy. Ale on poleciał z dzieciakiem od razu tutaj. Przecież ich

teraz nie wyrzucę?

– No chyba nie – odpowiadam.

Mamy tu w Ullevål najlepszy zespół urazowy. Odsyła się do nas najpoważniejsze przypadki z innych szpitali, najczęściej karetka przywozi pacjentów na izbę przyjęć. Ale czasem rodzice przychodzą z dziećmi bezpośrednio z ulicy. Jeśli wiedzą, gdzie znajduje się oddział pediatryczny, idą prosto do nas.

– Jestem lekarzem dyżurnym – zwracam się do ojca tak dyplomatycznie, jak tylko umiem. – Co się stało pańskiemu synkowi?

– Ślepy jesteś, lekarz? – mówi ojciec, staje przede mną, jego oczy są pełne strachu i wściekłości. Przypomina mi chuliganów, którzy przychodzili czasem na boisko szkolne na Vinderen, gdzie dorastałem.

– Nie widzisz, że zemdłał, lekarz? Nie budzi się!

Matka chłopca ma na sobie hidżab i tunikę włożoną na spodnie od dresu. Mówi coś i gestykułuje. Partner odpowiada jej w języku, którego nie rozumiem i kobieta milknie.

Chłopczyk jest mały i chudy, ma wąskie biodra i ptasią szyję, takie same niebiesko-pomarańczowe adidasy jak Andreas, tyle że zniszczone, brudne i dziurawe na wysokości palucha.

– Ile ma lat? – pytam, wyjmuję chłopca z ramion ojca i układam go na kozetce do badań.

Facet pokazuje mi cztery palce. Matka małego patrzy na mnie błagalnie, unosi dłonie, ma pobielające knykcie.

– Co się stało? – pytam.

– Spadł – odpowiada ojciec. – Z drzewa. I potem zasnął. A teraz się nie budzi. Zrób coś, lekarz!

Daję znak Rogerowi, by zawołał więcej ludzi.

– Trzeba mu zrobić tomografię – mówię dyskretnie.

Kobieta zaczyna płakać, ojciec chłopca coś do niej krzyczy. Zamieram na środku sali. Muszę się uspokoić, sekunda, dwie, trzy. Dziecko jest nieprzytomne. Za oknem ćwierkają ptaki, chciałbym być teraz na dworze.

Zaczyna mnie już ogarniać to straszne uczucie, jak wtedy, gdy sobie

uświadamiam, że ból głowy wywołany jest guzem mózgu, że wysypka to tak naprawdę objaw białaczki, że zaraz będę musiał przekazać wiadomość, której nikt nie chce usłyszeć.

Robi mi się zimno.

Pochyliam się nad chłopcem. Czuć od niego kwaśną woń wymiocin. Lecz także zapach kurzu, słońca i jeszcze czegoś, gumy do żucia, pasty do zębów, szamponu, a gdzieś pod tym – zwietrzały aromat imbiru, czosnku i curry.

– Proszę na chwilę wyjść – zwracam się do rodziców. – Zaopiekuję się państwa synkiem.

Zerkają na mnie sceptycznie, ale opuszczają salę. Po kilku minutach wpada do środka Sabija.

– Co się dzieje? – pyta zdyszana.

Sabija ma zaledwie metr pięćdziesiąt pięć, jej lekki, bezszelestny chód sprawia, że wygląda, jakby unosiła się nad podłogą. Ma włosy do ramion, zawsze gładko uczesane i spięte kłamrą. Nie nosi ozdób na dłoniach, nie maluje paznokci, wszystko zgodnie z regulaminem. Działa wydajnie, porusza się z gracją. Ma wąskie biodra i smukłą szyję.

– Nie wiem – odpowiadam. – W najlepszym wypadku mamy tu poważne wstrząśnienie mózgu. Chłopak spadł z drzewa.

Sabija milknie na chwilę, przygląda się małemu z dziwnym wyrazem twarzy.

– Aha – mówi i zaczyna go rozbierać, wydając jednocześnie polecenia Rogerowi i Bente, również pielęgniарce.

Puszczam za jej plecami oko do Bente, która jak zawsze się rumieni.

Takie rozbieranie i dokładne oglądanie dzieci to niemal obsesja Sabii. Kilka tygodni temu opowiadała o tym na porannym zebraniu personelu, miała nawet prezentację w PowerPointcie z mnóstwem fotografii dziecięcych pleców po biciu pejcem, ust pełnych ran, zdjęć rentgenowskich ukazujących złamane kości. Oczywiście uczy się nas o tym na studiach. Ale w naszej pracy człowiek ma mnóstwo do zrobienia, a niektóre znaki naprawdę łatwo przeoczyć. Musimy być uważni, poświęcić tych kilka dodatkowych sekund, obejrzeć dzieci, które trafiają do nas z czymś niby zupełnie innym, tłumaczyła Sabija, a ludzie kiwali głowami z wyraźnym poczuciem winy.

Teraz moja koleżanka pochyła się nad chłopcem, podwija rękaw czerwonej

koszulki.

– Kurwa mać – mówię, widząc ślady na wewnętrznej stronie ramienia chłopca, przecież to się w głowie nie mieści. Ubrania są zwodnicze, sprawiają, że wszystko wygląda normalnie. Sabija chwytając nożyczki, zaczyna rozcinać tkaninę.

Więcej krwiaków. Na barkach i udach.

Wstrzymuję oddech.

– Szlag by to trafił.

– Cóż, tu nie ma wątpliwości – mówi Sabija. Nadal udaje jej się zachować zaskakujący profesjonalizm. Z pomocą pielęgniarzy układamy chłopca na łóżku na kółkach, biegniemy z nim truchtem korytarzami w kierunku izby przyjęć, gdzie mają mu zrobić tomografię. W takich sytuacjach nie poradziłbym sobie bez Rogera. Nikt nie ma większego doświadczenia na pierwszej linii niż on, nikt nie odebrał z ambulansu i nie załadował do niego większej liczby chorych i rannych.

Badanie tomografem zostaje wykonane o 19.40. Czekamy z Sabiją na wyniki. Dołączają do nas inni lekarze, radiolodzy i anestezjolodzy.

Nagle słyszymy za drzwiami szybkie kroki i ciężki oddech, do środka wpada ojciec chłopca, musiał tu za nami przyjść.

– Tu nie wolno wchodzić – oświadczam zdecydowanie, ruszając w jego stronę.

Facet zamiera na progu.

– Co mówisz, lekarz?

– Musi pan poczekać na korytarzu.

– Jebany rasista – rzuca ojciec chłopca.

– Te reguły obowiązują wszystkich – wyjaśnia Roger oschle.

Mężczyzna wycofuje się niechętnie, ale słyszymy, jak tupie za drzwiami, miota się po korytarzu jak rozjuszony byk.

Odwracam się i widzę, że Sabija patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Znasz go? – pytam.

Kiwa głową, ale nic nie mówi, a chwilę później dostajemy wyniki tomografii. Chyba pierwszy raz w życiu słyszę, jak Sabija przeklina. Zaglądam jej przez

ramię, patrzę na rozległe zacinienie na zdjęciu.

Na złowrogiego, zwiastującego nieszczęście kleksa.

– Urazowy krwotok podtwardówkowy. Trzeba go na cito operować – mówię. Sabija kiwa nieznacznie głową, jest blada i ma łzy w oczach.

Odwozimy chłopca z powrotem na oddział, jego ojciec depcze nam po piętach.

W szpitalnej sali anestezjology mierzą mu ciśnienie krwi, puls, saturację i kontrolują rytm serca na podpiętym ekranie. Przygotowują narkozę i sprzęt do intubacji, szykują respirator.

Rodzice małego wchodzą do sali, jego matka płacze. Ojciec wrzeszczy coś o tym, że mamy się bardziej starać, robić, co do nas należy. Ktoś wypycha go na korytarz. Roger wychodzi do niego i próbuje go uspokoić.

Sabija podchodzi do chłopca, zaczyna go ostrożnie gładzić po policzku, na brudnej od pyłu buzi widać ślady łez. Ujmuje jego rączkę, tę z plastrem z *Gwiezdnymi wojnami*, zaczyna mówić do niego po pendzabsku, cicho i spokojnie. Chłopiec jest drobny, blady. Nie może nam niczego opowiedzieć ani wyjaśnić. Ale to wszystko musi się dobrze skończyć, wkrótce chłopczyk otworzy oczy i zacznie dochodzić do siebie. W kolejnych dniach będę do niego wpadał, poświęcał mu tyle czasu, ile trzeba, rozmawiał z nim i żartował, będę patrzył, jak zdrowieje i jest coraz szczęśliwszy, coraz bardziej pewny siebie.

W chwili gdy kończę tę myśl, spada mu gwałtownie puls i saturacja.

Kurwa, myślę sobie. Kurwa, kurwa, kurwa. Ogarnia mnie rozpacz. Nie możemy go teraz stracić.

Anestezjolog wkłupa się błyskawicznie w żyłę na ramieniu chłopca, wstrzykuje mu adrenalinę.

– Zamawiaj krew do transfuzji – mówię do Rogera.

Podajemy małemu pacjentowi płyny i szereg leków, starając się ustabilizować ciśnienie. W końcu chłopiec odjeżdża na blok operacyjny. Biegniemy za nim z Sabiją truchtem. Przy wejściu na blok przejmują go anestezjology, my musimy się wycofać.

Zegar pokazuje 21.10. Nikt nic nie mówi. Sabija spaceruje nerwowo w tę i z powrotem. Podchodzę do okna. Tramwaj pędzi w górę Sognsveien, niemiłosiernie hałasując.auta stają na czerwonym świetle na Kirkeveien.

Ludzie w kawiarnianych ogródkach na Majorstuen po jednej i Torshov po drugiej stronie szpitala wznoszą toasty na cześć wspaniałego lata, świat kręci się jak zawsze, kiedy mały chłopiec w końcu wyjeżdża z bloku.

Neurochirurg, jeden z naszych bardziej doświadczonych kolegów, kręci ponuro głową.

– Krwotok był bardzo rozległy, nic się nie dało zrobić.

Mam ochotę usiąść na podłodze i się rozplakać.

Czteroletni chłopiec. Cztery lata sińców.

Wiozą go gdzieś dalej.

– Musimy poinformować rodzinę – mówię. – A jego matka nie posługuje się norweskim.

Wypowiedziawszy to zdanie, uświadamiam sobie, jak żałośnie i tchórzliwie brzmią moje słowa, i że tak naprawdę próbuję przerzucić odpowiedzialność na Sabiję.

Koleżanka nic mi na to nie odpowiada, bierze rodziców chłopca na stronę.

Jego ojciec wali pięścią w ścianę. Matka zupełnie się załamuje. Sabija gładzi ją po plecach. Wszyscy pozostali stoimy zażenowani i tylko się im przyglądamy. Później trzeba będzie posłać chłopca na kolejny tomograf, by stwierdzić, że krążenie mózgowe ustało, po czym zostanie stwierdzony zgon. To wszystko trochę zapewne potrwa i formalności będą dopięte dopiero jutro. Trzeba będzie wtedy także zapytać rodziców o kwestię ewentualnego przeszczepu. Zawsze staramy się dać bliskim zmarłego trochę czasu, zanim postawimy to pytanie, ale nie możemy też czekać zbyt długo.

W całym naszym zespole daje się wyczuć jakąś zgodność, zgranie, którego zazwyczaj próżno wśród nas szukać. Śmierć czterolatka wszystkich boleśnie dotknęła. Ale jednocześnie mamy też innych pacjentów, czekają na nas dzieci, którymi nie mieliśmy się do tej pory kiedy zająć. Stan wyjątkowy nie może trwać zbyt długo.

Podbiega do nas ojciec chłopca. Bente próbuje położyć dłoń na jego ramieniu, ale on ją tylko odpycha.

– Bardzo mi przykro – mówię.

– Gdzie jest kaplica?

Nie mówię tego, co sobie myślę: że ojciec, który pobił na śmierć własne dziecko, nie ma czego szukać w kaplicy. Za to, co zrobił, nie ma przebaczenia. Odwracam się od niego.

– Bente – mamroczę. – Pokażesz mu, gdzie to jest?

Facet znika za przeszklonymi drzwiami, a ja opieram dłonie o ścianę, pochylam głowę, biorę głęboki wdech.

Jeden, a po dłuższej chwili kolejny.



## 4 – Clara

Nie mam dziś ochoty z nikim rozmawiać, nawet z tatą. Zazwyczaj dzwonię do niego codziennie, a jeśli się nie odezwę, tata zaczyna się o mnie martwić. Wybieram więc jego numer, gdy chłopcy leżą już w łózkach.

– Cześć, jak się masz? – pytam, gdy odbiera.

Wyobrażam go sobie, jak rozmawiając ze mną, stoi przy oknie i spogląda na fiord. Tata lubi podziwiać widoki. Stoi i gapi się jak wół na malowane wrota, mawiała moja matka. Odziedziczyłam to zresztą po nim.

– Jako tako – odpowiada słabym głosem.

– A co się stało?

– No, nie najlepiej się czułem, więc poszedłem do lekarza.

– Aha? – pytam, czując, że robi mi się zimno.

Po drugiej stronie w słuchawce rozlega się mamrotanie, tak ciche, że nie jestem w stanie rozróżnić słów.

– Tato – proszę. – Mógłbyś mówić trochę głośniej?

– No i wyobraź sobie, że odesłali mnie tu karetką.

– Co? – pytam i już po raz drugi tego dnia osuwam się na podłogę. – Tu, to znaczy dokąd?

– Do szpitala. Twierdzą, że miałem mały wylew albo coś... Jesteś tam?

– Tak – odpowiadam, chrząkam, kręci mi się w głowie.

– Wszystko będzie dobrze – ciągnie tata tonem sugerującym, że wcale w to nie wierzy. – Ale muszę tu zostać na noc, może trochę dłużej. Słuchaj, właśnie przyszli zrobić mi jakieś badania. Pogadamy później.

Rozłączam się i dopiero wtedy to czuję.

Coś mokrego spływa mi po policzkach, coś, czego nie umiem powstrzymać.

I w tym momencie dzwoni Haavard.

## 5 – Haavard

– Tak? – mówi Clara, głos ma trochę zachrypnięty, pewnie zdrzemnęła się nad laptopem, czasami jej się to zdarza.

Zegar wskazuje 21.40. Poranna sprzeczka powinna już zostać zapomniana, mimo że moja żona potrafi się długo gniewać.

– Claro – mówię – sprawdź, proszę, czy chłopcy dobrze śpią.

– O co ci chodzi?

Nie wydaje się zła. Tylko zmęczona i smutna.

– Zerknij tylko. Zobacz, czy wszystko z nimi dobrze...

– Bądź poważny, położyłam ich i siedzę od tego czasu w salonie. A mocny sen odziedziczyli po tobie, nie obudziliby się pewnie, gdyby nad domem przeleciał ponaddzwiękowy odrzutowiec. Co cię ugryzło?

Przetykam ślinę.

– Coś się stało?

Jestem sam w pralni na naszym oddziale, nawet nie zapaliłem światła. Nagle coś we mnie puszcza.

– Pieprzony gangster w koszulce Chelsea, naćpany jakimiś anabolikami...

– Kompletnie nic nie rozumiem.

– Przyszedł ze swoim czteroletnim synkiem. Powiedział, że mały spadł z drzewa. Zbadaliśmy go i okazało się, że jest cały posiniaczony, pocięty, poprzypalany... Na tomografii wyszedł rozległy krwotok podtwardówkowy. Chłopiec leży u nas, funkcje mózgu ustały, czekamy tylko, żeby go odłączyć od maszyn.

– Rany boskie – szepcze Clara do słuchawki.

– Jakby tego było mało, to ten jego ojciec łązi po oddziale i szuka guza, odkąd tylko przyszedł. Zupełnie jakby to była nasza wina! A teraz zażądał, żeby go zaprowadzić do kaplicy. Chce się modlić! Po tym, jak zabił swoje dziecko! Świat jest taki popieprzony. Powinnaś zobaczyć tego chłopca, Claro, wygląda

zupełnie jak nasi synkowie w jego wieku. Miał nawet na sobie takie same adidasy jak te, które kupiliśmy kiedyś dla Andreasa.

Na kilka sekund zapada cisza, słyszę tylko pojedyncze, stłumione dźwięki, jakby moja żona chodziła po domu z telefonem przy uchu. Po chwili rozlega się jej szept, pewnie stoi w progu dziecięcej sypialni.

– Chłopcy śpią – oznajmia.

– Dzięki – odpowiadam, również szeptem, i naprawdę jestem jej wdzięczny.

Wychodzę o dziesiątej. Muszę zrobić sobie chwilę przerwy, inaczej nie wytrzymam do końca dyżuru. Powinienem pamiętać, by po powrocie zadzwonić na policję, to standardowa procedura w takich sprawach.

W holu na dole stoi wielki model statku z czarną piracką flagą ozdobioną trupią czaszką, właściwie to chyba jest tu trochę nie na miejscu.

Okrażam budynek i mam już wracać do środka, gdy dostrzegam nagle jakąś skuloną za krzakiem, wstrząsaną torsjami sylwetkę.

– Sabija – mówię. – Wszystko okej?

– Nie – odpowiada moja koleżanka, unosi dłonie do oczu i trze je ze złością, wali pięścią w szpitalny mur, kuli się z bólu, po czym uderza się zamiast tego w czoło, jakby próbowała się za coś ukarać.

Sabija to najbardziej profesjonalna, najspokojniejsza osoba, jaką znam, ale teraz wygląda, jakby kompletnie się załamała.

– Rozumiem, że... – zaczynam.

– Nie, nic nie rozumiesz – odpowiada Sabija, dostrzegam w jej oczach błysk szaleństwa. – Mukhtar Ahmad mieszkał kiedyś niedaleko mnie. Na Sverdrups gate, to same obrzeża Grünerløkka. Jest dwa lata ode mnie młodszy. Nasi ojcowie się znali, pracowali razem w zarządzie komunikacji miejskiej.

– Jaki znów Mukhtar?

– Ten dzieciobójca. Już wtedy się go baliśmy. Bawiłam się z jego młodszym bratem, miał wtedy tyle lat, co ten biedny chłopiec. Nie rozumiesz...

Jej twarz wykrzywia się w grymasie, oczy znów ma pełne łez.

– Przepraszam – szepce w chwili, gdy podnoszę dłoń i gładzę ją po policzku.

– Daj spokój – mówię i przygarniam ją do siebie, głaszczę po włosach, tak jak

chłopców, gdy są smutni. – Nic nie szkodzi. Popłacz sobie.

Sabija przytula się do mojej piersi na sekundę czy dwie. Potem sztywnieje, prostuje się, unosi pięść i uderza mnie kilka razy w bark.

– Rany, Haavard. Nie możemy tu tak beczynnie stać.

– Faktycznie – mówię, patrząc jej w oczy.

Sabija wpatruje się we mnie.

– Tak, kurwa, być nie może. Musimy coś zrobić.

## 6 – Roger

Widzę ich, gdy tylko wychodzę ze szpitala.

Haavard i Sabija.

Stoją pod drzewami i rozmawiają albo się kłócą. Ona wymachuje ramionami, gestykuluje, on kręci głową i w końcu ją przytula.

Co robi na dworze w takiej chwili dwoje odpowiedzialnych za oddział lekarzy? Przystaję i przyglądam im się kilka sekund, potem idę dalej.

Jest 22.05, do końca mojego dyżuru zostało jeszcze prawie pół godziny, ale muszę znaleźć Ahmada. Uświadomić mu, co zrobił, sprawić, by to zrozumiał.

Nie ma prawa klęczeć teraz na dywaniku modlitewnym i czuć się świętym.

Sabija, Haavard i wszyscy inni latają w kółko jak bezgłowe kurczaki, jak rozhisteryzowane baby, a dzieciobójca spaceruje sobie w tym czasie między nami, nie ponosząc żadnych konsekwencji.

Gdy wcześniej tego wieczora wszyscy dwoili się i troili nad chłopcem, ja już wiedziałem, że mały jest bez szans. Przesiedziałem przy maszynach monitorujących parametry życiowe dłużej niż którykolwiek z lekarzy, ale oni na nas, personel pielęgniarstwa, praktycznie nie zwracają uwagi. Przynieś to, wynieś tamto, załatw to i zamów śmo. Poza tym się do mnie nie odzywają, jeśli nie muszą, nie pytają mnie o radę, mimo że pracowałem na wszystkich tutejszych oddziałach, przyjąłem na świat tysiące dzieci, opiekowałem się noworodkami na porodówce, doglądałem wcześniaków na pediatrycznym OIOM-ie, pocieszałem rodziców, trzymałem za rękę zrozpaczone matki.

Lekarze widzą tylko pielęgniarza, kogoś, kto stoi w szpitalnej hierarchii niżej od nich.

Askildsen, ordynator naszego oddziału, powiedział mi, że ludzie skarżą się podobno na zbyt intensywny zapach mojej wody po goleniu. Coś takiego! Nie ma mowy, by taki komentarz padł z ust któregoś z pacjentów czy ich bliskich, musiał się poskarżyć jakiś lekarz. Mają po czworo dzieci, volvo w garażu, psa, chatkę w górach, urlopy na Riwierze Włoskiej i rodzinne zdjęcia na Facebooku,

ale za tą fasadą kryje się zepsucie i moralna zgnilizna.

Haavard stoi, głaszcząc Sabiję, jakby była jakimś szczeniakiem. Facet ma w sobie niedbały urok snoba z zachodnich dzielnic, ale mnie on się osobiście nie podoba. Jest zbyt nonszalancki, przechadza się po szpitalu wielkopańskim krokiem i sprawia wrażenie, jakby nie dbał o nic ani o nikogo – typowa postawa ludzi, którzy dorastali w wielkim domu z równie wielkim ogrodem. Jowialny, bezpośredni, lecz mimo to snobistyczny dupek z Vinderen.

A Sabija?

Może jej stylizacja na grzeczną dziewczynkę, perłowe kolczyki i dyskretny błyszczak na wargach są kogoś w stanie oszukać, ale na pewno nie mnie. Tyle że ja dorastałem w Linderud. Wiem, że można wyrwać dziewczynę z getta, lecz getta z dziewczyny już nie.

Ahmad i Sabija są sobie warci. Jedyna różnica polega na tym, że ona nauczyła się grzecznie zachowywać.

Sam mieszkam w bloku na Rosenhoff. Ludzie sądzą, że to taka smutna okolica, zaraz przy Carl Berner, ale mam widok na fiord, mam swoją muzykę, swoje seriale, przyjaciół i mamę, którą codziennie odwiedzam, siedzę przy niej, trzymam ją za rękę i do niej mówię. Jestem singlem, nie dorobiłem się potomstwa i próbuję przelać całą moją miłość i czułość na małych pacjentów, których spotykam na naszym oddziale.

Ten chłopiec był jednym z najpiękniejszych dzieci, jakie widziałem w życiu. Biedny maluch w ramionach ojca, taki niewinny. Jak to w ogóle możliwe, że ktoś robi coś takiego własnemu synowi czy córce?

Cały wieczór biegałem po oddziale, jestem zgrzany i spocony, koszulę mam mokrą pod pachami. Wrócę do domu i wezmę długi zimny prysznic, a potem położę się w świeżej, czystej pościeli.

Chłodne wieczorne powietrze na szczęście trochę pomaga, otula rozgrzowaną skórę niczym kojący płaszcz.

Nagle moje spojrzenie pada na niego, człowieka, który ukradł przyszłość swojemu synkowi, widzę go, idzie chodnikiem kilka kroków przede mną.

Ruszam za nim, skradam się jak Różowa Pantera, znów robi mi się gorąco.

Mijamy stację transformatora, przyszpitalne muzeum, budkę dla palaczy, wchodzimy głębiej w zaułek.

Nikogo tu poza nami nie ma, wygląda na to, że facet łązi tu bez konkretnego celu. Czyżby skłamał, mówiąc, że chce się pomodlić? Albo się zgubił i nie wie, jak dojść do kaplicy?

Dzieli mnie od niego zaledwie dziesięć metrów, ale on ma słuchawki wciśnięte w uszy i, choć trudno w to uwierzyć, chyba mnie nie zauważa.

W końcu przystaje, wspina się po metalowych schodkach, naciska klamkę potężnych stalowych drzwi. Więc to tu chodzą się modlić ci dwulicowi muzułmanie, ci, przez których posyłane na zakupy gosposie odmawiają przynoszenia do domu „nieczystego” jedzenia, dzieci rdzennych Norwegów są prześladowane w szkole, a na Grønland można dostać w zęby tylko za to, że trzyma się za rękę partnera tej samej płci.

Wszystko w tym facecie mnie denerwuje: jego szeroki kark, krótkie włosy, czapka z daszkiem i stara koszulka Chelsea z logo Samsunga na piersi.

Mam ogromną ochotę rozbić mu ryj, walnąć jego głową o ścianę, zrobić mu jakąś krzywdę.

## 7 – Haavard

Dochodzi północ. Stoję na szpitalnym korytarzu i oglądam czubek palca wskazującego lewej dłoni. W pracy muszę co chwila myć ręce, więc plaster i tak by się odkleił, zdjąłem go, ale cały dzień pilnowałem, by przed jakimkolwiek kontaktem z pacjentami wkładać rękawiczki. Ranka na szczęście dość szybko przestała krwawić, wygląda na to, że całkiem nieźle się goi, muszę jedynie spróbować uciąć skrawek skóry na jej brzegu. Zajmę się tym, gdy tylko znajdę chwilę.

Przez oszklone drzwi wchodzi na oddział dwoje umundurowanych policjantów.

Mężczyzna wygląda, jakby zbliżał się do wieku, w którym funkcjonariusz policji może już przejść na emeryturę, mimo to jest w formie, widać, że spędza dużo czasu na siłowni. Ma opaloną twarz, krótko przystrzyżone włosy i bystre spojrzenie. Wygląda jak ktoś, kto przepracował w wydziale zabójstw ze dwadzieścia lat, ma za sobą dekady niewysypiania się i roboty po nocach, ludzie tacy jak on potrafią paść na zawał mimo świetnej kondycji i doskonałego zdrowia.

Jego towarzyszką jest młodsza, ma na oko jakieś czterdzieści lat, lecz dziewczęcego wdzięku dodają jej piegi, wypielęgnowane paznokcie i związane w długi kucyk włosy, nieco jaśniejsze na końcach.

Policjanci przedstawiają się i informują, że są z wydziału dochodzeniowo-śledczego, wyłapuję tylko ich imiona. Elin i Morten.

– Czy byłby pan skłonny złożyć zeznania jako świadek? Ma pan prawo odmówić.

– Żaden problem – odpowiadam, mam już z takimi sprawami doświadczenie, to nie pierwszy raz, gdy musieliśmy wezwać policję.

– Chce pan zadzwonić po adwokata?

– Nie, nie...

Te sztywne, formalne frazy sprawiają, że muszę się uśmiechnąć.



– W takim razie zacznijmy. Mają państwo pacjenta, który nazywa się Fajsal Ahmad, prawda? – pyta Elin i dopiero w tym momencie uświadamiam sobie, o czym zapomniałem w całym chaosie tego dnia.

O telefonie na policję.

Był to mój obowiązek jako lekarza dyżurnego. Fakt, że funkcjonariusze i tak tu przybyli, musi oznaczać, że Sabija postanowiła mnie w tym wyręczyć.

– Czy miał pan jakikolwiek kontakt z ojcem Fajsala Ahmada, Mukhtarem Ahmadem? – chce wiedzieć policjantka.

– Oczywiście – odpowiadam. – Spędził tu większość wieczoru.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Niech pomyślę – zaczynam. – Chyba koło dwudziestej pierwszej czterdzieści? Szedł wtedy do kaplicy. Powinniśmy byli pewnie spróbować go zatrzymać, ale nie było to takie proste. W sytuacji, w której się znajdował, trudno mu było czegokolwiek odmówić.

Funkcjonariusze zerkają po sobie, widać, że stanowią zgrany duet, lubią się i pracują razem już od jakiegoś czasu.

– Państwo przyjechali, bo wezwał państwa ktoś z naszego oddziału, prawda? – dodaje.

Policjantka kręci głową.

– Przyjechaliśmy, gdyż na terenie szpitala znaleziono zwłoki niezidentyfikowanego jak dotychczas mężczyzny. Denat miał przy sobie dokumenty wystawione na nazwisko Mukhtar Ahmad. Na izbie przyjęć poinformowano nas, że Fajsal Ahmad jest pacjentem na tym oddziale. Czy to się zgadza?

– Owszem, w pewnym sensie – odpowiadam.

Obowiązuje mnie tajemnica lekarska, również w kontaktach z policją. Większość z moich co bardziej pryncypialnych współpracowników upierałaby się przy całkowitym jej utrzymaniu i odmówieniu w ogóle jakiegokolwiek odpowiedzi na tak postawione pytanie.

Zwłoki znalezione na terenie szpitala.

Mija kilka sekund, zanim mój mózg jest w stanie przetrawić to, co zostało powiedziane.

– Przepraszam, powiedziała pani, że Mukhtar Ahmad nie żyje? – pytam i zamieram z rozdziawionymi ustami.

– Usiłujemy właśnie ustalić, co się wydarzyło – mówi Morten.

– Wróćmy do Fajsala Ahmada – koleżanka wchodzi mu w słowo.

Próbuję wziąć się w garść.

– Chłopiec miał krwotok wewnątrzczaszkowy – oświadczam w końcu. – Kilka godzin temu go operowaliśmy, ale nic się nie dało zrobić. Jego ojciec wyszedł od nas jakiś czas później. Fajsal nadal oddycha, ale tylko z pomocą maszyn. Wkrótce je wyłączymy. Pacjent miał pękniętą kość czaszki. Jego ojciec utrzymywał, że chłopiec spadł z drzewa, ale znaleźliśmy na jego ciele ślady po innych, starszych złamaniach i ranach, świadczące o tym, że był maltretowany. Krwiaki w nienaturalnych miejscach na ciele, na dodatek ten podejrzany uraz głowy. Nie było wątpliwości, że mamy do czynienia z przemocą w rodzinie.

– O której przyszedł pan dziś do pracy? – pyta Morten. Jego dialekt sugeruje, że pochodzi z okolic Trondheim, ale pewnie mieszka w Oslo od czasu, gdy przyjechał tu na studia w Akademii Policyjnej. Elin za to bez wątpienia urodziła się w Bergen.

– Byłem tu krótko przed trzecią. Za pięć albo coś w tym stylu.

– Opuszczał pan od tego czasu budynek?

Waham się parę sekund.

– Nie.

– Jakie wrażenie zrobił na panu pan Ahmad?

– Nie najlepsze – odpowiadam z ulgą, zadowolony, że zmieniliśmy temat. – Gburowaty. Agresywny. Niestabilny i groźny. Cały czas wrzeszczał i się awanturował.

– Czy jego żona nadal tu jest?

– Nie, z tego, co wiem, wróciła do domu, musiała się zająć pozostałymi dziećmi.

Elin zerka na swój różowy zegarek treningowy.

– Czy może pan pójść teraz z nami i dokonać tymczasowej identyfikacji zwłok? Chcemy być pewni, że to on, zanim zawiadomimy rodzinę.

– Kto znalazł zwłoki? – pytam, gdy idziemy przez teren szpitala.

– Ochroniarz, który przypadkiem był w pobliżu, usłyszał jakiś dźwięk przypominający wystrzał z broni, więc postanowił się dokładniej rozejrzeć. Powiadomił tutejszy oddział ratunkowy, z kolei lekarze skontaktowali się z nami. Próbuje odtworzyć całość wydarzeń na tym obszarze w czasie, gdy mogło dojść do zabójstwa.

– Czyli ktoś go zastrzelił? – pytam.

Elin nie odpowiada, prowadzi mnie do miejsca znalezienia zwłok, a ja postanawiam już nie wypytywać.

Teren szpitala przypomina lunapark, wszędzie porozciągano taśmy policyjne, przyjechało mnóstwo radiowozów z migoczącymi kogutami. Za taśmami ustawili się już dziennikarze.

Wspinamy się na pięć stalowych stopni i otwieramy niebieskie drzwi z tabliczką: SALA DO PRAKTYK RELIGIJNYCH I ŚWIATOPOGLĄDOWYCH.

Pomieszczenie ma może jakieś dwadzieścia metrów kwadratowych.

Na jego środku leży mężczyzna w niebieskiej koszulce Chelsea.

– Proszę chodzić po folii – instruuje mnie Elin.

Mam ochotę spytać, czy to naprawdę w porządku, że tu wchodzę, ale się powstrzymuję. Przecież to oni mnie o to poprosili.

Przy zwłokach klęczą już dwaj technicy kryminalistyki, ubrani w białe kombinezony ochronne, bardzo podobne do tego, który sam musiałem włożyć tuż za drzwiami. Fotografują ciało pod różnymi kątami. Jeden z nich robi zbliżenie na ciemną, osmaloną dziurkę w koszulce Chelsea.

Pochylam się, oglądam zwróconą ku drzwiom twarz.

Oczy są mętne, skóra zaczyna już przypominać gumową powłokę, mimo że mężczyzna ma ciemniejszą cerę i nie jest żółtawy, jak bledsi rodowici Norwegowie krótko po śmierci.

Musiał tu przyjść, umyć się, przygotować do modlitwy, wszystkie te rzeczy.

Czy rozpaczał? Żałował? A może był wściekły, przeklinał cały świat, złościł się na wszystko i wszystkich, tak jak u nas na oddziale? Kim on właściwie był? Czy religia faktycznie miała dla niego takie znaczenie, a może wykorzystał to tylko jako wymówkę, by móc zniknąć nam z oczu?

Wstydzil się? Odchodził od zmysłów? Czy ten człowiek w ogóle kochał swoje dziecko?

Tak czy inaczej, na myśl, że już go nie ma, ogarnia mnie wyłącznie ulga. Policjantka chrząka za moimi plecami. Podnoszę się i kiwam głową.

– To on – potwierdzam, gdy wychodzimy z kaplicy. – Mężczyzna, który przyszedł do nas ze swoim synkiem.

– Świetnie. Na razie panu dziękujemy. Jeszcze się do pana odezwiemy – odpowiada Elin i zaskakuje mnie, wsuwając pod górną wargę porcję snusu o nazwie General Portion, ekstramocnego.

Odchodzę stamtąd tak szybko, jak mogę, muszę się powstrzymać, by nie zacząć biec.

W drodze na oddział widzę policjantów z psami i kilkoro funkcjonariuszy badających pobliski grunt detektorami metalu. Wokół roi się od ludzi.

Na oddziale zapadła już cisza nocna, pojawił się natomiast ordynator Askildsen, ktoś musiał do niego zadzwonić.

– Co za historia – stwierdza i kręci głową, wysłuchawszy mojego krótkiego raportu. – Zostanę tu chyba na noc.

Askildsen to pracoholik, mieszka sam, szpital jest całym jego życiem. Lubi szkocką whisky i transmisje z meczów Liverpoolu, poza tym jego zainteresowania sprowadzają się do spraw naszego oddziału. W dniu, w którym będzie zmuszony przejść na emeryturę, rozsypie się pewnie w pył i rozwieje go wiatr.

– Ale teraz, jak widzę, mamy ciszę i spokój? – dodaje.

– Tak, nareszcie.

– Jedź do domu, Haavard.

Chcę zaprotestować, ale dopiero teraz czuję, jaki jestem wykończony. Dyżur lekarza robiącego specjalizację trwa od trzeciej po południu jednego dnia do dziesiątej rano następnego. Zazwyczaj bez przerwy jest się zajęтым. Ale to, co się dzisiaj tu działo, przechodzi ludzkie pojęcie.

– Dzięki – mówię. – Może faktycznie skorzystam.

Wchodzę do gabinetu, siadam, wyciągam telefon.

Zabójstwo w szpitalu Ullevål trafiło już na samą górę internetowego wydania „VG”. W umieszczonej na stronie relacji wideo można obejrzyć młodą blond dziennikarkę, która stoi przed głównym wejściem na teren szpitala i wskazuje budynki w tle.

Odkładam telefon, siedzę dłuższą chwilę, gapiąc się przez okno na aksamitną, granatową ciemność letniej nocy, na księżyc, dachy budynków i światła w oknach. Wyciągam rękę po skalpel, który leżał wcześniej na granicy biurka mojego i Sabii, chcę odciąć ten zwisający kawałek skóry z palca. Ale skalpela już tam nie ma, Sabija musiała go przełożyć.

Na jej biurku stoi oprawione zdjęcie przedstawiające ją samą, jej męża i troje dzieci. Zadowoleni, ubrani w letnie stroje. Wszyscy są bardzo urodziwi, ale wzrok mężczyzny wydaje mi się ostry, nieprzyjemny.

Nad dachami domów migoczą gwiazdy. Wewnątrz tych budynków śpią tysiące ludzi. Szpital za to nie śpi nigdy.

W dawnych czasach zdarzało się, że słyszałem ojca siedzącego w swoim pokoju i mówiącego coś do siebie. Lubił tak przegadywać ze sobą ważniejsze sprawy.

Próbuję zrobić to samo.

Ten dyżur był cholernie nieprzyjemny, ale w sumie to tylko jeden z wielu, stwierdzam.

Czasem trafiają do nas dzieci, których nie da się uratować. Zdarza się też, że ludzie strzelają do siebie i się zabijają, tak samo w Oslo, jak i w innych dużych miastach. Co ma się stać, to się stanie.

Ta gadka niewiele mi pomaga. Nie potrafię wyrzucić z pamięci obrazu zmaltretowanego małego Fajsala ani mętnych oczu jego ojca leżącego na podłodze kaplicy.

Całe moje ciało przepełnia dziwne uczucie, dociera do mnie, że wszystko się zmieniło. Uczucie to nie opuszcza mnie, gdy schodzę po schodach, idę do garażu, wsiadam na rower i wyjeżdżam na ulicę.

Noc jest nienaturalnie piękna. Świeci księżyc, dookoła ani żywej duszy, jestem sam w środku tej letniej sielanki, w środku Oslo, owiewa mnie zapach czeremchy i bzu.

Wszystko rozkwita w tym roku tak wcześnie. Rozkwita i umiera.

## 8 – Clara

Gdy się obudziłam, Haavard leżał w łóżku obok mnie. Właściwie powinien pracować do dziesiątej, ale z jakiegoś powodu wrócił tej nocy do domu wcześniej niż zwykle. Wyszłam, nie budząc go, odwiozłam chłopców i ich kolegów do szkoły, wszystko zgodnie z planem.

Siedzę w pracy już od kilku godzin.

– Straszna szkoda, że twój projekt ustawy przepadł – mówi doradca polityczny z uśmiechem. Wchodzi do mojego biura, gdy zaczynam pakować swoje rzeczy i chcę się już zbierać, nie pyta, czy może wejść, nie puka, po prostu łąduje się do środka.

Facet ma gębę pryszczatą jak licealista, mimo że skończył pewnie jakieś dwadzieścia pięć lat, zdążył też zrobić troje dzieci jakiejś kobiecie na południu kraju. Jego włosy błyszczą od wosku, wydają mdlący zapach, który przywodzi mi na myśl chłopaków z moich rodzinnych stron i lata dziewięćdziesiąte.

Sekretarze stanu mają z reguły doświadczenie zawodowe ze świata cywilnego, tymczasem polityczni doradcy to gówniarze, przychodzą tu prosto z młodzieżówek, nie zasmakowawszy nawet prawdziwego życia.

Pilnują terminarzy i koordynują spotkania polityków, są w swoich ministerstwach osobami od kontaktów z dziennikarzami, zarządzają kontami na Facebooku i żywią głębokie przekonanie, że nikt nie byłby ich w stanie zastąpić.

Tymczasem prawda jest taka, że nikogo nie zastępuje się tak łatwo, jak politycznego doradcy.

– Słuchaj, trochę się spieszę – rzucam, zerkając na zegarek. – Mam za pół godziny ważne spotkanie w...

– W porządku, chciałem ci tylko to dać. – Pryszczaty kładzie na moim biurku teczkę. – Świeżutkie, z gabinetu ministra. Masz tam kilka zadań, którymi będziesz się mogła zająć, skoro masz teraz tyle wolnego czasu.

Otwieram teczkę. Rany boskie. Listy od obywateli.

Równie dobrze mogliby mi kazać parzyć kawę.

Większość ludzi, którzy do nas piszą, to kompletni wariaci. Mimo to mamy obowiązek im odpowiadać. Teczka zawiera gruby plik korespondencji. Mnóstwo listów.

Doradca polityczny nie może mi tego narzucić, nie leży to w jego kompetencjach. Taka teczka powinna najpierw trafić do krwiobiegu sekcji administracyjnej, zadanie mógłby mi zlecić mój bezpośredni przełożony. Zdaję sobie sprawę, że przyszczały doskonale o tym wie. Ale nie mam zamiaru zniżać się do jego poziomu ani poświęcać cennego czasu na dyskusję.

– Dziękuję – mówię po prostu.

Za plecami doradcy rozlega się chrząknięcie.

– Co tu się dzieje? – pyta dyrektor administracyjna Mona Falkum. Stoi za nim wyprostowana jak struna, w jednym ze swoich klasycznych grafitowych kostiumów.

Doradca aż podskakuje.

– Nic – mówi. – Wpadłem tylko na pogawędkę.

– Clara nie ma teraz czasu na żadne pogawędki. Wybiera się na ważne spotkanie. Gotowa? – pyta mnie Mona, a przyszczały wycofuje się na korytarz.

– Tak – mówię, wsuwając stopy w pantofle. – Nawet więcej niż gotowa.

Mona była moją pierwszą szefową w tej pracy – gdy tylko przyszedłam do Ministerstwa Sprawiedliwości, a ona piastowała jeszcze stanowisko naczelnika wydziału. Minęły właśnie dwa lata, odkąd została dyrektorem administracyjnym. Ministrowie przychodzą i odchodzą, a ona kieruje nami jak królowa pszczół, jest jednym z tych szefów, którzy potrafią się wstawić za swoimi podwładnymi, i robi, co w jej mocy, by chronić nas przed Munchem i jego ludźmi.

Jak na razie nie udało jej się dokonać tylko jednego.

Od dłuższego czasu starała się zmusić sekretarzy stanu, by zlecali nam zadania w regulaminowym, urzędowym trybie, zamiast urządzać nam biurokratyczne naloty dywanowe – i niestety jej to nie wychodziło. Współcześni sekretarze stanu wiedzą, że formalnie nie są podporządkowani dyrektorom administracyjnym, lecz mają równą rangę, a kierownictwo polityczne nie pozwala się stawiać do pionu urzędasom, nawet tym na wysokich

stanowiskach.

Gdy zaczynałam tu pracę, prawie wszyscy bez wyjątku byliśmy ze sobą na „pan” czy „pani”. Teraz natomiast mówimy sobie po imieniu i jesteśmy podpięci pod tę samą sieć, korzystamy z tego samego elektronicznego systemu obiegu dokumentów, wysyłamy sobie dziennie tysiące mejli i esemesów. Czasy, w których przełożeni mieli pełną kontrolę nad materiałami przesyłanymi przez podwładnych do ministra, dawno już minęły.

Stwierdzenie, że łączy mnie z Moną przyjaźń, byłoby przesadą. Dyrektorzy administracyjni nie mają w pracy przyjaciół, a ja nie należę do ludzi, którzy szukają prywatnych znajomości wśród biurokratów czy polityków. Ale z pewnością się lubimy, dobrze nam się ze sobą gada.

– Nie obiecuję, że to przyniesie jakąś rewolucję – mówi Mona, gdy idziemy w stronę windy. – Ale będziesz miała przynajmniej szansę przedstawić swój projekt jak należy, chociaż formalnie już go odrzucili. Może jakoś mimo wszystko uda ci się go przepchnąć. Dyrektorzy administracyjni mają w końcu duży wpływ na to, jak odbierane są wnioski na posiedzeniu rządu. Jeśli ich do siebie przekonasz, wszystko może się zmienić.

– Mam nadzieję, że się uda – mówię. – Dzięki, że próbujesz mi pomóc.

Raz w tygodniu dyrektorzy administracyjni wszystkich ministerstw zbierają się na spotkania nazywane jadowicie przez Muncha „zebraniem klubu sir Humphreya”. To właśnie na taki lunch zaprosiła mnie Mona.

– Miej świadomość, że za chwilę spotkasz się z osiemnastoma najnudniejszymi ludźmi w całym kraju – oświadcza, naciskając guzik windy, którą zjeżdżamy na parter. Uśmiecham się, wiem, że Mona próbuje mnie rozbawić, sprawić, bym się rozluźniła.

– A ja myślałam, że najnudniejsi zasiadają w rządzie.

– No dobrze, to osiemnastu spośród trzydziestu sześciu najnudniejszych...

Wychodzimy w milczeniu przez obrotowe drzwi i stajemy na rozgrzanym asfalcie.

– Przed dwudziestym drugim lipca jedliśmy te lunche tam na górze – mówi Mona, wskazując skinieniem głowy gmach, w którym kiedyś mieścił się na ostatnim piętrze gabinet prezesa Rady Ministrów, a teraz puste dziury po oknach zasłaniają płyty ze sklejk. Opuszczony budynek stoi tak, rok za rokiem,



w oczekiwaniu, aż ktoś podejmie w jego sprawie jakąś decyzję.

Mijamy szybkim krokiem plac przed gmachem Sądu Najwyższego, przemierzamy ulice Grensens, Karla Johana, Prinsens gate, Tollbugata i Rådhusgata. Staram się, jak mogę, by idiotycznie wysokie obcasy moich pantofli nie zaklinowały się między kocimi łbami.

W końcu docieramy w okolice twierdzy Akershus. Siedziba premiera na Glacisgate to potężny gmach z czerwonej cegły urozmaiconej nowoczesnymi przeszkleniami, w rzeczywistości budynek należy do Ministerstwa Obrony Narodowej. Sąsiednie gmachy odbijają się w jego szybach.

Zostaję wylegitymowana. Najpierw raz. Potem drugi.

Przechodzę przez dwoje rozsuwanych drzwi przypominających śluzy. Za drugimi stoi wypchany niedźwiedź polarny, identyczny jak ten, który straszy u nas.

– Owszem, to chyba jest jego brat bliźniak – mówi Mona. – Nasz misio bardzo się spodobał pani premier przy okazji którejś wizyty, więc zaraz zamówiono takiego samego.

Wchodzimy na piętro, dzwonimy, otwiera nam sekretarka, prowadzi nas do sali konferencyjnej, zostaję poproszona, by poczekać na zewnątrz, a dyrektorzy administracyjni przeglądają w tym czasie listę spraw do przedyskutowania.

Wyciągam swoje notatki, słowa klucze naklejone na cztery sztywne arkusze mniejszego formatu, te same, których używają konsultanci piszący przemowy dla ministrów. Przeglądam je i odkładam. Za późno, żeby teraz coś wkuwać. Wstaję z krzesła, zaczynam niespokojnie spacerować w tę i z powrotem.

Po kilku minutach znów siadam, staram się uspokoić oddech, aż w końcu wolno mi dołączyć do kręgu wtajemniczonych.

Przy podłużnym, lśniącym brązowym blacie siedzi osiemnaścioro dyrektorów administracyjnych oraz konsultant prawny. Po prawej stronie stołu centralne stanowisko zajął szef Urzędu Rady Ministrów, premier biurokratów, najpotężniejszy ze wszystkich. Nikt nie ma tu swojego stałego miejsca, ale dziś Mona usiadła tuż obok niego, pewnie dlatego, że to ona odpowiada tym razem za rozrywkowy element programu.

– No cóż, każdy z was widział wniosek o rozpatrzenie tego projektu – odzywa

się. – Wiemy, że to projekt bardzo kontrowersyjny, wielu uważa go za ingerencję w życie prywatne, dlatego właśnie został on niedawno wstrzymany. Chciałabym was mimo to poprosić o wysłuchanie Clary Lofthus, jednej z najrzetelniejszych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości. Wyjaśni wam, czemu ten projekt jest ważny i potrzebny.

– Dziękuję – mówię i wstaję z krzesła.

Ostatnie godziny, odkąd Mona powiedziała mi o zaproszeniu na lunch, przeznaczyłam na przygotowanie zwięzłego, popartego dobrymi argumentami wystąpienia, które kilkakrotnie przeciwczyłam, jestem więc w stanie mówić bez scenariusza, posługując się tylko kluczowymi słowami z karteczek.

– Wszystkie zmiany, które naprawdę są konieczne, które naprawdę coś wnoszą, muszą być bolesne – zaczynam. – Jeśli jest inaczej, to zazwyczaj znaczy, że zmiany są zbyt łagodne, zbyt ostrożne lub nie dość ważne. Ta zmiana, o której mówię, jest natomiast absolutnie niezbędna. Nie dla mnie. Nie dla was. Ale dla najmniejszych, najsłabszych. Jeśli odważymy się zrobić ten krok, możemy naprawdę odmienić ich życie.

Wiem, że muszę błyszczeć. I wiem, że naprawdę jestem dobra. Nie mówię ani za dużo, ani za mało. Podkreślam to, co najistotniejsze, i to we właściwy sposób.

– Główny problem polega na tym, że zdaniem wielu ludzi tajemnica służbowa przeważa na obowiązkiem zgłaszania podejrzenia przestępstwa. Obowiązek ten od zawsze jest czymś mglistym, na tajemnicę służbową kładzie się natomiast nacisk w każdym możliwym kontekście. Dlatego gdy dzieje się coś złego, nikt nie ma odwagi reagować. Ta ustawa przyniosłaby odwrócenie paradygmatu, największą w tym zakresie zmianę od lat. Nie boję się powiedzieć, że to być może najważniejszy projekt, z którym zetkniecie się w całej swojej karierze.

Wszyscy słuchają mnie w skupieniu.

Zaczynam wyjaśniać, czemu powinno się w niektórych przypadkach zezwalać na udostępnianie danych osobowych. Dlaczego podsłuchy i ukryte kamery mogą i powinny być instalowane w przedszkolach, instytucjach państwowych i domach prywatnych. I że jednocześnie należy pociągać do indywidualnej odpowiedzialności karnej pracowników takich instytucji, którzy

nie zgłaszają podejrzenia stosowania przemocy czy molestowania.

Gdy kończę, wszyscy kiwają głowami.

Dostaję kilka zachęcających komentarzy.

Ale potem głos zabiera dyrektor administracyjny z Ministerstwa Polityki Regionalnej. To jeden z tych facetów po sześćdziesiątce, w okularach, z zaczeską oraz brodawką na nosie, pełen zestaw.

Generalny Inspektor Ochrony Danych Osobowych, mówi.

Informacje wrażliwe, mówi.

Nadużycia w policji, mówi.

Potem każdy przy stole dodaje coś od siebie. Teraz już nikt nie ma odwagi powiedzieć nic dobrego o moim projekcie. Szef Urzędu Rady Ministrów dziękuje mi za wystąpienie. Mona kiwa mi głową na pożegnanie.

Wychodząc z gmachu, wciąż mam przed oczami nalaną twarz dyrektora administracyjnego z MPR, MRR czy jak się ich teraz skraca.

Jak on się właściwie nazywa? Kim on jest? Czyżby facet nie miał dzieci?

Na Lille Grensen obcas prawego buta klinuje mi się między kocimi łbami, lecę na twarz, w ostatniej chwili łapię równowagę i ląduję w pozycji sprintera szykującego się do startu. Przez kilka sekund opieram się czubkami palców o ziemię, w końcu wstaję.

Złamany obcas zostaje między kocimi łbami.

– Kurwa mać – mamroczę, zbieram to, co zostało po zniszczonym bucie, drugi zdejmuję. Ludzie na ulicy przystają i gapią się na mnie, dzieci wytykają mnie ze śmiechem palcami. Najwyraźniej nieczęsto zdarza im się widywać ubraną w elegancki kostium panią bez butów.

Idę dalej boso, ściskając w rękach szczątki mojego obuwia.

## 9 – Haavard

Cały dzień przeciekł mi przez palce. Spałem do późna, potem łąziłem bez celu po domu, nie mogąc się zabrać do żadnej sensownej pracy, aż w końcu musiałem pojechać odebrać dzieci.

Clara wróciła w chwili, gdy chłopcy mieli się kłaść spać, i poszła z nimi prosto na górę.

Teraz siedzi na tarasie ze swoim wieczornym jointem w jednej ręce i telefonem w drugiej. Widzę, że znów się zalogowała na Stravę. Każdego wieczora odpala tę aplikację treningową, analizuje swoje osiągnięcia, trasy, które przebiegła, patrzy, kto ze znajomych zrobił jaki dystans i porównuje ich czasy ze swoimi.

Z tego, co rozumiem, w tej aplikacji chodzi o to, by nikt nie pobił twojego rekordu, a to doskonale pasuje do osobowości żadnej rywalizacji Clary. Zazwyczaj wyśmiewam ją trochę za tę stravomanię, ale dziś nie mam na to siły, opadam po prostu na krzesło obok niej.

– Zadzwoń do szpitala zapytać, co z chłopcem, o którym ci opowiadałem – zaczynam.

Po raz pierwszy tego dnia jesteśmy tylko we dwoje i przepelnia mnie, jak nigdy, potrzeba, by z nią porozmawiać.

– Aha? – pyta Clara, patrząc na mnie wyczekująco.

– Właśnie odłączyli go od respiratora.

Moja żona wzdycha.

– Czyli dzieciak nie żyje?

– Tak – odpowiadam, przetykając ślinę, znów staje mi przed oczami jego twarz. – Słyszałaś, co się stało z jego ojcem?

Clara kiwa głową.

– Czytałam o tym zabójstwie w sieci i pomyślałam sobie, że to pewnie ten typ, o którym mówiłaś.

– Musiałem dziś w nocy pójść z policją na miejsce znalezienia zwłok, żeby

sprawdzić, czy to na pewno on tam leży...

– I co? – pyta Clara, wbijając we mnie wzrok.

Nikt nie ma tak błękitnych oczu jak ona. Jej tęczęwki pałają nieziemskim blaskiem, nawet w panującym na tarasie półmroku.

Na początku naszego związku nazywałem ją Bette Davis, z powodu piosenki *Bette Davis Eyes* nagranej przez Kima Carnesa w osiemdziesiątym pierwszym roku. Jej tekst opowiadał o jasnych błękitnych oczach aktorki, które na fotografiach, zwłaszcza tych czarno-białych, mogły się wydawać ciemne. Po czasie muszę jednak stwierdzić, że to nawiązanie było trochę bez sensu, bo oczy Clary zawsze są niebieskie, niezależnie od oświetlenia.

Zachwyciła mnie tym, że była zupełnie inna niż dziewczęta, z którymi się wychowywałem. Potrafiła robić rzeczy, o których ja nie miałem pojęcia, na przykład przycinać drzewka owocowe, stawiać ogrodzenia, doglądać kocących się owiec czy prowadzić traktor.

Była kimś w rodzaju androgynicznego dziecka natury, elementem dzikiej przyrody.

– Tak – odpowiadam. – Wszyscy są w kompletnym szoku. Dyrekcja się martwi, bo nie wygląda to dla nas zbyt dobrze. Nikt nie ma pojęcia, kto to mógł zrobić. Policja zamknęła po jakimś czasie wszystkie wyjścia ze szpitala, ale zabójca był już wtedy daleko.

– Czemu ktoś miałby go zabić? – pyta Clara.

– Nie mam pojęcia, ale to był taki agresywny typ, może miał wrogów. Dostrzegłem poza tym na jego skórze parę dziwnych sinych guzów, jeden na plecach i jeden z boku ciała. Zauważyłem je, gdy wszedłem do kaplicy, by go zidentyfikować, a policjanci robili mu zdjęcia.

– Boże drogi...

– Okropnie to wyglądało. Ale widywałem już wcześniej takie guzy. Ktoś musiał do niego strzelać pociskami grzybkującymi.

Poczytałem sobie o tego typu amunicji w ciągu dnia. Kilka lat temu zezwolono na jej używanie przez policję, bo tego rodzaju pocisk nie przebija ciała na wylot, nie ma więc ryzyka, że zrani osobę postronną, co zdarza się w przypadku zwykłej kuli. Można jej ponadto używać na polowaniach, bo daje pewność, że zwierzę zostało zabite.

– Facet wydawał się, ogólnie rzecz biorąc, trochę podejrzany. Na pewno nie był najgrzeczniejszym dzieckiem swoich rodziców. Ani Allaha...

Na chwilę zapada cisza,

– A jak się mają sprawy w ministerstwie? – pytam.

Zawsze próbuję wpleść do naszych rozmów wątek pracy Clary, w końcu to dla niej najważniejsza rzecz na świecie.

– Beznadziejnie – odpowiada moja żona i wzdycha, a jej twarz się zachmurza.

– Czemu?

– Mój projekt ustawy nie przeszedł. Ukręcili mu łeb.

– Co? – pytam zszokowany.

To prawda, czasem miałem ochotę wyrzucić ten projekt przez okno, angażował w końcu tyle czasu i sił Clary. Ale wiem, że jest dla niej bardzo ważny i jeśli ustawa nie zostanie uchwalona, będę miał w domu piekło, i to przez dłuższy czas.

– Co się stało?

– Cóż, trudno powiedzieć – odpowiada Clara, wydmuchuje dym i milknie.

Gdy zostaliśmy parą, bardzo lubiłem to jej milczenie, fakt, że jest taka ambitna, uparta i bezkompromisowa. Ale chyba myślałem, że z czasem złagodnieje. Nic takiego jednak się nie stało. Było wręcz przeciwnie.

Clara chwyta gruby pled utkany w Røros, odrzuca go, stawia stopy na posadzce, zamierza najwyraźniej wstać i sobie pójść, jak zawsze, gdy próbuję z nią rozmawiać.

– Spokojnie – mówię, podnosząc się z krzesła. – Ja pójdę. Ty sobie posiedź.

Clara opada na miejsce.

Wchodzę do domu, zamykam drzwi prowadzące na taras, nie chcę wpuszczać do środka ciężkiego, słodkawego zapachu skręta. Minęło tyle lat, a ja nadal nie przywykłem do tego, że moja żona pali co wieczór zioło. Właściwie to mam nadzieję, że z tym skończy, i to niedługo, zanim chłopcy pojną, co się właściwie dzieje. Choć wątpię, by cokolwiek mogło ulec zmianie.

Siadam w salonie, wyciągam komórkę i klikam w pomarańczową ikonkę.

Wyśmiewam Clarę za korzystanie ze Stravy, więc sam umieściłem aplikację

na ostatnim ekranie w swoim telefonie, żeby w żadnym momencie nie było jej widać na wyświetlaczu. Wyłączyłem też powiadomienia. Clara nigdy nie grzebie mi w komórce, ale gdyby kiedyś przypadkiem znalazła w niej tę aplikację, będę mógł powiedzieć, że ściągnąłem ją, chcąc sprawdzić, co ona w niej takiego widzi.

Czerwona cyferka w prawym rogu ikony informuje mnie o ośmiu powiadomieniach.

Otwieram aplikację, przeglądam wiadomości i wchodzę na profil użytkownika MRSSPLENDID.

Widzę, że zrobiła tę samą trasę co zawsze, wbiegła do lasu i okrążyła położone w nim jezioro, jak w każdy wtorek, czwartek i sobotę, chyba że akurat jest w pracy. Miała dziś całkiem dobry dzień, osiągnęła jeden ze swoich lepszych wyników na tym dystansie. Cały czas miała dość wysokie tętno. Wszystkie te zapisane cyfrowo dane sprawiają, że czuję się nagle trochę jej bliższy.

*Świetnie, MRSSPLENDID!, piszę w komentarzu.*

*Dodaję: Chyba niedługo przyda Ci się jakiś rywal.*

*TAK!,* przychodzi błyskawiczna odpowiedź.

Oglądam trasę MRSSPLENDID z poprzedniego wtorku, powiększam satelitarne zdjęcie pagórka, przypominającego wulkan wzniesienia z niecką na szczycie, zagłębieniem zapewniającym osobom, które by w nim leżały, pełną dyskrecję, osłaniającym przed wzrokiem przypadkowych spacerowiczów.

Przymykam oczy i cofam się myślami w czasie.

Nasze miejsce. Nasze chwile zapomnienia.

Nieskończenie daleko od tego przygnębiającego, pustynnego krajobrazu, w którym rozgrywa się akcja mojego małżeństwa.

## 10 – Clara

Po raz pierwszy zobaczyłam Haavarda pewnej czerwcowej niedzieli przed wieloma laty, było to w pięknym, zarośniętym ogrodzie Edith, zaledwie rzut kamieniem od naszego obecnego domu.

Mogłam u niej mieszkać za darmo, w zamian pracowałam w ogrodzie, sprzątałam, przynosiłam drewno i wykonywałam różne pomniejsze zadania. Takie życie było o wiele przyjemniejsze niż moja wcześniejsza kariera sprzątaczkii, w tamtym okresie musiałam codziennie jeździć kolejką do Lambertseter, sprzątać w dwóch podrzędnych, zaniedbanych salonach fryzjerskich, gdzie po blatach w aneksach kuchennych paradowały karaluchy i wszędzie było pełno włosów. Dzięki Edith mogłam zrezygnować z tamtej pracy i już nigdy nie wracać do żadnego z tych salonów.

Moja gospodyni sprawiała wrażenie snobki, ale za tą fasadą kryła się bardzo rozrywkowa kobieta – przesiadywała na leżaku, paliła, kasłała i opowiadała pikantne historie z dawnego Paryża, tamtejszych ulic, kawiarni, imprez i towarzyskich salonów.

Była chudą, drobną istotką, niezwykle nawet jak na swój wiek pomarszczoną, chodziła zawsze w bluzkach w grochy, z upiętymi włosami i kolczykami w uszach, umalowana jak należy. Nie sposób było stwierdzić, ile ma lat, ale domyślałam się, że co najmniej osiemdziesiąt kilka.

Bardzo szybko zrozumiałam, że staruszcze chodziło przede wszystkim o towarzystwo.

– Chodź, moja droga, usiądźmy – mawiała często. I chociaż starałam się tłumaczyć, że mam dużo do zrobienia, to zawsze w końcu siadałyśmy, często stawiając przy tym na stole butelkę różowego wina.

Ptaki śpiewały, muchy brzęczały, a kwiaty kwitły.

Szybko poczułam się jak u siebie w tej wielkiej, starej, snobistycznej willi otoczonej rozległym ogrodem, podupadający dom i wybujała roślinność wokół niego przywodziły mi na myśl wieś i gospodarstwo, ale w tym miejscu kończyły



się podobieństwa.

Edith miała w zwyczaju wypytywać mnie o studia prawnicze. Nigdy nie słuchała moich odpowiedzi, zawsze za to powtarzała, że nie rozumie, czemu chcę sobie zgotować taki smutny los. Sama próbowała zaglądać do książek swojego syna w czasach, gdy studiował na moim wydziale, ale nie, przecież od tego idzie umrzeć z nudów, rzucała, wybuchając za chwilę ochryłym śmiechem. Próbowałam jej tłumaczyć, że owszem, te studia nie są szczególnie ekscytujące, ale zapewnią mi być może ciekawą pracę, zawód, w którym będę mogła robić coś ważnego, zmieniać ludzkie życie na lepsze. W takim razie powinnam poznać jej syna, orzekła Edith, chłopaka, który coś w życiu osiągnął.

Nie chciała mi wierzyć, gdy mówiłam, że z nikim się nie spotykam, z nikim nawet nie flirtuję, nie jestem zakochana. W takich momentach nasze rozmowy często schodziły na czasy, w których ona sama mieszkała na Montmartre jakieś sześćdziesiąt lat wcześniej i podrywała mężczyzn w kawiarniach.

Siedziałam na leżaku, podciągałam kolana pod brodę, unosiłam kryształowy kieliszek z różowym winem i uważnie słuchałam.

Dość szybko pojęłam, że Edith została zapewne zdradzona przez swojego męża, byłego sędziego Sądu Najwyższego – które to stanowisko przejął zresztą jej syn. Była dumna, więc chwilę to potrwało, zanim zdecydowała się opowiedzieć mi swoją historię. Ale gdy już zaczęła na ten temat mówić, trudno jej było przestać.

– Takie kwestie są niestety dziedziczne. Widzisz, William, mój syn, ma bardzo wiele dobrych cech. Ale obawiam się, że jest podobny do ojca, także pod tym względem. Wiesz, takie rzeczy się wyczuwa. Ludzie myślą, że trzeba szukać śladów szminki na koszuli czy tego typu bzdur. A to przecież idiotyzm. Jeśli twój mężczyzna traci tobą zainteresowanie, a jednocześnie wydaje się szczęśliwy i zadowolony z życia, to nie ma już wątpliwości. Masz niezbity dowód, że coś się nie zgadza, że zaraz zaczniesz przynosić do domu zapach obcych perfum i różne inne wonie. Rozumiesz?

– Owszem – odparłam z uśmiechem.

Edith nie tylko dostarczała mi rozrywki, była poza tym moją jedyną przyjaciółką w tym mieście.

Pewnego dnia, gdy tak siedziałyśmy, plotkując, Haavard wyrósł nagle przed

nami na wyłożonej płytkami ogrodowej ścieżce. Zauważyłam go dopiero w chwili, gdy Edith zerwała się z miejsca i rzuciła mu się na szyję.

– Och, kochany – zaćwierkała. Cała scena wydała mi się trochę komiczna, bo starsza pani była malutka, a człowiek, którego przytulała, musiał mierzyć ponad metr dziewięćdziesiąt, był smukły i nieco kościsty, miał na sobie granatowe szorty i białą koszulkę, jedno i drugie trochę sprane, lecz niewątpliwie dobrej jakości. Zwróciłam uwagę, że koszulka jest gładka, bez żadnego nadruku.

Nosił również zegarek wyglądający na dość kosztowny. Miał ciemne włosy, grzywka opadała mu na czoło. Był opalony, wyglądał, jakby spędzał dużo czasu na świeżym powietrzu, może żeglował albo chodził po górach. Jego oczy były niebieskie, nos – nieco orli.

Wyglądał właściwie trochę jak tata na zdjęciach z czasów, zanim się urodziłam, zanim pojawiła się Agnes, zanim to wszystko się zaczęło. Jednocześnie bił od niego jakiś niewymuszony autorytet, którego brakowało zawsze mojemu ojcu. Jakaś niezwykła pewność siebie. Tak chyba wyglądają ludzie dorastający w domach, w których nigdy niczego nie brakowało. Ci, którym rodzice przez lata czytali do snu, którzy od najwcześniejszego dzieciństwa jeździli co niedziela na narty i którzy nigdy nie wątpią, że są z całego serca kochani i że powiedzie im się w życiu.

– Babciu – powiedział Haavard, ściskając starszą panią. Widać było, że stara się to robić ostrożnie. Edith była jak pisklak, łopatki sterczały jej niczym skrzydła. Sama się bałam, że ją zgniotę za każdym razem, gdy ją przytulałam.

– To ty jesteś tą ulubienicą babci? – zapytał Haavard, patrząc na mnie ciekawie. – Dużo o tobie słyszałem.

– A ja o tobie – odrzekłam, co było prawdą, chociaż wolałam zawsze słuchać o synu Edith niż o jej wnuku, tym, który tak rozczarował swojego rodzica.

– Wyobrażam sobie. – Haavard się uśmiechnął. – Jestem czarną owcą w rodzinie, prawda, babciu?

– Oczywiście – zachichotała Edith z zachwytem. – Przynieś sobie lepiej krzesło.

– Mam na dzisiaj plany, ale mogę chwilę posiedzieć – powiedział Haavard, po czym faktycznie poszedł po krzesło, ja zaś ruszyłam po dodatkowy kieliszek

i następną butelkę wina.

Niespodziewany gość przełożył w końcu planowane spotkanie. Edith zasnęła w swoim leżaku, nam natomiast nie chciało się spać, gadaliśmy bez końca, a słońce zachodziło między pniami wysokich drzew.

I tak się to wszystko zaczęło, kiedyś, przed wieloma laty.

Nie zamierzałam szukać sobie chłopaka, na pewno nie wtedy.

Ale z kimś trzeba sobie prędzej czy później ułożyć życie. Haavard był inteligentny, studiował medycynę, nie miał jednak zamiaru wyjeżdżać na misje typu Lekarze bez Granic, całe szczęście, bo tego bym nie zniosła. Działał na mnie uspokajająco, lubiłam kłaść wieczorami głowę na jego ramieniu, przytulać się do niego.

Do tego doskonale radził sobie z maluchami – zwróciłam na to uwagę, obserwując go w towarzystwie dzieciaków jego znajomych. Ponadto był piękny jak grecki posąg, lecz miał jednocześnie sporo nonszalanckiego uroku, uwielbiałam jego opadającą na czoło grzywkę i kilkudniowy zarost.

Lubił się ze mną obchodzić w łóżku nieco szorstko, nigdy wcześniej tego nie doświadczyłam. Zdarzało się, że jeszcze następnego dnia odczuwałam skutki naszych miłosnych uniesień, byłam trochę obolała i bardzo mi się to podobało. Siedziałam w czytelni i myślałam sobie, że mam słodką tajemnicę. Wchodziłam do toalety, opuszczałam spodnie lub unosiłam bluzę, oglądałam zadrapania czy sińce. Zupełnie jakbym miała nową skórę. Nowe ciało.

Zdawało mi się, że wszyscy to po mnie widzą, rozumieją, że jestem kimś innym. Że coś się wydarzyło.

Gdy wchodzę do domu, Haavard siedzi w fotelu z komórką i ogląda wieczorne wiadomości.

– Spójrz na tę babkę – mówi, wskazując ekran skinieniem głowy. Widać na nim komendantkę policji Cathrine Monrad w pełnym umundurowaniu, udzielającą wywiadu.

Kobieta jest zdecydowana, ma wizję i jasno określone zasady, których zawsze przestrzega, nie daje się nikomu wodzić za nos. Media ją kochają. Munch – już nie tak bardzo.

– Jest cholernie seksowna w tym mundurze... – stwierdza Haavard.

Jego twarz, jak zawsze w podobnych sytuacjach, rozciąga się w lubieżnym uśmiechu.

– *Oh, come on* – rzucam. – Co za seksistowski komentarz.

Ale nie sposób odmówić mu racji, komendantka naprawdę świetnie się prezentuje, jest bardzo elegancka w błękitnej koszuli z krawatem i złocistymi naramiennikami. Ma długie jasne włosy i perfekcyjny makijaż.

Trudno dostrzec w tym jakąś logikę, mówi, patrząc prosto w obiektyw kamery.

Komentuje rządowy projekt kampanii walki ze zorganizowaną przestępczością we wschodnich dzielnicach miasta, polegający na utworzeniu zamkniętych ośrodków dla trudnej młodzieży. Jest to jeden z bardziej radykalnych pomysłów Antona Muncha w ostatnim czasie, zaraz obok otwarcia w Kabulu domu dziecka dla niepełnoletnich sierot czekających na decyzję o przyznaniu im azylu.

Wielu krytyków tej koncepcji przyrównuje ją do skandalicznego pomysłu prezydenta Stanów Zjednoczonych, który chce oddzielać nielegalnych imigrantów od ich dzieci, ku konsternacji i wbrew protestom całego świata.

Minister Munch nie komentuje faktu, że nawet podległa mu komendantka policji wyraża sceptycyzm, podsumowuje dziennikarz.

– Dobrze, że ktoś głośno o tym mówi. Przecież to skrajna niesprawiedliwość – oświadcza Haavard.

Mój mąż nie wyrósł jeszcze z dziecinnej wiary w to, że życie jest sprawiedliwe.

– Sprawiedliwość nie istnieje, Haavardzie – oświadczam. – Najwyższy czas, byś to zrozumiał. Zobaczymy, jak ta wypowiedź wpłynie na popularność Monrad w ministerstwie. Ale zgadzam się, że to skandal. Systemowe maltretowanie dzieci przez aparat państwowy.

## 11 – Roger

To jakiś surrealizm, że już drugi raz siedzę przed policjantami, zeznając w sprawie morderstwa na terenie mojego miejsca pracy.

– Wiemy, że Mukhtar Ahmad opuścił oddział pediatryczny o dwudziestej pierwszej trzydzieści pięć, oświadczając, że idzie się pomodlić do kaplicy. Dojście tam zajmuje pięć minut, pod warunkiem że idzie się szybkim krokiem – podsumowuje funkcjonariuszka.

Ton jej głosu jest chłodny i profesjonalny.

Po raz kolejny zaczęli od poinformowania mnie o moich prawach. Następnie poprosili, bym opowiedział, jak wyglądał mój cały wieczór, co też odczekałem. Nikt mi nie przerywał.

Teraz jesteśmy najwyraźniej w fazie, w której każdy najmniejszy fragment mojej wypowiedzi będzie przez nich dokładnie analizowany.

– Zeznał pan wcześniej, że przebywał pan na oddziale do zakończenia dyżuru o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści. Szpitalne systemy wykazują jednak, że użył pan swojej karty, by wejść na oddział o dwudziestej drugiej dwadzieścia trzy. A to by z kolei sugerowało, że pomiędzy godziną dwudziestą drugą a dwudziestą drugą trzydzieści mógł pan przebywać gdzieś indziej.

– Wyszedłem, ale tylko na chwilę – mówię, mój głos drży, podobnie jak dłonie. Nie przyszło mi do głowy, że będą wszystko tak dokładnie sprawdzać.

– A kiedy pan dokładnie wyszedł?

– Chyba koło dwudziestej drugiej pięć – próbuję sobie przypomnieć. – Zerknąłem na zegarek i stwierdziłem, że do końca dyżuru zostało mi mniej niż pół godziny. W takiej sytuacji człowiek czuje się trochę bardziej uprawniony, by sobie wyjść. Musiałem dorwać tego faceta. Jego syn leżał u nas w stanie śmierci mózgu, to była jego wina. Chciałem coś zrobić. Porozmawiać z nim, sprawić, by wrócił na oddział, poczuł się za to odpowiedzialny. Poza tym i tak prędzej czy później musiałby się odnieść do kwestii dawstwa organów. Chciałem go na to przygotować, zwiększyć szanse, że się zgodzi. Gdyby inne dziecko dostało

narządy tego biednego chłopca, byłby przynajmniej w tej tragedii jakiś sens.

Policjantka notuje moją odpowiedź, nie komentując jej ani słowem.

– Ale to nie tak, że poszedłem za nim, by go zastrzelić – dodaję, nagle ogarnia mnie desperacja. – Tak naprawdę to nigdy w życiu nie trzymałem nawet broni w rękach, słowo honoru. Zobaczyłem, jak facet wchodzi do kaplicy, odwróciłem się na pięcie i poszedłem z powrotem, pomyślałem sobie, że później z nim porozmawiam. Cóż, nie przepadam za islamem, ale doszedłem do wniosku, że nie będę się z nim konfrontował w czasie jego modlitwy.

– Która była godzina, gdy Ahmad wszedł do kaplicy, a pan zawrócił?

– Nie wiem. Może dwudziesta druga dziesięć?

– A mimo to skorzystał pan z karty dostępu dopiero o dwudziestej drugiej dwadzieścia trzy. Jeśli pana zeznania są zgodne z prawdą, oznacza to, że przejście spod kaplicy z powrotem na oddział zajęło panu trzynaście minut, podczas gdy pokonanie tej trasy zwykłym krokiem trwa krócej niż połowa tego czasu. Chyba że jednak nie pozwolił pan wejść Ahmadowi samemu do kaplicy i ruszył pan tam za nim? Istnieje taka możliwość?

Muszę zachować spokój.

Mimo że czuję, iż coś rozrywa mnie od środka.

– No nie, kurwa – mówię. – Podejrzewacie mnie czy jak? W takim razie możecie to powiedzieć wprost. Odpowiadałem już wcześniej na te wszystkie pytania. Czemu nadal mnie dręczycie?

– Rozmawiamy z wieloma świadkami – ciągnie policjantka, nadal tak samo spokojnie.

– Ale to mnie podejrzewacie, co? Złożyłem już w tej sprawie szczegółowe zeznania, nie mam nic więcej do dodania.

– Okej, może zmienimy temat – mówi starszy funkcjonariusz. – Czy mógłby nam pan opowiedzieć o swoich poglądach na imigrację z krajów muzułmańskich?

– No cóż... – zaczynam. – Są one dość krytyczne, podobnie jak u większości mieszkańców Norwegii. A od kiedy to jest przestępstwo?

Policjant mierzy mnie wzrokiem, nadal tak samo spokojny.

– Czy komentował pan artykuły na stronach [rights.no](http://rights.no) i [document.no](http://document.no),

posługując się nickiem „miketyson66”?

– Owszem, ale to nie ma żadnego związku z tą sprawą.

Funkcjonariusz zagląda w swoje papiery, zaczyna czytać.

– Zobaczymy, co takiego napisał „miketyson66” czternastego listopada dwa tysiące piętnastego roku, chwilę po atakach terrorystycznych w Paryżu: „Politycznie poprawne elity i mainstreamowe media ukrywają przed nami prawdę. Muzułmanie i Europejczycy nigdy nie będą w stanie żyć ze sobą w pokoju. Jeśli nic się w tej sprawie nie zrobi, jeśli religijni fanatycy i ich wyznawcy nie zostaną deportowani do swoich rodzinnych krajów, przyjdzie w końcu dzień, w którym Europa weźmie sprawy w swoje ręce”.

Kręcę gorączkowo głową.

– Powariowaliście?

– Co ciekawe, posługuje się pan w internecie także innym nickiem – ciągnie policjant. – A mianowicie „grorudgay66”. „Grorudgay66” zwraca się następującymi słowami na stronie gaydar.no do osoby występującej pod aliasem „babylonqueer”: „Jesteś z Iraku? Uwielbiam, gdy pomiatają mną mali arabscy chłopcy...”. Co to właściwie oznacza?

– To już przekracza wszelkie granice – oświadczam, podnosząc się z krzesła.

– Proszę siadać – mówi policjantka, zdaje się, że ma na imię Elin.

Opadam z powrotem na krzesło, ale głos mi nadal nieco drży.

– Czy wy w ogóle macie świadomość, co się wokół was dzieje? Norweskie dzieci są prześladowane w szkole za kanapki z szynką. Muzułmańscy uczniowie nie szanują norweskich dorosłych, nawet policji. Zwyczajni ludzie boją się spacerować za rękę z partnerem. W centrum Oslo. Rysownicy, którzy naszkicowali zupełnie niewinne karykatury, muszą się teraz obawiać o własne życie. A wy się przyczepiliście do mnie? Przecież to żałosne. Ja nikogo nie zabiłem! Rany boskie, przecież jestem pielęgniarzem! Ratuję ludziom życie!

## 12 – Haavard

O zebraniu personelu poinformowano nas z zaledwie dwugodzinnym wyprzedzeniem. Siedzimy teraz w sali konferencyjnej, każdy z obecnych był również na nocnym dyżurze, oprócz Askildsen, który pojawił się dopiero pod jego koniec.

– Pomyślałem, że was tu zaproszę, bo przyda się nam wszystkim małe podsumowanie – oświadcza Askildsen, który wydaje się trochę zażenowany. – Pozwólcie, że najpierw opowiem, jak wyglądają działania ze strony policji, przynajmniej te, o których jestem informowany. Bezpośrednio po zabójstwie zostało ustanowione tymczasowe centrum dowodzenia, do którego każdy z was chyba zdążył już zajrzeć. Zostało ono teraz przeniesione na komendę policji. Sztab składa się z funkcjonariuszy wydziału dochodzeniowo-śledczego, pracowników technicznych oraz operacyjnych. Wszyscy oni starają się zbadać okoliczności zabójstwa, zebrać informacje na temat ofiary, odnaleźć świadków i ustalić, co dokładnie zaszło tamtej nocy. Celem policji jest odtworzenie ruchów wszystkich obecnych na terenie szpitala w ten wieczór, ustalenie, co kto dokładnie robił w czasie, gdy dokonano zabójstwa. Z tego, co wiem, trwają dyskusje nad zorganizowaniem czegoś w rodzaju wizji lokalnej. Możecie zostać w związku z tym poproszeni o pomoc.

Ludzie kiwają głowami, ale nic nie mówią. Sam gapię się na korony drzew za oknami budynku administracji szpitala.

Jako dziecko myślałem, że Ullevål jest królewskim zamkiem.

Rodzice się ze mnie śmiali, ale mnie zawsze cieszył widok tych brunatnych ceglanych gmachów, gdy przejeżdżaliśmy samochodem obok nich.

Potem dowiedziałem się, że wieża, piękne drzewa, rośliny i ławki – to wszystko zostało zaprojektowane w celu utworzenia czegoś w rodzaju bariery ochronnej przeciwko zarazkom. W dniach poprzedzających otwarcie szpitala w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym w mieście szalała epidemia dyfterytu i szkarlatyny, po zaledwie czterech dobach od rozpoczęcia działalności przybytek był wypełniony pacjentami, podobno na jednego lekarza



przypadały aż dziewięćdziesiąt dwa łóżka.

O tej chroniącej przed epidemią barierze opowiedziała mi babcia Edith, która zawsze pragnęła zostać architektką, dzięki niej ja też zacząłem marzyć o projektowaniu pięknych gmachów, takich jak Nordan i Schirmer zaprojektowali tu w Ullevål.

Ojciec długo wierzył, że pójdę w jego ślady, będę wspinał się po usłanych paragrafami stromych ścieżkach ku wyżynom kariery prawniczej. Lecz po tym, jak pękł mi wyrostek robaczkowy, musiałem przejść operację i o mało nie umarłem, porzuciłem myśli o architekturze i prawie, zacząłem natomiast śnić o medycynie. Chciałem robić coś pożytecznego.

Od tamtego czasu ojciec dawał mi do zrozumienia, że zawiodłem go tym swoim wyborem. Rzecz jasna nie powiedział tego nigdy wprost, ale nie trzeba było wybitnej inteligencji, by rozszyfrować jego kąśliwe uwagi i uszczypliwości.

– Jakies pytania? – zwraca się do nas Askildsen na zakończenie swojego wystąpienia.

– A co, jeśli to się powtórzy? I co się teraz stanie z nami? Możemy liczyć na jakąś pomoc psychologiczną? Przecież w naszym miejscu pracy doszło do zabójstwa – mówi Roger, który wydaje się dziś nienaturalnie pobudzony i zestresowany.

– Nie wiem – odpowiada Askildsen. – Ale spróbuję to ustalić.

– To tylko pokazuje, jak fatalnie mają się sprawy w tym mieście.

Muszę się powstrzymać, by nie zareagować na to demonstracyjnym westchnieniem. Roger to jedyna znana mi osoba, która naprawdę czyta wszystkie te prawicowe bzdury na Resett i Human Rights Service i cały czas marudzi o dzieciakach z Groruddalen prześladowanych za kanapki z salami.

– Daj już spokój – mówi Sabija, posyłając Rogerowi pełne irytacji spojrzenie. – Sam przecież najchętniej zamordowałbyś tego faceta, jak zresztą my wszyscy.

Zapada cisza.

– Wiadomo, czy ruszy osobne śledztwo w sprawie znęcania się nad Fajsalem Ahmadem? – pyta Sabija, próbując chyba odwrócić uwagę słuchaczy od swoich ostatnich słów. Najwyraźniej wciąż jest roztrzęsiona, w innym wypadku nie odpowiedziałaby Rogerowi aż tak ostro.

– Na to wygląda – mówi Askildsen.

– A co z matką chłopca? Zostanie pociągnięta do odpowiedzialności za współudział? – pytam, głównie po to, by coś powiedzieć.

– Owszem, zdaje się, że policjanci ją przesłuchują, wnioskuje to z pytań, które mi zadają. Cała rodzina jest obecnie sprawdzana.

– Jak my się mamy po czymś takim czuć bezpieczni w miejscu pracy? – odzywa się Bente, powtarzając jak echo obawy Rogera. – Przecież to się może powtórzyć, i to w każdej chwili.

– Cóż... – zaczyna Askildsen. – Myślę, że nie ma się co niepokoić.

– Myślisz? No dobrze – rzuca Bente, kręcąc głową. – To wielka pociecha.

– Jak już mówiłem, wygląda to na jednostkowy przypadek, zdaje się, że chodziło o środowisko, w jakim obracał się ten facet. Mimo to proszę wszystkich, byście się zastanowili, czy możecie jakoś pomóc, może coś widzieliście albo słyszeliście. Jeżeli przychodzi wam do głowy cokolwiek, co waszym zdaniem mogłoby być przydatne – dajcie znać. Lepiej opowiedzieć o jednej rzeczy za dużo niż o jednej za mało. Niech policja ocenia, co jest istotne, a co nie. I pamiętajcie, że rozwiązanie tej sprawy leży w naszym interesie.

Po zakończeniu spotkania robię rundkę po terenie szpitala.

Już od dziesięciu lat szlifuję wyłożone linoleum podłogi tego przybytku i dawno doszedłem do wniosku, że myliłem się, patrząc jako pięciolatek na gmachy przy Kirkeveien.

Ullevål to żaden zamek.

Wewnątrz tych wielce szacownych murów wszystko jest zniszczone i brzydkie.

Nowsze budynki wyglądają w środku całkiem w porządku, za to z zewnątrz prezentują się fatalnie, zupełnie jakby ktoś zebrał najtańsze materiały, jakie znalazł na rynku, i sklecił z nich coś na chybcika. Nasz kompleks najbardziej chyba przypomina remontowane lotnisko. Wszędzie jest pełno zabudowań, mniejszych, większych, starych i nowych.

Do tego jeszcze mnóstwo ludzi.

Zdaje się, że mamy niemal dziesięć tysięcy pracowników, jesteśmy największym szpitalem w północnej Europie, tworzymy własną, zamkniętą

społeczność. Środowisko pracy nie jest zbyt przyjazne, toczą się w nim ciągłe walki o prestiż, o pozycję czy też o kwestie tak banalne, jak umowy na czas nieokreślony.

Co najmniej jedna trzecia lekarzy to chorobliwie ambitni durnie, jedna trzecia przebywa na zwolnieniu, doprowadzona do załamania przez tych pierwszych, a oprócz tego jesteśmy jeszcze my – usytuowani gdzieś pomiędzy tymi grupami, zaciskający zęby, dający z siebie wszystko i od czasu do czasu obgadujący się nawzajem za plecami.

W drodze powrotnej do gabinetu sprawdzam w telefonie internetowe wydania gazet. Na stronie „VG”, pod wielkim nagłówkiem *Gangsterskie porachunki*, widnieje zdjęcie zamordowanego.

Pochodzący z Grünerløkka Mukhtar Ahmad był najwyraźniej na przełomie wieków prominentną figurą gangsterskiego półświatka Oslo. Anonimowe źródła, na które powołuje się „VG”, twierdzą, że wielu ludzi mogło mieć motyw, by pozbawić go życia. Po zbadaniu specyfiki pocisków i ich kalibru policja doszła do wniosku, że narzędzie zbrodni, dotychczas wciąż nieodnalezione, to broń dość powszechna w środowisku, w którym obracała się ofiara. Zakłada się, że zamontowano na niej tłumik.

Internetowe wydanie gazety informuje również, że policja przeprowadza obecnie kontrole u wszystkich legalnych dystrybutorów broni, próbując jednocześnie powiązać narzędzie zbrodni z kimś z najbliższego otoczenia ofiary bądź osobami figurującymi w krajowym rejestrze karnym.

O nabojach grzybkujących nie wspomniano jak na razie ani słowem, media chyba jeszcze tego nie wyłapały.

Przed moimi oczami wciąż odtwarzane jest coś w rodzaju filmu.

Teraz film ten zatrzymuje się na jednej określonej klatce i tam zamiera.

Mukhtar Ahmad nie przyniósł swojego synka na izbę przyjęć.

Przyszedł z nim prosto do nas.

Wiedział, którędy ma iść. Musiał być już wcześniej na oddziale pediatrycznym.

Powiniennem jeszcze popracować nad artykułem o białaczce u dzieci. Mamy go

napisać we troje, ale postanowiono, że to moje nazwisko będzie widniało jako pierwsze. W zeszłym tygodniu dwoje moich kolegów przekazało mi uwagi do pierwszej wersji, teraz czekają, aż prześlę im poprawiony tekst, sprawa jest dość pilna.

Gdy siadam wreszcie za biurkiem, nie jestem jednak w stanie nawet otworzyć dokumentu.

Sięgam po kartę choroby chłopca i dokładnie ją studiuję. Następnie wpisuję jego nazwisko w naszą bazę danych.

Bingo. Cztery wyniki. Wchodzę w pierwszy wpis, czytam. Otwieram drugi, czytam.

Dopiero w trzecim znajduję coś, co sprawia, że pochylam się na krześle i marszczę czoło. Następnie sięgam po papierową kartę choroby, porównuję informacje.

No oczywiście, kurwa mać.

„Fajsal Ahmad (ur. 2014), 09.04.2017 – krwiak podtwardówkowy lewostronny powstały w wyniku kilku niezależnych krwawień. Złamanie wieloodłamowe kości potylicznej po lewej stronie. Dodatkowo liczne złamania bez przemieszczenia tylnej części od 2. do 5. żebra po stronie prawej. Powstałe w różnym czasie podbiegnięcia krwawe na klatce piersiowej i plecach”.

Było tu nie tylko jego rodzeństwo.

Na oddziale przebywał też sam chłopiec, przed zaledwie trzynastoma miesiącami.

Czytam o nim i o jego siostrze, o wszystkich innych rodzinach, które regularnie do nas wracają.

Czytam o chłopcu, który trafił do nas z zadrapaniami, ukłuciami i otarciami po tym, jak ojciec zmusił go, by przejechał na rowerze przez kolczaste zarośla.

O dzieciach z krwawiącymi, głębokimi ranami wzdłuż kręgosłupa, powstałymi na skutek drapania monetą, zabiegu, który miał z nich rzekomo wypędzić złe duchy.

O dzieciach z ranami za uszami po tym, jak ktoś przytrzymywał je, zmuszając do seksu oralnego, albo urazami w jamie ustnej po przymusowym karmieniu.

O dzieciach z wieloma podobnymi do siebie urazami zadanymi kijem

bejsbolowym.

O dzieciach z oparzeniami na pupie powstałymi na skutek sadzania ich w misce z wrzątkiem.

Czytam i czytam, aż w końcu robi mi się niedobrze.

Coraz lepiej rozumiem niezachwiane przekonanie Clary, że jej projekt ustawy to dobry pomysł. Do tej pory odnosiłem się do niego sceptycznie, sądziłem, że intencje są dobre, ale sama ustawa zbyt drastycznie naruszałaby zasady administrowania danymi osobowymi. Ojciec całe życie wbijał mi do głowy, że ochrona prywatności i wolność jednostki to najcenniejsze zdobycze naszego społeczeństwa.

Sprawy, o których teraz czytam, są zazwyczaj zgłaszane policji i urzędowi ochrony praw dziecka, które powinny działać szybko i skutecznie. Mimo to wszyscy wiedzą, że w naszym kraju żyją recydywiści, że w systemie istnieje jakaś dziura albo nawet kilka różnych dziur. Żyjemy z tą świadomością, bo sądzimy, że nic się nie da zrobić. Ale może mamy wybór, może jestem winien Fajsalowi Ahmadowi, by spróbować to jakoś naprawić.

Wyłączając komputer, uświadamiam sobie, co powinienem zrobić, jakie kroki należy podjąć. Muszę sprawić, by ludzie dostrzegli problem.

## 13 – Clara

Stoję na tarasie na piętrze i podziwiam widok.

W oddali rozciąga się Oslofjorden, jego wody są mętne i szare, zlewają się niemal z niebem.

Nieco bliżej leży miasto, wygląda stąd niczym szeroki ciemnoszary pas nakrapiany punkcikami budynków.

Ten widok zaparł mi dech w piersi, gdy przyjechałam tu pierwszy raz – wtedy jeszcze dom należał do rodziców Haavarda. A teraz sama w nim mieszkam, przeżyłam tu już niemal dziesięć lat. Wciąż najbardziej zachwyca mnie fakt, że widać stąd morze, dzięki temu czuję się trochę jak w gospodarstwie w moich rodzinnych stronach, skąd miałam rozległy widok na fiord.

Kilka lat zajęło mi zrozumienie, że dla ludzi takich jak rodzina Haavarda zaniedbany ogród jest oznaką dobrego smaku. Przystrzyżone przy linijce żywopłoty niczym z Hollywood to prostactwo i kropka. Jeśli faktycznie się z tym zgodzić, to teren wokół naszego domu jest wręcz modelowy, bo nikt nigdy nie ma czasu się nim zająć.

Rośliny wieloletnie w naszym ogrodzie na szczęście dają sobie radę bez żadnej pomocy. Właśnie zakwitły pierwsze bzy, w tym roku rekordowo wcześnie.

W czerwcu dołączą do nich piwonie.

Oba te gatunki przeżyły już u nas jakieś pięć czy sześć sezonów. Świetnie radzą sobie też stare jabłonie o powykręcanych konarach.

Doskonałe położenie, prestiżowe osiedle willowe na Vinderen, brzmiałaby treść ogłoszenia, gdybyśmy kiedykolwiek podjęli decyzję o sprzedaży domu. Blisko centrum, lecz jednocześnie na uboczu, przy Haakon den Godes vei.

Podjazd osłania wysoki żywopłot, domy pobudowano tu tak, że ludzie nie zagląдают sobie w okna. Można wychodzić i wracać, kiedy się chce, bez konieczności poddawania się kontroli wścibskich sąsiadów.

Odwracam się i opuszczam taras. Sypialnia to mój ulubiony pokój w całym domu, są tu wysokie sufity i sztukaterie, jak zresztą w każdym pomieszczeniu. Stare okna. Pomalowana na biało podłoga. Białe, lekkie firanki, wiklinowy fotel, dębowa komoda i mnóstwo przestrzeni.

Przestronnie, schludnie i czysto – czyli tak, jak lubię.

Po jednej stronie mojej garderoby wiszą ubrania do pracy. Dziesięć jedwabnych bluzek, wszystkie w stonowanych barwach. Cztery czy pięć par stalowych i granatowych spodni. Dwie czy trzy spódnice.

Dwa razy w roku chadzam do sklepów, w których zawsze znajduję to, co mi się podoba. Przeważnie decyduję się na Hugo Bossa, Donnę Karan albo butiki na końcu Hegdehaugsveien. Massimo Dutti. Filippa K. Dyskretna elegancja i jakość. Zawsze wybieram jednokolorowe, klasyczne ubrania, często lniane, jedwabne lub bawełniane. Unikam wizualnego chaosu i krzykliwości.

Lubię prostotę. Dzięki temu nie tracę na zakupy zbyt wiele czasu i energii.

Dziś decyduję się na kostium od Filippy K, spodnie i żakiet z granatowego lnu, do których dobieram biały jedwabny top.

Układam włosy, maluję się, skrapiam drogimi perfumami od teściowej, zakupionymi w jakiejś perfumerii w Grasse czy innym tego typu miejscu.

Na pierwszą rozmowę o pracę w ministerstwie przed piętnastoma laty włożyłam koszmarnie drogi, elegancki kostium kupiony w Paleet za ostatnie pieniądze z kredytu studenckiego. Przeważnie chodziłam wtedy po kampusie w dzinsach i swetrach, więc tego dnia czułam się, jakbym była za kogoś przebrana.

Mimo to włożyłam ten sam kostium pierwszego dnia pracy.

Okazało się, że inni młodzi urzędnicy nosili się mniej więcej tak jak ja na Blindern. Dzinsy, swetry, może jakaś bluzka czy koszula, od biedy marynarka. Ale poza tym *casual, casual, casual*.

Drugiego dnia chciałam się do nich upodobnić, lecz w ostatniej chwili zmieniłam zdanie i wybrałam czarną spódnice oraz granatowy cienki sweterek, na który narzuciłam żakiet.

Ubieraj się jak człowiek sukcesu, bądź człowiekiem sukcesu.

W ten sposób buduje się autorytet – pozostałam wierna tej zasadzie. Po domu chodzę wyłącznie w dzinsach, T-shircie i bluzie z kapturem.

\*

Wkraczam do recepcji o ósmej, rozkłada się tam właśnie ekipa TV2. Zbliżam się do drzwi, wyciągam kartę, idę do środka, czekam chwilę, aż rozsunie się druga para wrót, wychodzę ze służby i ruszam do windy.

Wysiada z niej właśnie Munch w towarzystwie doradcy politycznego. Minister unosi wzrok, uśmiecha się do mnie, pozdrawiam go skinieniem głowy. To pewnie na niego czeka TV2.

Media interesują się nami teraz w dużo większym stopniu, niż gdy zaczynałam tu pracę.

Dziennikarze bywają uciążliwi, patrzą nam na ręce, czekają na błędy czy potknięcia. Wszystko toczy się w dużo szybszym tempie, i to przez całą dobę. Czasem jest tak, że człowiek przygotowuje się do dużej konferencji prasowej, dopiero pędząc korytarzem na spotkanie z reporterami.

Wsiadam do windy, z której właśnie wysiadł Munch. Jadę na górę, na ósmym piętrze znów wyciągam kartę, wchodzę do mojego biura, wydaję laptopa z torby, podłączam go do stacji dokującej. Komputer się uruchamia, a ja idę po kawę, siadam, przeglądam internetowe wydania gazet, zatrzymuję się nad poszczególnymi artykułami.

I nagle on staje w moich drzwiach. Minister we własnej osobie.

– Siedź sobie – mówi, widząc, że zaczynam podnosić się z krzesła. – Masz minutę?

– Tak – odpowiadam, wskazując skinieniem głowy miejsce dla interesantów, spoglądam na niego wyczekująco. Munch lubi przejmować inicjatywę, każdy najmniejszy problem musi zostać jego zdaniem rozwiązany, stara się być widoczny. Zaskarbia tym sobie sympatię mediów. Przynajmniej na razie. Nie umie za to wyznaczać priorytetów i często mizdrzy się do dziennikarzy, byle tylko łapać u nich punkty. Takie zachowania bywają z czasem demaskowane. I człowiek odchodzi w niepamięć. Po tym, jak Munch ukręcił łeb mojemu projektowi, mam szczerą nadzieję, że dojdzie do tego szybko.

– Cóż, Claro, nie mieliśmy okazji porozmawiać jak należy o twoim projekcie ustawy. Jak wiesz, byłem przekonany, że uda mi się go przepchnąć – mówi minister, splata dłonie, strzela palcami, wydając przy tym dźwięk, którego nienawidzę. Nosi cienką obrączkę. Nigdy nie poznałam jego żony, widziałam ją



jedynie na zdjęciach z pałacowych bankietów, których Munch rzekomo nie znosi. – I to pomimo faktu, że ta potencjalna ustawa nie była zbyt popularna na naszych korytarzach. Twój bezpośredni przełożeni przychodzili do mnie i protestowali. Ale ty pozostałaś niewzruszona. Muszę przyznać, że zazwyczaj się tak u nas nie postępuje.

I w tym momencie to do mnie dociera.

Munch przyszedł, by mi powiedzieć, że zostanę zwolniona. Albo przeniesiona. Do jakiejś nudnej, trzeciorzędnej sekcji, w której zniknę, i nie będzie mnie już musiał oglądać.

Oczywiście to nie on będzie za to oficjalnie odpowiadał, pewnie dojdzie do tego na drodze jakiejś podejrzanego reorganizacji, która dotyka tylko jedną albo dwie osoby. Ale Munch już wie, że to się stanie, wydał na to pewnie zgodę w jakiś mniej czy bardziej zawołany sposób, robi to, by uspokoić wszystkich, których mój projekt wzburzył. Przynajmniej ma na tyle przyzwoitości, by powiedzieć mi o tym osobiście – a to znaczy, że naprawdę muszą go dręczyć wyrzuty sumienia.

– Nie najlepszą macie tu teraz atmosferę, co? – mówi, sondując mnie wzrokiem. – To znak, że nie znajdujesz się we właściwym miejscu, Claro. Jesteś zbyt dobra, by się na to godzić.

– Aha – mówię, poprawiam się na krześle, najchętniej bym go poprosiła, żeby sobie już poszedł, nie mam siły słuchać, jak tu siedzi i mi słodzi, przedstawia wyrzucenie z pracy jako niezwykłą okazję i możliwość rozwoju – jak na rasowego polityka przystało.

– Najwyższy czas, byś ruszyła dalej. Rozumiesz, co próbuję powiedzieć?

– Chyba tak – bąkam, skubiąc nerwowo podkładkę na moim biurku, starość, który dostałam kiedyś z agencji Difi. Pewnie przeniosą mnie do administracji, będę siedzieć w jakiejś zakurzonej klitce i planować im spotkania.

– No i co ty o tym myślisz? – pyta Munch.

– Zupełnie jakbym miała w tej sprawie coś do powiedzenia – odpowiadam, gapiąc się przez okno na najwyższe piętra dawnej siedziby prezesa Rady Ministrów.

– He, he, chyba przeceniasz moje możliwości. Ale oczywiście do niczego cię nie zmuszam.

– Do czego niby miałbyś mnie zmuszać? – pytam wprost, bo chcę się go w końcu pozbyć z mojego biura, mam gdzieś, czy to minister, czy nie. Siedzi przede mną z prawą stopą założoną nonszalancko na lewe kolano, kiwa brązowym skórzanym butem. Słyszałam kiedyś, że był w swoim czasie obiecującym piłkarzem.

– Woll od nas odchodzi – mówi w końcu Munch, a ton jego głosu sugeruje, że przekazanie mi tak zaskakującej wiadomości wiąże się dla niego z dużą satysfakcją.

– O rany – rzucam, bo naprawdę się tego nie spodziewałam. – A dokąd się wybiera?

– Do finansów.

– Aha – odpowiadam.

To właśnie tam, do Ministerstwa Finansów odchodzą najzdolniejsi z nas, chyba że jakiś łowca głów zdąży ich wcześniej zwerbować na dyrektorskie stanowisko w prywatnej firmie. Przeobrażają się tam błyskawicznie w przybocznych rycerzy ministra finansów, asystujących mu w walce o niedopuszczenie nikogo do worka z pieniędzmi. Za każdym razem jest to proces tak samo fascynujący.

– No tak – mówi Munch i wzdycha. – To oczywiście szkoda. Ale gdy tylko dotarła do mnie ta wiadomość, pomyślałem sobie, że moglibyśmy spróbować czegoś z zupełnie innej beczki... jeśli rozumiesz, co mam na myśli?

– Właściwie to nie.

– Cóż... zastanawiam się, czy chciałabyś może zostać moim nowym sekretarzem stanu?

– Ja? – pytam. – Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie – odpowiada Munch, śmiejąc się krótko. – Jesteś bardzo kompetentnym pracownikiem, Claro. Do tego jeszcze kompetentną kobietą... Ale nie, to nie dlatego – dodaje rozbrajającym tonem, zapewne widząc wyraz mojej twarzy. – To tylko jeden z twoich wielu plusów. Chodzi mi przede wszystkim o to coś, czego w tej pracy potrzeba. Ja potrafię dostrzec takie rzeczy. Masz wiedzę i doświadczenie niezbędne dla dobrego urzędnika. Lecz jednocześnie widzę u ciebie wolę zmieniania świata i zaciętość, jesteś inna niż wszyscy, o coś ci chodzi. Co ty na to, myślisz, że mogłoby cię to zainteresować?

Widzę, że jest pewien mojej pozytywnej odpowiedzi, mimo że przyszedł do mnie z tak zaskakującym pytaniem.

Biurokratka sekretarzem stanu. Takie rzeczy czasem się dzieją. Tyle że niezbyt często.

– Może chciałabyś to przedyskutować z rodziną? Jeśli tak, to oczywiście nie ma problemu. Ale mam nadzieję, że się nad tym poważnie zastanowisz.

– Mogę się zastanowić, owszem...

– Świetnie! Tylko nie myśl zbyt długo. Bo Woll już niebawem od nas odejdzie.

– ...ale nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – kończę, widząc, jak jego uśmiech nieco blednie.

Zostać sekretarzem stanu? Pracować pod Munchem? Prędzej piekło zamarznie.

## 14 – Haavard

Byłem przekonany, że nigdy w życiu się tego nie dopuszczę.

A teraz wydaje mi się to tak naturalne. Tak właściwe.

Wsiadam z kolejki na Frognersteteren i wchodzę na ścieżkę biegnącą wzdłuż nasypu. To część naszej stałej trasy na Stravie. Trzeba zejść kawałek w dół i oddalić się od torów. Na elektronicznej mapie widzę szczyt pagórka, gdzie skrzyżują się nasze ścieżki. Siadam na kamieniu u stóp wzniesienia, zerkam na komórkę.

Jej kolejka ma przyjechać za trzy minuty.

Następne trzy minuty miną, zanim wysiądzie z wagonu i tu dotrze.

Przybędzie tu zatem za sześć minut. A potem upłynie kolejne sześćdziesiąt sekund, zjedziemy z tej ścieżki, wkroczymy na nieco węższą dróżkę, o której wiemy tylko my dwoje.

Strava to genialne, niezawodne medium do komunikacji.

Jeśli nawet Clara – co zresztą mało prawdopodobne – znalazłaby w aplikacji konto DOCTORH, nie byłaby w stanie połączyć go z MRSPLENDID. Rzecz jasna nie dodałem jej do znajomych. Mimo to zdarza się, że składamy sobie gratulacje, naciskamy ikonkę uniesionego kciuka pod swoimi postami albo też piszemy do nich krótkie komentarze. Posługujemy się przy tym oczywiście pozornie niewinnym, nieczytelnym dla nikogo poza nami kodem.

Genialne jest również to, że Clara nie zna tożsamości MRSPLENDID ani DOCTORH. Oni nigdy do siebie nie dzwonią. Na mój numer nie przychodzą dziwne esemesy podpisane fałszywym męskim imieniem, nie da się zdemaskować żadnego spisku. Nie dodaliśmy się nawet do znajomych na Facebooku, ale rozważamy taką możliwość, bo w końcu się znamy, więc to może budzić podejrzenia.

Wszystkie powyższe zasady służą przede wszystkim temu, by to ją chronić, ale trzymam się ich także przez wzgląd na siebie.

Zerkam niecierpliwie w stronę torów, nie mogę się doczekać, by ją zobaczyć

i wziąć w ramiona. I wreszcie móc z nią pomówić o tym, co się wydarzyło. Te chwile, gdy już po wszystkim leżymy obok siebie i rozmawiamy, są zazwyczaj najlepsze.

Zacząło się blisko rok temu, powoli i ostrożnie, w odróżnieniu od innych przygód, jakie miałem wcześniej, szybkich numerków po wieczorze spędzonym na mieście, które – w moim przekonaniu – należały mi się po tych wszystkich latach u boku coraz bardziej ozięblej żony.

Problem z szybkimi numerkami jest zazwyczaj taki, że rzadko bywają one udane. Cudowny seks z nieznaną w klubowej toalecie zdarza się tylko na filmach. W rzeczywistości wiąże się z tym mnóstwo stresu i żenujących nieporozumień. Większość tego rodzaju znajomości nie przetrwała u mnie dłużej niż jedną noc.

Clara, gdy ją poznałem, była kobietą lubiącą seks. Niedoświadczoną, ciekawą, chętną do eksperymentowania. Ale te czasy bezpowrotnie minęły. Gdyby była kimś innym, zacząłbym podejrzewać, że znalazła sobie kochanka albo nawet że została lesbijką. A ponieważ jest sobą, to dochodzę po prostu do wniosku, że straciła zainteresowanie mną i innymi ludźmi, tak w wymiarze erotycznym, jak i każdym innym.

Dziewczynę, na którą czekam, znałem, jeszcze zanim los postawił na mojej drodze Clare.

Siedzieliśmy zazwyczaj obok siebie na sali wykładowej, w pierwszym rzędzie, razem pisaliśmy projekty, spędzaliśmy ze sobą każdą przerwę. Nigdy nie próbowałem się do niej zbliżyć, nie żebym miał jakieś zahamowania w kwestiach damsko-męskich, bo byłem w tamtym czasie bardzo wśród pań popularny, traktowałem randkowanie w kategoriach niewinnego sportu. Chodziło raczej o to, że większość chłopców z Oslo w moim wieku żywiła szczególnego rodzaju rezerwę wobec pakistańskich dziewcząt. Były dla nas jak zakazany owoc.

Z Marokankami można było próbować, tak jak z Turczynkami czy Hinduskami.

Z Pakistankami – nigdy.

Kiedy byliśmy w trakcie ostatniego semestru, moja przyjaciółka wyszła za mąż za faceta z Karaczi, którego znaleźli jej rodzice, reklamowali go jej jako

nowoczesnego mężczyznę z wielkiego miasta. Ona sama oczywiście wcale nie miała na to ochoty.

Dziesięć lat po ukończeniu studiów spotkaliśmy się na oddziale w Ullevål i rzuciliśmy sobie w ramiona z radości, że znów się widzimy. Czyli ten jej mąż pozwolił jej przynajmniej pracować.

Widujemy się w szpitalu codziennie od dwóch lat.

Z początku była dla mnie tylko uroczą, zabawną koleżanką z pracy. Błyskotliwą. Bystrą. Z ostrym językiem. Lubiłem ją, nic więcej. Aż pewnego dnia, po zakończonym dyżurze, staliśmy na korytarzu, chichocząc z czegoś, co powiedziała matka jednego z naszych małych pacjentów. Pośmialiśmy się tak chwilę, oboje wykończeni i spoceni po ciężkiej nocy. I ona wtedy nagle wspięła się na palce i pocałowała mnie, ot tak, po prostu.

– Wow – powiedziałem.

Wow. Kompletny kretynizm. Jakbym był jednym z moich synów, a nie błyskotliwym człowiekiem z dobrego domu.

Ale ona tylko się zaśmiała. Ten jej śmiech rozjaśniał moje życie przez ostatni rok.

W odróżnieniu od Clary jest serdeczna, czuła i szczerze mną zainteresowana. A ja zasługuję przecież na to, by ktoś mnie rozumiał i się o mnie troszczył. Niedawno zacząłem się nawet zastanawiać, czy przypadkiem się w niej nie zakochuję, pomimo kompletnie innych intencji i wbrew zdrowemu rozsądkowi. Bo to nie było przecież nigdy moim planem.

Wszystkie kobiety, z którymi coś mnie w ostatnich latach łączyło, miały jedną wspólną cechę. Chciały ode mnie więcej, niż byłem im w stanie dać. Żadnych uczuć, tylko seks – powtarzałem to sobie jak mantrę. Ale teraz było inaczej.

W końcu ją dostrzegam, idzie ścieżką w moją stronę.

Punkcik w oddali, powiększający się z każdą chwilą.

To przejście od statusu kolegów z pracy do kochanków jest zawsze trochę niezręczne, ale z reguły nie trwa dłużej niż minutę czy dwie. Nie mogę się już doczekać, nie mamy zbyt wiele czasu, musimy w końcu dotrzeć do Sognsvann i osobno wrócić kolejką do Ullevål. Mamy z pół godziny, by poleżeć we wrzosach na szczycie pagórka, gdzie widzi nas tylko słońce.

Punkcik rośnie z każdą sekundą. W końcu moja kochanka staje przede mną, ma na sobie adidas, dżinsowe spodnie i kurtkę. To nie jest zwyczajowa wieczorna trasa MRS SPLENDID, znajdujemy się daleko od jej domu, nie musiała wkładać stroju sportowego. Ale i tak oboje logujemy się na Stravę, by te cotygodniowe spotkania wliczały nam się do planu treningowego. Gdyby ktoś zaczął zadawać pytania, będziemy mogli powiedzieć, że wykorzystaliśmy przerwę w pracy na zajęcia sportowe, do czego mamy prawo. To był zresztą jej pomysł. Jest cudowna. I to właśnie oznacza jej imię.

Sabija. Znakomita.

– Jadę na parę dni do domu – obwieszcza mi Clara tego samego wieczora.

– Do domu? Na zachodnie wybrzeże? – pytam, a ona przytakuje.

Clara nadal nazywa swoje rodzinne gospodarstwo domem, mimo że już kilka razy próbowałem jej wytknąć, że dom jest raczej tam, gdzie się mieszka, pracuje, ma się męża i dzieci.

– Tata nie czuje się najlepiej.

Clara i jej ojciec są ze sobą właściwie jak zrośnięci, ale tak to już chyba bywa po śmierci matki. Lubię Leifa, ale muszę przyznać, że nie jest tak twardy jak jego córka. Szkoda, że nie poznałeś go wcześniej, mawia czasem Clara. Przed Libanem. Ale ja zawsze sądziłem, że gdyby Leif był tak silny jak Clara, to z tym Libanem też by sobie poradził.

– Coś się stało? – pytam.

– Właściwie to do końca nie wiem – rzuca w odpowiedzi moja żona, znikając na tarasie.

– Okej – mówię do jej pleców. – Poradzimy sobie we trójkę. Skoro tak ładnie prosisz.

Nie dostaję na to żadnej odpowiedzi. Zresztą jak zawsze.

Właściwie to żaden problem, że na kilka dni zostaniemy bez Clary. Przywykłem już do tego. Mogę poprosić o pomoc moją mamę. Poza tym mam mnóstwo swoich spraw, nie będę tęsknił.

Urządziłem sobie w domu gabinet na piętrze, sąsiaduje on z naszą sypialnią, jest położony naprzeciwko pokoiów chłopców.

Robione na miarę dębowe regały na książki pod dwiema ścianami stoją tu od

czasów mojego dzieciństwa, gdy zwykł tu pracować ojciec, a ja leżałem pod biurkiem i próbowałem być cicho, bo gdy tylko zaczynałem przeszkadzać, byłem natychmiast wyrzucany za drzwi.

Na półkach stoją moi bohaterowie. Hamsun, Bjørneboe, Hemingway, jak również lżejsze lektury z czasów nastoletnich, grzeszne przyjemności, takie jak Forsyth czy Follett.

Na środku gabinetu króluje ogromne biurko. Poza tym mam tu barek, sofę i fotel, wszystko oryginalne, projektu Fredrika Kaysera. Kayser mieszkał w swoim czasie na Vinderen, właściciele domów z sąsiedztwa zlecali mu wykonanie mebli. Jego projekty były eleganckie, wysmakowane i szykowne. Szkoda, że umarł tak młodo. Wiele firm meblowych próbuje kopiować jego pomysły, choć nie udało mu się przejść do mainstreamu, tak jak Wegnerowi, Jacobsenowi czy innym sławom z tej branży.

Siadam przy biurku, włączam zieloną lampę bankierską, odpalam służbowego laptopa. Loguję się do systemu, otwieram nowy dokument.

Wszystko zaczyna się od małego chłopca, Fajsala Ahmada.

Szybka, bezbolesna śmierć od strzału w serce to właściwie los, na który Mukhtar Ahmad sobie nie zasłużył. Powinno się go powoli torturować, aż umrze, to samo dotyczy zresztą wszystkich ludzi takich jak on, w samym Oslo i całej reszcie kraju.

Sam tego wszystkiego oczywiście nie załatwię.

Ale mogę coś zrobić, pokazać, że system zawodzi. I tak mam zamiar postąpić.

Będę zbierać dowody na to, że wracają do nas dzieci z tych samych rodzin, maluchy, które zgłaszaliśmy już jako potencjalne ofiary przemocy.

Takich powracających pacjentów mamy w szpitalu wielu. Bóg raczy wiedzieć, ilu dokładnie. To wszystko trzeba przedstawić w konkretny sposób. Wykazać czarno na białym. Zebrać możliwie jak najobszerniejszą dokumentację.

Akapit na temat Fajsala Ahmada. Akapit na temat jego sześciolatniej siostry, która trafiła do nas w zeszłym roku.

Dodałem dziś do mojej bazy danych nowy przypadek, niejaką Susanne Stenersen. Jej starsza córka trafiła do nas ze złamaną ręką, wybitym barkiem



i kilkoma innymi podejrzanymi urazami. Młodszy chłopiec też u nas był, miał obrażenia głowy i poparzenia powstałe najprawdopodobniej na skutek kąpieli w zbyt gorącej wodzie. Podejrzewano, że matka ćpa i zostawia dzieci same w domu.

Maluchy trafiły łącznie do szpitala cztery razy, a mimo to nadal mieszkają z matką w domu. To nie do pojęcia.

Jedno z nazwisk na mojej liście widziałem już gdzieś wcześniej.

Melika Omid Carter, ktoś w rodzaju celebrytki fitnessu, pamiętam ją z dawnych czasów na Grünerløkka. Była na izbie przyjęć dwukrotnie, pierwszy raz już dwanaście lat temu, z małą dziewczynką, u której podejrzewaliśmy zespół dziecka potrząsanego.

Siedzę przez chwilę, gapiąc się na regały z książkami ojca.

Gdy byłem w wieku, w którym są teraz moi synowie, ojciec pracował dzień i noc, by udowodnić, że pewien facet został niesłusznie skazany za zabójstwo. Zdawało mi się wtedy, że siedzi nad tym całe lata.

I w końcu mu się udało, choć nikt właściwie w niego nie wierzył. Byłem taki dumny.

Ale najlepiej ze wszystkiego zapamiętałem jego komentarz po ogłoszeniu wyroku.

– Obok naszego wygodnego życia istnieje brutalny świat, którego chłopcy tacy jak ty nigdy nie rozumieją.

Czułem się wtedy taki mały i niedojrzały. Ojciec był zawsze wielki i ważny. Mnie samemu nigdy się nie udało zostać kimś tego kalibru.

A teraz w końcu mógłbym zrobić coś, co realnie zmieni świat.

Nie ma sensu tłumaczyć tego Askildsenowi ani nikomu z jego przełożonych. Oni przecież z pewnością wiedzą, jak wyglądają sprawy, pogodzili się z tym.

Dlatego to musi trafić do mediów. Tylko tak mamy szansę na sukces.

Ludzie myślą, że dziennikarze w tabloidach odkrywają te wszystkie skandale wyłącznie na własną rękę. Tymczasem wiem, że to nieprawda, dowiedziałem się tego między innymi od Caro, byłej żony Axela – to właściwie jedyna para, z którą utrzymywaliśmy regularne kontakty, Clara nigdy nie przepadała za spędzaniem czasu ze znajomymi. Teraz, po ich rozwodzie, widzimy się już tylko z Axelem, lecz to Caro powiedziała mi, że jeśli „VG” pisze coś o pedofilach,

to tylko dlatego, że dziennikarze dostali cynk od policji.

Tak wyglądają niemal wszystkie tego typu sprawy. Ktoś chce coś naświetlić, zrobić wokół jakiegoś tematu zamieszanie.

Muszę pogadać o tym z Clarą, ona w końcu pracuje nad takimi rzeczami. Może mógłby z tego powstać jakiś wspólny projekt. Brakuje mi naszych rozmów po powrocie do domu, wieczór po zabójstwie stanowił rzadki wyjątek, poza tym nie nazwałbym tamtej dyskusji szczególnie udaną.

Jestem za to całkiem pewien, że moje zaangażowanie doceni i wesprze Sabija.

Rzadko daje się znaleźć konkretny motyw, wyjaśnienie, czemu ludzie zachowują się tak, a nie inaczej. Zazwyczaj podejmujemy jakieś działanie, bo chcemy czynić dobro, sprawić, by świat stał się odrobinę lepszy, lecz jednocześnie często kieruje nami chęć ugrania czegoś dla siebie, potrzeba jakiegoś zysku.

## 15 – Clara

Pokonuję kolejne mosty. Tunele. Jeszcze więcej tuneli. Im bardziej zbliżam się do mojej rodzinnej wsi, tym częściej zdarza mi się jechać po odcinkach drogi, na których mieści się tylko jedno auto, trzeba być non stop przygotowanym na to, że ktoś wyjedzie z za zakrętu, a – w najgorszym wypadku – na konieczność cofania.

Samochodowy system stereo jest podłączony do playlisty z muzyką dla kierowców. W głośnikach rozbrzmiewa jeden stary przebój za drugim. W tej właśnie chwili Nena śpiewa *99 Luftballons*. Przedtem leciało *Cloudbusting* Kate Bush. *Twist in My Sobriety* Tanity Tikaram. *Heart of Glass* oraz *One Way or Another* Blondie.

Kawałek Blondie to jeden z moich faworytów.

Zafiksowałam się właściwie trochę na muzyce, której słuchałam jako nastolatka, potem nie miałam już czasu, by się orientować, co jest modne. Moja playlista nie jest bynajmniej zdominowana przez same śpiewające dziewczyny, jest tam także Tom Petty, są Dire Straits, jest Bruce Springsteen, bohaterowie z dawnych lat, których czci również mój tata.

Lubię słuchać muzyki, gdy prowadzę auto, ale poza tym rzadko coś sobie włączam, nigdy nie biegam ze słuchawkami na uszach.

Z głośników płynie teraz kawałek Roxy Music *More than This*.

„It was fun for a while. There was no way of knowing...”.

Zaczynam śpiewać z zespołem, dociskam nieco mocniej pedał gazu.

„Maybe I’m learning. Why the sea on the tide. Has no way of turning”.

Po lewej stronie mam urwisko, skalna ściana spada wprost do fiordu. Ten charakterystyczny zielonkawy kolor wody za każdym razem sprawia, że czuję ucisk w żołądku.

Mijam tamto miejsce, starając się nie patrzeć w bok.

Akurat tu za barierką energochłonną, zamontowaną na nowo po naszym wypadku, jest zaraz przepaść. Ale już kilka metrów dalej rozciągają się zielone

pobocza upstrzone kolorowymi kwiatami. Bodziszki, niezapominajki, mlecze. Rozłożyste krzaki czeremchy. Lecz przede wszystkim zieleń, zieleń, zieleń.

O tej porze roku jeszcze całkiem przyjemnie się tędy jedzie. Gdy lato będzie w pełni, zaczną się tu tłoczyć przyczepy kempingowe, będą straszne korki. W ostatnich latach są coraz dłuższe, sytuację pogarszają dodatkowo wąskie drogi.

Jestem już prawie na miejscu, zostało mi jakieś dziesięć kilometrów, czeka mnie jeszcze jeden etap: przeprawa promem.

Furta się otwiera. Nierówna rampa pod kołami mojego samochodu. Wjeżdżam i zaciągam ręczny hamulec.

Wysiadam, podchodzę do burty, zerkam ponad nią na fiord, czuję świeże powietrze i kropelki wody na twarzy, patrzę na zieloną kipieli wokół promu, fale uderzają w niego lodowatym, mokrym *crescendo*, a on płynie przed siebie niewzruszony.

W tle słychać warkot silników, czuję zapach diesla, patrzę na załogę przemierzającą pokład w roboczych kombinezonach, dla nich to dzień jak każdy inny, tak właśnie mija im rok za rokiem.

Nigdy nie schodzę na promie do barku, robi mi się niedobrze od zapachów kawy, hot dogów i starego oleju wypełniających to małe, duszne pomieszczenie, które do tego jeszcze cały czas się kołysze. Nigdy nie zrozumieję nostalgii, z jaką niektórzy ludzie wspominają takie barki i kupowane tam przekąski.

Czuję, jak coś, co wyłącza się we mnie w Oslo, teraz uruchamia się na nowo, pośród tutejszych gór, na wodach tego fiordu.

Coś się otwiera, tak jak wrota promu, który po dwudziestu minutach opuszcza rampę i wypływa z siebie samochody, tak jak otwiera się i rozlewa szeroko fiord w miejscu, gdzie trzeba podjechać pod górę do naszego gospodarstwa, leżącego na zboczu doliny, z widokiem na zieloną wodę.

Ale ja jeszcze tam nie jadę.

Zamiast tego skręcam na parking przed szpitalem w sąsiedniej wsi, tym samym, którego zamknięciem nieustannie grożą lokalne władze, a w którego obronie regularnie demonstrują okoliczni mieszkańcy.

Zatrzymuję auto, odczekuję sekundę czy dwie, następnie wysiadam.

Samochód, czysty i lśniący w chwili, gdy wyjeżdżałam z Oslo, jest teraz pokryty cienką warstwą przydrożnego kurzu.

Tata siedzi w fotelu z podnóżkiem w przydzielonym mu pokoju, telewizor ma włączony, ogląda chyba jakiś film dokumentalny, zdaje się, że amerykański, ale wyciszył dźwięk. Stopy skrzyżował na podnóżku. Na kolanach ma książkę, a na niewielkim stoliku obok fotela dostrzegam kubek kawy. Okulary zsunęły się tacie na koniuszek nosa. Ubrany jest w T-shirt i dżinsy.

Podnosi ku mnie zdziwione spojrzenie.

– Claro? Przyjechałaś? – pyta, przykładając dłoń do twarzy.

Czyżby zaszklify mu się oczy? Czytałam gdzieś, że po wylewach ludzie robią się czasem uczuciowo niestabilni. Ale tata wygląda jak zawsze. Odkłada pilota od telewizora i książkę Clive’a Cusslera, zapiera się o podłokietniki i próbuje wstać.

Dostrzegam, że ma problem z utrzymaniem równowagi, podnosi się z trudem, ale nadal przytrzymuje się fotela, drżą mu nogi.

Chwytam go pod ramię i pomagam mu się wyprostować, odsuwam kopniakiem podnóżek, by zrobić więcej miejsca, obejmuję tatę i wdycham jego znajomy zapach. Szampon, spenol, nivea czy cokolwiek sobie wciera w twarz, wełna i guma do żucia z nikotyną, którą się dręczy, odkąd rzucił palenie.

– Siadaj z powrotem – mówię, starając się posadzić go na fotelu.

Tata. W pokoju numer dwadzieścia siedem. W łóżku z regulowaną wysokością wyposażonym w dzwonek alarmowy, a obok nocny stolik na kółkach, winogrona, gazeta i pilot na blacie, toaleta dla niepełnosprawnych, świetlówki pod sufitem i linoleum na podłodze.

– Wracamy dziś wieczorem do domu? – pyta tata.

– Czekał – mówię i chwytam jego dłonie w swoje. Są zaskakująco zimne i mniejsze, niż je zapamiętałam. Tata zawsze miał silne ręce rolnika, opalone, niezależnie od pory roku. Ale teraz wydają mi się słabe. Pojawiły się na nich również plamy wątrobowe, jak u starych ludzi. – Może pojedę tam sama, zrobię zakupy i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku. Odbiorę cię stąd jutro. Tak chyba będzie najlepiej, nie zrobimy tu niepotrzebnego zamieszania.

Tata myśli nad tym chwilę, w końcu kiwa głową i siada ostrożnie w fotelu.

– Zostaniesz jakiś czas w domu?

– Zobaczymy – mówię, zdając sobie jednocześnie sprawę, że mogę sobie pozwolić najwyżej na trzy noce. Bo potem Haavard jedzie na jakieś seminarium w Lysebu. Wzięłam kilka dni urlopu okolicznościowego, po raz pierwszy zresztą w życiu, chodzę do pracy codziennie, prawie nigdy nie bywam na zwolnieniu.

Właściwie to powinnam zabrać tatę do domu już teraz, spędzić z nim jak najwięcej czasu, ale potrzebuję wieczora w samotności. Chcę posiedzieć w ciszy, pogapić się na fiord, przemyśleć propozycję Muncha i zastanowić się, co dalej.

– W telewizji mówili coś o jakimś zabójstwie w Ullevål – mówi tata.

Czyli jest na tyle przytomny, by zwracać uwagę na takie rzeczy.

– Tak, ofiarą był ojciec jednego z pacjentów Haavarda. Biedak jest tym wstrząśnięty, zresztą nic dziwnego – mówię i w tej samej chwili gryzę się w język. Haavard w rozmowach ze mną nie pilnował nigdy przesadnie tajemnicy zawodowej, ale sama zazwyczaj bardzo uważam, by nie przekazywać dalej zasłyszanych od niego opowieści. – Zobaczę, czy uda mi się znaleźć kogoś z personelu. A potem do ciebie wrócę, dobrze?

– Claro – mówi tata i wyciąga do mnie rękę. – Nie powinnaś była jechać taki kawał drogi przeze mnie. Ale to cudownie, że tu jesteś.

Pochylam się i szybko go przytulam.

– Jesteśmy drużyną, tato, przecież wiesz.

– Pewnie – odpowiada z uśmiechem, po czym jego twarz pochmurnieje. Wciąż trzyma mnie za rękę, jakby nie chciał, bym sobie poszła. – Claro, jest jeszcze jedna rzecz...

– Tak? – pytam, czując, że zaraz padną słowa, które tata boi się wypowiedzieć.

– Dzień przed tym, jak tu trafiłem, zadzwonili do mnie z Kleivhøgda.

Wzdrygam się.

Co to znaczy? Czyżby moja matka wreszcie umarła?

– No, bo Agnes... – zaczyna tata, milknie na chwilę, nabiera powietrza, szykuje się, by to z siebie wyrzucić. – Zaczęła znów mówić. Podobno pamięta

coraz więcej.

Mija sekunda, potem dwie.

Ogarniają mnie mdłości. Trzęsą mi się ręce.

Znów tam jestem.

Samochód zjeżdża z drogi, uderza w lustro wody z przeraźliwym hukiem. Głowa leci mi w przód, potem w tył. Kabina wypełnia się wodą.

Wszystko znów się zaczyna. Od początku, raz za razem.

## CZĘŚĆ 2



## 16 – Leif

1975

Pewnego czerwcowego dnia czekałem na paczkę; miała przyjechać do mnie z miasta autobusem. Wśród pasażerów, którzy wysiedli z pojazdu, była też ona, z długą spódnicą, długimi włosami i długimi nogami.

Stała przez chwilę, rozglądając się dookoła ze zdziwieniem, jakby fakt, że wysiadła właśnie tu, a nie gdzie indziej, był kompletnym przypadkiem. Patrzyłem na nią, paląc papierosa, i myślałem, że to najpiękniejsza istota, jaką kiedykolwiek widziałem, że takie jak ona nie rozmawiają z takimi jak ja. Lecz w końcu się do mnie odezwała i okazało się, że faktycznie wysiadła nie tam, gdzie chciała, była taka roztargniona. Pojawiła się w miejscu, gdzie fiord jest bardzo głęboki, droga bardzo stroma, a szosa skręca ku dolinie, na której końcu, wysoko na zboczu, leży moje gospodarstwo.

Był to jeden z tych gorących, wilgotnych dni, w których skały i fiord mają niemal tę samą, granatową barwę, lecz wszystko pomiędzy nimi było zielone, tak soczyście zielone, na szczytach gór bielily się śnieżne czapy i cała natura zdawała się pokazywać ze swojej najlepszej strony. Następny autobus miał przyjechać dużo później. Zabrałem ją więc do gospodarstwa i zapomniałem, co miałem właściwie robić tamtego dnia, zapomniałem o zwierzętach, które trzeba było oporządzić, ogrodzeniu, które trzeba było postawić, o domagającej się skoszenia trawie.

Agnes nie wsiadła tamtego dnia do autobusu. Ani następnego.

Wprowadziła się do mnie tak jak stała, z tym, co miała w plecaku, kilkoma spódnicami, kilkoma bluzkami, parą sandałów, szczotką do włosów. Moi rodzice już wtedy nie żyli, dom i całe gospodarstwo należały do mnie, nie musiałem nikogo prosić o pozwolenie. Z nią właściwie też o tym nie rozmawiałem.

Po prostu u mnie została.

Nogi pod jej długą spódnicą okazały się opalone. Wieczorami zasypiała z głową na moim ramieniu. Często leżała tam tak długo, że rano moja ręka była zupełnie zdrętwiała i bez czucia, ale nigdy się nie skarżyłem. Budziła mnie często w nocy, klęczała naga w łóżku, muskając moją twarz jasnymi włosami.

Pamiętam, że tamtego lata zawsze śpiewały ptaki i zawsze było słonecznie. Łagodna – to pierwsze określenie, które przychodziło mi do głowy, gdy na nią patrzyłem, była taka filigranowa, delikatna i krucha. Potrafiła dziwić się światu niczym dziecko. Ale dość szybko odkryłem, że jest w niej także jakaś głębia. I że ma silną wolę. To także bardzo mi się podobało.

I tak pewnego dnia, zaledwie rok po tym, jak Agnes wysiadła z autobusu nad fiordem, w niewielkim szpitalu oddalonym o półtorej godziny drogi od naszego domu, zostaliśmy rodzicami.

Maleńka dziewczynka przyszła na świat przez cesarskie cięcie, dlatego też to ja przez pierwsze godziny tuliłem ją w ramionach. Była taka drobna, jej główka mieściła się niemal w mojej dłoni.

Miała dostać na imię Klara, po mojej matce, dawno już to postanowiłem. Ale Agnes nalegała z jakiegoś powodu na zagraniczną pisownię – Clara. Próbowałem protestować, ale na nic się to zdało. Stało zatem na Clarze, mimo że uznałem to za dziwactwo. Clara przez C, jak zawsze powtarzała Agnes.

Początkowo Agnes była strasznie zmęczona, zupełnie jakby wszystko w niej się trochę pozmieniało. W niej i zarazem w nas – trudno to inaczej wyjaśnić.

– Mogę się nią zająć, a ty się zdrzemnij – mawiałem, wskazując dziecko skinieniem głowy, na co ona chętnie przystawała. Karmiła piersią i spała, karmiła i spała, ale było jej ciężko, miała obolałe, krwawiące sutki, piersi obrzmiałe, niczym u krów z zapaleniem wymienia, tylko jeszcze gorzej.

W chwilach gdy Clara nie była karmiona, siedziałem z nią na bujanym fotelu przy oknie, układałem ją sobie na piersi i patrzyłem na fiord albo przechadzałem się z nią po gospodarstwie. Bo robota nie mogła przecież czekać. Zwierzęta nadal trzeba było oporządzić i nakarmić, dach domagał się załatania, były żniwa i sianokosy, należało sprowadzić z gór owce i zabrać się do strzyżenia, wciąż było coś, co należało naprawić, załatać, odnowić, wszystkie tego typu sprawy. Do tego była jeszcze Clara.

Nocami prawie nie spałem, ale za dnia całkiem nieźle sobie radziłem, powinienem być wykończony, ale tak się nie czułem, uśmiech nie schodził mi z twarzy i nie mogłem się napatrzeć na drzemiącą w wózku istotkę.

W głowie mi się nie mieściło, że są moje: Clara i jej matka. Moje stadko. Którego zawsze będę doglądał.

Niepokoilo mnie jednak, że Agnes zdawała się wręcz nie dostrzegać córki. Czasami nad nią klękała i coś do niej pogadywała, robiąc przy tym miny. Wtedy rozjaśniała się cała maleńka twarzyczka naszego dziecka. Ale to było najwidoczniej zbyt wiele dla matki, bo po kilku chwilach stawała się zupełnie obojętna, zamykała się w sobie, klęczała nad małą milcząca, patrząc tępo przed siebie. Clara zaczynała się wtedy denerwować, wymachiwała rączkami, wydając przy tym pełne frustracji, krótkie okrzyki.

Zazwyczaj kończyło się tak, że podchodziłem do nich i brałem dziecko na rękę, bawiłem się z nim w samolot, wystarczyło kilka chwil, by mała zaczęła gulgotać z zachwytem i śmiać się radośnie. I znów wszystko było dobrze. Choć, rzecz jasna, zastanawiałem się niekiedy, jak to wygląda, gdy mnie nie ma w pobliżu. Z czasem coraz rzadziej widziałem, by Agnes starała się nawiązywać jakikolwiek kontakt z Claram. Mała siedziała w foteliku, a jej matka, choć była tuż obok, zdawała się przebywać we własnym świecie, pochłonięta sobą i swoimi sprawami.

Zacząłem zabierać Clarę wszędzie ze sobą. Najpierw nosiłem ją na barana. Ale wkrótce już sama biegła po podwórzu, wspinała się na pobliskie wzniesienia, wpadała do obory, wszędzie jej było pełno. Dokądkolwiek bym szedł, zawsze deptała mi po piętach, w ogrodniczkach i tenisówkach, na głowie nosiła czapkę z daszkiem, taką samą jak moja zielona ze spółdzielni.

Rozmawiałem z nią, jeszcze zanim nauczyła się mówić. Opowiadałem jej, co i dlaczego robię. Z czasem zaczęła pytać. O liście na drzewach, o wodę w strumieniu, mrówki w mrowisku, o gwiazdy, chmury i wszystko między niebem a ziemią.

Tak właśnie mijały nam dni, na wiecznej, toczącej się między nami rozmowie. Aż pewnego razu powiedziałem jej, że zostanie starszą siostrą.

W brzuchu mamy zamieszkało dziecko, które miało tam urosnąć, przyjść na świat i być maleńkim człowiekiem, częścią nas, naszej niewielkiej rodziny.

Dziecko w końcu przyszło na świat, miało paluszki u rączek i stóp, płatki uszu i drobniutkie rzęsy. On – bo był to chłopiec – okazał się spokojniejszy od Clary, przesypiał prawie całe dni. Tak samo zresztą jak jego matka. To ja się nim zajmowałem, ubierałem go w kombinezon i jechałem razem z nim do wsi, gdzie odstawialiśmy Clare do przedszkola. Uzgodniliśmy z Agnes, że ją tam pošlemy, choć przecież w domu cały czas ktoś był, stwierdziliśmy jednak, że kontakt z innymi dziećmi dobrze jej zrobi.

Wracała do domu z rysunkami, figurkami z plasteliny, serduszkami z koralików i całym mnóstwem opowieści. Wcześniej bałem się, że wyrośnie na dziwaczkę, jak jej matka, lecz widząc, jaka jest otwarta, jak doskonale wpasowała się w grupę rówieśników, szybko odetchnąłem z ulgą.

Agnes leżała zazwyczaj w łóżku do południa, odwrócona do mnie plecami, ściskając między udami kołdrę, patrzyła na mnie tylko w chwilach, gdy przychodziłem do niej z Larsem na rękach.

Płynęły kolejne dni, Lars urósł i też zacząłem go rano odwozić do przedszkola. Dzieci stawały obok siebie przed drzwiami i machały mi na pożegnanie.

Clara z jasnymi, kręconymi włosami zaplecionymi przeze mnie z samego rana w dwa cienkie warkoczyki.

Lars z niesforną, nastroszoną czupryną.

Agnes zaczęła w końcu wstawać z łóżka, zapisała się na kurs korespondencyjny, mówiła, że chce zdobyć wykształcenie. Zdarzało się nawet, że szła ze mną do pracy.

Życie dobrze się z nami obchodziło.

Miałem co prawda mnóstwo roboty, lecz każdego wieczora, gdy mogłem w końcu rozsiąść się w moim nowym skórzanym fotelu, myślałem sobie, jakie to szczęście, że los zesłał mi te małe, ciepłe stworzonka, które należą do mnie.

## 17 – Clara

Siadam w wysłużonym, jasnobrązowym skórzanym fotelu taty i wyglądam przez okno.

Patrzę na górskie szczyty, do których przywierają ostatnie resztki zimy, zupełnie jak białe krowy wypuszczone na pastwiska. Na zielone zbocza, po których niespiesznie chodzą owce i hasają ich młode. Jagnięta są o tej porze roku najśodsze, ciekawskie, wesołe, choć jeszcze takie malutkie. Dźwięk ich dzwoneczków i pobekiwanie dochodzi do mnie nawet tutaj. Maluchy wołają swoje mamy. A one im odpowiadają.

U stóp zboczy ciągnie się pas soczyście zielonego wiosennego lasu.

Daleko w dole leży fiord, wygląda stąd jak stalowy kobierzec, choć wiem, że w świetle wieczornego słońca woda skrzy się i migocze.

Fiord, którego głębokości nikt nie jest pewien; może tam być z dziesięć, sto albo i tysiąc metrów. Fiord, w którym kryją się ogromne ryby, rusałki, wodniki, wraki aut i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze.

Fiord jest panem samego siebie. Jak coś postanowi, to nikt nie jest mu się w stanie sprzeciwić. Do wody wpompowuje się w ostatnich latach szlam z kopalni, w każdej zatoce pływa plastik, lecz mimo to wciąż wyobrażam sobie, że nasz fiord jest najpotężniejszy. I najgroźniejszy.

Jest mój. Wszystko tu do mnie należy. Jest znane. A jednocześnie obce.

– Boże drogi – to jedyne, co zdołałam z siebie wydusić, gdy tata powiedział mi o matce.

Utrata pamięci, która ją dotknęła, jest ponoć dość częstym skutkiem ubocznym terapii elektrowstrząsami. Dużo o tym czytałam, śledziłam najnowsze informacje, była to właściwie dość smutna i zaskakująca lektura.

Elektrowstrząsy stosuje się obecnie coraz częściej, zdarza się, że bez zgody pacjenta. Czytałam na przykład o przypadku pewnego pięćdziesięciolatka cierpiącego na depresję wywołaną kryzysem wieku średniego. Skierowano go na terapię elektrowstrząsami, po której stracił pamięć dotyczącą wszystkiego,

co zdarzyło się przez ostatnich dwadzieścia pięć lat, nie poznawał nawet swojej żony i dzieci. Był kompletnie zrozpaczony, utracił całe swoje życie, swoją historię.

Może moja matka czuła to samo. A może się cieszyła. Nie mam pojęcia, bo tak naprawdę nigdy jej nie znałam.

Przez ostatnie trzydzieści lat nawet jej nie widywałam.

– Ta kobieta, która do mnie zadzwoniła, chciała, byśmy przyjechali do Agnes, podobno takie odwiedziny mogą jej dobrze zrobić – dodał tata, widząc, że jestem w szoku.

– Boże drogi...

– No właśnie, chyba nie może być o tym mowy.

– Nie – stwierdziłam. – Byłeś tam kiedyś w ogóle?

– W tym domu opieki? Nie. A ty?

Twarz taty jest poorana bruzdami niczym górskie zbocze.

– Nigdy. Myślisz, że zachorowałeś, bo zdenerwowała cię ta wiadomość?

– Nie. – Tata uśmiechnął się do mnie blado. – Pewnie by się to stało tak czy inaczej. Ale Claro... Obiecuj mi, że tam nie pojedziesz. Dobrze?

No i obiecałam.

Mimo to zastanawiam się, czy nie powinnam wpaść do Agnes następnego dnia. Fakt, że nagle odzyskała pamięć, zmienia w naszych relacjach wszystko. Ale wciąż byłby to wielki krok po tych wszystkich latach, gdy spotkanie z matką było dla mnie kompletnie niewyobrażalne.

Wkładam wełniany sweter, biorę narzutę z owczej skóry i przenoszę się na taras. Rusza za mną Bella, gruba, stara kotka taty, wskakuje mi na kolana i zwija się w kłębek. Na ogół mnie nie znosi. Ale pod nieobecność pana najwyraźniej jej wystarczam.

Zapalam jointa, patrząc, jak wokół mnie powoli zapada ciemność.

To Haavard zaproponował mi pierwszą fajkę tamtego słonecznego lata, gdy się poznaliśmy. Dla niego to było coś, co się robi na imprezach.

Ja natomiast zauważyłam, że hasz daje mi znieczulenie, którego zawsze tak pragnęłam. Tłumi we mnie wszystkie emocje, strach i rozwiewa mrok. Mogłam dzięki niemu na chwilę uwolnić się od siebie samej.

Haavard oczywiście już od dawna nie pali. Nie ma takiej potrzeby, bo jego życie jest beztroskie. Nie dręczą go żadne demony. Nie ma w swojej historii kogoś takiego jak moja matka, kogoś takiego jak Lars. Wszystko zawsze mu się układało.

Patrzę na rozległy ogród babci Klary, kobiety z ogromnym sercem do kwiatów i roślin. Od jej czasów wszystko tu trochę podupało. Gdy byłam mała, moja matka w swoich lepszych okresach pielęgnowała kwiaty, stała w gumiakach i spódnicy do kolan pochylona nad grządkami, jak te kobiety na obrazach Nikolaia Astrupa, namalowanych zresztą niedaleko stąd.

Matka przypominała wtedy Joni Mitchell, tyle tylko, że była jeszcze piękniejsza i bardziej krucha.

Wyobrażam sobie, jak musi wyglądać teraz. Gruba, odrażająca, w poplamionym dresie, z tłustymi włosami i starczym wąsikiem. Ciężkie powieki. Nalana twarz, której nie jestem już w stanie rozpoznać.

Jej zainteresowanie ogrodem w końcu zgasło. Tak samo zresztą, jak wszystko inne w jej duszy; po jakimś czasie nie wiedziałam już nawet, czy jest jeszcze żywa, czy już martwa. A tata miał tyle innych spraw na głowie. Teraz kosi tylko czasem trawnik kosą, w ogrodzie trzymają się jedynie najsilniejsze wieloletnie kwiaty i krzewy.

Nasz złotokap jest podobno najokazalszy w całej wsi. Podobnie jak bzy, bladofioletowe, ciemne i białe. Jaśmin i wiciokrzew, obie rośliny obsypane jasnymi, delikatnymi kwiatami, każda z nich ze swoim charakterystycznym zapachem. I moja ulubiona trzmielina. Kwitnąca pięknie na wiosnę. Rodząca czerwone jagody jesienią. Uwielbiam także jej nazwę.

Patrzę, jak w ogrodzie budzą się cienie, jak zapada mrok. Szum rzeki, ćwierkanie ptaków, podzwanianie dzwonek owiec – to wszystko także cichnie w oczekiwaniu na przyjście nocy.

Mam jak zawsze ochotę na kolejnego jointa, ale się powstrzymuję. Wszystko z umiarem, trzeba mieć kontrolę, nie można przesadzać. Wchodzę do domu, kładę się na podłodze, wykonuję kilka ćwiczeń oddechowych. Zaczęłam je robić na długo, zanim odkryłam hasz, nie miałam wtedy nawet pojęcia o istnieniu czegoś takiego jak pranajama czy świadoma kontrola oddechu.

Sama opracowałam ćwiczenia metodą prób i błędów. Wykonywałam je

każdego ranka po przebudzeniu, oglądając telewizję. Latem ćwiczyłam, leżąc na wodzie w zakolu rzeki.

Na początku chodziło tylko o to, by wstrzymać oddech tak długo, jak się da.

Rekord świata wynosi osiem minut dla mężczyzn i sześć minut dla kobiet. Myślałam sobie, że jeśli będę ćwiczyć dość długo, to może któregoś dnia go pobiję.

Nigdy mi się to nie udało. A mimo to nadal trenuję każdego dnia.

Moje ulubione ćwiczenie polega na wciąganiu brzucha na wydechu i wypinaniu go na wdechu określoną liczbę razy. Potem nabiera się powietrza, wykonuje jalandharę bandhę i mula bandhę oraz wstrzymuje oddech tak długo, jak się da. Wreszcie rozluźnia się bandhy i spokojnie wypuszcza powietrze.

Zazwyczaj wykonuję trzy rundy, w każdej z nich jest od dwudziestu do trzydziestu pięciu takich oddechów.

Ale jeśli mam więcej czasu, decyduję się często na wariant ekstremalny, dziesięć rund i sto oddechów w każdej z nich.

Takie ćwiczenia sprawiają, że mam mnóstwo energii i zaczynam jaśniej myśleć, potrafię znieść więcej, niż byłabym w stanie bez nich. Wykonywałam ich sporo, pracując nad projektem ustawy. A teraz próbuję się przygotować na kolejny dzień.

Nie byłam w tym domu bez taty od jego powrotu z Libanu. Czuję się nieswojo. Ale może jego obecność by mi zresztą dziś nie pomogła, bo jestem w stanie myśleć tylko o tym, czy powinnam pojechać do Agnes, czy nie.

Sięgam po telefon i wysyłam wiadomość do Haavarda: „Mogłabym tu zostać parę dni dłużej?”.

Muszę przyznać, że jak na mnie jest to wiadomość utrzymana w tonie przesadnie błagalnym. Ale bardzo przydałoby mi się spędzić tu trochę więcej czasu.

Sufity na piętrze są niskie, drewniane ściany pomalowane na żółto. Są tu skosy i poustawiane pod ścianami stare skrzynie. Zielona podłoga. Kilka chodników utkanych przez babcię.

Najpierw wchodzę do dawnego pokoju Larsa. Wygląda tak jak zawsze. Uzgodniliśmy z tatą, że nie będziemy nic w nim zmieniać, wydaje mi się, że on



już nigdy tu nie zagląda. Gdy do domu przychodzą obcy ludzie, pokój jest zamykany na klucz. Siadam na łóżku. Biorę na kolana Colargola, starego misia Larsa, przytulam go do siebie i śpiewam. „Leć w świat, ptaszku miły. Tam gdzie ja, tam gdzie ja, tam gdzie ja. Pewnego majowego dnia”.

Śpiewałam mu to co wieczór, punktualnie o ósmej.

Wszystkie jego rzeczy. Zestaw lego z remizą strażacką. Konik na biegunach. Piórniki na biurku, gotowy na pierwszy dzień szkoły. Plakaty z ptakami. Podnoszę misia i wdycham jego zapach, zbliżam nos do poduszki. Wszystko tu pachnie kurzem i wilgocią. Zaczynam żałować, że weszłam do tego pokoju. Odkładam maskotkę na miejsce, wchodzę do swojej dawnej sypialni, otwieram okno, wpuszczam do środka świeże wieczorne powietrze.

Wysuwam górną skrzypiącą szufladę komody i wyjmuję naszyjnik, rzemyk z wisiorkiem. Unoszę go do szyi, przeglądam się w lusterku nad komodą. Szkło jest takie stare, że moja twarz wydaje się w odbiciu krzywa i zniekształcona.

Rozlega się sygnał telefonu.

*Muszę jechać na seminarium w Lysebu, nie mam z kim zostawić dzieci. Zakładam, że wrócisz do domu zgodnie z naszymi ustaleniami.*

Nie odpowiadam na wiadomość. Odkładam komórkę.

Na dworze zapadła już cisza, nawet owce zamilkły. Słyszeć tylko szum rzeki, rekordowo w tym roku wezbranej z powodu szybkiego topnienia śniegu w górach.

Rozbieram się, zdejmuję z łóżka robioną szydełkiem kapę. Leży pod nią kołdra w błękitnej poszwie w białe chmurki, tej, którą jako dziecko lubiłam najbardziej.

Clara ma teraz jak w niebie, mawiał tata, otulając mnie do snu. Śpij dobrze, dodawał i całował mnie w czoło.

Zawsze spałam dobrze, dopóki nie obudziły mnie jego krzyki.

Ale tej nocy nie zasnę.

## 18 – Haavard

Siedzę w ogródku kawiarni Java na Ullevålsveien, popijam cortado i przeglądam gazetę. Rower przypiąłem do latarni, co chwila mijają mnie zadowoleni ludzie w okularach przeciwsłonecznych. Jest zupełnie jak w starych czasach, kiedy właśnie wchodziłem w dorosłość. Clara i ja mieszkaliśmy kilka lat niedaleko tej kawiarni, w jednym z domów w angielskim stylu na Geitmyrsveien.

Minęła 14.00, spotkanie w centrum skończyło się pół godziny temu, jest jeszcze za wcześnie, by odbierać chłopców. Mimo to wypisałem się już z pracy na resztę dnia i nie mam zamiaru wracać do biura. Muszę przewietrzyć głowę, obmyślić nowe strategie, zaplanować, jak w przyszłości zgłaszać podejrzenie stosowania przemocy.

W internetowych wydaniach gazet sprawa Mukhtara Ahmada powędrowała na dół strony.

Policja znalazła łuskę od naboju zawieruszoną pomiędzy modlitewnymi dywanikami, donoszą dziennikarze. Łuska ta, podobnie jak pociski wydobyte z ciała Ahmada, pomoże w ustaleniu, jakiego rodzaju amunicji i – co za tym idzie – jakiego rodzaju broni użył sprawca.

Szacuje się, że do zabójstwa doszło pomiędzy 22.15 a 22.30. Funkcjonariusze doszli do tego wniosku, obierając za punkt wyjścia zeznania ochroniarza, jak również pomiar temperatury ciała ofiary wykonany przez przybyłą na miejsce ekipę medyczną.

Fakt, że ktoś poszedł za Ahmadem i strzelił do niego z broni z tłumikiem, świadczy o tym, że zabójstwo zostało dobrze zaplanowane, prawdopodobnie przez kogoś z jego najbliższego otoczenia. Jednakże nikt nie mógł przypuszczać, że ofiara uda się tego wieczora do kaplicy. Mężczyzna poinformował o tym zamiarze tylko nas, personel oddziału pediatrycznego. Fakt, że został zastrzelony właśnie tam, świadczy na niekorzyść teorii o zaplanowanej egzekucji, sugerowałby raczej morderstwo w afekcie. Ale rzecz jasna jest jeszcze za wcześnie, by orzec cokolwiek z pewnością.

Potrzebuję kolejnej kawy, czuję się nagle senny i zniechęcony. Mam już wstać i iść do środka, gdy widzę, jak z sąsiedniej, położonej zaledwie kilka metrów dalej kawiarni wychodzi ktoś znajomy.

Sabija.

Popycha drzwi łokciem, w rękach ma tekturową tackę z dwoma kubkami kawy i papierową torebkę z napisem „Pascal”.

A czemuż to ona nie jest w pracy, teraz, w środku dnia?

Mam już wstać, wyciągnąć rękę, zawołać cześć, w końcu jesteśmy bliskimi kolegami, gdy nagle podnosi się facet siedzący w sąsiednim ogródku.

Całuje ją i bierze od niej jeden z kubków.

Chyba też jest Pakistańczykiem, ma na oko mniej więcej tyle lat co ja, może trochę mniej. Jest szczupły, niemal zaskakująco szykowny, ma na sobie ciemny garnitur i białą koszulę. Sabija włożyła dziś obcisłe stalowoszare dżinsy, buty na obcasach i białą marynarkę.

Jaka z nich piękna para.

Rozpoznaję tego typa ze zdjęcia na jej biurku. Ale jego spojrzenie nie jest ostre ani fałszywe, jak dotychczas sądziłem, tylko serdeczne, wesołe i bystre.

Czuję się, jakby ktoś dał mi w twarz. Przyciskam się do kawiarnianej ściany, przez cienki materiał koszuli na plecach czuję szorstkie cegły.

Sabija wyrzuca tekturową tackę do kosza na śmieci, choć mogłaby ją sobie zostawić do ponownego wykorzystania. Oboje ruszają na drugą stronę ulicy, ściskając w dłoniach kubki z kawą. Jej mąż otacza ją ramieniem, ona na niego spogląda, wybuchają równocześnie śmiechem.

Wszystko się we mnie wywraca. Mam ochotę chwycić ją za ramiona, spytać, co ona wyprawia, dlaczego opisywała mi swojego męża jako jakiegoś potwora, skoro wydaje się przy nim taka szczęśliwa?

Ale niczego takiego nie robię, zamiast tego siedzę nieruchomo, kompletnie oniemiały.

Wsiadają do białej tesli, auto przypomina wielką lśniącą ropuchę. Sabija zajmuje fotel kierowcy, facet okrąża samochód i sadowi się na miejscu pasażera. Włącza się kierunkowskaz, auto zjeżdża z krawężnika, rusza w górę Ullevålsveien i po chwili bezszelestnie znika mi z oczu.

Zostaję w ogródku sam i przypomina mi się pewien epizod z minionej zimy. Myślę o pistolecie, który pokazała mi Sabija, broni, którą przechowywała w jednej z zamkniętych na klucz szuflad w naszym wspólnym gabinecie. O jej opowieściach o niezrównoważonym, chorobliwie zazdrosnym mężu. Wstrząsnęło mną to wtedy tak, że po powrocie do domu opowiedziałem o wszystkim Clarze.

Zażądałem oczywiście, by Sabija usunęła tego glocka z naszego gabinetu.

Ale nie dopilnowałem, by się to faktycznie stało.

Ulicą leci mewa, mija miejsce, w którym swojego czasu stał kiosk Narvesena, był tam również postój taksówek, a zaraz obok – niewielki staw. Mewa wrzeszczy jak opętana, zatacza koło nad ulicą i zniża się nad chodnikiem tuż przede mną, obsrywa mój rower długą, białą strugą lepkiego śluzu, po czym odlatuje, wydając jeszcze kilka bojowych okrzyków.

Sabija coś przede mną ukrywa. Wiedzie życie, w które nie mam wglądu, niepokrywające się wcale z wizerunkiem przerażonej, zdominowanej przez wariata żony, której rzadko kiedy wolno wyjść z domu.

A skoro mnie co do tego okłamała, to czy może mijać się z prawdą także w innych sprawach?

Chłopców mam odebrać dopiero za dwie godziny. Mógłbym równie dobrze pojechać teraz do pracy, spróbować się dowiedzieć, czemu Sabija ma dziś wolne. Ale przede wszystkim muszę znaleźć jakieś serwetki i wyczyścić rower.

Światło w gabinecie jest wyłączone. Uruchamiam komputer i sprawdzam terminarz Sabii. Wpisane ma tam dziś tylko „spotkanie” od 12.30 do 15.00. Powinienem popracować trochę nad artykułem, ale nie mogę się uspokoić. Do końca dnia i tak zostało mi już niewiele czasu, lepiej będzie, jeśli zacznę jutro ze świeżą głową.

Przed wejściem do Espresso House mijam Bente. Jest wyraźnie w dobrym humorze, siada właśnie przy stoliku z filiżanką cappuccino ozdobioną serduszkami z mlecznej piany.

Do głowy przychodzi mi pewna myśl. Dość perfidna.

– Cześć – mówię do niej, wyciągając ramiona. – Bente! Właśnie o tobie myślałem.

Pielęgniarka oblewa się rumieńcem.

– Czekasz na kogoś czy może miałabyś chwilę, żeby ze mną pogadać?

– Takiego zaproszenia nie sposób odrzucić – odpowiada, mizdrząc się jak licealistka.

Otoczenie nie jest przesadnie romantyczne. Kawiarnia Espresso House na terenie szpitala to właściwie dość dołujące miejsce, zawsze siedzi w niej kilka łysych kobiet, wpadają tu po chemii, by zażyć chociażby odrobiny normalności.

Kawa. Mleczna piana. Muzyka. Lampy grzewcze i koce. Gwar głosów. To miałyby niby być to zwykłe życie, którego pragną.

Kupuję sobie zielone smoothie, nie mam już dziś ochoty na kawę. Bente popija cappuccino. Oczy ma ukryte za szklami dużych okularów marki Ray-Ban, ale uśmiecha się do mnie porozumiewawczo, widać, że flirtuje. Grała kiedyś w piłkę ręczną, ma jędrne, wysportowane ciało i ostry język, piegi oraz wyblakłe od słońca półdługie włosy.

Jest urocza. I taka naturalna. Zupełnie inna od moich dwóch pań. Zapewne stosunkowo mało wymagająca w związku, ale potrafiąca zaskoczyć, zmienić się w łóżku w tygrysy, zaatakować z werwą dawnej sportsmenki.

– Nie mogę niestety siedzieć zbyt długo – mówi Bente. – Wiesz, jestem sama z dziećmi. Trudno mi to wszystko dopiąć. Właściwie powinnam pewnie pracować w jakimś gabinecie lekarskim albo czymś w tym rodzaju, ale nawet nie chce mi się o tym myśleć, to byłyby takie straszne nudy...

Kiwam głową ze zrozumieniem.

– Clara pojechała na zachód, więc zostałem sam na kilka dni i mam już wszystkiego po dziurki w nosie, nie pojmuję, jak ty sobie radzisz.

Samotny ojciec, chociażby na kilka dni – wszystkie kobiety to kochają.

– Ja też nie mam pojęcia – odpowiada Bente ze śmiechem.

– Wiesz co – zaczynam, zbierając się w sobie – właściwie chciałbym coś przedyskutować z Sabiją, ale nie ma jej w biurze. Widziałaś ją dziś może?

– Nie. Ciężko za nią nadążyć – odpowiada Bente, uśmiechając się nieco krzywo.

– Co masz na myśli?

– Chodziłyśmy razem do szkoły na Grünerløkka. Nie wspominałam ci o tym?

Kręcę głową.

– Sabija też nie?

– Nie sędzę – mówię, mimo że słyssałem już tę historię od nich obu. I to po kilka razy.

– Okej – mówi Bente, wydaje się trochę rozczarowana. – Tak czy inaczej, mieszkałyśmy całkiem blisko siebie. Ale nigdy się nie przyjaźniłyśmy. Byłam naprawdę zdziwiona, gdy ona się tu nagle pojawiła jako lekarka...

– Czemu? – pytam. – Przecież wszystkie porządne Pakistanki wybierają ten zawód. Taki jest stereotyp, prawda?

– No tak – odpowiada pielęgniarka ze śmiechem, upija kolejny łyk kawy, zbiera łyżeczką pianę z brzegów filiżanki. – Tylko że nigdy nie uważałam Sabii za porządną dziewczynę. Była oczywiście cholernie bystra, dobrze sobie radziła w szkole. Ale żyła tak jakby w zupełnie innym świecie, łąziła za tymi chłopakami z gangu. Rozumiesz?

– Właściwie to nie bardzo – stwierdzam z uśmiechem. – W mojej klasie mieliśmy dwóch imigrantów. Jeden z nich był synem portugalskiego ambasadora. A ojciec drugiego, Brytyjczyk, zarządzał siedzibą Statoil w Oslo.

– Cóż, Sabija nosiła w gimnazjum workowate spodnie i takie wielkie bluzy z kapturem, w których wyglądała, jakby się miała w nich utopić. Kumpłowała się z najgorszymi bandziorami. Ja i pozostałe przeciętniaki po prostu się jej baliśmy.

– Baliście się dziewczyny o wzroście metr pięćdziesiąt pięć? – pytam ze śmiechem.

– No pewnie – odpowiada Bente. – Oni przeważnie przesiadywali w centrum. W Arkaden albo przed Oslo City. To były ich zwyczajowe miejsca. Pewnego razu moja koleżanka z Gambii pocałowała się z Marokańczykiem, z którym wcześniej kręciła Sabija. Ta Gambijka miała metr osiemdziesiąt wzrostu i wyglądała, jakby miała zaraz brać udział w olimpijskim finale biegu na sto metrów. Strasznie fajna dziewczyna. Grałyśmy razem w piłkę ręczną. Ona też jest pielęgniarką, pracuje tutaj. Tak czy inaczej: Sabija przyszła do niej pewnego dnia po szkole, by się z nią policzyć.

– I co?

– Podeszła do niej, podskoczyła i walnęła Jeanette głową w nos.

– Nie wierzę! – stwierdzam.

– Mówię ci, ona naprawdę potrafiła się wściec, pewnie teraz lepiej sobie radzi z ukrywaniem emocji. Na początku, jak tu przyszła i mnie zobaczyła, traktowała mnie chłodno, może czuła się zagrożona, bo miała świadomość, że wiem, kim ona naprawdę jest. Tak się zastanawiam, czy ten facet, którego tu ostatnio zastrzelono, to nie był ktoś z jej dawnej bandy.

Bente zerka na zegarek.

– O cholera, muszę lecieć, bo się spóźnię do przedszkola. Wiesz, jeżdżę aż do Oppsal.

– Ja też się zbieram, muszę odebrać chłopców ze świetlicy, nie lubią czekać aż do zamknięcia. Ale może napijemy się jeszcze kiedyś razem kawy? – pytam, patrząc jak moja rozmówczyni wstaje.

– Bardzo chętnie – odpowiada mi rozpromieniona.

Ja również się podnoszę, przytulam ją, przyciskam na chwilę do siebie i całuję w policzek.

– Ach, przestań – rzuca Bente z kokieteryjnym uśmiechem, po czym oddala się pospieszonym krokiem pielęgniarki.

Po przemaszerowaniu jakichś dwudziestu metrów odwraca się i macha mi ręką. Odwzajemniam pozdrowienie.

## 19 – Clara

Wstaję koło piątej, po bezsennej, spędzonej na rozmyślaniach nocy. Podjęłam już decyzję.

Droga do ośrodka, w którym mieszka Agnes, zajmie mi półtorej godziny.

Najpierw muszę wjechać na prom i wrócić do miejsca, z którego wypłynęłam wczoraj. Ta sama przeprawa, ten sam bileter. Wita się ze mną uprzejmie. Staram się nie odzywać. Rozważam, czy nie zostać w aucie, ale wgapianie się w wody fiordu jest dla mnie przecież czymś w rodzaju rytuału. Wsiadam więc i staję przy burcie.

W końcu zajeżdżam przed ośrodek. Jeszcze chwilę siedzę w samochodzie, wykonuję kilka ćwiczeń oddechowych. Otwieram drzwi i wsiadam, patrzę na czarną, stromą skałę za budynkami. Rozpościera się nad nią lazuruwe niebo. Przelatuje po nim samolot, ciągnąc za sobą biały pas, przypominam sobie nagle, jak byłam mała i patrzyłam na przelatujące samoloty. Zawsze wyobrażałam sobie, skąd i dokąd lecą ci wszyscy ludzie, kto jest na pokładzie.

Naprawdę nie mam ochoty wchodzić do tego budynku.

Całe moje ciało napina się w niemym proteście.

Obiecałam tacie, że dam sobie z tym spokój.

Lecz mimo to muszę to zrobić. I to teraz, wziąć się w garść i uporać się z tym raz na zawsze.

– Claro! O rany, kopę lat! – odzywa się kobieta w recepcji, która najwyraźniej skądś mnie zna.

Zerkam szybko na tabliczkę przypiętą do jej piersi.

Ma na imię Bodil, jej włosy są ciemne, zniszczone wieloletnim farbowaniem. Długą grzywkę zaczesła na bok. Ma po kilka złotych kółek w każdym uchu. Opaleniznę z solarium, jakieś trzydzieści czy nawet czterdzieści kilo nadwagi. Wyblakłe, poszarzałe tatuaże na brązowych przedramionach.

Może chodziłam z nią do podstawówki? Albo do liceum?

Wygląda, jakby zbliżała się do sześćdziesiątki, ale nauczyłam się już, że takie



wrażenie sprawia wiele okolicznych czterdziestolatek. Często się zastanawiam, co powoduje, że kobiety wyglądają tu średnio o dwie dekady starsze niż w Oslo. Jednocześnie zawsze protestuję, gdy podobne obserwacje czyni Haavard.

– Chyba nie byłeś u nas nigdy wcześniej? – pyta kobieta, zaglądając do swojego notatnika.

– Nie – rzucam w odpowiedzi, nie mam zamiaru z niczego się tłumaczyć tej babie.

– Agnes mieszka w osobnym budynku dla pacjentów długoterminowych. Zaraz tutaj, po drugiej stronie. Chodź, zaprowadzę cię – mówi Bodil i rusza energicznie przodem w białych adidasach. – Twoja matka nie przywykła do przyjmowania gości. Bierze silne leki, ale zazwyczaj jest spokojna, może nawet trochę otępiała. Najprawdopodobniej nie będzie chciała zbyt wiele mówić. Ale w końcu zaczęła z nami rozmawiać, to niesamowite, nikt z nas nie wierzył, że to się stanie...

Nic na to nie odpowiadam i w końcu Bodil też milknie.

Na korytarzu unosi się zapach leków i środków czystości, zaczynam tęsknić do altany w naszym domu, do dzwonek owiec, ćwierkania ptaków i szumu rzeki.

Ale teraz muszę po prostu tam wejść. Potem – wyjść. Wrócić do siebie.

Bodil otwiera drzwi do budynku kartą dostępu. Tu z kolei unosi się zapach świeżej farby. Wzbierają we mnie mdłości.

Gdy byłam mała, Agnes robiła kiedyś baraninę w kapuście, w tym samym czasie zabrała się do malowania kuchni. Musiała mieć wtedy jeden ze swoich lepszych okresów. Garnek z baraniną stał na kuchence całe dni i w końcu zaczął śmierdzieć, zapach gotowanej kapusty mieszał się ze smrodem farby olejnej. Od tamtego czasu obie te wonie są dla mnie nie do zniesienia.

– Musimy wejść na piętro – obwieszcza Bodil, ruszając na schody. Idę za nią, kobieta otwiera drzwi opatrzone tabliczką z moim nazwiskiem i wchodzimy do środka.

Żaden element moich wyobrażeń nie zgadza się z rzeczywistością.

Tamta gruba, obrzydliwa kobieta nie istnieje.

Może tak ją sobie wyobrażałam, bo zdawała mi się dzięki temu mniej groźna, mniej podobna do siebie, może ta wizja Agnes była mi potrzebna, bym w ogóle

mogła tu przyjechać.

Tymczasem osoba, która wstaje na mój widok z fotela, wygląda mniej więcej tak samo, jak przed trzydziestoma laty. Jej włosy straciły blask, a twarz pokryła się gęstą siecią zmarszczek, zupełnie jakby ktoś nałożył na jej zdjęcie jakiś filtr – lecz mimo to trzyma się jak na swój wiek zaskakująco dobrze. Agnes nie jest już tak piękna jak kiedyś, ale wciąż delikatna i szczupła, właściwie nawet chuda. Tak samo wyprostowana jak zawsze, jej włosy nadal sięgają aż do pasa. Ma na sobie długą kwiecistą spódnicę i białą bluzkę, również zupełnie tak jak kiedyś.

Czy to te same ubrania? A może kupili jej nowe, tyle że identyczne?

Tak czy inaczej, wygląda, jakby przeleżała tu ostatnich trzydzieści lat niczym nieco mniej bajkowa wersja Śpiącej Królowny.

Nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa. W końcu to ona się odzywa.

– Ach, ty tutaj? – pyta, rozciąga wargi w uśmiechu, patrzy prosto na mnie, zdaje się świdrować mnie wzrokiem.

Włoski na przedramionach stają mi dęba. Zerkam pospiesznie na Bodil.

– Zostawię was same – stwierdza moja przewodniczka. – Gdyby coś się działo, to dzwońcie.

Wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

– Owszem – mówię. – Może usiądziemy? – pytam, wskazując skinieniem głowy niewielki, okrągły brzozy stolik pod oknem i dwa stojące przy nim krzesła. Zdaje mi się, że w mętym spojrzeniu mojej matki pojawia się jakiś nienawistny błysk.

– Faktycznie, minęło sporo czasu – zaczynam po tym, jak opadam na krzesło.

Po tych słowach milknę.

Zaplanowałam sobie, co powiem. Powtarzałam to sobie w głowie raz za razem, w nocy, dziś rano, w drodze do tego miejsca.

Ale teraz, siedząc tu przed nią po tych wszystkich latach, czuję się zupełnie sparaliżowana.

– Trzydzieści lat, dwa tygodnie i trzy dni – mówi matka, a przede mną otwiera się jakaś otchłań. Splatam dłonie na kolanach, pochylam się nieco w przód, kręci mi się w głowie. – Przyjechałaś z Oslo? – dodaje, odgarniając

włosy za ucho chudą ręką.

Kiwam głową.

– A te twoje bliźniaki, ile one teraz mają lat? – pyta matka. – Chyba osiem, co? To nadal niewinne dzieci...

Oslo? Bliźniaki? Skąd ona o tym wie?

Chrząkam, muszę jakoś zmienić temat.

– Nie wiem, ile pamiętasz...

– Wszystko – odpowiada moja matka z promiennym uśmiechem. – Pamiętam wszystko.

Czuję się, jakbym wpadła do piwnicy przez klapę w podłodze i uderzyła w kamienną posadzkę. Zapiera mi dech w piersi. Nie jestem w stanie niczego powiedzieć, chcę wstać i wyjść, ale nie mogę, na to też nie mam siły.

Nagle w oczach mojej matki pojawia się strach.

– Clara... – mówi, bawiąc się nerwowo medalionem na szyi. – Clara przez C.

Broda opada jej na pierś. W ciągu sekundy czy dwóch matka przeistacza się w istotę, którą zapewne była przez ostatnie kilkadziesiąt lat.

– Agnes? Agnes? – mówię. A potem ostrożnie: – Mamo?

Nigdy się nie zastanawiałam, jak nienaturalnie brzmi w odniesieniu do niej to słowo. Teraz też o tym nie myślę. Agnes patrzy na mnie zamglonym, nieobecnym wzrokiem.

Siedzę przed nią jeszcze dziesięć sekund. Dwadzieścia.

A potem wstaję i wychodzę, nie oglądając się za siebie.

Idę korytarzem i wtedy to się znów dzieje. Mdłości. Drżenie. Wszystko wraca. Muszę się zatrzymać i oprzeć o ścianę.

– Wszystko w porządku? – pyta mijająca mnie pielęgniarka.

– Tak – odpowiadam, uśmiecham się, prostuję i idę dalej, nie chcę, by kobieta wzięła mnie za nową pacjentkę.

Znów jestem w tamtym miejscu. W aucie, które uderza o lustro wody. Raz za razem.

1981

Nawet najstarsi ludzie nie pamiętali drugiego tak okropnego lata. Śnieg leżał aż do siedemnastego maja, nocne przymrozki trwały nawet jeszcze dłużej. A potem zaczęło wiać i padać.

Siano skosiłem tylko raz, pod koniec lata, a i tak to, co zebrałem, ledwie się nadawało. Po raz pierwszy, odkąd przejąłem gospodarstwo, musiałem kupić paszę dla zwierząt.

Truskawki, które zazwyczaj sprzedawałem z palet, stojąc pod pasiastym parasolem przy drodze, lub zawoziłem do sklepu, przypominały w tym roku miękkie, blade grudki i gniły sobie spokojnie pomiędzy zielonymi liśćmi.

Jabłka obrodziły drobne i pomarszczone, w ogóle nie były rumiane i nie nadawały się nawet na sok.

To były ciemne strony życia w małym gospodarstwie. Nie przeszkadzała mi ciężka praca. Ani niskie dochody. Najbardziej przerażała mnie myśl o tym, że pewnego dnia wszystko może pójść w diabły, osunąć się w otchłań. I że nie sposób temu zapobiec.

Wieczorami siadałem przy biurku z kalkulatorem, próbując jakoś wyliczyć, co się zaraz stanie. Cyfry świeciły mi w oczy na czerwono. Konto oszczędnościowe dawno już wyczyściłem.

Gdy myślałem, że gorzej już być nie może, moje owce zachorowały na trzęsawkę i musiałem je wszystkie wybić.

Co miałem począć? Sprzedaży gospodarstwa, które odziedziczyłem po ojcu i które było w naszej rodzinie od ponad dwustu lat, nawet nie rozważałem. Usiłowałem znaleźć sobie jakąś pracę, zatrudnić się w fabryce w sąsiedniej wiosce, w sklepie, warsztacie, ale wielu ludzi było w podobnej sytuacji, a ja przecież całe życie prowadziłem gospodarstwo, nie miałem innego

doświadczenia zawodowego i w końcu przestałem wierzyć w obietnice potencjalnych pracodawców, powtarzających bez przekonania, że zobaczą, co da się zrobić.

Nocami leżałem, wgapiając się w sęki sufitowych desek, słuchałem deszczu bębniącego o szyby, wiatru, którego podmuchy biły raz za razem w ściany.

Odgłosy te zawsze kojarzyły mi się z domem i bardzo mnie uspokajały, wyciszały i przepelniały radością. Teraz jednak mnie drażniły.

Wielu mężczyzn z naszej wsi postanowiło wyjechać do Libanu, do stacjonujących tam sił ONZ. Próbowali mnie przekonać, bym do nich dołączył. Wszyscy wiedzieli, że w tamtym roku ledwie wiązałem koniec z końcem. Lecz ja odrzucałem propozycje, nie chciałem słyszeć o Libanie ani słowa.

Musiałem jednakże skądś brać pieniądze. Poza tym to miał być przecież tylko wyjazd na jakiś czas.

– Mogę się zająć dziećmi – oświadczyła Agnes.

Miałem ochotę jej odpowiedzieć, że to byłoby coś zupełnie nowego, ale ugryzłem się w język.

Dwukrotnie widziałem, jak Agnes daje Clarze klapsa. Dwukrotnie wyjaśniłem jej w prostych, żołnierskich słowach, że to ma się nigdy nie powtórzyć. Od tamtych wydarzeń minęło już sporo czasu. Wydawało się, że Agnes ma jeden ze swoich lepszych okresów.

– W porządku – oświadczyłem następnego ranka po nieprzespanej nocy. – Jeśli naprawdę uważasz, że to dobry pomysł.

Dzieci poinformowaliśmy dopiero, gdy wszystko było już załatwione, podpisałem kontrakt z wojskiem, z którym nie miałem do czynienia od czasu odbycia obowiązkowej służby po szkole.

Clara nie chciała, żebym wyjeżdżał.

Próbowałem jej wyjaśnić, że tata jedzie tylko na kilka miesięcy, że będzie o niej myślał i każdego wieczora posyłał jej całusa przez niebo. Tata musi po prostu pomóc kilku miłym rodzinom, które chcą czuć się bezpiecznie, a potem zaraz wróci i już nigdy nie wyjedzie. No i przecież w domu zostanie mama razem z Larsem i wszystkimi zwierzątkami.

Mała wspięła mi się na kolana, choć ostatnio robiła to coraz rzadziej, zarzuciła mi ramiona na szyję i nie chciała puścić. Nie wolno ci, krzyczała raz

za razem, przyciskając się do mnie mocno, z całych sił, od jej wrzasków rozboleły mnie uszy. Spojrzałem na Agnes, oczekując, że mi jakoś pomoże, ale ona tylko odwróciła wzrok. Poczułem ucisk w żołądku. Czy to na pewno dobra decyzja? Czy to wszystko rozsądne? Jaki to miało sens?

Gdy usiadłem w fotelu małego samolociku, który miał nas przewieźć do Fornebu i czekającego tam herculesa, wojskowego transportowca odlatującego na Rodos, gdzie z kolei mieliśmy się przesiąść na ostatni samolot, lecący na międzynarodowe lotnisko w Bejrucie, kiedy zapiąłem pas, przymknąłem oczy i odchyliłem się do tyłu, poczułem, jak podnosi się jakaś kurtyna, i ogarnęła mnie nagle dojmująca świadomość, że popełniłem właśnie największy błąd mojego życia.

Już wtedy tęskniłem do domu, do wiatru, deszczu i słońca, do skrzypienia podłogi i trzasków w kominku, do dwóch ciepłych ciałek, które tam na mnie czekały.

Nigdy wcześniej nie czułem się tak samotny, mimo że moi towarzysze siedzieli wokół mnie, pili piwo, palili papierosy i opowiadali sobie kiepskie dowcipy.

O tym, co nas czeka, rozmawialiśmy niewiele.

## 21 – Clara

Wracam od Agnes, napełniam wiadro środkiem odkażającym, płynem do podłóg i wrzątkiem, po czym przez jakąś godzinę sprzątam w domu, pospiesznie, z wściekłością. Usuwam brud i tłuszcz z kuchennych szafek i wentylatora, kurz spod ławy w sieni i krzesel w salonie.

Cały czas widzę ją oczyma duszy. Jej pomarszczoną twarz. Chude dłonie. Kolorową spódnicę, wyblakłą i niemodną jak ona sama.

Wszystko było tak samo jak kiedyś. Nawet za bardzo.

Wkładam czarne legginsy, koszulkę na ramiączkach, sportową bluzę i adidasy, puszczam się pędem wzdłuż rzeki i w górę, aż do wodospadu. Ścieżka jest stroma, mało ostatnio ćwiczyłam, pochłonięta bez reszty projektem ustawy, czuję to w nogach i poznaję po oddechu, lecz nie rezygnuję, biegnę w górę krętej trasy, pomiędzy porośniętymi mchem kamieniami, przez świerkowy zagajnik i niewielkie brzeziny.

Przebieżka zostaje zarejestrowana w systemie Strava dzięki mojemu zegarkowi treningowemu. Ale tą trasę biegam tylko ja. W wiosce mieszka jeszcze kilku innych użytkowników aplikacji, nie ma ich jednak zbyt wielu, poza tym najwyraźniej wolą trenować gdzie indziej. W to miejsce zapuszczamy się właściwie tylko ja, Haavard i chłopcy, urządzamy sobie każdego lata kilka rodzinnych wycieczek. Aby wspiąć się na to zbocze, trzeba przejść przez nasze podwórze, nikt inny tego właściwie nie robi. Poza tym po żwirowych ścieżkach takich jak ta ludzie wolą raczej jeździć autami z napędem na cztery koła, niż biegać. Haavarda strasznie to irytuje, wciąż gada o dziewiczej naturze, która powinna pozostać dzika. Mam w zwyczaju bronić tutejszych mieszkańców, przeważnie mówię mu, że żwirowa droga to wcale nie taka dziewicza natura, co zresztą jest w pewnym sensie prawdą.

Znam tu wszystko, każdy metr trasy, każde zagłębienie, każdy większy korzeń wystający z ziemi, mrowisko i przydrożny głaz. Tutejsza przyroda jest częścią mnie, dużo bardziej autentyczną niż osoba, którą oglądam co dzień w lustrze. W niektórych miejscach muszę tylko przeskakiwać przez nowe

drzewo, które zważyło się na ścieżkę.

Tata nie zapuszczał się tutaj pewnie przez całe lata. Przyjdę tu w wakacje z piłą spalinową, oczyszczę ścieżkę, która z roku na rok coraz bardziej zarasta.

Dostrzegłam to wszystko poprzedniego dnia, gdy przyjechałam do gospodarstwa.

Popękane dachówki, łuszczącą się farbę na ganku, okienne szyby, które się zbiły i na ich miejsce wstawiono kawałki kartonu, wiadro w sieni, do którego przez przeciekający dach leje się deszczówka.

Mnóstwo rzeczy zaczęło się rozpadać, a ten proces zdecydowanie nasilił się w ostatnim roku.

Muszę się tym zająć. Ale nie dzisiaj.

Wodospad jest wielki, woda pieni się i szumi, jej dźwięk miesza się z coraz szybszym biciem mojego serca, napędzającego krew w żyłach. Daję z siebie wszystko. Wreszcie staję na szczycie, pochylam się w przód i z trudem łapię oddech, mam wrażenie, że kwas mlekowy zalewa każdą komórkę mojego ciała.

Po kilku chwilach prostuję się, biegnę wzdłuż brzegu do niewielkiej plaży tuż przy naszej górskiej chacie, małym szarym domku przytulonym do zbocza, z jednym tylko szprosowym okienkiem wychodzącym na jeziorko.

Mam tu ulubiony kamień, na którym zazwyczaj przysiadam. Potrafię tu tkwić godzinami, gapić się na wodę i nigdy nie mieć dość. Nie przestaje mnie dziwić, jak bardzo jest tu cicho, mimo że płynąca nieopodal spokojnie woda zmienia się nagle w kipiący, dziki wodospad.

Czuję, jak wzmaga się wiatr, jego poddmuchy przenikają mnie na wskroś.

Tylko na tej plaży mogę z nim rozmawiać. To tu jest mi najbliższy.

– Lars? – szepczę. – Byłam dziś u Agnes... No wiesz, u mamy.

– Oj – odpowiada on. – A czy to bezpieczne, Claro?

– Chyba nie. Zdaje mi się, że głupio zrobiłam.

– Mówiłaś o tym tacie?

– Nie... Nie mogę.

– Hmm – odpowiada mi zamyślony.

Lars był taki malutki i śliczny, gdy leżał w swoim wózekczku, machał do nas rączkami, gulgotał i się śmiał. Uwielbiałam trzymać go na kolanach i kołysać do



snu. Kiedy trochę podrosł, nosiłam go wszędzie ze sobą, zabierałam go na dwór, wszystko mu pokazywałam, opowiadając przy tym, co widzimy. Kwiatek, Lars. Krowa, Lars. Obora. Traktor. Wrota do stodoły. Trawa. Tata. Mama. Drzewo. Taczka. Kot.

Nauczyłam go prawie wszystkich słów, a gdy zaczął chodzić, prowadziłam go za rękę. To ja mu pokazałam, jak się jeździ na rowerze.

Jest chudym, jasnowłosym chłopcem o wielkich niebieskich oczach, w których zawsze maluje się wyraz zaskoczenia, zupełnie jakby nie do końca rozumiał świat, na jakim przyszło mu żyć.

Kiedy się cieszy, biega wokoło, stawiając wielkie kroki i wykonując dziwaczne, rytmiczne ruchy ramionami, jakby coś pompował albo tańczył taniec, na który w szkole mówiliśmy „kaczuszki”. Najbardziej na świecie fascynują go ptaki. Zna niemal wszystkie gatunki w atlasie taty, wiele z nich jest w stanie rozpoznać po głosach.

Nocami czasem sika do łóżka, mimo że mama się złości i mówi, że już dawno powinien z tym skończyć. Nie wolno mu się kłaść obok niej, ale gdy przychodzi do mojego pokoju w środku nocy, pozwalam mu wejść pod kołdrę. Tu, w górskiej chacie, zawsze dzielimy posłanie. I zawsze śpiewam mu przed zaśnięciem.

„Leć w świat, ptaszku miły. Tam gdzie ja, tam gdzie ja, tam gdzie ja. Odpocznij tu, by mieć siły. Dana da, dana da, dana da”, przechodzę do kolejnego wersu.

Słowa „dana da” zawsze go rozśmieszają.

Mama często nas tutaj przyprowadza, zwłaszcza teraz, gdy tata jest w Libanie. Za każdym razem, gdy dzwoni telefon, wzdrygam się, przerażona, że stało się coś złego.

Nie chciałam, by tata wyjeżdżał. Przecież to on czytał mi wieczorami Juliusza Verne’a, zabierał mnie na wycieczki do lasu i uczył rozpoznawać drzewa oraz ptaki, a także tego, że jeśli się zgubię, to mam objąć najbliższy pień ramionami i zacząć go wołać. To on przyprowadzał mnie do tej chaty i nauczył kochać góry.

Ale mimo to pojechał. I teraz jesteśmy tu tylko mama, Lars i ja.

Mama powtarza, że wyszła za tatę głównie dla tutejszej przyrody, mimo że

przecież prawie nie opuszcza domu. Gdy tu przychodzimy, lubi wspinać się na szczyt i stać tam, krzycząc, albo leżeć we wrzosach i patrzeć w górę.

Nazywa to wdychaniem nieba. Musimy się wtedy trzymać od niej z dala, nie wolno jej przeszkadzać.

Zbieramy więc szyszki i kamienie, bawimy się w gospodarstwo. Właściwie jestem na to za duża, ale robię to dla Larsa.

Poranek jest jasny i pogodny, na trawie perli się rosa, lecz słońce opromienia już złocistą poświatą najbliższy górski szczyt – ten sam, na który wspina się mama, by sobie pokrzyczeć. Niedługo jego promienie zaleją cały krajobraz.

Lars wyszedł z domku przede mną, musiał się wysuszać. Tu w górach siusiamy gdzie popadnie, nie mamy wychodka.

Przed wyjściem trochę się guzdrzę. I gdy w końcu jestem już na dworze, nigdzie go nie widzę.

– Lars – krzyczę. – Lars? Lars?

Okrażam domek, wrzeszczę coraz głośniejsze. Serce zaczyna mi walić, wracam biegiem do środka, otwieram drzwi. W izbie stoją trzy łóżka, po jednym w każdym rogu oprócz tego, w którym jest kuchnia. W najszerszym i najkrótszym z nich śpimy razem z Larsem. Najdłuższe zaś, położone w najciemniejszym kącie, zajmuje mama.

– Mamo – mówię podniesionym głosem. – Nie mogę znaleźć Larsa.

Mama odburkuje coś w odpowiedzi, a ja wybiegam na dwór.

Nie mógł odejść daleko, przecież bym go stąd widziała. Musiał zejść nad wodę, uwielbia tam chodzić i puszczać kaczki, ale uczyłam go przecież, że zawsze muszę mu towarzyszyć. Lars nie umie pływać, a tam są zdradliwe prądy, jezioro kończy się przecież wodospadem.

Biegnę na naszą niewielką plażę, będącą właściwie tylko małym piaszczystym pagórkiem oddzielającym brzeg od pasa trawy.

W piasku widać ślady butów. A czy w wodzie nie unosi się przypadkiem jakiś kształt?

Słyszałam raz, jak jakiś policyjny pletwonurek mówił w telewizji, że ludzie błędnie zakładają, iż dzieci utrzymują się długo na powierzchni i jest mnóstwo czasu na ratunek, lecz w rzeczywistości maluchy wołają o pomoc, nabierają wody do płuc i idą na dno jak kamienie.

Próbuję pamiętać o tym, czego się nauczyłam.

Oddychaj głęboko. Wdech. I wydech. Wdech. I wydech.

Zrzucam kurtkę i buty, nabieram powietrza i nurkuję. Dno jest zamulone. Ale faktycznie, dostrzegam jakiś kształt. Szczypią mnie oczy. Muszę je zamknąć, potem znów otworzyć. Tak, tuż przy dnie jest Lars, mój braciszek. Ale on mnie nie widzi, prąd znosi go coraz dalej i dalej.

Za chwilę będę musiała nabrać powietrza. Otwieram oczy, płynę w stronę Larsa. Jest już blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Ale prąd znów go ode mnie odsuwa, macham mocniej nogami, udaje mi się objąć go ramieniem. Lars mi się wyrywa.

Prąd niesie nas w stronę wodospadu. Za chwilę znikniemy w huczącej, spienionej kipieli. I wtedy przypomina mi się coś, co powiedział mi tata.

Prąd jest najslabszy przy dnie.

Chwytam Larsa mocniej za szyję, staram się zanurkować głębiej i odpłynąć na bok, pomagam sobie wolną ręką.

Głębiej i na bok.

Czuję, że nacisk wody na nasze ciała staje się nieco słabszy. Zamulone, porośnięte wodorostami dno jest tuż pod nami, zahaczam o coś palcem stopy. Ale teraz już naprawdę muszę zaczerpnąć powietrza. Jeszcze trochę na bok, na bok, trzymamy się dna. Wygląda na to, że zaczynamy się zbliżać do drugiego brzegu. Jezioro nie jest duże, tylko głębokie, tutejsze prądy potrafią być silne i zdradliwe.

Lars jest coraz cięższy. Musimy płynąć ku powierzchni, w górę, w górę, w górę.

No i już, wypelzam na brzeg. Kaszlę, charczę, unoszę powieki. Kręci mi się w głowie, świat wiruje mi przed oczami. Kładę się na kilka sekund, potem znów siadam.

Lars leży obok mnie na plecach. Czy żyje? Czy oddycha? Pochyliłam się nad nim, zaczynam wdmuchiwać mu powietrze do ust, naciskając jednocześnie jego klatkę piersiową. Wdmuchuję i naciskam, wdmuchuję i naciskam. Raz za razem.

– Muszę już iść – mówi Lars, obejmuje mnie i przytula.

– Poczekać chwilę – proszę.

– Przepraszam, nie mogę.

Znów owiewa mnie podmuch wiatru. A on znika.

Wstaję, otrzepuję się. Mięśnie zdążyły się trochę rozluźnić.

Okrażam chatę, wygląda na to, że wszystko jest w porządku.

Nie zabrałam ze sobą klucza, więc nie mogę wejść, zamiast tego opieram dłoń na ścianie i nachylam się na sekundę. I jeszcze jedną.

Chatę zbudował mój pradziadek. To drewno ma ponad sto lat.

Deski są oszlifowane przez dekady wichrów, deszczów, mrozów i upałów, zimy i lata, rok za rokiem. To, co z nich zostało, to najtwardsze, najmocniejsze nerwy tego domu. Wciskają się w moją dłoń i na chwilę stajemy się jednością: stara chata i ja.

Zamieram tak na te dwie sekundy, czuję tętno martwego, szarego drewna. Pulsowanie wszystkich jego słojów pod moją dłonią.

A potem prostuję plecy i ruszam w drogę powrotną.

## 22 – Haavard

Ciche pukanie, kilka sekund oczekiwania i oto Sabija otwiera przede mną drzwi do swojego pokoju.

Wchodzę do środka, drzwi się zamykają.

Czuję na szyi dwoje ciepłych ramion, do mojego ciała przyciska się jej skąpo odziane ciało, jej wargi dotykają moich warg.

Robiłem co w mojej mocy, by wyprzeć ze świadomości widok Sabii i jej męża na Ullevålsveien. Seminarium w Lysebu, organizowane w tym najpiękniejszym czasie w roku, jest dla nas obojga niczym prezent od losu. Możemy spędzić razem całą noc, po raz pierwszy w życiu. Nic nie zdoła nam tego popsuć.

Było mi właściwie trochę żal Clary, gdy zapytała, czy mogłaby zostać dłużej u ojca. Gdyby to było zwykłe seminarium, zgodziłbym się i nie wyjechał. Ale nie mogłem się wyrzec tych dwudziestu czterech godzin zapomnienia. A moja matka, która jako jedyna pomaga nam czasem przy chłopcach, udała się właśnie z grupą przyjaciółek do Sztokholmu.

– Do kolacji jeszcze półtorej godziny – mówię, rzucam się na łóżko Sabii i wyciągam do niej ramiona. – To cała wieczność!

– Musimy uważać – odpowiada ona, machając kartą dostępu. – Proszę bardzo, dostaniesz własną. Na dzisiejszą noc. Tylko pamiętaj, żeby zachowywać się cicho na korytarzu. A jutro rano masz się wynieść, zanim ktokolwiek wstanie.

– Jasne – mówię. – Wiesz, ja już sypiałem w swoim życiu w hotelach.

– Ty może tak... – odpowiada ona, posyłając mi zawstydzony uśmiech.

– A ty nie? – rzucam pół żartem, pół serio.

– Owszem, ale chyba rzadziej niż inni.

Na kilka sekund zapada cisza.

– Wiesz, nie wolno mi było jeździć na zieloną szkołę czy klasowe wycieczki, wszystkie te imprezy, w których ty brałaś udział. Teraz też mi nie zawsze wolno...

Właściwie powinienem wykorzystać okazję i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o jej życiu, ale jestem zbyt niecierpliwy, nie pytam o nic, kładę się na niej, chwytam ją za nadgarstki i całuję jej szyję.

Sabija odwraca głowę, śmieje się, protestuje. Ale wiem, że tylko udaje.

Gdy po wszystkim leżymy zdyszani, pada obowiązkowe pytanie, na które właściwie czekałem już od dawna.

– Bywałeś wcześniej niewierny? – pyta Sabija, zerkając na mnie ciekawie.

– Nie – odpowiadam. – I nigdy nie sądziłem, że będę. Ale potem w moim życiu pojawiłaś się ty.

W drodze na kolację zahaczam o recepcję. Zaglądam też do sklepiku naprzeciwko kontuaru, sprzedają tam ceramikę, miód i Bóg wie co jeszcze. Przy jednej z półek stoi kobieta, którą natychmiast rozpoznaję.

Melika Omid Carter.

Musi mieć teraz mniej więcej pięćdziesiąt lat, ale wygląda niemal dokładnie jak dwie dekady temu, kiedy to miała w zwyczaju pędzić swoim luksusowym jeepem przez Grünerløkka i odwiedzać ulubione restauracje. Usta ma nieco bardziej wykrzywione. Siateczkę zmarszczek wokół oczu wyraźniejszą. Ale poza tym jest identyczna. Wysportowana, smukła i zadbana, ma na sobie niebieskie drogie džinsy, czarny obcisły top, szeroki skórzany pas, a długie kręcone włosy opadają jej na plecy. Mocno umalowała oczy, w uszach ma złote koła. Wygląda odrobinę wulgarnie, ale nadal seksownie, dobrze się trzyma. Jest pociągającą dojrzałą kobietą, z którą większość moich kolegów chętnie by się przespała, gdyby tylko dostali taką szansę.

Dziwnie jest ją tu oglądać, czuję się zupełnie tak, jakby wyskoczyła nagle z mojej listy, postanawiając odwiedzić mnie w realnym życiu. Podobne wrażenie miałem, gdy byłem mały, a ojca odwiedzali ludzie, których znałem z gazet lub telewizji.

Po tym, jak dopisałem Melikę Omid Carter do swojej listy, znalazłem na jej temat kolorowy reportaż w „D2” i dokładnie go przestudiowałem.

Pochodzi z Iranu, ale wychowała się w Ameryce. Jej rodzina wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, gdy Melika była dzieckiem. Do Norwegii przybyła jako nastolatka i z ubogiej, zagubionej i nieznającej języka dziewczyny

zmieniła się w zamożną, przedsiębiorczą kobietę biznesu.

Otworzyła właśnie niedawno nową, modną kawiarnię, ale poza tym zajmuje się głównie jogą i medytacją, prowadzi popularny blog dla maniaczek fitnessu i dorobiła się własnej marki odzieży sportowej. Babka jest wzorem cnót wszelakich, imigrantką w typie akceptowanym zapewne przez samego Antona Muncha i jego partyjnych kolegów, kto wie, może nawet głosuje na takich jak oni.

Carter znana jest ze swojej szerokiej sieci kontaktów i nieprzeciętnego talentu do robienia interesów, kompletnie niezależnego od jej płci czy kraju pochodzenia. I to jej nazwisko widnieje na mojej liście.

Stoi teraz odwrócona do mnie plecami, ogląda mydła, w końcu wychodzi ze sklepiku i rusza korytarzem, ciągnąc za sobą małą walizkę na kółkach.

W jadalni nie ma na razie nikogo, gugluję nazwisko Meliki Omid Carter w połączeniu z hasłem „Lysebu” i ograniczam wyniki wyszukiwania do artykułów z ostatnich sześciu miesięcy. Faktycznie, jest.

Comiesięczny kurs dla instruktorów jogi, zdaje się, że wciąż jest na to ogromny popyt.

Carter pisze na swoim blogu, że w Lysebu jest pięknie, jedzenie smakuje wyśmienicie, woda w basenie to czysta poezja, wszystkie tego typu rzeczy. Brzmi to nieco upiornie w zestawieniu z informacjami, jakie wyczytałem na jej temat w szpitalnych dokumentach.

Nazwiska widniejące na mojej liście udało mi się skompletować bez większych trudności. Może nie byłem do końca szczery w swoich wyjaśnieniach, do czego potrzebne są mi te przykłady, lecz moi współpracownicy udzielili mi informacji dość ochoczo, chyba odczuli ulgę, widząc, że mogą coś w tej dziedzinie zrobić.

Razem z Fajsałem Ahmadem mam już pięć spraw.

Pięć rodzin. Pięć przypadków. A powinno ich być co najmniej dwa razy tyle.

W ostatnich dniach udało mi się odnaleźć nazwiska dwojga czy trojga dziennikarzy piszących o przemocy w rodzinie, ludzi, z którymi mogłem się skontaktować. Czuję się, jakby stworzenie tego jednostronicowego dokumentu było najbardziej pożyteczną rzeczą, którą ostatnio zrobiłem. Trochę w tym

ironii, biorąc pod uwagę fakt, że przecież od czasu do czasu ratuję ludzkie życie. Pokazałem Sabii listę w jej obecnym kształcie i muszę powiedzieć, że chyba trochę jej tym zaimponowałem.

Podchodzi do mnie Askildsen, siada przy moim stole. Po chwili dołączają do nas Bente i Roger.

– Czyli to jest to byłe sanatorium dla weteranów drugiej wojny światowej? Całkiem tu fajnie – stwierdza Askildsen.

To ja zaproponowałem, by wybrać się tutaj, zamiast do nieco tandetnego hotelu Holmenkollen Park położonego niedaleko stąd. Może i mają tam lepszy widok, ale za to gorsze jedzenie i mniej stylu.

To oczywiście trochę ekstrawaganckie, że co roku urządzamy sobie taki trwający zaledwie dobę spęd, jedziemy do hotelu we własnym mieście. Nasz budżet jest raczej skromny. Ale Askildsen, choć na co dzień sprawia wrażenie wybitnie aspołecznego typu, zawsze upiera się przy tych wyjazdach. W przeciwieństwie do większości z nas mieszka sam i podejrzewam, że współpracownicy stanowią dla niego namiastkę rodziny i przyjaciół.

Sabija ma na sobie biało-niebieską, wzorzystą letnią sukienkę z dekoltem w kształcie litery V. Siedzi naprzeciwko mnie, zajmujemy jeden z okrągłych stołów pod oknem. Próbuję się na nią nie gapić, nie sprawiać wrażenia przesadnie nią zainteresowanego, skupiam się na rozmowie z pozostałymi. Wszyscy paplają o tym, co zawsze. Jest to tradycyjna mieszanka opowieści o życiu rodzinnym, piłce nożnej, planach urlopowych oraz plotek dotyczących życia nieobecnych lekarzy.

Sam raczej milczę, pogrążony we własnych myślach, nie jestem się w stanie skoncentrować i co chwila rozglądam się bezwiednie w poszukiwaniu Meliki Omid Carter.

Moi towarzysze nie wiedzą, kim ona jest i co zrobiła. Ogarnia mnie przemożna ochota, by im o tym opowiedzieć. Tylko że lista, którą sporządziłem, jest nieoficjalna, poza tym okazja nie wydaje mi się właściwa. Najlepiej będzie trzymać gębę na kłódkę i włączyć się w pogawędkę, żeby nikt sobie nie pomyślał, że się dystansuję.

Nagle przy stole zapada cisza. Wszyscy gapią się na Askildsena i Sabiję, trzymającą w dłoni kieliszek białego wina.



– Chyba nie mówisz poważnie – rzuca Sabija.

– A może i tak – odcina się Askildsen.

– O co się kłóćcie? – pyta Roger.

– O #MeToo – odpowiada mu Bente, która przysłuchiwała się wymianie zdań. – A o cóż by innego?

– Nie jesteś fanem #MeToo, Askildsen? – pytam.

– Po prostu obawiam się rozdmuchiwania każdej najmniejszej sprawy do gigantycznych rozmiarów, z tego się robi coś w rodzaju masowej hipnozy – odpowiada nasz szef, z jednej strony wyraźnie zakłopotany, z drugiej zaś szczęśliwy, że może się wytłumaczyć. – Wszystko zaczyna się teraz postrzegać w takich kategoriach. Poza tym nie podoba mi się, że kobiety robią z siebie ofiary, choć są przecież niezależnymi osobami, takimi jak mężczyźni. A przynajmniej ja tak zawsze zakładałem.

– Och – wzdycha Bente i patrzy z ekscytacją na Sabiję, zupełnie jakby obserwowała walkę bokserską.

– Daj spokój, tu przecież nikt nie robi z siebie ofiary – mówi Sabija. – Jest wręcz odwrotnie.

– Słuchajcie – wcina się nagle Bente. – Pamiętacie wszystkie te opowieści o starym doktorze Skjølbergu?

– Facet był po prostu szurnięty – stwierdza Roger.

– Do ciebie też się przystawiał? – pyta Bente.

– O Boże, nie – rzuca w odpowiedzi Roger, rumieniąc się przy tym. – Ale pamiętam...

– Halo, jego tu z nami nie ma – upomina ich Askildsen. – Zachowujcie się.

Przy stole rozlegają się chichoty i na kilka sekund zapada cisza.

– Racja – stwierdza Roger. – Dajmy spokój upiorom starych ordynatorów, pomówmy może o tym, o czym i tak wszyscy myślą. Na naszym dyżurze doszło do zabójstwa, a wszyscy się zachowują, jakby już o tym zapomnieli...

– Boże drogi – mówi Sabija. – Miło jest chociaż od czasu do czasu pogadać na jakiś inny temat, przecież od tygodni o niczym innym nie rozmawiamy.

– Jestem zdania, że nie powinniśmy udawać, że nic się nie stało – kontruje Roger.

– Nikt nie mówi, że macie cokolwiek udawać – przerywa mu Askildsen. – Ale ja już rok temu załatwiłem wam na ten dzień zastępstwo, żebyśmy się wszyscy mogli spotkać. Pierwszy raz w historii zaprosiliśmy tu także personel pielęgniarski, nie jest to powszechna praktyka...

– Oczywiście – mówi Roger. – Bardzo nam w związku z tym miło. Nie o to chodzi.

Wygląda na to, że Askildsen uparł się ratować sytuację.

– A słyszeliście w ogóle historię o tym pięknym miejscu? – pyta i nie czekając na reakcję, zaczyna opowiadać o małżeństwie Hammerichów, które w czasie drugiej wojny światowej zorganizowało duńską pomoc dla norweskiej ludności.

– Wznieśmy więc toast za Lysebu i za Haavarda, który wyszedł z inicjatywą, by przyjechać tu w tym roku – kończy.

Wszyscy unoszą kieliszki i mamrocą „na zdrowie”, Sabija z wyraźną niechęcią.

– Za Hammerichów. I za nas! – dodaję od siebie.

## 23 – Clara

To Haavard wyszedł z propozycją, byśmy postarali się o dziecko. Sama nie bardzo miałam na to ochotę, obawiałam się, że zawiodę, tak jak kiedyś zawiodła moja matka. Pamiętam grozę, którą poczułam, leżąc na kozetce w klinice, do której Haavard zaciągnął mnie na USG, chcąc potwierdzić, że faktycznie jestem w ciąży, bo nie miałam mdłości, nie skarżyłam się na zmęczenie ani na jakiegokolwiek inne objawy.

– Coś takiego – rzuciła położna, spoglądając na ekran.

Dwa małe pęcherzyki z dwoma małymi, bijącymi sercami.

– O rany – wypalił Haavard. – To znaczy... dwójka?

– Na to wygląda – odparła położna. – W państwa rodzinie zdarzały się już bliźniaki?

– Nie – rzuciłam w odpowiedzi, wzdychając głośno.

– Nie – zawtórował mi Haavard ze śmiechem.

Potem były jeszcze kolejne badania USG, przez całą ciążę musiałam w kółko je powtarzać, w dwudziestym drugim tygodniu poszłam na zwolnienie, choć chciałam jeszcze pracować. Brzuch ciążył ku ziemi. Zaczęły mi puchnąć dłonie i stopy. Wszystko mnie bolało i swędziało.

Spędzałam bezsennie całe noce, leżałam w łóżku i się drapałam. Mówili mi, że to normalne.

Niechętnie wracam myślami do porodu, leżałam oblepiona elektrodami monitorującymi tętno dzieci, unieruchomiona, uwięziona przez całą tę elektronikę. Było zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam. Ale przynajmniej obyło się bez krzyków. Dzieci przyszły na świat. Swędzenie ustąpiło. Karmiłam chłopców piersią, kołysałam i przytulałam, cały ten cyrk.

Wszystko szło dobrze. Nie byłam swoją matką. Dawałam radę.

Wróciłam do pracy, gdy chłopcy skończyli pół roku. Zaczęli się ze sobą bić, leżeli obok siebie, dwa małe tobołki zawinięte w pieluszki i w wełnianych

ubrankach, nie umieli chodzić, ale bili się nawzajem po główkach. Darli się i bili, bili i darli, a ja nie miałam pojęcia, co zrobić.

Haavard radził sobie z nimi o wiele lepiej niż ja, miał naturalny talent, podnosił ich, kołysał, paplał, łaskotał i robił najdziwniejsze miny, sprawiał, że przestawali się drzeć i bić, a zamiast tego zaczęli się śmiać jak najęci.

Chłopcy rośli. Nie byli już tobołkami, robili się wysocy i szczupli.

Gdy mieli po dwa lata, a potem po trzy, cztery, pięć lat, krzyczeli do mnie ze złością, gdy przychodziłam odbierać ich z przedszkola.

– Nie, mammo! – protestowali. – Tata! Chcemy do taty! – mówili. I choć nigdy nie pragnęłam, by byli maminsynkami uczepionymi mojej spódnicy, trochę mnie to niepokoiło. Może byłam podobna do Agnes bardziej, niż miałam odwagę sama przed sobą przyznać.

Odkąd chłopcy skończyli trzy czy cztery lata, wieczne bicie i awantury zmieniły się w coś w rodzaju nierozzerwalnej symbiozy.

Nie używali zaimka ja, zastępując go zawsze wielkim my.

– My i Andreas – mówił Nikolai, mając na myśli siebie i brata.

– My i Nikolai – mówił Andreas.

Jeśli jeden z nich był z czegoś niezadowolony i płakał, drugi przemawiał zawsze w imieniu brata. Gdy byli już dość duzi, by zacząć w weekendy samodzielnie wstawać z łóżka, budzili się nawzajem i schodzili na dół, spelźniali po schodach, aż do pokoju z telewizorem w suterenie. Ja natomiast oddychałam z ulgą. Nie potrzebowali mnie już. Zrobiłam, co do mnie należało.

Mieli siebie nawzajem, a także chętnego do zabawy, kochającego ojca. Nie licząc dzieci, Haavard jest najbardziej serdeczny i jowialny wobec obcych ludzi, zwłaszcza w sytuacjach, gdy nic go to nie kosztuje. Im bardziej się człowiek do niego zbliża, tym bardziej się okazuje chłodny i zdystansowany.

Kłócimy się o śmieci pozostawione w kieszeniach spodni wrzuconych do prania, o segregację odpadów, o to, gdzie pojechać na wakacje, jak rozmawiać z chłopcami, czyja to wina, że ogród nie wygląda tak, jak powinien.

W ostatnim czasie mniej jest między nami otwartego ognia, więcej milczącej wojny pozycyjnej.

Szybko straciłam zainteresowanie seksem. Wszystko zaczęło się powtarzać, nic już nie było ekscytujące. Poza tym czułam się wiecznie zmęczona. Może nie

brzmi to zbyt oryginalnie, ale tak właśnie było.

I w końcu, po wielu latach narzekań na zbyt rzadki seks, dobierania się do mnie nocami w czasie, gdy nie było mowy, bym miała siłę na cokolwiek innego niż sen, mojego odwracania się plecami, jego niezadowolonych, pełnych urazy pomruków, to wszystko nagle się skończyło.

Przestał próbować. Co samo w sobie było w porządku. Może miał po prostu dość moich ciągłych protestów.

Jednocześnie zaczął sprawiać wrażenie bardziej niż kiedyś zadowolonego z życia. Szczęśliwszego. Zmienił się nawet jego wygląd. Nie jakoś znacznie, ale na tyle, bym zwróciła na to uwagę. Zniknął gdzieś wylewający się znad paska od spodni tłuszcz. A włosy, które zawsze nosił trochę za długie, zaczął pieczołowicie przycinać. Znów był od niego pełen nonszalancji czar.

Zrozumiałam, że klątwa, którą nieświadomie rzuciła na nas babcia Edith, zaczęła się ziszczać.

Haavard żył w przekonaniu, że zręcznie maskuje swoje ślady.

Tak jednak nie było. W jego służbowej teczce leżały paragony, zaczął nagle nosić prezerwatywy ukryte pod podszewką kosmetyczki. PIN jego komórki okazał się nieszczerólnie trudny do odgadnięcia. 2205, jak na niemal wszystkich innych urządzeniach. W pamięci telefonu znalazłam kilka dość intymnych wiadomości od paru kobiet, o których nigdy wcześniej nawet nie słyszałam.

Nienawidzę niewierności. Już od dzieciństwa, kiedy matka porzuciła ojca, uznawałam ją za coś najobrzydliwszego na świecie.

Lecz mimo to doszłam do wniosku, że jedynym sposobem poradzenia sobie z tym upokorzeniem będzie udawanie, że o niczym nie mam pojęcia.

## 24 – Haavard

Sabija opuszcza towarzystwo o wpół do jedenastej. Chwilę po niej wychodzi Roger, za kwadrans jedenasta sam dziękuję za miły wieczór.

Idę najpierw do swojego pokoju. Przylega do niego taras ze wspaniałym widokiem na ciągnące się po horyzont wzgórza w różnych odcieniach zieleni i szarości. Broszura na biurku informuje, że na terenie hotelu znajduje się basen. Otwarty do północy.

Może moglibyśmy najpierw trochę popływać dla rozgrzewki?

*Spotkajmy się na basenie za 10 minut. Trochę pływania przed snem?*, piszę.

Odpowiedź nadchodzi po piętnastu sekundach.

*OK, pod warunkiem że zachowamy odpowiedni dystans.* Jej zasadniczą wymowę łagodzi uśmiechnięta buźka.

Przebieram się szybko w strój sportowy. Jeśli przypadkiem spotkam kogoś jutro rano, będę mógł powiedzieć, że poszedłem pobiegać, obudziłem się wcześniej i już nie mogłem zasnąć. Biorę swoją kartę dostępu, spodenki kąpielowe, ręcznik i komórkę, po czym wymykam się z pokoju.

Ruszam przejściem między budynkami, sufit jest tu niski, a ściany przeszkłone, mijam po drodze drewnianą figurę wyobrażającą matkę i dziecko, pomalowaną na krzykliwe kolory. Zdaje mi się, że wyczuwam charakterystyczny zapach Jeana Paula Gaultiera.

Naprawdę mam nadzieję, że nie wpadnę na Rogera. W przeciwnym wypadku będę musiał zawrócić. Nie mam zamiaru pluskać się razem z nim, chyba bym umarł z zażenowania.

Na szczęście nie ma go na basenie.

Jest tylko Sabija, unosząca się na wodzie na plecach.

Pomieszczenie tonie w mroku, rozświetla je tylko kilka reflektorów, zawieszonych pod sufitem w przypominającym prostokąt układzie, i świece wstawione do szklanych pojemników. Woda w basenie skrzy się w blasku płomieni.

Jesteśmy sami, ale wielkie okna na jednej ze ścian wychodzą na hotelowy dziedziniec. Na dworze panują ciemności, więc stojący na zewnątrz ludzie mogą bez problemu zaglądać do środka, pozostając przez nas niezauważonymi. Czyli nie jest tu jednak tak dyskretnie, jak mi się wydawało. Ale mam to gdzieś. Już późno, wszyscy się trochę napili, można przecież zażyć kąpieli w basenie z koleżanką z pracy.

Sabija prostuje plecy, stoi w świetlnym prostokącie, woda sięga jej do piersi, ma mokre włosy, skrzące krople perlą się na jej złocistej skórze. Wygląda jak milion dolarów. Brigitte Bardot, Ursula Andress, Bo Derek, Halle Berry – tym paniom już dziękujemy, nie wytrzymują porównania.

Ruszam w stronę sauny, przystaję z dłonią na klamce – pasującym do konwencji drewnianym kločku.

– Wejdiesz ze mną na chwilę? – pytam w momencie, gdy Sabija przepływa obok mnie. Może jednak trochę stresuje mnie fakt, że ludzie mogą nas zobaczyć przez okna, w saunie będziemy niewidzialni dla całego świata.

– Wolalabym nie – odpowiada Sabija i zatrzymuje się na chwilę. – Dostaję w takich miejscach klaustrofobii, jest tak gorąco i duszno.

– Zgadzam się z tobą – mówię, chociaż to nieprawda, i wypuszczam klamkę z dłoni.

– Może to raczej ty byś do mnie dołączył? – pyta Sabija, patrząc na mnie wzrokiem, którego nie jestem do końca w stanie odczytać, po czym znów kładzie się na plecach i zaczyna płynąć. Jej ramiona unoszą się nad głową, stopy uderzają miarowo w wodę.

Schodzę po stopniach i się zanurzam, płynę za nią.

W całym pomieszczeniu unosi się dziwny zapach. Jakby spalenizny, kadzidelka albo czegoś w tym rodzaju, znam tę woń, ale nie jestem w stanie jej z niczym konkretnym skojarzyć, wywołuje to u mnie pewien dyskomfort pomimo przytulnego oświetlenia i cudownej, ciepłej wody.

Nabieram powietrza i nurkuję, otwieram oczy, ale bez gogli niewiele widać. Światło i cienie zdają się tańczyć pod powierzchnią, czuję zawrót głowy, zupełnie jakbym wypił dużo więcej niż w rzeczywistości.

Przez chwilę wydaje mi się, że spod sufitu spada na nas jakiś cień, ale gdy się wynurzam, odwracam i patrzę ku brzegowi basenu, niczego tam nie ma.

## 25 – Clara

Pukam we framugę otwartych drzwi punktualnie o godzinie ósmej.

Mona wymaga od nas, byśmy przychodzili punktualnie na czas. Nie chwilę po, nie chwilę przed, lecz z dokładnością co do minuty. Plotka głosi, że zażądała, by cotygodniowe spotkania naczelników wydziałów zaczynały się w czwartki o dwunastej pięć – po to, by ludzie nie przychodzili parę minut za późno. Teraz wszyscy pojawiają się punktualnie pięć po.

– Cześć, Claro – mówi Mona. – Możesz zamknąć za sobą drzwi.

*Zajrzyj do mnie o 8.00, jeśli będziesz już w pracy, napisała w tytule mejla, który wpadł mi godzinę wcześniej do skrzynki.*

Sama treść wiadomości ograniczała się do jej podpisu.

*Dyrektor administracyjna Mona Falkum.*

Przyszłam do tej pracy od razu po studiach, ale w procesie rekrutacji pokonałam podobno ludzi z dużo większym od mojego doświadczeniem, rzekomo dlatego, że miałam lepsze osobiste predyspozycje do objęcia tego stanowiska – cokolwiek miało to w praktyce znaczyć.

Na początku starałam się uczestniczyć w życiu towarzyskim ministerstwa, naczelnik wydziału zasugerował mi, że to dobry pomysł. Przychodziłam na piątkowe lunche z ciągnięciem losów, gdzie główną nagrodą była butelka wina, chodziłam po pracy na piwo do Justisen, dobrowolnie zgłaszałam się do przebiegnięcia sztafety Holmenkollen ze współpracownikami pozostającymi w mniej lub bardziej fatalnej formie i mającymi zerową właściwie motywację, skupionymi tylko na tym, by pójść po wszystkim na kielicha na Youngstorget.

Ale szybko z tym wszystkim skończyłam.

Zamiast tego zaczęłam przychodzić do biura jako pierwsza i wychodzić jako ostatnia.

Brałam papiery do domu i czytałam je w łóżku. Z czasem coraz szybciej dostrzegałam oczywiste rozwiązania i połączenia pomiędzy poszczególnymi sprawami, zaczęłam też chodzić do szefa i dzielić się z nim moimi wnioskami.



Uśmiechał się wtedy.

– Owszem – mawiał. – Można tak na to patrzeć. W teorii. W praktyce natomiast trzeba się liczyć z pewnymi przeszkodami.

Następnie wygłaszał trwający kwadrans monolog.

Potem próbowałam jeszcze rozmawiać z wieloma z moich współpracowników. Wszyscy posyłali mi ten sam uśmiech, zdający się mówić: „Z czasem pewnie zrozumiesz więcej”. Myślałam, że jeśli tylko podejść do sprawy dość poważnie, opracuję lepszą argumentację, będę umiejętniej przedstawiać swoje stanowisko, to ludzie zaczną mnie wreszcie rozumieć. Tymczasem robiłam, co do mnie należało, wywiązując się ze wszystkich obowiązków co do joty.

Praca urzędnika w ministerstwie przypomina wędrówkę przez gęsty, mroczny las. Człowiek pobłądzi trochę tu, trochę tam. Wypróbuje tę czy inną ścieżkę. Ale prędzej czy później i tak wpada w nowe zarośla, orientuje się, że szlaki prowadzą donikąd.

I tak mija piętnaście lat i w końcu przychodzi czas, by sobie uświadomić, że niczego się w tym czasie nie osiągnęło.

Mona siedzi za biurkiem, jest czerwona na twarzy i ma zaciśnięte wargi. Srebrzyste, krótko obcięte włosy przywodzące mi zawsze na myśl M, szefową Jamesa Bonda, układają się na jej głowie niczym hełm. Mona ma na sobie czarny żakiet ozdobiony kunsztowną srebrną broszką. Broszki są w ogóle jej znakiem firmowym.

– Był u mnie Munch i przedstawił swoje plany co do ciebie – zaczyna, gdy siadam na krześle po drugiej stronie biurka.

– Aha – mówię niepewnie. Zanim przejdziemy do konkretów, chciałabym ustalić, ile ona wie, w końcu sama mnie do siebie zaprosiła.

– No cóż... chyba nie rozważasz na poważnie zostania sekretarzem stanu?

Nazwę stanowiska wymawia, akcentując każdą sylabę.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Gdy Munch po raz pierwszy wyszedł z tą propozycją, wydała mi się ona śmiechu warta, zupełnie jakby to był jakiś żart. Ale im więcej czasu mijało, tym bardziej zaczynał mi się ten pomysł podobać. Po powrocie od taty spytałam Muncha, czy oferta nadal jest aktualna. Odpowiedział, że tak. Na razie.

Jako sekretarz stanu miałabym o wiele większy niż dotychczas wpływ na to, co się dzieje w ministerstwie – wpływ taki, o jakim dotychczas mogłam tylko marzyć.

Byłoby to poza tym coś nowego. A ja lubię robić rzeczy, których nie robi nikt inny, takie, których nikt ode mnie nie oczekuje i których się po mnie nie spodziewa.

Partia Muncha nie jest tak naprawdę nawet moją partią.

Ale może mogłabym zmienić ją od wewnątrz. Może takie działania okazałyby się skuteczniejsze niż wszystkie biurokratyczne wysiłki tego świata razem wzięte.

Mona śmieje się niepewnie, próbując rozbroić sytuację.

– Claro, jesteś jednym z moich najlepszych pracowników. Naprawdę myślisz o tym, by...

Milknie na chwilę, szuka odpowiednich słów.

– ...by dołączyć do ciemnej strony mocy? – podpowiadam z nieznacznym uśmiechem.

– Owszem, coś w tym rodzaju... Cóż, tak naprawdę to nie rozumiem, jak w ogóle możesz się nad tym zastanawiać. Po piętnastu latach nienagannie wykonywanej pracy urzędniczki? Chcesz zostać politykiem?

Wypowiada to słowo z autentyczną pogardą w głosie, taką, na jaką stać tylko biurokratę na wysokim stanowisku w chwilach najwyższego wzburzenia. Na co dzień wszyscy tu oczywiście udają, że żywią do siebie wzajemnie szacunek.

– Wiem, że naprawdę się napracowałam nad swoim projektem ustawy, ale system nie dojrzał jeszcze do zmiany. Nie możesz tak po prostu zrobić wolty. To nie działa w ten sposób. Owszem, tego rodzaju przejścia zdarzały się już w historii. Ale nigdy nie wychodziło z tego nic dobrego.

– Nie? – pytam, głównie po to, by pokazać, że słucham, ale wygląda na to, że dolewam tylko w ten sposób oliwy do ognia, bo Mona zaczyna perorować z nowym zapalem.

– Inger Louise Valle też była prawniczką i została nawet ministrem sprawiedliwości. Skończyło się to tak, że zdegradowano ją do ministra polityki regionalnej, a potem w ogóle się wycofała. Minister sprawiedliwości Anne Holt zaczęła chorować i odeszła ze stanowiska, by pisać powieści kryminalne.

Sekretarz stanu Haktor Helland przyszedł z wysokiego stanowiska urzędniczego w Ministerstwie Praw Dziecka i Równouprawnienia i przepadł w czystce po całej tej aferze z Rød-Larsenem. Nie wspominając już o tym, że takie przejście nie bywa zbyt przychylnie oceniane przez współpracowników.

– Ach – mówię. – Nie jestem jakoś szczególnie...

– ...zainteresowana tym, co ludzie o tobie myślą? – kończy Mona z westchnieniem i obie uśmiechamy się do siebie nieznacznie. – To czym ty właściwie jesteś zainteresowana?

– Osiąganiem konkretnych wyników. W ten czy inny sposób – oświadczam.

– Boże drogi – prycha Mona, teraz naprawdę po niej widać, że jest poirytowana. Dostrzegam, jak mięśnie jej twarzy napinają się nerwowo. – A nie sądzisz, że wszystkim na tym zależy? Naprawdę uważasz, że osiągniesz więcej jako dziewczynka na posyłki Muncha?

Odchyła się w tył, jakby w ten sposób chciała mi się dokładniej przyjrzeć.

– Ludzie sympatyczni nie kończą na prestiżowych stanowiskach kierowniczych, pamiętaj o tym. Anton Munch ukręcił łeb twojemu projektowi ustawy. Poza tym: co się z tobą stanie w dniu, w którym on odejdzie? Cóż, może nie powinnam tak wprost o tym z tobą rozmawiać, ale wiem, że jesteś dyskretna. Munch jest dobry w tym, co robi. I sprawia wrażenie kogoś, z kim się miło współpracuje. Ale ja się z nim widuję częściej niż większość z was i zaczęłam dostrzegać pewne rzeczy. Nie powinnaś mu ufać. On się potrafi pokazać od zupełnie innej strony. Rozumiesz, co mam na myśli?

Kiwam głową.

Mona wstaje, okrąża biurko, podchodzi do mnie i kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Claro... Jeśli zmienisz zdanie, to uznam, że tej rozmowy nigdy nie było. Głupio tak uprzedzać fakty. Ale słyszałam, że niedługo ma się u was zwolnić stanowisko naczelnika wydziału. Miałabym duży wpływ na wybór odpowiedniego kandydata. O ile oczywiście nie zmienisz stron – mówi, świdrując mnie spojrzeniem.

Milczę, bo nie wiem, co mogłabym powiedzieć.

– Obiecuj mi chociaż, że się nad tym zastanowisz – dodaje Mona.

– Mogę się zastanowić – odpowiadam, powtarzając niczym echo to, co

ostatnio mówiłam Munchowi, po czym wstaję z krzesła.

## 26 – Haavard

Chwilę po wpół do dziewiątej budzą mnie syreny, krzyki i klaksony za hotelowym oknem. Natychmiast ogarnia mnie przecucie, że nastąpiła jakaś katastrofa.

Wyskakuję z łóżka, chwytam kartę dostępu i zbiegam do recepcji, gdzie kłębi się tłumek zdezorientowanych ludzi.

– Co się dzieje? Chyba zasnęłam – mówię, choć zdaje mi się, że mam wypisane na czole, co tak naprawdę robiłem tej nocy.

Właściwie to miałem zamiar w ogóle nie spać, nie chciałem przegapić ani sekundy z Sabiją. Ale ostatecznie oboje zasnęliśmy koło wpół do trzeciej. Obudziliśmy się już o szóstej i wtedy Sabija dała mi jasno do zrozumienia, że najwyższy czas, bym się wynosił.

Poszedłem do swojego pokoju i zwałem się na sofę, kompletnie wykończony, w stroju sportowym, w którym przemykałem się po hotelu poprzedniego wieczora.

– Nic nie wiadomo – odpowiada mi Roger.

W drzwiach stają trzech umundurowani funkcjonariusze policji, ruszają w głąb hotelu. Wyglądają, jakby należeli do wydziału patrolowego albo coś w tym rodzaju. Co tu się właściwie dzieje? Moje serce zaczyna bić jak oszalałe.

– W każdym razie to coś poważnego – stwierdzam.

Za oknem dostrzegam kilka ambulansów i radiowozów, auta wjechały na hotelowy dziedziniec i zaparkowały tuż pod drzwiami.

– Słyszałam, jak ktoś mówił, że znaleziono zwłoki – mówi Bente. – To jakieś kompletne szaleństwo...

– Jesteśmy pewni, że to nikt z naszych? – pyta Roger.

– To dobre pytanie – mówię. – Chociaż właściwie wszyscy jesteśmy tutaj...

– A Sabija, widział ją ktoś? – pyta Bente.

Przechodzi mnie dreszcz.

– Ja nie – oświadcza Roger.

– Ani ja – wtóruję mu i próbuję sobie dokładnie przypomnieć wydarzenia tego poranka. Czy coś mogło jej się stać po tym, jak wyszedłem z jej pokoju? I jeśli tak, to czy ktoś zdążyłby już ją znaleźć? Raczej nie. Choć mimo wszystko...

– Spróbuję do niej zadzwonić – mówię.

Wyciągam komórkę z kieszeni, dzwonię. Nie odbiera.

– Pójdę jej poszukać – oświadczam i wychodzę przez jadalnię, kierując się w stronę schodów i piętra, na którym znajduje się jej pokój.

Najpierw wspinam się po stopniach równym, spokojnym krokiem. Po chwili zaczynam biec.

Serce wali mi w piersi, mam sucho w ustach. Wszystko jest w porządku, próbuję sobie powtarzać. To nie ona, Sabija jest w swoim pokoju i się stroi, maluje, układa włosy czy coś w tym rodzaju, to przecież trwa, ona bardzo pilnuje takich spraw.

Ale gdy pukam do jej drzwi, nikt nie otwiera. Próbuję zajrzeć do środka przez judasza, ale po drugiej stronie widzę tylko jakieś zamglone kształty. Znów chwytam telefon i wybieram jej numer. Nie odbiera. Za to słyszę dzwonenie po drugiej stronie drzwi.

Czyżby była w pokoju? A może tylko zostawiła telefon?

Nagle widzę wszystko wyraźnie oczyma duszy. Sabija leżąca na łóżku, uduszona albo pobita na śmierć. Może ten jej przystojny mąż naprawdę jest stuknięty, może się o nas dowiedział, przyjechał tu i się na nią rzucił.

Rany boskie, to wszystko moja wina.

Mam ochotę zwymiotować. Nie powinienem był wczoraj pić. Nie powinienem był iść na basen. Trzeba było lepiej się wyspać. Nie być niewiernym palantem.

Pełno tu policji, znów ktoś nie żyje, znów to samo, od nowa. Sabija zaginęła. Kurwa mać. Stoję pod jej drzwiami z pochyloną głową i dłońmi opartymi o ścianę. Ktoś wychodzi zza rogu.

Sabija, cała, zdrowa i jak najbardziej żywa. Spocona, czerwona na twarzy, w sportowym stroju.

– Haavard? Co tu robisz? – pyta.

– Sabija? Ty... tutaj?

– No tak – odpowiada mi zaskoczona. – A gdzie indziej miałabym być?

– Rany boskie, przez chwilę myślałem, że ty... nie żyjesz.

– Nie żyję? – powtarza. Zaczyna się ironicznie śmiać. – No pewnie, i co jeszcze...

Ogarnia mnie taka wściekłość, że mam ochotę ją uderzyć.

– Przestań, do cholery... Kogoś tu zamordowano tej nocy – mówię. – A ciebie nie było w pokoju, nie odbierałaś telefonu...

– Poszłam pobiegać. Ale... jak to zamordowano? – pyta Sabija, otwiera szeroko oczy. – Poważnie?

– Owszem, zdaniem policji. Więc chyba rozumiesz, że się o ciebie martwiłem. Nie widziałaś radiowozów? Byłaś przecież na dworze.

Sabija kręci głową.

– Weszłam tylnymi drzwiami.

Za rogu wychodzi Roger, zatrzymuje się przed drzwiami na lewo od jej pokoju.

– Konsylium lekarskie? – pyta znacząco.

Żadne z nas nie odpowiada. Sabija chwaliła mi się, że jest na piętrze sama, z dala od reszty naszej grupy. Chyba nie miała racji.

– No cóż, nie będę wam przeszkadzał – rzuca Roger i znika za drzwiami.

– Co to niby miało znaczyć? – pyta Sabija, posyłając za nim pełne sceptycyzmu spojrzenie.

– Słuchaj – mówię, opieram dłoń o ścianę zaraz przy jej głowie i się nad nią nachylam. – Ja...

– Haavard – przerywa mi Sabija, kręci głową i posyła mi lodowate spojrzenie. – Nie tutaj. Nie teraz. Okej?

– Ależ daj spokój – pryham, znów wzbiera we mnie złość, ale zanim mam czas dodać coś więcej, ona przemyka pod moim ramieniem i znika za rogiem, tym samym, zza którego przed chwilą wyłonił się Roger.

Nasza wspólna noc była dokładnie taka, jak sobie wyobrażałem. Namiętna, pełna intymnej bliskości. Ale rankiem Sabija wydała mi się obojętna

i lekceważąca, sprawiała wrażenie, jakby chciała się mnie jak najszybciej pozbyć.

A teraz, gdy nie znalazłem jej w pokoju i odchodziłem od zmysłów, myśląc, że jest martwa, zaśmiała mi się tylko w twarz.

Jak to możliwe, że zaszła w niej tak szybka zmiana?

Stoję pod jej drzwiami niczym zbity, odpędzony kopniakiem pies. W całym hotelu roi się od policji.

– Przesłuchiwali cię? – pytam, gdy razem wychodzimy na dwór, dopadłem ją podczas lunchu i zażądałem, by spotkała się ze mną w parku. Seminarium kompletnie się rozjechało, rozmawiamy wyłącznie o zabójstwach. Ale nie możemy wyjechać z Lysebu, dopóki nie zezwoli nam na to policja.

– Jeszcze nie – odpowiada Sabija. – A ciebie?

– Nie. Ale mam zamiar im powiedzieć, że spędziłem całą noc w twoim pokoju. Co ty im powiesz?

– Że byłem całą noc u siebie – odpowiada, zerkając na mnie z ukosa. – Bo to przecież prawda.

– A potwierdzisz, że też tam nocowałem? – pytam i aż się kulę, słysząc ton swojego głosu.

Sabija kręci bez słowa głową.

– Bente usłyszała, że zwłoki leżały w saunie – mówi po chwili.

– Ach tak.

– I że to Melika Omid Carter we własnej osobie.

– Co? – pytam, przystaję i wbijam w nią wzrok. – Jaja sobie robisz?

– A wydaje ci się, że to jest temat do żartów? – rzuca Sabija pełnym wrogości tonem.

Wokół nas brzęczą pszczoły z pobliskich uli, poprawnych politycznie i niosących nadzieję. Mamy stąd widok na szklarnię z ciepłolubnymi roślinami. Na niewielką altanę, będącą w rzeczywistości konstrukcją wzniesioną z paru drągów nad białą marmurową ławką, niczym jakaś egzotyczna klatka dla ptaków lub ozdobna pokrywa patery, pewnie robi się tam mnóstwo zdjęć w ramach sesji ślubnych. Cała ta idylla wydaje się teraz wręcz mdląca.



– Słuchaj, a to nasze wyjście na basen? – zaczynam. – Może będzie najlepiej, jak o nim nie wspomnimy. I o naszej liście?

– O twojej liście.

– W porządku. Mojej. Tak czy inaczej, uważam, że powinniśmy uzgodnić zeznania.

– Ta kobieta zasługiwała na śmierć – mówi Sabija z dziwnym błyskiem w oczach. – Przyjmowałam ją z którymś z jej dzieci w przychodni. To był jeden z najgorszych przypadków, jakie widziałam.

– A wyklucasz, że to mógł być jej mąż?

– Facet jest obrzydliwie bogatym, urodzonym w Iranie biznesmenem z Los Angeles, gdzie mieszka, ona jest tu sama z dziećmi. Wierz mi, nie mam wątpliwości, że to ona. Tacy ludzie reprezentują wszystkie grupy społeczne, wszystkie narodowości i wszystkie epoki. Melika to na sto procent jedna z tych, którzy sami doświadczyli różnych rzeczy, tak koszmarnych, że nie byłbyś ich sobie nawet w stanie wyobrazić... A po tym, jak wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu poradziła sobie w życiu i osiągnęła sukces, zmieniła się w kogoś, kto robi swoim dzieciom dokładnie to samo, czego doświadczał w przeszłości.

– To jak jakaś pieprzona choroba genetyczna.

– Właśnie tak – rzuca Sabija ponuro.

Gdy wracamy do środka, reszta naszej ekipy siedzi przy stolikach w hotelowym lobby nad filiżankami z kawą. Wszyscy są bladzi i wyglądają niewyraźnie.

– Gdzie jest Askildsen? – pytam.

– Negocjuje z policją, żeby nas już puścili do domu – mówi Roger.

– Byłoby fajnie, gdyby znaleźli tego faceta, który biega po okolicy, mordując ludzi – stwierdzam lakonicznie.

– Tak... albo babkę – odpowiada pielęgniarz.

– Co wy właściwie chcecie przez to powiedzieć? – pyta Bente. Jej głos brzmi tak, jakby się zaraz miała rozplakać.

– Tyle tylko, że nie mamy pojęcia, kto to jest – stwierdza Roger. – Mordercą może być ktokolwiek, mężczyzna albo kobieta.

– Bardzo prawdopodobne – prycha Bente.

– Ale najpewniej jest to ktoś z nas, nie sądzicie? – ciągnie Roger. – Zastanówcie się nad tym przez chwilę. Dwa zabójstwa, przy każdym byliśmy obecni...

– Chwila! – przerywam. – Jeśli mordercą jest ktoś z nas, to nie sądzisz, że ta osoba wybrałaby sobie jakieś inne miejsca zbrodni? Gdybym to ja zabijał tych ludzi, niekoniecznie robiłbym to w Ullevål czy Lysebu. Już prędzej u nich w domu. Czy gdziekolwiek indziej, gdzie nie ściągałbym na siebie podejrzeń.

– Co do tego nie sposób się nie zgodzić – przyznaje Roger. – Ale mimo wszystko... dwa zabójstwa w dwa tygodnie, tuż pod naszym nosem? Oczywiście, że zaczną nas podejrzewać. Naprawdę mi się to nie podoba.

– Mnie też nie – oświadcza Bente, ocierając oczy.

Czuję, jak wzbiera we mnie lęk. Półprawdy powtarzane policji mogą wpędzić mnie w niezłe tarapaty. Jestem niewiernym, kłamliwym idiotą.

Dołącza do nas Askildsen, ma płaszcz przewieszony przez ramię i ciągnie za sobą walizkę.

– Przyjechali nasi znajomi z policji. Elin i Morten. Czyli to zabójstwo jest najwyraźniej ich zdaniem powiązane z tym w szpitalu. Proszą, żebyś teraz ty poszedł z nimi porozmawiać, Haavard, potem Sabija i na końcu Roger. Bente może jechać do domu, skontaktują się z nią później.

– To prawda, że znaleźli trupa w saunie? – pyta Roger, zerkając na mnie i Sabiję.

– Chyba tak – mówi Askildsen i wzdycha. – Ale z tego co mówili, zrozumiałem, że biedaczka została zabita już wczoraj wieczorem...

– I przeleżała tam, gotując się, całą noc? – pyta Roger, krzywiąc się z niesmakiem.

– Kurwa mać – kwituję.

– Właśnie, daj spokój – rzuca Sabija.

– Tego nie wiemy – stwierdza Askildsen. – Tam chyba jest zamontowany czasomierz, który automatycznie wyłącza saunę, żeby nie trzeba było schodzić co wieczór i robić tego ręcznie. Ale słuchajcie, proponuję, żebyśmy nie snuli na ten temat domysłów. Sprawa i tak jest już dość nieciekawa.

– Jeśli do niej strzelano, to dlaczego nikt nic nie słyszał? – pyta Bente.

– Istnieją przecież tłumiki – mówi Roger. – Jak ten, którego użyto w Ullevål.

– Skoro to kolejna ofiara pochodząca z zagranicy, kolejna, która została zastrzelona z pistoletu, i kolejna, której zabójca po prostu rozpłynął się w powietrzu, to chyba musi być tu jakiś związek? – pytam, nie wspominając o innych cechach łączących obojga zamordowanych.

– Oni tam na ciebie czekają, Haavard – przypomina mi Askildsen.

– No tak, już idę – mówię i wstaję z krzesła.

## 27 – Roger

Nie podoba mi się, że znów mnie wezwali na rozmowę, że najwyraźniej im się spieszy, by ze mną pogadać. Czyżbym nadal był podejrzany?

– Okej, Roger, możesz nam powiedzieć, co robiłeś, odkąd koło dwudziestej drugiej czterdzieści pięć wyszedłeś z jadalni? – pyta policjantka, pakując pod wargę porcję snusu. Nie sądziłem, że wolno im sięgać po używki w czasie pracy. Nie wygląda to dobrze.

– Nie chciało mi się spać – odpowiadam. – Pochodziłem trochę po hotelu. A potem zrobiłem krótki spacer po okolicy.

– Sam?

– Tak.

– I ile czasu tak spacerowałeś?

– Cóż, może z pół godziny?

– A zaglądałeś też do kompleksu basenowego?

– Właściwie to nie...

– Właściwie? Co to znaczy?

– No bo tak... pochodziłem między budynkami, próbowałem się zorientować, co gdzie jest. I w pewnym momencie zszedłem po schodach przy tamtym skrzydle, ale przystanąłem, gdy do mnie dotarło, że jest tam tylko basen. Potem ruszyłem na spacer po okolicy.

– Czyli nie wszedłeś do szatni ani nigdzie dalej?

– Nie, nie wszedłem.

– Rozmawiałeś z kimś?

– Nie – powtarzam.

Teraz już jestem prawie pewien, że mi nie wierzą.

Byłem zbyt blisko miejsca zbrodni, zbyt wiele razy. Muszę coś zrobić, by odwrócić od siebie ich podejrzania.

– Ale... kogoś widziałem.

– Opowiedz nam o tym – prosi policjantka.

– Wychodząc z podziemi, zobaczyłem, jak do kompleksu basenowego wchodzi Haavard. Gdy spacerowałem na dworze, minąłem kilka dużych okien, przez które dało się zajrzeć do środka. A wtedy...

Waham się chwilę, robiąc wrażenie, że nie jestem pewien, czy to powiedzieć.

– Tak?

Pytanie zadaje Morten. Zachęcającym tonem. Wydaje się szczerze zainteresowany. Podoba mi się ten facet.

– Cóż, zobaczyłem na basenie Haavarda z Sabiją. Ona pływała. A on tylko stał przy brzegu i na nią patrzył.

– Widziałeś ich z zewnątrz, tak? Długo to trwało?

– Nie, może z pół minuty. Jak się nad tym zastanowić, to właściwie dziwne, że tam byli, zwłaszcza biorąc pod uwagę tamtą noc w Ullevål. Bo wtedy też ich widziałem.

– Okej, musisz nam to dokładniej wyjaśnić – mówi funkcjonariuszka.

– Haavard i Sabija – mówię, pochylam się nad stołem i nabieram powietrza. – Widziałem ich. Razem. Przed szpitalem. Byli tam w tym samym czasie co ja, choć nie mieli ku temu żadnego sensownego powodu. Ale zakładam, że wam o tym powiedzieli?

## 28 – Haavard

Chłopcy włączyli zraszacz pod trampoliną. Skaczą w kroplach tryskającej od spodu wody przebijających się przez czarną elastyczną tkaninę, rzucają się w bok niczym zadowolone delfiny, robią salta w tył i w przód, wrzeszczą i śmieją się radośnie. Słoneczne promienie rozszczepiają się w wodnej mgiele, tworzą niewielkie tęcze.

Drobne dziecięce ciała w słońcu, w wodzie są piękne niczym rzeźby, tyle w nich nadziei na przyszłość.

Mam wrażenie, że chłopcy rosną z dnia na dzień. Choć równocześnie wydaje mi się, że dopiero co przyszli na świat.

Tamtego dnia próbowałem, wbrew zdrowemu rozsądkowi, trzymać Clarę za rękę, kłaść na jej czole mokry ręcznik, oddychać razem z nią, wszystkie te rzeczy. Ale ona tylko mnie odganiała. Była silna jak zawsze. A przecież oddychanie to ostatnia rzecz, do której potrzebowałaby czyjejś pomocy. Poświęcała tym wszystkim swoim technikom całe godziny.

– Jak oceniałaby pani poziom bólu w skali od jednego do dziesięciu? – spytała położna, gdy rozwarcie zwiększyło się z dwóch do ośmiu centymetrów w ciągu zaledwie godziny.

– Może pięć? – odrzekła Clara.

– Stwierdzono u pani kiedyś nienaturalnie wysoką tolerancję na ból? – dopytywała położna.

Clara wzruszyła ramionami.

– Ona z pewnością ma coś takiego – wtrąciłem, czując, że powinienem coś powiedzieć, na coś się przydać. Ale pożałowałem tych słów, gdy tylko je wypowiedziałem, bo miałem wrażenie, że zdradzam tę szczupłą, delikatną istotę z monstrialnym brzuchem.

Najgorsza dla niej była chyba konieczność leżenia tam nago, bycia zależną od lekarzy, położnych i ode mnie. Może właśnie dlatego w trakcie całego porodu nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Wymogła na personelu

medycznym możliwość rodzenia bez znieczulenia zewnątrzoponowego, choć w przypadku bliźniaków pozostawało to w niezgodzie z wszelkimi wytycznymi.

Może raz czy dwa stęknęła. Ale oprócz tego nic. Ani jednego słowa, ani jednego krzyku.

Zupełnie nie przypominało to żadnego z porodów, przy których byłem obecny jako stażysta.

Pojechałem wczoraj do Lysebu przepełniony radosnym oczekiwaniem i optymizmem. W domu wszystko się układało, Clara obiecała zająć się chłopcami, ja miałem swój projekt i czekała mnie doba z Sabiją – zdążyłem też nabrać trochę dystansu do sprawy Fajsala i Mukhtara Ahmadów.

Lecz w ciągu tej jednej zaledwie doby wszystko runęło.

Patrzę na wodę, na liście krzewów, słońce, które kryje się między gałęziami, lecz widzę to wszystko jak przez mgłę.

Tryskająca woda, śmiech, skrzypienie trampoliny, wszystkie te letnie odgłosy zdają się do mnie dochodzić gdzieś z oddali.

W tym pięknym, harmonijnym, spokojnym otoczeniu jest coś złowróżbnego. Beztroska sielanka stanowi zbyt jaskrawy kontrast w zestawieniu z tym, o czym czytałem przez ostatnie tygodnie, na co się napatrzyłem przez lata, a czego skalę dopiero teraz zaczynam rozumieć.

Przypomina mi się nagle wers ze szwedzkiego wiersza.

Autorem jest chyba Pär Lagerkvist.

„Wszystko do mnie należy i wszystko będzie mi zabrane, wkrótce wszystkie rzeczy będą postradane”.

Znów przepelnia mnie poczucie, że czegoś nie dostrzegam, skojarzenia są nieuchwytnie jak rybki, które chłopcy zawsze próbują złapać do siatki, gdy kąpiemy się w morzu, a które zawsze im uciekają.

Tyle jest zła na świecie.

Ale kto właściwie za nie odpowiada? Ludzie, którzy są w stanie pobić swoje dziecko do nieprzytomności albo na śmierć? Czy ci, którzy tych ludzi zabijają? Może i jedni, i drudzy? Czy w takich przypadkach cel naprawdę uświęca środki?

Jeśli odbierasz życie komuś, kto zabija i krzywdzi innych – czy można to usprawiedliwić?

Andreas położył się na plecach na mokrej trampolinie, próbuje podrzucać piłkę stopami. Nikolai razem z kolegą napuszczają wody do tandetnego nadmuchiwanego basenu, w którym można usiąść niczym w jacuzzi. Bliźniacy dostali ten basen na urodziny od dziadka Leifa, ja się na jego widok skrzywiłem, ale chłopcy byli oczywiście zachwyceni.

Już po kilku chwilach rozpoczynają swoje ulubione zawody we wstrzymywaniu oddechu, bawią się tak, odkąd skończyli jakieś trzy lata. Potrafią zniknąć pod wodą na całą wieczność.

– Miałeś nocny dyżur? – pyta Andreas, patrząc na mnie ze współczuciem, widzi pewnie, jaki jestem niewyspany. Kręcę głową.

– Nie, tylko takie dłuższe spotkanie w pracy. I źle spałem w hotelu.

Tego popołudnia siadamy do obiadu we czwórkę, co zdarza się ostatnio bardzo rzadko. Clara wróciła do domu i przygotowała jedzenie, ja zaś nakryłem do stołu, opowiadając jej przy tym o nowym zabójstwie.

Kuchnia serwuje dziś łososa ze szpinakiem, jedno z popisowych dań mojej żony.

Clara nie lubi gotować, wyobrażam sobie, że oddycha z ulgą za każdym razem, gdy stawia przed nami posiłek, może wtedy wykreślić pozycję „obiad” ze swojej listy obowiązków. Przygotowując to danie, ma chyba poczucie, że robi coś ekstra, zupełnie jakby do niej jeszcze nie dotarło, że hodowlany łosoś nie jest szczególnie zdrowy.

Jak zawsze smażyła rybę na zbyt gorącym tłuszczu, brzegi są spalone, a środek – surowy i ledwie ciepły. Cząstki ziemniaków pływają w oliwie. Szpinak jest niedoprawiony i bez smaku. Muszę gryźć się w język, by tego nie komentować.

– Fuj, nie chcę łososa – mówi Nikolai.

– Ja też nie – wtóruje mu Andreas. – Czemu znów jest łosoś?

Clara spogląda na nich ponad szklanką z wodą, w milczeniu i bez jakiegokolwiek mimiki, jak za każdym razem, gdy ją rozczarowują. Do moich obowiązków należy natomiast sprawienie, by zmienili zdanie.

– Dajcie spokój, głupolki – mówię. – Nie chcecie być duzi i silni i ogrywać wszystkich innych chłopców na boisku? Bo łosoś i szpinak to najlepsze, co



w tym pomaga, daje supermoce.

Od lat powtarzam im z grubsza to samo, wiem, że już w to nie wierzą, ale udaje mi się przynajmniej sprawić, że obaj zjadają po kawałku ryby.

– Mogę to połać keczupem? – pyta Andreas.

– Boże drogi – wzdycha Clara i kręci głową. Ma do keczupu absolutną awersję, zupełnie jakby sądziła, że autorem jego receptury jest sam szatan.

– Keczup do łososia ze szpinakiem to chyba nie najlepszy pomysł – mówię. – Bo psuje cały superefekt, naukowcy badali to przez wiele lat...

– Och, tatoooo – mówi Nikolai i wybucha nagle swoim najserdeczniejszym śmiechem. Andreas zaczyna mu wtórować, nawet Clara unosi lekko kąciki ust.

– Zjedzcie do końca i uciekajcie.

– Dobra! – mówią chłopcy chórem, połykają w pośpiechu ostatnie kawałki, rzucają sztucę na stół i biegną się bawić.

– Dobra robota – stwierdza Clara, unosząc brwi. – Takie jedzenie w biegu...

– Okej, w takim razie proponuję, byś następnym razem sama spróbowała – odcinam się.

Kończymy posiłek w milczeniu. Wstaję od stołu i zaczynam zbierać naczynia. Clara wkłada je do zmywarki.

– A tak przy okazji, to dostałam ofertę pracy... – odzywa się nagle.

– Ojej – mówię. Co to może być? Jakaś kancelaria adwokacka? Wiem, że tego rodzaju miejsca często rekrutują pracowników ministerstwa. Ale Clara chyba zbyt długo siedzi za biurkiem, by się nią zainteresowali. – A gdzie?

– W Ministerstwie Sprawiedliwości...

Muszę ugryźć się w język, by nie zacząć z niej drwić. Spędziła w końcu w tym ministerstwie już kilkanaście lat.

– Mam nadzieję, że to jakieś wyższe stanowisko?

– Sekretarz stanu – odpowiada Clara, uśmiechając się jak mała dziewczynka. – Woll od nas odchodzi. A Munch chce, bym go zastąpiła.

Zamieram z rozdziawionymi ustami i patelnią w dłoni.

– Ale przecież ty jesteś urzędniczką! Często dochodzi do takich zamian?

– Nie. Ale już się zdarzało. I zdarzy się znowu – mówi Clara, a ja zaczynam się zastanawiać, czy ta biblijna retoryka jest przypadkowa, czy nie.

Wstawiam patelnię do zlewu, siadam na jednym z kuchennych stołków.

– Ale nie tym razem?

Moja żona wzrusza ramionami, znów przestawia talerze w zmywarce.

– Poczekaj chwilę – mówię. – Poważnie się nad tym zastanawiasz?

– Może – odpowiada mi z półśmiechem. – Sądzisz, że jestem szalona?

– Owszem, trochę tak. Czy tacy ludzie nie pracują przypadkiem dzień i noc? I poza tym miałybyś porzucić stałe stanowisko dla jakiejś funkcji, z której mogą cię z dnia na dzień zwolnić?

– Ty też nie masz stałej pracy – mówi Clara, co jest zgodne z prawdą. W Ullevål dostaje się stałą pracę mniej więcej w okolicach pięćdziesiątki. I to nie zawsze. Przeważnie wtedy, jeśli miało się już gdzieś wcześniej takie stanowisko, potrzeba także sporo szczęścia.

Dla mnie nie jest to aż tak ważne, ale wiem, że moim kolegom i koleżankom bardzo zależy na umowie na czas nieokreślony. Atmosfera w miejscu pracy robi się przez to niezdrowa, nikt nie ma odwagi przeciwstawiać się przełożonym.

– A nie wolałabyś nacieszyć się życiem? Trochę odpocząć? Podróżować, pić dobre wino? Wyjechać na długi urlop?

– Nie – odpowiada Clara, patrząc na mnie, jakbym gadał skończone głupoty.

Nigdy nie jestem pewien, czy rozumie w takich chwilach, że tylko się z nią drażnię. Albo próbuję żartować.

Wyjazd „do domu”, na zachodnie wybrzeże, na to ma ochotę. Na urlop już nie.

Clara jest i na zawsze pewnie pozostanie najzdolniejszą dziewczynką we wsi, kobietą ambicji, rywalizacji. Raczej nie kimś, kto poświęcałby czas na smakowanie życia.

– Przecież nie znosisz mieć nad sobą przełożonych. A tak w ogóle, to czy ty lubisz tych ludzi? Myślałem, że nie przepadasz za Munchem?

– Faktycznie za nim nie przepadam. Ale to nie gra większej roli. Mam taki plan, żeby rozsadzić to wszystko od środka, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi?

W jej głosie słychać zapal, którego od dawna nie słyszałem.

Nie powinienem od razu tego torpedować. Lepiej byłoby ją wysłuchać, przyznać jej rację, pozwolić, by sama dostrzegła w tym szaleństwo.

Niestety, nie jestem taki cwany.

– Nie – mówię. – To się nie uda. Nawet tobie.

W tej samej chwili uświadamiam sobie, że zrobiłem straszny błąd. I że jest już za późno, by cofnąć te słowa.

– W porządku – mówi po prostu Clara złowieszczym tonem, ze stężałą twarzą.

## 29 – Clara

Drzwi do gabinetu ministra są zamknięte.

– Zaraz będziesz mogła wejść – mówi Vigdis, która siedzi i odpowiada na zaproszenia do udziału w różnych wydarzeniach.

„Tak” w sprawie wygłoszenia przemówienia pierwszomajowego w przyszłym roku. „Tak” w sprawie kongresu partii. „Tak” w sprawie wywiadu dla prasy.

„Nie” w sprawie prezentacji ulubionego przepisu w książce kucharskiej i audycji radiowej, w której minister miałby wybierać muzykę.

Stoję obok wypchanego niedźwiedzia polarnego i przeglądam leżące na stoliku gazety: „VG”, „Dagbladet”, „Aftenposten”. Nagłówki na pierwszych stronach krzyczą o dwóch zabójstwach imigrantów.

Zdaje się, że „VG” ma gdzieś w komendzie źródło informacji, kogoś takiego jak Deep Throat, kto zabiera głos w różnych sprawach, ujawniając przy tym poufne dane, zapewne ku wielkiej frustracji swoich przełożonych.

Jak na razie wykryły się dwie główne teorie, podsumowuje dziennikarz, podkreślając przy okazji zastanawiający fakt, że grupa pracowników szpitala Ullevål znajdowała się w pobliżu obu miejsc zbrodni w czasie, gdy morderca atakował.

Pierwsza teoria głosi, że jakiś zaburzony psychicznie rasista biega po stolicy i zabija imigrantów, w najlepszym stylu Mężczyzny z Laserem.

Mamy sezon ogórkowy i gazeta powtarza starą historię Mężczyzny z Laserem, próbując dotrzeć w ten sposób do nowych czytelników.

Od sierpnia 1991 do stycznia 1992 roku Szwed John Wolfgang Alexander Ausonius w Sztokholmie i Uppsali postrzelił z karabinu z celownikiem laserowym dwanaście osób.

Tylko jedna z jego ofiar zmarła, ale wielu ludzi zostało kalekami na całe życie. Tych dwanaścioro łączyła jedna cecha, mianowicie ciemny kolor skóry.

Matka Ausoniusa była Niemką, ojciec – Szwajcarem. Sam zabójca był

w dzieciństwie prześladowany z powodu czarnych włosów i ciemniejszej karnacji.

Jego zbrodnicza działalność doprowadziła do drugiej co do wielkości akcji policyjnej w historii Szwecji i po sześciu miesiącach intensywnych działań policji Ausonius został ujęty na gorącym uczynku, w trakcie próby napadu na bank. Zdiagnozowano u niego dysocjacyjne zaburzenie tożsamości.

Dziennikarz uzupełnia artykuł informacją, że Ausonius dopiero teraz, w roku 2018, został skazany za zabójstwo kobiety we Frankfurcie w 1992 roku.

„Jeśli w Oslo faktycznie jest człowiek, który zdecydował się pójść w ślady Mężczyzny z Laserem, to może być to wywołane spolaryzowaniem w ostatnim czasie politycznych frontów i medialnymi wystąpieniami prawicowych działaczy, podkreślających problem zorganizowanej przestępczości w środowiskach młodych wyznawców islamu”, komentuje gazeta.

Natomiast według teorii numer dwa chodzi tu raczej o wewnętrzne porachunki grup przestępczych, w których działają imigranci.

Zabójstwo Ahmada dobrze się w to wpisuje.

Śmierć irańsko-amerykańskiej bizneswoman Meliki Omid Carter pasuje do tej koncepcji już nieco gorzej. Ale może i ona mogłaby mieć kontakty w tego typu środowiskach, przecież nie jest to coś, czym ludzie zwykli się chwalić.

Policja nie jest w stanie powiedzieć nic więcej, funkcjonariusze nie chcą też snuć spekulacji.

Media próbowały nakłonić do rozmowy Askildsena, spytać go, jak to możliwe, że jego podwładni byli obecni na obu miejscach zbrodni, ale ten konsekwentnie odmawia kontaktów z dziennikarzami.

W wielu gazetach pojawiają się zainspirowane tymi sprawami obszerne komentarze.

„Policja musi coś z tym zrobić, zanim całe miasto pogrąży się w chaosie”, możemy wyczytać w jednym z nich.

– Zabrałaś mi mój pisak! – wrzeszczy ktoś za moimi plecami. – On jest mój! Mój!

Odwracam się. Przy stoliku siedzą dwie anemiczne dziewczynki, na oko cztero- czy pięcioletnie, mają włosy splecione w mysie ogonki, spódniczki baletnicy i pasiaste rajstopy. Rysują, a na ekranie wiszącym za ich plecami leci

Cartoon Network.

Córki Muncha.

– Wszystko w porządku, dziewczynki? – pyta sekretarka i wstaje, gotowa rozpocząć mediacje.

W tej samej chwili otwierają się drzwi.

Z gabinetu wychodzi Woll, przez jakąś sekundę czy dwie mierzymy się wzrokiem.

Następnie wkraczam do środka, zamykam za sobą drzwi i stoję na środku gabinetu, przed biurkiem ministra.

– Rany boskie, Claro, te zabójstwa spędzają mi sen z powiek – mówi Munch.

– Pismaki nie interesują się niczym innym, nic ich poza tym nie obchodzi, przecież to szaleństwo. Ale nie mówmy o tym. Jak się miewasz? Podjęłaś decyzję?

Rozpiera się w fotelu i patrzy na mnie wyczekująco.

Biłam się z myślami, to naprawdę nie przyszło mi łatwo.

Mona miała dużo racji w tym, co mi powiedziała. Haavard zresztą też.

Zdrowy rozsądek podpowiada, że powinnam odmówić.

Najważniejszym argumentem nie jest dla mnie dobro rodziny, ministerstwa czy nawet moje własne, lecz fakt, że tak naprawdę nie identyfikuję się z Munchem, jego poglądami ani partią. I że ten facet potrafi się czasem zachować jak skończony debil.

– Tak – mówię. – Podjęłam decyzję.

– I co?

– Jestem gotowa.

– No proszę, proszę, coś takiego! – wykrzykuje Munch, zachowuje się jak szwedzki kelner, który stara się być czarujący. Wstaje z fotela i podaje mi rękę.

– Wiedziałem! Byłem pewien, że nawet ty nie zdołasz się oprzeć takiej pokusie.

W tej samej chwili zaczyna dzwonić komórka leżąca na blacie stolika dla interesantów, przy którym przystanęłam.

*Anna-Karin*, informuje napis na wyświetlaczu.

Podaję telefon Munchowi. Zerka na niego i krzywi twarz w grymasie.

– Cześć – mówi do słuchawki. – Pewnie. Tak, jesteśmy na Egertorget,

dziewczynki poprzymierzały ubrania. Siedzimy teraz w kawiarni i pijemy mrożoną herbatę. Owszem, świetnie się bawimy – mówi, rzucając w moją stronę nieco zawstydzone spojrzenie, ja tymczasem studiuję swoje paznokcie i usiłuję udawać, że nic się nie dzieje.

– Wolne w przedszkolu – oświadcza, odkładając wreszcie komórkę. – Moja żona musiała jechać do pracy. No i cóż, zajmuję się dziećmi. Przysięgałem na wszystkie świętości, że ich tu nie przyprowadzę...

– Rozumiem – mówię.

Rozumiem, a jakże. Że jest pantoflarzem, zakłamanym, jak wszyscy inni.

– W takim razie przygotujemy dla ciebie nominację tak szybko, jak tylko się da – mówi. – Ach, Claro, jeszcze jedno. Jesteś członkiem naszej partii?

– Nie – odpowiadam, kręcąc głową.

Nigdy nie byłam typem społecznika, nie należałam do żadnej organizacji ani partii politycznej. I gdybym nawet miała do jakiejś wstąpić, to ugrupowanie Muncha nie byłoby bynajmniej moim pierwszym wyborem.

– Tak myślałem – stwierdza premier. – Byłoby świetnie, gdybyś do nas dołączyła.

– Czy to konieczne?

– Cóż... – zaczyna, przeciągając nieco odpowiedź. – Nikt cię do tego nie zmusi. Ale partia by sobie tego życzyła.

– W porządku.

– Przepytają cię też gruntownie nasi specje od bezpieczeństwa. Będą pewnie chcieli wiedzieć, czy jest w twojej przeszłości coś, co mogłoby się dla nas okazać problemem, ale to tylko formalność. Dostaniesz nominację na sekretarza stanu w najbliższy piątek. Witamy na pokładzie!

## 30 – Haavard

– Ale czemu właściwie chcesz zostać sekretarką, mamó? – pyta Andreas.

Clara właśnie powiedziała chłopcom, że król powoła ją dziś na stanowisko nowego sekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, dwie doby po tym, jak jej to z całą stanowczością odradzałem.

– Ach tak – powiedziałem i spróbowałem policzyć do dziesięciu, gdy zaskoczyła mnie tą wiadomością wczoraj wieczorem.

Udało mi się faktycznie nic nie powiedzieć. Bo mimo wszystko jestem przecież nowoczesnym mężczyzną, który nie roi sobie, że może czy powinien decydować o swojej żonie. Takim, co to życzy małżonce samych sukcesów w pracy i bierze na siebie odpowiedzialność za dom oraz rodzinę.

Cały problem w tym, że czasem chciałbym, żeby ktoś się liczył ze mną.

I chociaż nie ma możliwości, by Clara pracowała więcej niż w okresie, w którym ślęczała nad projektem ustawy, to teraz mamy do czynienia z nowym stanowiskiem i całą gamą zawodowych obowiązków, nie zaś tylko z ograniczonym w czasie projektem.

Przecież ja też mam dyżury, chcę mieć jakieś życie, nie mogę być tatą na pełny etat.

– Ale ja nie będę taką zwykłą sekretarką – mówi Clara. – Tylko kimś takim, kto pomaga ministrowi sprawiedliwości.

– A jak on się nazywa? – chce wiedzieć Andreas.

– Anton Munch – odpowiadam, kładąc nacisk na każdą sylabę.

– Zgadza się – mówi Clara.

– Czyli będziesz asystentką? – dopytuje Nikolai.

– W pewnym sensie tak – zgadza się Clara i zabiera leżące na kuchennym blacie kanapki na drugie śniadanie.

Jest pewnie jedynym w historii sekretarzem stanu, który chadza do biura z kanapkami. Jedna z pasztetem i kiszonym ogórkiem, druga z salami i świeżym ogórkiem. Zestaw niezmienny od czasów szkolnych.



– A nie wolałabyś być szefem?

– Trochę też nim będę – stwierdza Clara. – Mam nadzieję, że będzie mi teraz wolno podejmować więcej decyzji. Odpowiadamy między innymi za straż pożarną. I policję...

– Policja próbuje znaleźć tego, kto zabił tamtego pana u taty w pracy – mówi Nikolai.

– Tak, i tamtą panią w hotelu – wtóruje mu Andreas.

Clara patrzy na mnie z irytacją, jakby to była moja wina, że docierają do nich strzępki wiadomości.

– A tata będzie jeszcze bardziej szefował w domu – mówię. – Bo od teraz to raczej rzadko zobaczycie mamę.

– O Boże – mówi Clara, posyłając mi zrezygnowane spojrzenie. – Przecież o tym rozmawialiśmy.

– To chyba zbyt wielkie słowo – stwierdzam. – Zostałem o twojej decyzji poinformowany, owszem.

– Ale mam, dlaczego nie chcesz być z nami? – pyta Nikolai.

– No właśnie, czemu wolisz być z tym jakimś Antonem? – chce wiedzieć Andreas.

– Serdeczne dzięki – rzuca Clara, śląc mi lodowate spojrzenie. – Ależ oczywiście, że chcę spędzać z wami czas – zwraca się do chłopców z uśmiechem. Unoszę brwi i gwizdzę, Clara robi się czerwona, ale nic nie mówi, tylko mnie ignoruje jak zawsze, gdy uda mi się doprowadzić ją do wściekłości. – Mama musi pracować – dodaje. – Żeby zarabiać pieniądze, za które możemy kupować jedzenie, ubrania i wasze zabawki...

– Tak, o to właśnie chodzi – mówię.

– A teraz będę robić w pracy trochę inne rzeczy niż wcześniej – ciągnie Clara.  
– Ale nadal siedzę w tym samym budynku i z tymi samymi ludźmi. Rozumiecie?

– Będziesz w telewizji?

– Pewnie nie.

– A w radiu? W gazetach?

– Nie wiem. Może – odpowiada Clara, a po tonie jej głosu zgaduję, że wzbiera

w niej zniecierpliwienie. – Muszę już iść. Miłego dnia.

Pochyla się nad Nikolaiem i go przytula, powtarza tę procedurę z Andreasem, zarzuca sobie pasek torebki na ramię i wychodzi.

– Miłego dnia – krzyczę za nią ostentacyjnym, przesłodzonym tonem. – Powodzenia w pracy, kochanie.

Ta zabawa w polityka sprawia, że Clara rozkwita, widzę w jej oczach nowy, nieznany mi wcześniej blask.

Wczoraj wieczorem założyła sobie konto na Facebooku, ku memu wielkiemu zaskoczeniu, bo zawsze była bardzo sceptyczna wobec wszelkiej maści mediów społecznościowych. Teraz będzie umieszczać w sieci filmiki, selfie, partyjną propagandę i inne tego typu atrakcje. To najwyraźniej jeden ze stawianych jej przez ministra wymogów: musi być aktywna w mediach społecznościowych.

Jej telefon już teraz piszczy co chwila, obwieszczając nowe wiadomości publikowane na stronach portalu informacyjnego NRK, od szóstej rano do ostatniego wieczornego dziennika. Munch życzy sobie zapewne, by śledziła wydarzenia w kraju przez całą dobę.

Najbardziej zaskakujący wydaje mi się entuzjazm i zapał, z jakimi ona do tego wszystkiego podchodzi.

– A kiedy masz tak właściwie zamiar spać? – zapytałem wczoraj wieczorem, gdy Clara siedziała pod kocem na tarasie i odpowiadała na wiadomości. Właśnie zakończyła półgodzinną rozmowę z Munchem, wydawała się wypoczęta i zadowolona.

– Nie wiem – odrzekła, wzruszyła ramionami i zaciągnęła się swoim wieczornym jointem. Przynajmniej to się nie zmienia i czuję coś w rodzaju żalostnej radości na myśl, że coś chociaż zostało po starym. Ale Clara musi chyba skończyć z trawą, skoro jest teraz sekretarzem stanu?

Otwieram dokument z listą zaraz po wejściu do gabinetu. Po zabójstwie w Lysebu zaczynam wątpić w sensowność całego przedsięwzięcia. Przeznaczyłem na to zbyt wiele czasu i jeśli będę dalej ciągnął tę sprawę, mogą mnie wylać z pracy. Poza tym w moim wspomniałym projekcie pojawił się mroczny, głęboko niepokojący element.

Na liście widniało nazwisko Meliki.

Fakt, że w ogóle tworzyłem taki dokument, daje mi w oczach policji bardzo czytelny motyw.

Mój projekt sprawił ponadto, że zaczęliśmy się z Sabiją od siebie oddalać. Może to to, a może coś innego.

Zacząło jej w każdym razie nagle brakować czasu, by spotykać się ze mną na szczycie pagórka przy Frognerstieren. Prawie się ze mną nie kontaktuje na Stravie. Jeśli umieszczam tam jakieś komentarze do jej osiągnięć, nie otrzymuję odpowiedzi. Czasem wchodzi do gabinetu, ona tam siedzi, ale na mój widok wstaje i błyskawicznie wychodzi.

Sabija mnie unika, to oczywiste, ale nie wiem, co to oznacza. Bardzo się tym niepokoję.

Cóż, tak czy inaczej, muszę odłożyć tę listę, przynajmniej do czasu, aż wszystko trochę ucichnie. Może powinienem ją w ogóle skasować. Cały problem w tym, że wysłałem ją już do Sabii mejlem. Plik został więc zapisany w systemie. I w jej skrzynce pocztowej.

Nie jestem się w stanie skupić. A dzisiaj naprawdę muszę popracować nad artykułem.

Do gabinetu wchodzi Askildsen, siada na krześle Sabii, nie czekając na zaproszenie. Jest chudy i żylasty, ale w zupełnie innym stylu niż nasi uprawiający regularnie sport koledzy. Askildsen to raczej blady słabeusz. Nosi okulary w okrągłych oprawkach.

– Haavardzie – mówi, przeciągając dłonią po błyszczącej łysinie. – Te cholerne zabójstwa...

– Tak? – pytam. Staram się, by mój głos brzmiał naturalnie, spokojnie, szczerze, ale serce wali mi w piersi tak mocno, że pewnie w pokoju wyraźnie słychać jego bicie.

– Wiesz może na ich temat coś, czego ja nie wiem?

– Nie... a co to miałoby być?

– Nie mam pojęcia. Po prostu wydaje mi się, że ktoś coś przede mną ukrywa.

Askildsen rozgląda się dookoła, na kilka sekund zawiesza wzrok na widoku za oknem, po czym znów przenosi go na mnie.

– Widzę, że Sabija wyszła. Czyżby ostatnio popsuta się atmosfera między wami?

– Nie, skąd... – mówię i przetykam ślinę.

– No to dobrze. Cóż... rób, co do ciebie należy, Haavardzie.

Brzmi to jak rodzaj groźby. Askildsen zamyka za sobą drzwi, nie dając mi chwili na odpowiedź.

Pochylam się nieznacznie w przód, ukrywam twarz w dłoniach. O czym on wie? Czyżby podejrzewał Sabiję? Albo mnie? Może wie o liście?

Nasza rozmowa wyglądałaby pewnie zupełnie normalnie, gdyby ktoś czytał jej stenogram na papierze, ale ton głosu Askildsena, jego mimika i pauzy, które robił, zwracając się do mnie, naprawdę mnie zaniepokoiły.

Siedzę chwilę bez ruchu, myślę.

A potem robię dokładnie to, czego postanowiłem nie robić.

Sięgam po klucz leżący na półce z książkami, otwieram nim górną szufladę biurka Sabii. Potem środkową. Na koniec – dolną szufladę.

Cholera, niczego w nich nie ma. Poza stertami papierów.

Glock zniknął.

Mija sekunda. Dwie. Trzy. Powtarzam cały proces w odwrotnej kolejności. Zamykam szuflady, odkładam klucz na miejsce.

Siedzę na krześle i czuję, jak ogarnia mnie panika, zalewa mnie niczym ogromna fala wzniecona przez przepływającą zbyt blisko brzegu łódź.

Jestem śmiertelnie przerażony.

Co tu się dzieje? Czyżby ktoś prowadził ze mną jakąś grę, chciał mi zaszkodzić? I co też właściwie robi Sabija, która była ze mną w czasie, gdy doszło do obu zabójstw? Chce mnie wpędzić w szaleństwo? Kim ona właściwie jest? I co ja mam teraz zrobić? Zupełnie nie wiem.

W końcu robię to co zawsze w sytuacjach kryzysowych. Dzwonię do Axela, mojego „brata od innych rodziców” czy jak to się nazywa, najlepszego kumpla od czasów dzieciństwa na Ivar Aasens vei.

– Słuchaj – mówię. – Muszę się od wszystkiego trochę oderwać. Jedziesz ze mną na weekend do domku wakacyjnego?

– Do Kilsund? Teraz? – pyta zaskoczony Axel, zresztą mu się nie dziwię, nie zrobiłem niczego tak spontanicznego, odkąd poznałem Clare, a przynajmniej odkąd urodzili się chłopcy,

– Tak – mówię. – To nawet nie jest pytanie. Pakuj się!

## 31 – Clara

Komunikat informujący, że zostanę dziś na posiedzeniu rządu nominowana na stanowisko sekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości i Bezpieczeństwa Publicznego, trafia do adresatów z naszej wewnętrznej listy mailingowej chwilę po dziewiątej.

Dwie godziny później ministrowie i premier stawiają się na posiedzeniu u króla w Pałacu.

Po zakończeniu tego spotkania nie jestem już starszym konsultantem.

– Moje gratulacje, Claro. Może to ci się przyda? – pyta Vigdis profesjonalnym tonem. Stoi w moich drzwiach, trzymając w rękach kilka złożonych na płasko kartonowych pudeł.

Vigdis ma w tych sprawach duże doświadczenie, zdobyte przede wszystkim dzięki latom pracy z ministrami, którzy nierzadko musieli się gorączkowo pakować i szybko wynosić, wielu z nich miało zaledwie kilka godzin, by uprzątnąć biuro i przygotować je na przybycie następcy, stającego w drzwiach z bukietem kwiatów, nowiutką kartą dostępu i szerokim uśmiechem, podczas gdy poprzednik musiał zjechać windą na parter i wyjść na ulicę, na której już nie czekało na niego żadne auto i nikt się nim nie przejmował. Zakładam, że Vigdis boi się dnia, w którym przyjdzie jej pakować kolekcję śmigłowców i pojazdów uprzywilejowanych Muncha.

– Bardzo ci dziękuję – mówię, biorąc od niej pudła.

– Biuro Wolla zostało dziś w nocy opróżnione i wysprzątane, jest już gotowe. Postawię ci tu pod drzwiami wózek, będziesz mogła załadować na niego swoje rzeczy. Mamy na razie niezły kocioł, minister nie wie, w co ręce włożyć przez te zabójstwa, sama zresztą wiesz. Przyda nam się chłodna kobieca głowa, Claro, bardzo się cieszę, że do nas dołączasz.

– Wielkie dzięki – mówię. Co za niezwykła serdeczność i troska.

Gdy ładuję pierwsze pudła na wózek, dostrzegam kilkoro kolegów i koleżanek, opartych tyłkami o blat w aneksie kuchennym naprzeciw moich

drzwi.

Nie mówią ani słowa. Tylko się na mnie gapią.

Wjeżdżam wózkiem do skrzydła zarezerwowanego dla polityków. Kurdupłowaty doradca i dwaj moi nowi koledzy – sekretarze stanu – stoją pod wypchanym niedźwiedziem i z czegoś się śmieją.

Dociera do mnie, że mówią coś o siedzibie partii. I że nie chce im się w coś, kurwa, wierzyć. Vigdis siedzi tuż obok z łagodnym, pobłażliwym uśmiechem na ustach i pracuje.

Moi nowi współpracownicy dostrzegają mnie, przestają się śmiać, milkną.

W tej samej chwili ze swojego biura wychodzi Mona, przystaje i spogląda na nas ze ściągniętymi ustami.

– Ach tak, Claro, widzę, że masz już nowych przyjaciół.

Jeden z sekretarzy stanu mamrocze coś w odpowiedzi. Tym razem nie udaje mi się wychwycić żadnego słowa.

Munch wychodzi ze swojego biura znajdującego się naprzeciwko gabinetu Mony. Toczy wzrokiem po zebranych.

– Potrzebuję kogoś, kto powiedziałby w wiadomościach telewizyjnych kilka słów o niedostatku śmigłowców gaśniczych. Dziś wieczorem. Sam jestem uwięziony przez cały weekend w Bodø na siedemdziesiątych piątym urodzinach teściowej.

Wszyscy wbijają wzrok w podłogę, próbując wymyślić na poczekaniu jakąś dobrą wymówkę. W ostatnich tygodniach media poświęcają wiele uwagi pożarom lasów i niedostatecznej liczbie śmigłowców gaśniczych, prawda jest taka, że ministerstwo faktycznie nie dopilnowało tej sprawy.

– Claro, masz może ochotę spróbować? – pyta Munch, zerkając na mnie.

– W porządku – mówię. – Nie mam pojęcia o śmigłowcach gaśniczych, ale...

– Nie szkodzi, nikt tu nic o nich nie wie – stwierdza minister, zerkając z ukosa na resztę politycznego kierownictwa.

– Ale dziś jest przecież piątek, mamy loterię, można wygrać butelkę wina – ćwierka Vigdis. – Może o piętnastej? Jesteś dziś gościem honorowym, Claro, przyjdiesz?

– Pewnie – rzucam.

W tej samej chwili w mojej kieszeni piszczy komórka.



## 32 – Haavard

*Dzwonił mój ojciec, chce, żebym pojechał do Kilsund i otworzył chatę przed sezonem. Możesz zająć się dziećmi w weekend?,* napisałem do Clary.

Otrzymuję od niej w odpowiedzi krótkie i treściwe OK.

To w sumie dość wspaniałomyślne z jej strony, że pozwala mi wyjechać bez wcześniejszego uprzedzenia, zwłaszcza że sama nie mogła zostać dłużej na zachodzie.

Axel może się ze mną wybrać. Ma wolny weekend, Caroline wzięła dzieci do siebie.

Przez krótką chwilę, gdy mkniemy na południe trasą E18, udaje mi się zapomnieć o panice i wzbudzić w sobie entuzjazm na myśl o skałach i zapachu słonego morza, bezkresnym horyzoncie i tafli wody, której harmonię zaburza tylko raz na jakiś czas pojedynczy szkier czy przepływający statek.

Domek wakacyjny stał zamknięty na cztery spusty całą długą jesień, zimę i wiosnę, smagany wiatrem i deszczem, powietrze w środku jest ciężkie. Nie pachnie brzydko, jest po prostu duszno. Otwieram wszystkie drzwi i okna.

Mamy tu wyblakłe błękitne zasłony, stare zdjęcia uwieczniające wędkarskie zdobycze i inne ważne dla rodziny wydarzenia, którymi można się chwalić gościom, wszystko wisi na ścianach w sepii lub czerni i bieli, a ponadto są tutaj poźółkłe sosnowe panele, lakierowana podłoga, trochę bibelotów i wielka mapa morska na jednej ze ścian.

Wszystko wygląda tak jak zawsze, odkąd dziadek zbudował tę chatę w pięćdziesiątym drugim roku.

Dwa lata później kupił dwudziestojednostopową łódkę, która wciąż jest w naszej rodzinie. W każde wakacje startujemy w niej w regatach Kilsund. Podobno babcia Edith wygrała je w pięćdziesiątym dziewiątym roku, sam dwa razy triumfowałem w kategorii dla łodzi z silnikiem od ośmiu do dwunastu koni mechanicznych.

Uzgodniliśmy z ojcem, że niczego tu nie będziemy zmieniać. Dom po babci

Edith przejął mój stryj i doprowadził go do kompletnej ruiny. Dlatego o Kilsund będziemy dbać.

Uwielbiam tu przyjeżdżać, pływać kajakiem, patrzeć na morze, od czasu do czasu pomalować ścianę, coś naprawić. Chłopcy kochają przejażdżki łodzią, łowienie krabów przy brzegu, skoki do wody z pomostu. Często przyjeżdżamy tu tylko we trzech, Clara w tym czasie pracuje.

Axel też czuje się w Kilsund jak w domu, prawie tak jak ja.

Nasze matki musiały w ciąży leżeć, zajmowały sąsiednie łóżka w dawnej Klinice Chorób Kobiety i paplały ze sobą dzień i noc. Od tamtego czasu i one, i my dwaj jesteśmy nierozłączni. Przez lata zajmowałem z Axelem jedno studenckie lokum. Teraz mieszkamy jakieś dwie minuty od siebie, zawsze spędzamy razem sylwestra, Dzień Konstytucji i inne tego rodzaju święta.

Christian Ferner-Hansen, ojciec Axela, stał się najlepszym kompanem od kieliszka i przyjacielem mojego taty krótko po tym, jak przyszedł na świat. Nasze matki uwielbiają obgadywać swoich mężów.

Czasem sobie myślę, że jedynym powodem, dla którego nasi rodzice się jeszcze nie rozwiedli, jest właśnie fakt, że mama ma Jenny, a tata – Christiana. I odwrotnie.

Ogarnia mnie cudowne uczucie, że uciekam od świata. Wiem jednak, że potrwa to najwyżej dobę albo dwie. I nawet słońce zachodzące krwawo nad szkierami i whisky pita z Axelem na kamiennych schodkach nie są w stanie zdusić lęku, który pali mnie w piersi niczym kwas.

Wypijam szklaneczkę, potem drugą i trzecią. Rozmawiamy o piłce nożnej i geopolityce, o tym, że nikt już nie nagrywa epickich albumów rockowych, i o tym, czy ośmiogodzinny odcinek o Czyngis-chanie faktycznie jest najlepszym podcastem Dana Carlina z cyklu *Hardcore History*. Ja jestem zdania, że tak, nigdy nie mam dość opowieści o mongolskich jeźdźcach, którzy przyszli znikąd i podbili cały świat. Axel woli natomiast odcinek o upadku Cesarstwa Rzymskiego, który jego zdaniem tak naprawdę opowiada o Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Czwarta szklaneczka. I piąta. W końcu Axel spogląda na mnie z niepokojem.

– Co się z tobą dzieje, Haavard?

– Nic – odpowiadam.

– Zazwyczaj się nie upijasz. Coś nie tak z Clarą?

Zwykle nie rozmawiamy o swoich związkach. Dlatego to pytanie, gdy w końcu się pojawia, robi na mnie wielkie wrażenie. Czuję, że muszę się przed nim otworzyć.

– Moja żona została z dnia na dzień sekretarzem stanu – mówię. – A poza tym wszystko po staremu.

Axel spogląda na morze i się uśmiecha.

– Coś takiego. Świetna z niej babka. Drapieżnik pośród roślinożerców. Zupełnie jak żeńska wersja Clinta Eastwooda.

Zawsze lubił Clarę.

– Na odległość jest lepsza niż z bliska.

Axel prostuje plecy i wbija we mnie wzrok.

– Rób, co uważasz, ale się nie rozwódź.

Wciąż jest rozgoryczony po zakończeniu swojego małżeństwa. Nadal zalewają go coraz to nowsze fale rozczarowania i żalu.

Wygląda na to, że głównym problemem stał się obecny mąż Caroline.

– Zawsze pojawi się jakiś debil, który chce wtrącić swoje trzy grosze do kwestii dobrego wychowania. Moje własne dzieci niedawno mnie ochrzaniły, że nie stawiam kubka na podkładce. Kumasz?

Axel zaczyna gestykulować.

– Na podkładce! Za kogo oni mnie mają? Dzieciaki przejęły to pewnie od tego bubka z Tønsberg. Totalny nuworysz. To żywy dowód na to, że hipsterzy są mniej więcej tak niezależni, jak nastoletnie dziewczęta. Postalkowałem go trochę na Facebooku. Pełno tam elektrycznych rowerów, wycieczek koleją po Europie i organicznego wina.

– Nie brzmi właściwie tak najgorzej – stwierdzam.

– Dopiero po wszystkim odkryłem, że Caro i te wszystkie jej przyjaciółki najmowały do rozwodów tego samego adwokata. Facet jest znany z tego, że umie wynegocjować kobietom bardzo korzystne warunki. Cholera jasna, jak ja się wykosztowałem! Lepiej już znaleźć sobie kogoś na boku. Ale nie zapominaj: babka musi być mężatką, mieć tyle samo do stracenia co ty. Ja niestety nie dopilnowałem tej kwestii.

– Ona jest mężatką – wyrzucam nagle z siebie.

– Tak? – Axel patrzy na mnie z zaskoczeniem. – Obiecujący początek...

Wpisuję nazwisko Sabii w wyszukiwarke, znajduję zdjęcie, które załącza do swoich artykułów. Wygląda na nim pięknie: ciemnowłosa, uśmiechnięta, promienna.

„Sabija Rana. Resident, Department of Pediatrics at Ullevål Hospital. MD 2008. Ph.D. 2012”. Jej czarne półdługie włosy opadają na ramiona miękkimi falami. Usta umalowała czerwoną szminką. Spojrzenie ma bystre, nieodgadnione.

– Proszę – mówię, podając telefon Axelowi, sam zaczynam gapić się przed siebie. Księżyc wygląda, jakby wisiał nisko nad lustrem wody, niebo ma barwę pudrowego różu. Kilkaset metrów od naszej chaty jakiś idiota urządził na cyplu ognisko, mimo że absolutny zakaz palenia ognia na dworze obowiązuje również tutaj.

Axel długo ogląda zdjęcie.

– Czyli tak się urządziłeś...

– To wszystko, co masz do powiedzenia? – pytam nieco urażony.

– Nie no, bardzo piękna kobieta – rzuca Axel i milknie na chwilę. – Ale ja się osobiście w takie rzeczy nie bawię.

– W takie rzeczy?

– Znam jednego faceta, który się związał z Kurdyjką. Wyszło z tego, mówiąc delikatnie, sporo kłopotów. One mogą być tak świeckie, jak tylko chcą, ale jednak mają spory bagaż kulturowy.

– Chyba za bardzo generalizujesz – mówię poirytowany.

– Caro też mnie o to oskarżała. I tak, pewnie że generalizuję. Wszyscy to robią. Skacze nam tętno, jak do kolejki wchodzi grupa rozwrzeszczanych imigrantów, na starszą panią reagujemy zupełnie inaczej. To jest właśnie generalizowanie, intuicja. Ale ona bywa bardzo ważna.

– Moja intuicja też mi coś podpowiada – mówię.

– Tak? – pyta Axel i spogląda na mnie z wyczekiwaniem.

– Media ciągle powtarzają, że w mieście grasuje drugi Mężczyzna z Laserem albo trwa wojna gangów. Ale to bzdury.

– Ponieważ?

– Ponieważ nikt nie zwrócił uwagi na to, że tym, co łączy ze sobą obie ofiary – oprócz pochodzenia spoza Norwegii – jest fakt, że oboje maltretowali dzieci. W przypadku tego Pakistańczyka z Ullevål nie ma wątpliwości, ale Melika Carter była tyle samo warta. Paskudne sprawy.

– Imigranci stanowią ogromny odsetek ludzi, którzy robią takie rzeczy – mówi Axel. – Może nam się to podobać albo nie, ale takie są fakty.

– Sabija była w każdym razie bardzo tym wszystkim wzburzona. Wyglądała, jakby się wstydziła, że Pakistańczyk pochodzi z tego samego kraju co ona. Potem się dowiedziałem, że dawno temu należała do jednego z tych damskich gangów napadających dziewczęta w Oslo City, jeszcze na długo zanim zrobiła doktorat z pediatrii. I co ty na to?

– Tak jak mówiłem: bagaż kulturowy.

Nabieram powietrza.

– Dzielimy gabinet. Pewnego dnia Sabija chciała podkreślić, jakie to ważne, byśmy zachowali nasz związek w tajemnicy, i pokazała mi pistolet. Trzymała go w zamkniętej na klucz szufladzie, na wypadek gdyby jej mąż przypadkiem się o nas dowiedział. Tak przynajmniej twierdziła. A teraz ten glock gdzieś zniknął. A w śledztwie najwyraźniej ustalono, że obydwie ofiary mogły zostać zastrzelone z...

W tym miejscu robię teatralną pauzę.

– ...glocka – kończę.

– Rany boskie – mówi Axel i z trudem nabiera powietrza, widać, że nie ma na to dobrej odpowiedzi.

Gdy wstaję, by ruszyć wąską ścieżką do sławojki, jestem już prawie całkiem trzeźwy.

W niedzielne popołudnie Axel wysadza mnie pod domem, wysiadam z auta z torbą przewieszoną przez ramię.

Chłopcy biegają po ogrodzie. Podnoszę Andreasa, wiruję dookoła i mocno go do siebie przyciskam. Mały pachnie kremem do opalania, rozgrzaną dziecięcą skórą, piszczy i śmieje się z zachwytem.

Powtarzam tę samą procedurę z Nikolaiem. Następnie wchodzimy do domu.

Chłopcy rzucają się na mnie w korytarzu, zaczynamy toczyć walkę na niby. Pozwalam im poszaleć, ale już po chwili kładą się na podłodze obok mnie, chcą się przytulać, przyciągam ich bliżej do siebie, czuję ciepło bijące od ich małych ciałek.

I kiedy tak leżymy, Andreas z czołem przy moim policzku, Nikolai z dłonią na mojej klatce piersiowej, rozlega się dzwonek do drzwi.

Wszyscy trzej aż podskakujemy.

– Ja otworzę, ja! – woła Andreas i pędzi do drzwi, ale brat depcze mu po piętach.

– Nie, bo ja! – krzyczy Nikolai.

Zawsze tak z nimi jest. Ścigają się dosłownie we wszystkim. Kto zje więcej parówek, pobiegnie szybciej na nartach, kto lepiej liczy, kto zgubi najwięcej zębów w jak najkrótszym czasie, kto zaśnie jako ostatni i pierwszy się obudzi.

Nie chcę stracić z tego ani chwili. I to głównie dlatego jeszcze wytrzymuję, nie zaś z powodu rady Axela.

Nikolai pierwszy dopada drzwi, ale Andreas przepycha się przed niego, naciska na klamkę i otwiera.

Na progu stoi troje funkcjonariuszy policji. Mają na sobie mundury, jasnoniebieskie koszule, krawaty i w ogóle, w pierwszej chwili myślę, że przyjechali poinformować mnie o czyjejs śmierci, ale nie, wtedy nie byłoby ich aż tylu. Poza tym wiem, kim oni są.

Przez kilka pierwszych sekund jest zupełnie cicho. Jakby ktoś puścił niemy film.

Andreas i Nikolai, którzy przez całe życie wrzeszczeli z zachwytem „policja, policja, policja” na widok radiowozu lub umundurowanego funkcjonariusza, którzy od czasu do czasu twierdzą, że sami zostaną stróżami prawa, cofają się teraz do mnie bez słowa, wyraźnie przestraszeni.

Instynktownie wyczuwają niebezpieczeństwo.

Wstaję, kładę dłonie na ich ramionach, przyciskam do siebie. Na korytarz wychodzi także Clara.

– Możemy na chwilę wejść? – pyta jeden z policjantów.

Wszyscy troje ładują się do środka w butach, nie czekając nawet na

odpowieź. Może i lepiej, wolę, by nie stali na schodach, gdzie mogliby ich zobaczyć wszyscy sąsiedzi.

– Co się dzieje? – pyta Clara za moimi plecami swoim najbardziej lodowatym głosem.

– Haavardzie – odzywa się funkcjonariuszka, zupełnie ignorując moją żonę.  
– Chcielibyśmy, żebyś z nami pojechał i odpowiedział na parę pytań.

Nikolai wydaje z siebie cichy pisk.

– Idźcie obaj do mamy, chcemy tylko zamienić kilka słów z waszym tatą – mówi policjantka, przenosząc na niego wzrok.

– Słuchajcie pani – zwracam się do chłopców, nie mam odwagi zadawać jakichkolwiek pytań w obecności Clary. – Idźcie do mamy. Ja tylko pomogę państwu z policji.

Andreas biegnie do Clary i staje obok, chwyta ją za nogę, zupełnie jak wtedy, gdy był jeszcze bardzo mały. Jest przerażony, patrzy przed siebie sztywnym, tępym wzrokiem.

Nikolai natomiast zaczyna krzyczeć.

– Tato, tato, tato! – drze się, szarpiąc mnie przy tym. Biorę go na ręce i zanoszę do Clary. Zrobił się duży. I ciężki.

– Pojedziesz z nami, Haavardzie – mówi policjantka, a ja kiwam głową, nie chcę się z nimi wdawać w dyskusję tu w korytarzu. Całuję chłopców w policzki, próbuję im powiedzieć, że ich kocham, ale moje słowa toną we wrzaskach Nikolaia.

– Do zobaczenia wkrótce – mówię do Clary, która nie wygląda bynajmniej, jakby miała ochotę pożegnać mnie na oczach obcych ludzi czułym małżeńskim całusem.

A potem idę za funkcjonariuszami, staram się poruszać tak naturalnie i spokojnie, jak to tylko możliwe.

## 33 – Clara

Zazwyczaj nie dzwonię do niego rano. Ale tym razem wybieram jego numer już przed ósmą.

– Cześć, jak się czujesz? – pytam.

– A nie najgorzej, jakoś daję sobie radę. Byłem wczoraj w spółdzielni. Potem kupiłem nowe wycieraczki do auta. I lizawkę dla owiec. Poszło na to trochę grosza, ale cóż. Tylko że nie widziałem Belli już od dwóch dni. To mi się nie podoba.

– Bella na pewno wróci – mówię i nabieram powietrza. – Słuchaj, tato... Policja zabrała wczoraj Haavarda na przesłuchanie i chyba go trochę zatrzymają.

– Rany boskie... Co ty mówisz? Chodzi o to zabójstwo w Ullevål?

– Chyba tak. I jeszcze to drugie, w Lysebu. To na pewno jakieś nieporozumienie, błąd policji. Wszystko się wkrótce wyjaśni. Ale słuchaj, mógłbyś tu przyjechać? Oczywiście kupię ci bilety.

W słuchawce na chwilę zapada cisza.

Tata zawsze czuł się najlepiej w domu.

Przed śmiercią rodziców, zanim jeszcze musiał przejąć gospodarstwo, spędził parę lat na morzu. Ale gdy został rolnikiem pełną gębą, zniknęła gdzieś jego żądza przygód, nie wspominając już o tym, że miał coraz mniej okazji do wyjazdów. Pół roku w Libanie zrobiło z niego natomiast absolutnego domatora.

Przez te wszystkie lata spędził u nas łącznie może jakieś pięć czy sześć nocy, przyjechał na chrzest chłopców i parę innych tego typu okazji, poza tym nie ruszał się z gospodarstwa.

– Jasne – mówi tata. – Oczywiście, że przyjadę.



## 34 – Haavard

Elin i Morten odnoszą się do mnie zupełnie inaczej niż na początku. Wygląda na to, że cała ich jowialność, koleżeńska bezpośredniość i deklaracje o woli współpracy były tylko grą, fałszywą maską, którą właśnie zrzucili, objawiając mi się takimi, jacy są naprawdę. A może jest odwrotnie i to teraz grają.

Nie mam pojęcia i właściwie to bez znaczenia. Nie są w końcu moimi przyjaciółmi.

Jedyne, na czym chcę się skupić, to załatwienie tej sprawy, by jak najszybciej puścili mnie do domu.

– Uzyskaliśmy dostęp do interesującej korespondencji elektronicznej – mówi Elin, gdy już udaje nam się przebić przez niekończący się ciąg formalności: zgodziłem się na przesłuchanie i odrzuciłem propozycję sprowadzenia adwokata, mimo że zaczynam się zastanawiać, czy to była dobra decyzja. – Można z niej wywnioskować, że próbowałeś zbierać informacje o różnych pacjentach będących ofiarami przemocy w rodzinie, nie informując o tym swojego przełożonego. Czy to prawda?

– Tak, zgadza się – odpowiadam, starając się robić wrażenie otwartego i szczerego.

– W wiadomości mejlowej wysłanej do Sabii Rany z datą dwudziestego trzeciego maja piszesz, cytuję: „Załączam listę sprawców: szumowin, które moim skromnym zdaniem zasługują na waterboarding i ukrzyżowanie”.

Dobry Boże. Gdy policjantka czyta te słowa swoim głosem i neutralnym tonem, mój rzucony bezmyślnie komentarz faktycznie brzmi jak przyznanie się kompletnego szaleńca do winy.

– W tamtej chwili tak o tym myślałem – mówię i odchrząkuję. – Nie macie nawet pojęcia, ile cierpienia spowodowali ci ludzie. Owszem, budzi to we mnie wściekłość. Owszem, nie powinienem był tego pisać. Ale to nie robi ze mnie zabójcy!

Elin przegląda papiery.

– Czy to prawda, że na wspomnianej liście znajdowało się między innymi nazwisko Meliki Omid Carter?

Kiwam głową. Nie mam wyjścia, muszę wyłożyć karty na stół.

– Zgadza się – stwierdzam, nadal spokojnie.

– Okej. Cofnijmy się do wydarzeń w szpitalu Ullevål z dziesiątego maja – mówi Elin. – Pochodzący z Pakistanu ojciec waszego pacjenta został zastrzelony z pistoletu. Znalaziono go o godzinie dwudziestej drugiej dwadzieścia siedem. Śmierć musiała nastąpić pomiędzy dwudziestą drugą piętnaście a dwudziestą drugą dwadzieścia. Wezwano nas o dwudziestej drugiej trzydzieści pięć, byliśmy na miejscu zdarzenia dziesięć minut później. To wszystko już wiemy. Nie udało nam się natomiast ustalić, gdzie ty byłeś pomiędzy dwudziestą drugą piętnaście a dwudziestą drugą trzydzieści?

– Byłem na oddziale – mówię. – Zdaje się, że już wam o tym mówiłem.

– Cały czas? Nie opuszczałeś budynku?

Kręcę głową.

– Cóż – mówi Elin. – To zaskakujące, że się przy tym upierasz, mimo że próbowaliśmy dać ci szansę wycofania się z tych słów. O godzinie dwudziestej drugiej dwadzieścia widziano cię na dworze razem z Sabiją. Według świadka byliście zajęci intymną rozmową i wyglądaliście na wzburzonych.

Kto mógł nas widzieć? Kto na nas doniósł? I czemu od początku nie powiedzieliśmy policji prawdy?

– Cóż, to się zgadza. Sabija była wstrząśnięta, wyszła na dwór, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Poszedłem za nią. Musiałem o tym po prostu zapomnieć.

– Czy często się zdarza, że oboje opuszczacie budynek w środku dyżuru?

– Nie. Ale to nie był zwykły dyżur, nie po tym, jak trafił do nas tamten chłopiec. Tak czy inaczej, Sabija była wstrząśnięta, właściwie to zupełnie się nie mogła pozbierać. Nie widziałem jej nigdy wcześniej w takim stanie. No i tak, cóż, próbowałem ją uspokoić.

– Świadek twierdzi, że wyglądaliście, jakbyście byli, cytuję „wytrąceni z równowagi”, a jednocześnie można było odnieść wrażenie, że pozostajecie ze sobą w „intymnej relacji”.

– Trudno z tym dyskutować, przypadek tego chłopca bardzo nas wszystkich wzburzył. Ja byłem szczególnie zatroskany, bo Sabija sprawiała wrażenie, jakby

traciła nad sobą kontrolę...

Zapadam się trochę w sobie. Ale już wszystko, kurwa, jedno, trzeba postawić wszystko na jedną kartę, ratować swoją skórę, tak jak postanowiłem w drodze powrotnej z Kilsund.

– Rozumiem, że chcesz zmienić swoje zeznanie. Wcześniej twierdziłeś, że byłeś cały czas w budynku szpitala, teraz przypomniałeś sobie, że wyszedłeś na dwór z koleżanką. Zgadza się?

Elin zapędza mnie powoli w kozi róg.

– Tak, ale to było tylko kilka minut – mówię, słysząc, jak żałośnie to brzmi. – Maksimum pięć. A potem wróciliśmy do środka.

– W takim razie coś tu się nie zgadza – mówi Elin.

– Tak? – odpowiadam. Czuję się kompletnie wykończony.

– Jak wszedłeś z powrotem na oddział po rozmowie z Sabiją?

– Sabija użyła swojej karty. Weszliśmy razem.

– Faktycznie, jej karta została użyta o godzinie dwudziestej drugiej dwadzieścia trzy. To by się zgadzało.

– Właśnie – rzucam, rozpierając się na krześle. – Wróciliśmy wtedy oboje.

– Ale problem w tym, że ty skorzystałeś ze swojej karty o dwudziestej drugiej trzydzieści dwie. Czyli dziewięć minut później. Chciałabym więc zadać pytanie: co robiłeś przez te dziewięć minut po tym, jak Sabija wróciła do środka bez ciebie? I, przy okazji: czemu tak się upierasz, że weszliście do budynku równocześnie? Skoro to niemożliwe?

Wokół mnie i we mnie schodzi potężna lawina, śnieżne masy pędzą w dół, a ja nie mogę ich powstrzymać.

To się nie zgadza.

– W teorii tych dziewięć minut wystarczyłoby na przejście do kaplicy, zastrzelenie Mukhtara Ahmada, powrót i otwarcie drzwi kartą o dwudziestej drugiej trzydzieści dwie – mówi Morten.

– W teorii – mamroczę, składam dłonie i mocno je zaciskam, wciąż staram się robić wrażenie spokojnego. Musiała się tu zepsuć klimatyzacja, gdyż pot sływa mi po skroniach na policzki.

## 35 – Clara

Poranne spotkanie rozpoczyna się w jowialnej atmosferze.

– Clara! Zwycięzcy weekendu! – mówi Munch. – Zaczęłaś z wysokiego c, trzeba ci to przyznać.

– A dziękuję – odpowiadam. – Tak czy inaczej, przeszłam szybkie szkolenie ze śmigłowców gaśniczych...

– Szkoda, że sam się z tego wycofałeś, Anton – odzywa się jeden z doradców. – To była wielka wygrana wizerunkowa.

– Ale dopiero, gdy zabrała się do tego Clara – mówi rzecznik prasowy i chwala mu za to.

Wywiad dla wieczornego wydania dziennika pociągnął za sobą kolejne rozmowy z mediami. Zaczęło się od migawki w wiadomościach o 18.00. A potem jeszcze poszła powtórka późnym wieczorem. Musiałam się stawić na różne rozmowy z mediami w sobotę i niedzielę.

Na początku powiedziałam tylko, że jesteśmy świadomi potrzeby zwiększenia liczby śmigłowców gaśniczych i zajmiemy się tym najszybciej jak się da, co w żaden sposób nie rozwiązywało problemu, zwłaszcza że w wielu miejscach na wschodzie kraju trwają pożary lasów.

Zadzwoiłam do Muncha.

Zadzwoiłam do administracji, kierownika i sekretarza oddziału.

Zadzwoiłam do Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego i Zarządzania Kryzysowego.

Potem znów do Muncha.

W sobotnie popołudnie byłam już w stanie poinformować, że do akcji wkracza piętnaście nowych śmigłowców gaśniczych oddelegowanych do konkretnych zagrożonych obszarów i że koszt związany z ich eksploatacją pokryje państwo.

– Tak, dobra robota, Claro – mówi Mona. – Tylko musimy wymyślić, co zrobić z tymi zabójstwami. Takie rzeczy zdarzają się w Oslo dużo rzadziej, niż

ludziom się wydaje. Jakiś raz albo dwa razy w roku. Teraz mamy nagle dwa podobne przypadki, jeden po drugim. A jeśli się okaże, że cała ta teoria nowego Mężczyzny z Laserem jest prawdziwa, opinia publiczna z pewnością zażąda od nas, żebyśmy jakoś zadziałali, zrobili coś, by pokazać, że nie godzimy się na systematyczną likwidację imigrantów.

– Zajmę się tym – mówi Munch.

– Wysłać ci projekt oświadczenia? – pyta rzecznik prasowy.

– Nie, nie będzie takiej potrzeby – odpowiada minister. – Ta teoria o kolejnym Mężczyźnie z Laserem to zwykły medialny humbug. Rozmawiałem osobiście z oficerem prowadzącym śledztwo. Podobno policja nie ma już wątpliwości, że narzędzie zbrodni daje się powiązać ze stołecznymi zorganizowanymi grupami przestępczymi.

Wszyscy na niego patrzą. A on nabiera powietrza i zaczyna mówić, rozpoczyna pełen zapału monolog, pewnie marzył, by go przed nami wygłosić, cały czas obraca komórkę w dłoni. Dłuższy bok skierowany w dół, potem krótszy, dłuższy, potem krótszy.

Mocne, szybkie ruchy, zupełnie jakby tasował karty.

– Sytuacja cały czas eskaluje. Nie trzeba szukać przykładów daleko, wystarczy spojrzeć na Szwecję, by zobaczyć, co się stanie, jeśli pozwoli się tym ludziom działać. Zabójstwa z powodu gangsterskich porachunków stały się tam chlebem powszednim. Nie powstrzyma się ich, organizując zajęcia z etyki ani inwestując pieniądze z budżetu w świetlice dla młodzieży! Wygląda na to, że w kwestii przestępczości zorganizowanej policja przestała się już starać. Ci ludzie rozumieją tylko jeden język: bezwzględną fizyczną siłę. Trzeba mieć na nich oko dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zatrzymywać ich, gdy jadą autem. Przeszukiwać. Przymykać za drobne występki. Dać im jasno do zrozumienia, że tego nie akceptujemy.

– Właśnie – mówi doradca.

Munch znów nabiera powietrza, nie przestając stukać swoim iPhone'em o blat stołu.

– Inne partie myślą, że można rozwiązać ten problem na drodze dialogu z grupami, które zupełnie nie dbają o zachodnie wartości, przeciwnicy polityczni atakują nas od lat, gdy tylko próbujemy pokazać, że wszyscy stoimy

przed realnym wyzwaniem. Ale teraz się okazuje, że cały czas mieliśmy rację. Jeśli ludzie nie zamierzają przestrzegać norweskiego prawa i zwyczajów, to niech się pakują i wynoszą. Przestępcy muszą trafić do więzień, policję trzeba uzbroić, a przebywających w naszym kraju nielegalnie cudzoziemców odesłać tam, gdzie ich miejsce.

– Właśnie – powtarza doradca z zachwytem.

Siedząca obok mnie Mona głośno wzdycha.

– To w sumie skandal, że pozostałe partie nas w tym nie wspierają. Gdyby gangsterzy z Young Bloods biegali po stolicy z plastikowymi pistoletami zabawkami, to zarówno prasa, jak i inne partie krzyczałyby, że trzeba coś zrobić w kwestii ograniczenia użytkowania tworzywa sztucznego szkodliwego dla środowiska. Tymczasem oni noszą najprawdziwszą broń i nikt poza nami się tym najwyraźniej nie przejmuje.

W pierwszej chwili zapada cisza. Nikt z nas nie jest pewien, jak powinien zareagować.

Wiele z tego, co mówi Munch, jest całkiem rozsądne. Niepokoi natomiast ton jego wypowiedzi, zupełnie jakby na porannym zebraniu wykonywał przeciwiczny przed lustrem performance, jak również fakt, że na podstawie wydarzeń ostatnich dni każe nam dochodzić do tak jednoznacznych konkluzji.

Wygląda na to, że jeszcze nie skończył.

– Chciałbym, żeby ta sprawa otworzyła nam oczy na prawdę o tych zdegenerowanych grupach. Bo zaczyna wyglądać na to, że postanowili się tam nawzajem powykańczać... Ożeż kurwa – mówi nagle z naciskiem, patrząc na komórkę.

Szybka wyświetlacz pękła, pokrywając się pajęczyną rys i załamania.

– Ojej – mówi Vigdis. – Zaraz zadzwonię do ludzi z IT i zamówię ci nową. Tę możesz mi oddać.

– Dzięki – odpowiada Munch, wpatrując się w wyświetlacz ze smutkiem i z najwyższym zdziwieniem, jakby nie mógł pojąć, co się właśnie stało.

– Spokojnie, po prostu mi ją daj – powtarza Vigdis łagodnie i minister wreszcie wyciąga komórkę w jej stronę, jak zawstydzone dziecko, które popsuło zabawkę.

– Tak czy inaczej, powinieneś uważać, co mówisz w tej sprawie – odzywa się

Mona. – Minister sprawiedliwości nie powinien spekulować w kwestii przyczyn podwójnego zabójstwa, które nie zostało jeszcze ponad wszelką wątpliwość wyjaśnione. Jeśli w ogóle mamy się w tej sprawie wypowiadać, to bardzo ogólnie i ostrożnie.

– Co ty nie powiesz – rzuca Munch jadowicie.

– Pogadaj chociaż z komendantką Monrad, zanim zaczniesz mówić. To w końcu sprawa policji, chociaż prędzej czy później na pewno będziesz musiał jakoś się do niej odnieść.

– No tak, ale jeśli w grę wchodzi populizm... Nie potrzebujemy tej babki. Mamy w policji własne kontakty – oświadcza doradca.

– Co do tego się mylisz – mówi Mona z rezygnacją, przeczesując krótkie włosy palcami. Robi to zawsze na tych porannych spotkaniach kierownictwa politycznego, dyrektora administracyjnego i rzecznika prasowego, gdy jest poirytowana. – Monrad jest bystra. I ma pełną kontrolę nad działaniami policji. To ktoś, kogo zdecydowanie potrzebujesz w swojej drużynie.

– Tak przy okazji – mówię. – Mój mąż i jego współpracownicy z oddziału pediatrycznego w Ullevål zostali przypadkowo zamieszani w oba te morderstwa i robią teraz, co w ich mocy, by pomóc śledczym. Zdaje się, że Haavard właśnie w tej chwili z nimi rozmawia.

– Owszem, świat jest mały – stwierdza Munch z umiarkowanym zainteresowaniem.

– To świetnie, że pomagają – dorzuca Mona.

Wypuszczam bezgłośnie powietrze. Świadomie starałam się unikać słów takich jak „przesłuchanie”. Nie wspomniałam także, że Haavard siedzi na komendzie już od wczoraj.

Co jakiś czas zerkam na telefon.

Sprawdzam, czy dzwonił mój mąż. Albo media.

Nikt nie dzwoni. Ale mam wrażenie, że z każdą godziną ta bomba tyka coraz głośniejsze.

– Przejdźmy do innych spraw – mówi Munch niecierpliwie, a ja oddycham z ulgą. – W środowy wieczór ma się odbyć gala w Pałacu. Powinienem się na niej pojawić. Ale dziś wieczorem wylatuję do Brukseli i wracam w czwartek. Przepraszam, Mono, dopiero teraz do mnie dotarło, że to niefortunne...

Kładzie palec na ustach i zerka na swoją sekretarkę, która potrząsa głową i przewraca oczami, uśmiechając się przy tym lojalnie.

Zebrani śmieją się krótko. Wszyscy wiedzą, że Munch niczego nie brzydzi się tak, jak tych pałacowych gali, i że Mona nie lubi, gdy minister zaniedbuje takie okazje.

– Ach tak – rzuca i wzdycha.

– No więc... Claro – mówi Munch, patrząc na mnie. – Mogłabyś iść, gdyby udało się załatwić akredytację? Najlepiej ze swoim małżonkiem medykiem. Ministerstwo byłoby wtedy godnie reprezentowane.

Wzruszam ramionami. Kiwam głową.

Kątem oka widzę zniesmaczony wyraz twarzy Mony.

– Posłać sekretarza stanu to wbrew protokołowi.

– Jeszcze jakieś sprawy do omówienia? Ktoś coś? – pyta Munch. – Po raz pierwszy, po raz drugi? Nie. No dobra, spadajcie.

Spotkanie zakończone.

Zerkam na komórkę. Dzwoniono z numeru stacjonarnego, którego nie rozpoznaję. Mam jedną wiadomość na poczcie głosowej. Odsłuchuję ją w drodze do biura.

To Haavard. Prosi, bym do niego oddzwoniła na ten numer.

– Claro – mówi zbolalym głosem, gdy się z nim łączę, siedząc za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu. – To jest, kurwa, niedorzeczne. Policja chyba mnie tak szybko nie wypuści, zrobili tylko krótką przerwę w przesłuchaniu. Zdaje się, że nie mają prawa trzymać mnie dłużej niż czterdzieści osiem godzin, jeśli nie przedstawią mi żadnych zarzutów. Mogłabyś powiadomić Askildsena, że nie przyjdę do pracy? Niech powie innym, że zachorowałem albo coś w tym stylu, nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli, gdzie jestem. Przekaż mu, że to nieporozumienie. Możesz też zadzwonić do mojego taty? On mi na pewno pomoże. Poproś, żeby się ze mną skontaktował. Okej? Muszę już kończyć.

W jego głosie słychać zdenerwowanie, właściwie to panikę.

– Zaraz do nich zadzwonię. Haavard?

– Tak?



– Wszystko będzie dobrze.

– Tak myślisz?

Brzmi, jakby miał się zaraz rozplakać.

– Oczywiście. Zaciśnij zęby i wytrzymaj.

## 36 – Haavard

Pomieszczenie, w którym siedzimy, jest ciasne i sterylne, chyba nawet Clara uznałaby je za minimalistyczne.

Czytałem gdzieś, że w dzisiejszych czasach przesłuchania odbywają się w mniej formalnych warunkach, że istnieją pokoje, w których siada się na zwykłych fotelach przy stoliku kawowym. Że policjanci nie zajmują miejsca naprzeciwko przesłuchiwanego, bo według wszystkich badań sprawia to tylko, iż ludzie zamykają się w sobie i przestają mówić.

Cóż, to przesłuchanie przebiega w każdym razie na starą modłę.

Jest tu stolik z wodą i szklankami, filiżanki i termos z kawą, krzesła, na których siedzimy, okno z widokiem na brzozę, która, jak wszystkie inne drzewa, zaczyna żółknąć po całym miesiącu upałów i suszy. Żłociste liście szybują za oknem i opadają na ziemię.

Czegoś jednak udało mi się nauczyć, spędzając tyle czasu z ojcem i Christianem oraz próbując przez rok studiować prawo. Podobnie jak we wszystkich innych zawodach, także tu nie wszystko jest takie, jakie się wydaje.

Przesłuchania nie są z reguły prowadzone w stu procentach zgodnie z podręcznikiem, mimo że policjanci starają się przedstawiać to w zupełnie inny sposób. W dzisiejszych czasach kładzie się duży nacisk na równouprawnienie stron, otwartość i te wszystkie inne rzeczy, ale oczywiście zdarzają się w czasie przesłuchań błędy i niedociągnięcia – jak wszędzie.

Policja często skupia się bardziej na tym, by kogoś przyskrzynić, niż na pytaniu, czy przyskrzyniany jest właściwym człowiekiem.

Spoglądam na nich, próbuję zajrzeć im w oczy. Elin się umalowała, wygląda przez to na bardziej surową i trochę starszą.

– Wszedłem do środka razem z Sabiją! – mówię głośno. – Słowo honoru, możecie ją o to zapytać. Nie spędziłem na dworze aż tyle czasu, przecież to bez sensu.

– Pragnę ci przypomnieć, że zmieniłeś swoje zeznanie i teraz twierdzisz, że

faktycznie byłeś przed budynkiem. A z twojej karty naprawdę korzystano o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści dwie – mówi Elin spokojnie.

Zapada cisza. Mąci ją tylko szum wiatraka pod sufitem, obracającego się miarowo, wirującego, zupełnie jak mój mózg. Kręci mi się w głowie, drętwieją mi palce, czuję się, jakbym w każdej chwili miał zemdleć.

– Wróćmy może do twoich zeznań z Lysebu – ciągnie Elin obojętnym tonem, widząc, że nic więcej nie powiem, i odczytuje fragment protokołu: „Siedziałem przy kolacji do mniej więcej jedenastej. Potem poszedłem do mojego pokoju i zasnąłem jak kamień, obudziły mnie rano hałasy, zszedłem więc do recepcji”. Przesłuchaliśmy hotelową pokojówkę, która twierdzi, że tamtej nocy nikt nie spał w twoim łóżku. Jak to możliwe?

– Bo spałem na sofie – mówię w desperacji.

– Spałeś na sofie. Dobrze, zanotujemy to – odpowiada Elin.

– Nie. Byłem u Sabii – wyrzucam z siebie nagle. – W jej pokoju.

Elin i Morten wymieniają spojrzenia.

– Sabija Rana zeznała, że od jakiegoś roku łączy was romans, czy to prawda?

Czyli im powiedziała. Nie konsultując tego ze mną.

– Tak – oświadczam z zapalem. – To się zgadza. Ale obiecałem, że nigdy nikomu o nas nie powiem. Bałem się, że moja żona pozna prawdę, ale przede wszystkim bałem się męża Sabii, bo ona przecież potrzebowała pistoletu, by się przed nim bronić.

Morten, który dłuższy czas siedział bez słowa, chrząka i pochyla się nad stołem.

– Analizy typu pocisku i jego kalibru sugerują, że Melika Omid Carter została zastrzelona z tej samej broni co Mukhtar Ahmad. Jest to najprawdopodobniej glock 17 kaliber 9 milimetrów z tłumikiem.

– Aha – mówię.

– Glock 17 to dość powszechnie używana broń – ciągnie policjant. – Korzysta się z niej między innymi w norweskich siłach zbrojnych. Zdarza się, że ginie z wojskowych magazynów. Po pierwszym zabójstwie zrobiliśmy rozeznanie w środowisku przestępczym skonfliktowanym z Ahmadem i jego znajomymi. Odkryliśmy, że kradziony glock 17 z tłumikiem od wielu lat tam krążył.

Mdłości trochę odpuszczają.

– Przesłuchaliśmy nieformalnego „właściciela” tej broni. Okazuje się, że ten człowiek zna Sabiję Ranę. Przyznał, że przekazał jej pistolet w listopadzie zeszłego roku.

Czyli tak naprawdę namierzają Sabiję, rozmawiają ze mną, bo to ona jest podejrzana. Dzięki Bogu.

– Czy Sabija pokazywała ci kiedyś tę broń?

Myślą, że zaprzeczę, a oni będą mnie mogli złapać na kłamstwie.

– Tak – odpowiadam, głośno i wyraźnie. – Pokazywała.

– Czy powiedziałeś jej, co sądzisz o trzymaniu broni palnej w waszym gabinecie?

– Powinienem był to oczywiście zrobić. Próbowałem. Ale bałem się jednocześnie, co może strzelić do głowy jej mężowi.

– Sabija przyznała podczas przesłuchania, że przechowywała broń w waszym gabinecie. Z własnej inicjatywy potwierdziła historię o tym, w jaki sposób pistolet wpadł w jej ręce. Było to oczywiście wbrew norweskiemu prawu i pociągnie za sobą konkretne konsekwencje, ale to nie my będziemy o nich decydować. My badamy sprawę zabójstwa. Interesuje nas fakt, że mężczyzna, który dał Sabii pistolet, wiedział, rzecz jasna, że ona go ma, nie miał natomiast pojęcia, gdzie broń jest przechowywana. W odróżnieniu od ciebie.

– No tak – mówię, zastanawiając się, czy opowiedzieć, że widziałem Sabiję i jej męża na Ullevålsveien, wyznać, że moim zdaniem ona kłamie w więcej niż jednej sprawie. Ale jak to sformułować, by mi uwierzyli?

– Sabija zeznała również, że broń nagle zniknęła. Odkryła to zaraz po zabójstwie tego pakistańskiego ojca.

W pokoju jest gorąco i duszno.

Mam ochotę ukryć twarz w dłoniach. Elin podnosi się, okrąża pomieszczenie, poprawia sobie spodnie z paskiem, zupełnie jakby szykowała się na nową rundę walki bokserskiej. Morten pochyla się nad biurkiem, wyraźnie gotowy, by przejąć od niej pałeczkę.

Przymykam oczy, wbijam paznokiec kciuka drugiej dłoni w zraniony koniuszek palca, by móc się skupić na czymś konkretnym.

– No tak, a jeśli chodzi o Lysebu – mówi Morten. – Świadek, który widział cię przed szpitalem o godzinie dwudziestej drugiej dwadzieścia w dzień śmierci Mukhtara Ahmada, zaobserwował cię również w hotelowym basenie o dwudziestej trzeciej, mniej więcej w tym samym czasie, gdy zastrzelono Melikę Omid Carter. Czy to się zgadza?

– Owszem – mówię.

– Wchodziłeś do sauny?

– Nie.

– A mimo to na kłamce znaleziono twoje odciski palców. Możesz pomóc nam to wyjaśnić?

Nie mogę. Nie w tej chwili. Jedyne, co teraz jestem w stanie zrobić, to faktycznie ukryć twarz w dłoniach.

– Jesteśmy w szczególnej sytuacji, która polega na tym, że nie masz alibi na czas, w którym mogło dojść do tych dwóch zabójstw. W obu przypadkach zmieniłeś swoje zeznania. Wiedziałeś, gdzie jest przechowywane narzędzie zbrodni. Wyraziłeś pogląd, że oboje zabici zasługują na śmierć. Na dodatek masz motyw – podsumowuje Morten.

Elin kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Rozumiem twoją wściekłość, Haavardzie, sama widzę w pracy mnóstwo okropności. Jesteś praworządnym obywatelem, który popełnił czyn karalny. W głębi duszy doskonale o tym wiesz. Może więc lepiej wyłożyć karty na stół?

– Ja ich nie zabiłem – szepczę.

## 37 – Clara

– Te dwa zabójstwa dowodzą istnienia pewnej tendencji, którą należy powstrzymać – oświadcza Munch z patosem. Jego nieco nalana twarz wypełnia cały ekran.

Mona, Vigdis, rzecznik prasowy i ja stoimy przed telewizorem wiszącym na ścianie biura Mony.

– Wschodnie dzielnice Oslo zamieniają się powoli w strefę bezprawia, przywodzącą na myśl części świata, z którymi nie lubimy być porównywani. Coraz mniej przypominają naszą własną, bezpieczną stolicę. Gangi zaczynają zagrażać zwykłym obywatelom. Zabójstwo młodego ojca, Mukhtara Ahmada, i matki dwojga dzieci i bizneswoman Meliki Omid Carter to dwie krople, które przepełniły kielich. Trzeba to ukrócić, zanim ta zaraza rozleje się na resztę naszego kraju. Od dłuższego czasu pracujemy nad zaostrzeniem kar i nadaniem szerszych uprawnień policji, nad bardziej widoczną obecnością naszych funkcjonariuszy na ulicach i skróceniem czasu oczekiwania na wykonanie kary pozbawienia wolności. Wszystkie te sprawy będą miały dla nas w najbliższym czasie charakter priorytetowy. Jesteśmy w trakcie przygotowywania pakietu kryzysowego dla policji, który, mam nadzieję, doprowadzi do rozbicia gangów w naszej stolicy.

– Co może nam pan powiedzieć o tych dwóch wstrząsających zabójstwach, których dokonano w ostatnich dniach?

– Życie stracili ojciec i matka. Kilkoro dzieci musi dorastać bez najdroższego im w życiu człowieka. Tak nie może być. Osobiście dopilnuję, by policja zaangażowała wszystkie dostępne zasoby i siły w walkę z tą zorganizowaną przestępczością.

– „Tak nie może być” – przedrzeźnia go Mona. – Czy ja śnię? Przecież wyraźnie zabroniłam mu się tak wypowiadać.

– Jesteś dla niego zbyt surowa, Mono – mówi rzecznik prasowy.

– To konieczne. Bo teraz brzmi zupełnie jakby mówił: „U nas,

w najbogatszym kraju świata”.

– A gdzie on w ogóle jest? – pytam.

– W Stortingu – odpowiada Vigdis, jedyna z nas, która ma pełny wgląd w harmonogram spotkań ministra.

Wszyscy wciąż patrzą na ekran. Pojawia się na nim Cathrine Monrad ze swoją bujną blond fryzurą, mocnym makijażem i przykuwającymi wzrok kolczykami. Po raz kolejny myślę sobie, że ta kobieta wcale nie przypomina komendantki policji.

– Czy ona... – zaczyna Vigdis. – Czy ona wam nie wygląda trochę... tak jakby nieodpowiednio?

– Cicho – syczy rzecznik prasowy.

– Jak odniosłaby się pani do słów ministra Muncha? – pyta dziennikarka dźwięcznym głosem.

Cathrine Monrad patrzy z powagą prosto w kamerę, ani na chwilę nie odwracając wzroku.

– To bardzo niefortunne, że minister wypowiada się z taką pewnością o śledztwie, które nadal toczy się w tych dwóch bardzo poważnych sprawach. Zwłaszcza biorąc pod uwagę wszystkie możliwe interpretacje tego, co faktycznie zaszło. Chciałabym podkreślić, że policja mocno dystansuje się od jego słów.

– Oj, oj, oj – jęczy rzecznik prasowy.

– No tak, teraz będzie awantura – oświadcza Mona, krzyżując ramiona na piersi i przestępując nerwowo z nogi na nogę.

– Czekajcie – mówi Vigdis i marszczy czoło, patrząc na swoją komórkę po zakończeniu emisji materiału. – Dostałam esemesa od ministra.

– Dorobił się nowego telefonu? Czy też kaleczy sobie palce, pisząc wiadomości? – pytam, bo zwyczajnie nie mogę się powstrzymać.

– Ależ, Claro – mówi Vigdis, patrząc na mnie z rezygnacją. – Oczywiście, że ma nowy telefon. Od razu mu go załatwiłam.

– I co, czego on chce? – pyta Mona.

– Żebym zadzwoniła do Cathrine Monrad i wezwała ją na dywanik.

– Teraz? – pyta Mona z zaskoczeniem,

– Owszem, jeszcze przed wieczorem, bo potem on leci do Brukseli.

– No dobra, spróbujemy to załatwić, mimo że nie za bardzo mi to w tej chwili pasuje...

Mona bierze zazwyczaj udział w spotkaniach z kierownictwem najwyższego szczebla, ponosi w końcu za tych ludzi bezpośrednią służbową odpowiedzialność.

– Cóż – mówi Vigdis z przeproszającym uśmiechem. – Minister pisze też, że chce ze sobą zabrać na spotkanie Clarę, i tylko ją. Widzę, że jest wolny o piętnastej. Jak to u ciebie wygląda, Claro?

– Nieźle – oświadczam tonem tak neutralnym, jak tylko potrafię. – Dam radę przyjść.

– Oooooooo – jęczy rzecznik prasowy, krzywiąc twarz w grymasie.

– Aha – rzuca Mona, starając się zachować godność. – Jeśli on tak sobie to wyobraża, to...

– Zadzwoń do Cathrine Monrad – mówi Vigdis, przywołując na usta uśmiech towarzyszący jej przy najbardziej żenujących rozmowach telefonicznych, które zmuszona jest prowadzić na swoim stanowisku.



## 38 – Haavard

Na pierwszy rzut oka nie jest tu właściwie pod żadnym względem źle. W pewnym sensie czułbym się lepiej, gdyby było inaczej. Norweskie więzienia mają całkiem porządną standard, dlatego wielu ludzi sądzi, że pobyt w takich miejscach nie jest niczym strasznym.

Ci ludzie się mylą.

Sam pokój i jego umeblowanie przywodzą na myśl jednostkę wojskową. Zwłaszcza niebieska pościel, tyle że na metkach widnieje napis SŁUŻBA PENITENCJARNA, a nie NARODOWE SIŁY ZBROJNE.

Cela ma grube szare ściany, żelazne drzwi, jedno zakratowane okienko, wyposażona jest w lustro, zlew, szafę, lampę pod sufitem i lampkę do czytania, kuchenkę, wywietrznik oraz lodówkę turystyczną do przechowywania jedzenia. Jest też prosty stalowy sedes.

Największym problemem wydaje mi się tu brak jakichkolwiek rozrywek. Telefon mi oczywiście zabrali. Dostałem kartkę i długopis. Najpierw próbowałem zanotować kilka słów sam dla siebie, poukładać sobie w ten sposób w głowie całą tę sprawę. Ale potem ogarnęła mnie paranoja, strach, że to, co napiszę, zostanie odnalezione i użyte przeciwko mnie. Skończyło się na tym, że podarłem kartkę na kawałeczki i wyrzuciłem.

Z oddali dochodzą do mnie odgłosy odbywającego się gdzieś w pobliżu meczu tenisa stołowego.

Wszystkie dźwięki wydają mi się tu jakby wzmocnione, bo nie mogę ich skonfrontować z obrazem.

Nie byłem w więziennej celi od tego zmarnowanego roku, kiedy studiowałem prawo i jeździłem po zakładach karnych jako wolontariusz.

I to oczywiście dwa zupełnie inne doświadczenia: siedzieć tu samemu a być kimś w rodzaju objazdowego bohatera.

Tylu rzeczy nie rozumiem.

Kto widział mnie przed szpitalem i potem w basenie? Co jeszcze mogła

zobaczyć ta osoba? Dlaczego, do cholery, system zarejestrował, że wróciłem do budynku dziesięć minut później niż w rzeczywistości? Gdzie się podział Glock Sabii? I te jej zeznania, czy wystarczą, by mnie tu posadzić na dobre? To chyba niemożliwe? A co, jeśli jednak?

Pomyśleć, że mógłbym tu zostać na czas nieokreślony.

Ta konkretna myśl wydaje mi się w tej chwili nie do zniesienia.

To, czego teraz doświadczam, jest małą przerwą od codzienności. Nikt nie marudzi, nie ma tu szefów, pacjentów, dzieci, żon ani sąsiadów, to musi być cudowne chociaż przez chwilę, myślałem, słysząc historie o ludziach, którzy na jakiś czas trafiali za kratki. Niczego nie trzeba robić. Tylko odpoczywać, czytać, spać. To coś w rodzaju przerwy w zwykłym życiu.

Rany boskie, jaka to była idiotyczna myśl.

Nie sposób jednak odpoczywać, kiedy jest się zamkniętym w niewielkim pokoju w towarzystwie wyłącznie swoich myśli, kłębiących się w głowie i splątujących w gigantyczny kołtun.

Czemu nie widziałem tego wcześniej, nie rozumiałem, że wolność, którą przez czterdzieści trzy lata mojego życia miałem za coś oczywistego, to tak naprawdę największe dane mi dobro?

Co pomyślą chłopcy? Dowiedzą się w ogóle, gdzie jestem? A może będą sądzili, że ich zostawiłem, zawiodłem? Czy będą się o mnie bali? Nikolaia przecież już teraz męczą koszmary, więc jak wpłynie na niego ta sytuacja?

No i Sabija, co ona sobie właściwie myśli? Czy coś podejrzewa? Czyżby to ona zastawiła na mnie pułapkę?

Co będzie, jeśli zadzwoni do Clary i wszystko jej opowie?

Clara i jej nowa praca, przecież musiałaby wyrzucić to wszystko do kosza.

Chciałbym cofnąć czas i postępować inaczej. Albo w ogóle nie zaczynać pewnych rzeczy.

Drzwi otwierają się nagle i do środka wtyka głowę strażnik o wyglądzie kulturysty.

– Telefon do ciebie – mówi.

– Aha – odpowiadam, wstając.

To musi być Clara, tylko z nią mam teraz ochotę rozmawiać.

Ale to nie ona.

– Haavard? – słyszę w słuchawce głos ojca. W moich oczach wzbierają łzy, muszę otrzeć twarz rękawem swetra, ogarnia mnie rozczarowanie, że to nie Clara, i jednocześnie ulga, bo ojciec na pewno mi pomoże.

William Fougner na wszystko ma jakieś rozwiązanie. W jego obecności rzeczy jakby same zaczynają się układać. A ja pociągam nosem jak jakiś gówniarz.

– Tato – słyszę, jak mówię cienkim głosem. To słowo brzmi w moich ustach dziwnie, minęło pewnie ze sto lat, odkąd je ostatnio wypowiedziałem. – Musisz mi pomóc.

Odpowiada mi cisza w słuchawce.

– Spróbuję trochę podzwonić – mówi wreszcie ojciec. – Sprawdzę, czy media coś wiedzą, poproszę, by poczekali z ewentualnymi publikacjami. I zobaczę, czy Christian mógłby nam pomóc.

Christian, ojciec Axela i najlepszy przyjaciel mojego ojca, znany jest jako najbardziej bezkompromisowy i najskuteczniejszy obrońca procesowy w mieście.

– Dzięki...

Jeśli ktoś jest w ogóle w stanie mnie stąd wyciągnąć, to tylko on.

– Clara bardzo by cię chciała odwiedzić, ale w tym momencie nie ma takiej możliwości. Tak czy inaczej, ona nie powinna teraz do ciebie przychodzić, bo pewnie zaraz by się nią zainteresowały media. Ja natomiast postaram się załatwić widzenie. Pogadamy w cztery oczy i będziesz musiał wszystko mi opowiedzieć. Od początku do końca. Rozumiesz?

– Oczywiście – mówię.

## 39 – Clara

Cathrine Monrad jest wysoka, jeszcze wyższa ode mnie. Dziś ubrała się po cywilnemu. Wygląda zgrabnie w obcisłym kostiumie z wzorem w lamparcie cętki, długie jasne włosy opadają jej na plecy. Wokół szyi udrapowała kosztowny jasny szal. Bardziej niż policjantkę przypomina mi poczytną, bogatą autorkę szwedzkich kryminałów.

– Cathrine Monrad – przedstawia się w dialekcie bergeńskim.

– Clara Lofthus – mówię, ściskając jej dłoń. – Miło panią poznać – dodaję, bo stwierdzam, że lepiej wymienić trochę uprzejmości przed właściwą rozmową.

– Gratuluję stanowiska sekretarza stanu – rzuca pani komendant, mierząc mnie wzrokiem, jakby chciała stwierdzić, czy nadal jest mi czego gratulować. – Nikt inny już nie przyjdzie? – pyta i rozgląda się dookoła.

– Nie, dziś spotkanie będzie miało raczej kameralny charakter – wyjaśnia Munch, odsuwa dla niej krzesło i okrąża stół, by zająć miejsce po drugiej stronie.

W sali konferencyjnej mieści się ponad dwadzieścia osób, pokój jest dużo za duży dla zaledwie trojga ludzi. Decyzja, by zaprosić komendantkę właśnie tu, związana jest pewnie z jakąś zaplanowaną techniką manipulacyjną.

Idę za Munchem i siadamy obok siebie, mamy Monrad naprzeciwko nas, po drugiej stronie blatu.

Powinna tu być Mona Falkum. Albo przynajmniej ktoś z pionu urzędniczego. Próbowałam to dać do zrozumienia, ale Munch nie był zainteresowany moim zdaniem w tej kwestii.

Jeden z poprzednich ministrów zawsze zapraszał urzędników na tego rodzaju spotkania. Gdy odszedł ze stanowiska, przyznał, że nigdy nie zawiódł się na tej technice. Im więcej okazywał swoim ludziom zaufania, tym bardziej mógł liczyć na ich lojalność – tak przynajmniej twierdził.

Munch natomiast z każdym dniem zdaje się coraz bardziej traktować urzędników jak swoich prywatnych wrogów.

– Czyli co? Komentujesz moją osobę w mediach? – rozpoczyna minister. – A ja byłem przekonany, że jako komendantka podległej mi formacji będziesz wobec mnie lojalna. Czy nie tak powinno być?

– W założeniu właściwie tak – mówi Monrad.

– W założeniu? – powtarza Munch, kładąc nacisk na każdej sylabie.

Monrad się nie spieszy. Wstaje, nalewa sobie wody, która pieni się w szklance, potem kawy. Upija łyk z filiżanki i wraca na miejsce.

– No cóż – mówi z westchnieniem. – To bardzo niefortunne, że tak się upierasz przy powiązaniu przestępczości zorganizowanej z tymi dwoma zabójstwami. Tworzenie takiej narracji może okazać się dla nas niebezpieczne. A jeśli chodzi o kwestię lojalności, to jestem przede wszystkim lojalna wobec naszego społeczeństwa i dobra całego kraju.

– Dobro kraju – prycha Munch.

– Tak – stwierdza Monrad. – Wypowiedziami takimi jak ta ostatnia dolewasz oliwy do ognia. Budzi to niepotrzebny lęk i zaostrza społeczne nastroje, które są zupełnie nieprzystawalne do faktycznej sytuacji. Owszem, mamy problem z przestępczością zorganizowaną, ale nie powinniśmy go dodatkowo wyolbrzymiać. Powiedziałaś dziennikarce, jak ja oceniam tę sprawę. Moim obowiązkiem jest trzymać się faktów i merytorycznych argumentów. Gdybyś się ze mną w tej kwestii skontaktował, tobym cię o tym uprzedziła.

– A nie mogłaś po prostu zadzwonić? – pyta Munch.

Gra głupka, wszyscy troje doskonale wiemy, że zrobiliby dokładnie to samo, niezależnie od tego, co ktoś by mu wcześniej powiedział.

Anton Munch myśli tylko o tym, co jest korzystne dla niego samego, mówi tylko to, czego ludzie chcą słuchać, lub, precyzyjniej ujmując: czego jego zdaniem chcą słuchać jego wyborcy. Wszystkich innych ma w nosie.

Podobnie zresztą jak cała reszta takich jak on, choć Munch chyba faktycznie odstaje od przeciętnej.

To przecież akceptowalne, że politycy uprawiają komunikację strategiczną, czyli mówią nie to, co faktycznie myślą, lecz to, co się ich zdaniem najbardziej opłaci powiedzieć. Ale ta strategiczność przybiera czasem takie rozmiary, że trudno dostrzec granicę pomiędzy prawdą a kłamstwem.

Przez lata patrzyłam na to wszystko z wyższością, gardziłam tym. A teraz

sama stałam się częścią tego systemu, weszłam do niego całkiem dobrowolnie.

Co ja właściwie sobie wmawiam? Że zdołam cokolwiek zmienić?

– Ależ, mój drogi – mówi Monrad. – W tym wszystkim chodzi o to, by nie wkurzać ludzi, których nie powinno się wkurzać. Jeśli już poszedłeś do mediów z takim wystąpieniem, to jeden mój telefon niestety niewiele by zmienił. W takiej sytuacji komendant policji musi się jasno odnieść do sprawy. W mediach. I to najlepiej błyskawicznie.

To bardzo typowe, że świadomi swojego znaczenia kierownicy mówią o sobie w trzeciej osobie.

– A jeśli chodzi o lojalność – kontynuuje Monrad. – To za dość niefortunny można uznać też fakt, że publicznie skaczesz nam do gardła, nie próbując nawet wcześniej się z nami porozumieć.

– Cóż – mówi Munch. – Tak czy inaczej, będę bezwzględnie wymagał, by wszyscy moi podwładni, niezależnie od potrzeb, jakie by odczuwali...

W chwili gdy wypowiada słowo „podwładni”, pochylam się nieznacznie i odwracam od Muncha, sięgam po komórkę, którą wcześniej położyłam na krześle obok, i podnoszę ją kilka centymetrów ponad siedzenie, ale tak, by nadal była schowana pod stołem.

Munch i Monrad patrzą sobie w oczy, nie zauważają, że kilkoma szybkimi stuknięciami klawiszy wprowadzam kod na wyświetlaczu.

No i już. Odkładam telefon.

– ...zachowywali wobec mnie lojalność w rozmowach z mediami. Zawsze. Niezależnie od okoliczności.

Rozmówcy piorunują się przez chwilę wzrokiem.

– Nie pierwszy raz się tak zachowałeś. Wystarczy wspomnieć na przykład jedno z ostatnich wydań wieczornych wiadomości.

Cathrine Monrad potrząsa swoją imponującą jasną fryzurą i śmieje się zrezygnowana.

– Z całym szacunkiem, przysyłacie nam tyle różnych poleceń, wyznaczacie tyle celów i zadań, że nie mamy czasu skupić się na tym, co tak naprawdę powinniśmy robić. I to jest właśnie problem.

– A co z...

– W przypadku tej konkretnej sprawy istnieją, jak mówiłam, rozsądne, dobre, motywowane kwestiami publicznego bezpieczeństwa powody, by kwestionować twoje teorie. Jeśli państwo norweskie, reprezentowane przez ministra sprawiedliwości we własnej osobie, mówi, że za zabójstwami stoją członkowie gangów, i to się nie sprawdzi, to takie wypowiedzi pociągną za sobą konsekwencje, których nikt z nas sobie nie życzy. A ja nie będę milczeć tylko po to, by cię zadowolić. Dość ludzi już to robi.

Zapada cisza.

Monrad ma rację. Mona jest chlubnym wyjątkiem, ale nikt oprócz niej nie ma odwagi sprzeciwić się ministrowi. Ludzie boją się represji i nie chcą kłopotów. I w całym tym swoim zapale, by chronić ministra przed jakimikolwiek przejawami oporu, w rzeczywistości wcale go nie chronią.

– Cathrine – mówi Munch, powoli i wyraźnie. – Jeśli nie zmienisz swojego podejścia, nie będę mógł ci ufać. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Ach tak... – mówi Monrad, czerwona na twarzy, i po raz pierwszy zerka na mnie. – A co o takich groźbach sądzi twój sekretarz stanu? – pyta nie bez pewnej pogardy w głosie.

– Pozwól, że podsumuję – mówi Munch, niezainteresowany najwyraźniej moją ewentualną odpowiedzią. – Musisz zmienić swój styl wystąpień w mediach. Albo w ogóle wyzbyć się tam jakiegokolwiek stylu.

– Mówisz poważnie? – pyta Monrad.

– Tak, do twoich obowiązków naprawdę nie należy bycie politycznie poprawną medialną kurwą.

Cisza. Dźwięk niewidzialnego szkła spadającego na podłogę.

– Okej – mówi Cathrine Monrad i wstaje. – To chyba już koniec spotkania.

Chwyta jasny płaszcz zawieszony na oparciu krzesła, zarzuca sobie na ramię pasek torebki i wychodzi, nie spojrzawszy na nas ani nie uściskawszy naszych dłoni, mimo że oboje wstaliśmy.

Odwraca się nagle w drzwiach.

– Gdybyś się ze mną skontaktował, mogłabym ci powiedzieć, że mamy obecnie w areszcie rodowitego Norwega, któremu postawimy zarzuty w związku z tymi zabójstwami.

Monrad zawiesza na mnie wzrok na sekundę czy dwie. Prostuję plecy,

odwzajemniam jej spojrzenie, choć mam ochotę skurczyć się i zapaść pod ziemię.

Widzę po niej, że ona wie. Mogłaby powiedzieć to wprost.

Ale tego nie robi.

Wychodzi na korytarz, słyszymy, jak jej obcasy stukają o posadzkę.

– O co jej, do cholery, chodziło? – mamrocze Munch, zbierając ze stołu pióro, notatnik i telefon. – Zadzwonię do swojego człowieka w komendzie i postaram się ustalić, co się właściwie dzieje.

Pół godziny później zostaję do niego wezwana.

Munch siedzi za biurkiem, spięty i skwaszony.

– Rany boskie, Claro... czy to prawda? Naprawdę chcą postawić zarzuty twojemu mężowi? Za podwójne zabójstwo?

– Owszem. Ale on jest niewinny.

– Wydajesz się bardzo tego pewna?

– Uwierz mi, to jakaś pomyłka. Na pewno niebawem go wypuszczą.

Minister mierzy mnie wzrokiem i wzdycha.

– Wszyscy mnie ostrzegali przed nominowaniem cię na to stanowisko. I zdaje się, że mieli rację. Wielu ludzi na moim miejscu by cię po prostu w takiej sytuacji zwolniło.

– Rób, co uważasz za słuszne.

– Cały kłopot w tym, że to też nie wyglądałoby za dobrze... – stwierdza Munch i brzmi to tak, jakby toczył dyskusję sam ze sobą. – Dwadzieścia cztery godziny, Claro! Tyle ci daję. Jeśli twój mąż zostanie do tego czasu oczyszczony z zarzutów, zapomnimy o całej sprawie. I o tej rozmowie. Ale musisz, rzecz jasna, rozumieć, że jeśli cokolwiek z tego się potwierdzi, nie będę miał wyboru.

Tego popołudnia, po powrocie do domu, odpalam Stravę.

Wiem o tej kobiecie, wiedziałam o niej przez cały czas. O wszystkich innych zresztą też. Ale nie wspomniałam o tym ani słowem, więc Haavard sobie roi, że nie mam o niczym pojęcia. Sądzi, że jest taki cwany, bo nie wymienia z nią esemesów ani nie czatuje, nie wie nawet, że odkryłam jego konto na Stravie. A potem wystarczyło przejrzeć jego najczęściej wybierane trasy i znaleźć nick,



którym się posługuje. DOCTORH.

A gdy znalazłam już jego, odkryłam także MRS SPLENDID. Bardziej żalosego pseudonimu nie mogła sobie chyba wymyślić.

Nie dodali się nawzajem do znajomych, czyżby Haavard naprawdę wierzył, że dzięki temu wszystko ukryją? Mimo że ciągle się nawzajem chwala i komentują swoje osiągnięcia? Cały czas biegają po tych samych trasach? A zapisywane przez system pomiary ich tętna sugerują, że oboje robią sobie równocześnie przerwy trwające dwadzieścia, trzydzieści minut?

Loguję się nie po to, by znaleźć dowody jego niewierności, chcę po prostu ustalić, co ta pierdolona MRS SPLENDID ma w zwyczaju robić wieczorami.

Przeglądam jej trasy. Wygląda na to, że Sabija urządza sobie identyczne przebieżki o godzinie 20.00, dokładnie to samo kilka razy w tygodniu.

Zegar pokazuje 19.35. Do dzielnicy, w której mieszka, mogę się dostać w kwadrans.

– Mógłbyś przypilnować przez chwilę dzieci? – pytam tatę. – Przejechałabym się rowerem.

Dobrze, że tata tu jest, może zająć się chłopcami, poza tym dopiero teraz czuję, jak bardzo na co dzień za nim tęsknię.

– Oczywiście – odpowiada, a ja zegniam się z chłopcami, obaj siedzą zapatrzeni w swoje iPady. Wsiadam na rower.

Haavard nie zrobił tego, o co się go oskarża.

A Sabija faktycznie trzymała pistolet w szufladzie swojego biurka. Zdaje się, że to był glock, pamiętam, jak Haavard mi o tym mówił.

Obie ofiary zostały zastrzelone z takiej właśnie broni, pisali o tym w gazetach.

Sabija była w pobliżu miejsca zbrodni w Ullevål. A także w Lysebu. Za każdym razem, gdy blisko ofiar znajdował się Haavard, ona była koło niego.

Jeśli zdołam dowieść, że Sabija robi coś, czego robić nie powinna, może uda mi się wydostać Haavarda z aresztu i sprawić, by wrócił do domu.

Po tym, co powiedziała dziś Cathrine Monrad, zaczynam rozumieć, że muszę się spieszyć. Pani komendant może zacząć opowiadać o Haavardzie na prawo i lewo po to tylko, by uderzyć w Muncha.

Zaczyna mi się palić grunt pod nogami.

Dwadzieścia minut później stoję na skraju lasu przylegającego bezpośrednio do ich ogrodu, kryję się pomiędzy drzewami. Patrę na doskonale utrzymany trawnik, wygląda, jakby trawę kupiono w wielkich rolkach i po prostu rozwinięto na ziemi. Jest krótko przystrzyżona, zupełnie inna niż w naszym anarchistycznym ogrodzie. Dostrzegam też bejcowany na szaro taras z białymi i różowymi złocieniami w wielkich donicach. Biały, świeżo odmalowany dom. Ogromne okna.

Mogę stąd zajrzeć do ich salonu. Jest jasny, przestronny, uporządkowany.

Osiągający sukcesy, dobrze zintegrowani imigranci tacy jak Sabija nazywają samych siebie słowem *desi*, nauczył mnie tego Haavard. Żaden *desi* nie pomyślałby nawet, że mógłby zamieszkać na Grønland, to też mi kiedyś powiedział. Takie dzielnice za bardzo przypominają im przeludnione, śmierdzące przyprawą garam masala slumsy, w których dorastali.

Nie, *desi* mieszkają w nowoczesnych, przestronnych willach albo szeregowcach z dala od centrum.

I oczywiście właśnie tak mieszka również Sabija.

Dostrzegam ją nagle przez okno. Ma na sobie obcisłe czarne džinsy i biały jedwabny top. Podnosi koc z sofy i pieczołowicie go składa. Zbiera zabawki z podłogi. Znika mi z pola widzenia, ale zaraz wraca, siada, zajmuje się telefonem, znów wstaje.

Do salonu wchodzi jej mąż, oboje stoją na środku pokoju, rozmawiają. Czy on wie o Haavardzie i ich miłosnym gniazdku na leśnym pagórku? Albo o ukrytym w szufladzie jej biurka pistolecie? Szczerze w to wątpię.

Przez krótką chwilę mam ochotę wejść do środka i o wszystkim mu opowiedzieć. Ale teraz ważniejsze jest to, by powiązać Sabiję z zabójstwami, nie, by narobić jej kłopotów w domu.

Sabija znów znika i wraca po chwili, ma na sobie obcisły czarny strój sportowy, legginsy i cienką bluzę z kapturem. Żegna męża skinieniem głowy i kieruje się w stronę drzwi.

Wycofuję się między drzewa.

Po chwili widzę ją, jak wychodzi z domu, podeszwy jej butów chrzęszczą na

białym żwirze, którym wysypali podjazd domu, stoją tam zaparkowane ich dwa samochody. Biała tesla, świeżo umyta, efektowna. I małe elektryczne bmw. To auto także jest białe. Nieskazitelne samochody, nieskazitelny dom, oboje muszą naprawdę dobrze zarabiać.

Wszystko wygląda imponująco.

## 40 – Susanne

– Mamo, mam, mam! – wrzeszczy chłopak, wydaje mu się może, że mnie w ten sposób powstrzyma, ale to tylko sprawia, że walę jego głową mocniej o podłogę. Może i słyszą nas sąsiedzi z dołu, ale mam to w dupie, chociaż jestem pewna, że to oni donieśli na mnie do służby ochrony praw dziecka, która przylazła tu jakiś czas temu i zaczęła węszyć.

Żeby odebrać mi dzieciaki, musieliby mnie nakryć naćpaną albo złapać za rękę w chwili, kiedy je biję, a tego udało mi się dotychczas uniknąć, bo jestem od nich cwańsza, w ogóle jestem cwańsza, niż się komukolwiek wydaje. Ludzie mają mnie za głupią, bo wyglądam tak, a nie inaczej, patrzą na mój makijaż, twarz wygładzoną botoksem, włosy, ubrania i myślą, że mają przed sobą tępaczkę. Ale się mylą.

Ja jestem po prostu inna niż oni.

– Nie, mam! – krzyczy dziewczucha i próbuje mnie odciągnąć. – Przestań, tak nie można. Nie! Nie!

Odwracam się i ją uderzam, dzieciak upada na podłogę. Pieprzone gówniarze, chwytam ich za ręce, ciągnę na korytarz i w górę schodów.

Łup, łup, łup, ich małe ciała uderzają o stopnie, wrzeszczą, oboje wrzeszczą, lecz ja otwieram drzwi do schowka i wpycham ich do środka, zamykam drzwi, zakładam haczyk. Mają tam materace, na których mogą się bawić albo spać, jakieś ciastka do jedzenia. Pomieszczenie jest wygłuszone. Facet, który mieszkał tu przede mną, urządził sobie w środku coś w rodzaju sali kinowej i pewnie oglądał tam pornosy.

Kończy nam się alkohol i mój gość zaczyna się niecierpliwic, chce jechać do miasta, kupić więcej koki. Zgadzam się zawieźć go na kolejkę, aż tyle w końcu nie wypiałam, poza tym dobrze będzie się go w końcu pozbyć.

Wracam do domu i słyszę odgłosy walenia w ścianę. Kurwa mać, nie mogą się tak zachowywać. Wbiegam po schodach, wszystko się we mnie gotuje. Otwieram drzwi do schowka i w tej samej chwili uderza mnie potworny smród.

Chłopak się zesrał i wsadził rękę w pieluchę, gówno jest wszędzie, na jego rękach, na ścianie, na materacu i na jego siostrze.

– Kurwa mać – mówię i zatrząskuję drzwi, wchodzę do łazienki, odkręcam kran przy wannie, rozbieram się, ubranie wieszam na haczyku po wewnętrznej stronie drzwi.

Potem wyciągam biały proszek z mojej tajnej skrytki, sypię go na lusterko.

Powiedziałam, że nie mam już nic więcej. Nie chciałam się dzielić ani z moim gościem, ani z nikim innym. Ostrożnie układam lusterko na skraju wanny.

Wracam na dół, wyciągam z lodówki butelkę różowego wina i nalewam sobie kieliszek. Wino było drogie, nim też nie chciałam się dzielić.

Ruszam do łazienki, kieliszek ustawiam obok lusterka na skraju wanny i układam się ostrożnie w wodzie. Na pewno zasnę, zawsze robię się śpiąca, kiedy tak leżę.

Coś w domu skrzypi, ale to pewnie tylko wiatr.

Odchylam się do tyłu, robię sobie selfie, wysyłam je paru znajomym, ale nie temu, który był u mnie dziś wieczorem. Właściwie to mam nadzieję, że on już nigdy nie wróci. Jego kutas jest za mały, portfel – zbyt cienki, inteligencja – zbyt niska. Tylko ego ma ogromne.

Po moim ciele rozlewa się przyjemne ciepło, ale nagle barki i szyję owiewa mi podmuch zimnego powietrza, czuję, że ciągnie od łazienkowych drzwi. Musiałam zapomnieć je zamknąć, powinnam wstać i to zrobić, ale nie mam ochoty wychodzić z ciepłej wody.

Odwracam się w kierunku drzwi, żeby sprawdzić, czy faktycznie są zamknięte.

I wtedy ją dostrzegam.

Obca kobieta, w czarnych sportowych legginsach i czarnej bluzie z kapturem, stoi w drzwiach mojej łazienki, nieruchoma i milcząca.

Jak ona tu weszła? I czego może ode mnie chcieć?

Mam już wrzasnąć, ale ona wtedy unosi palec wskazujący ku wargom, skinieniem głowy wskazuje ścianę, za którą jest korytarz.

– Cicho – mówi. – Nie ma sensu wrzeszczeć. I tak nikt cię nie usłyszy.

Nie odpowiadam. Próbuję usiąść w wannie. Woda chlupocze, wylewa się na podłogę, jest jej za dużo. Nieznajoma zbliża się do mnie.

Powinnam się podnieść, przyskoczyć do niej, obalić ją na podłogę, jakoś zareagować, ale nie jestem w stanie się ruszyć. Nie jestem w stanie nawet jasno myśleć.

– Kim jesteś? – pytam szeptem, staram się jej nie sprowokować. – I co tutaj robisz?

– Jestem tu, żeby cię sprzątnąć – odpowiada kobieta, jej głos jest cichy i ochryply, mówi inaczej niż ja, słysząc, że nie pochodzi stąd.

Czuję na skroni jakiś chłodny, metalowy przedmiot.

Broń.

– Słuchaj – mówię, prostuję nieco plecy, ale ona mnie powstrzymuje, przyciskając lufę mocniej do mojej głowy. Zerkam na nią z ukosa, starając się nie ruszać szyją. – Nie mam pojęcia, kim jesteś ani czego ode mnie chcesz. Ale może mogłybyśmy porozmawiać...

– To za ich dwoje – mówi nieznajoma, wskazując skinieniem głowy korytarz i schowek.

– Za dzieci? – pytam, mój głos przechodzi w falset. – Ale czemu?

– Żeby nie musiały już przez to przechodzić. Najwyższy czas się ciebie pozbyć.

Nachyla się nade mną.

Jest piękna. Jej oczy są elegancko umalowane.

I intensywnie niebieskie. Nigdy nie widziałam tak błękitnych oczu.

– To za twoje dzieci. I za Larsa – mówi.

# CZĘŚĆ 3

## 41 – Haavard

– Zostały panu postawione zarzuty. Czy godzi się pan na czterotygodniowy areszt, o który wnioskuje prokurator, czy też chce pan wnieść o zwolnienie z aresztu?

– Chcę wnieść o zwolnienie z aresztu – mówię i chrząkam, bo głos mam zachrypnięty.

– Czy będzie pan składał wyjaśnienia?

– Tak – odpowiadam.

Christian wytłumaczył mi, że na takim posiedzeniu sędzia musi ustosunkować się do przedstawionych mu dokumentów.

Osoba, której postawiono zarzuty, czyli ja, zazwyczaj nie składa nowych wyjaśnień, podtrzymuje tylko wcześniejsze zeznania złożone na policji. Sędzia odczytuje następnie ich treść i pyta, czy delikwent uznaje to w świetle prawa za swoje wyjaśnienia.

Udziela się również głosu prokuratorowi policyjnemu, który przedstawia uzasadnienie swojego wniosku. Na koniec obrońca motywuje prośbę o zwolnienie z aresztu, jeśli tego życzy sobie jego klient.

Na podstawie tego wszystkiego sędzia podejmuje decyzję, której treść zostaje publicznie odczytana.

Osoba, której postawiono zarzuty, może się odwołać, przyjąć decyzję sądu bądź poprosić o czas do namysłu.

Wszystko to wiedziałem już wcześniej, uczono mnie tego na nonsensownym pierwszym roku prawa, zanim rzuciłem te studia. Pojechaliśmy nawet na wycieczkę do sądu, siedzieliśmy tam całe dni i byliśmy świadkami wielu takich postępowań.

Christian złożył wniosek, by dzisiejsze posiedzenie odbyło się za zamkniętymi drzwiami przez wzgląd na poszanowanie prywatności, ale sąd nie przychylił się do jego prośby, co zresztą robi podobno bardzo rzadko. Rozglądam się nerwowo dookoła. Nie widzę na szczęście żadnych



dziennikarzy ani znajomych. Christian uzgodnił z ojcem i Clarą, że nie powinni przychodzić, bo mogłoby to niepotrzebnie przyciągnąć do sprawy uwagę mediów.

Oboje są zapewne bardzo zadowoleni z takiego rozwiązania.

Widzę za to, że obecni są Elin i Morten. Śledczy rzadko pokazują się w sądzie, przychodzą tylko wtedy, gdy toczy się jakaś większa sprawa, wyjaśnił mi Christian.

Zaczyna mi świtać, że to właśnie jest większa sprawa.

– Mając na uwadze szczególnie bulwersujący charakter popełnionych czynów oraz realne ryzyko mataczenia i recydywy, zdaniem policji niezbędne jest przedłużenie aresztu o cztery tygodnie, z zakazem korespondencji i odwiedzin – referuje wniosek prokuratora policyjnego sędziego.

Półtorej godziny wcześniej przewieziono mnie więźniarką do sądu, zaprowadzono do piwnicy, w której znajdują się cele, miałem też okazję zobaczyć się przelotnie z Christianem. Chwilę wcześniej trafiły do niego akta sprawy, dostaje się je podobno dopiero godzinę przed posiedzeniem. Po krótkiej rozmowie zostałem przyprowadzony tutaj, na salę rozpraw.

Widok starego, dobrego Christiana Fernera-Hansena jest tak krzepiący, że czuję ucisk w gardle.

Zapewne przyjechał tu rowerem z Ivar Aasens vei. Wcześniej zdarzało mi się go widywać, jak pedałowal przez miasto, zupełnie nieświadomy, że mu się przyglądam. Każdego razu trochę się wzruszałem. Christian uosabia pierwotną siłę, pędząc przed siebie na starym rowerze, z łopoczącymi połami płaszcza i wiatrem w gęstej, siwej czuprynie.

W ostatnim roku trochę się wycofał z życia zawodowego, zaczął chadzać na jeszcze dłuższe wędrówki, do Puttedalen albo w góry od strony Fyllingen, na Kikuttoppen, skąd rozciąga się widok na południe ku Bjørnsjøen, Appelsinhaugen i Tryvann, a w pogodniejsze dni daje się nawet dostrzec skrawek Oslofjorden.

Ale odkurzył togę i powrócił, by mnie ratować. A ja nie powinienem tu siedzieć i rozmyślać o górskich wycieczkach, muszę się skupić.

Prokurator policyjny ma ze sobą nakaz aresztowania, podsumowanie sprawy i wniosek o przedłużenie aresztu, który odczytuje sędzia.

Wszystkie te puste frazy, które pamiętam z przerwanych dwadzieścia lat temu studiów i z godzin spędzonych pod biurkiem taty nabierają innego znaczenia, gdy zaczynają dotyczyć mnie, mojego życia, mojej przyszłości.

Sędzia podkreśla powagę sprawy, fakt, iż śledztwo jest na razie w dość wczesnej fazie i areszt należy uznać w związku z tym za konieczny, zwłaszcza przez wzgląd na niebezpieczeństwo mataczenia. Osoba, której postawiono zarzuty, może, jeśli zostanie wypuszczona, kontaktować się ze świadkami i próbować na nich wpływać.

Ja natomiast zapadam się coraz bardziej w sobie.

Wzbiera we mnie poczucie odrealnienia. Krew pulsuje mi w skroniach, upijam łyk wody z postawionej przede mną szklanki. Nic dziś nie jadłem i niewiele piłem, jestem odwodniony i słaby. Każdy najmniejszy ruch wymaga ode mnie ogromnego wysiłku.

Wszystkie zgromadzone przeciwko mnie dowody składają się na całkiem spójną narrację.

Wszystkie moje durne małe kłamstwa splatają się w ogromny węzeł, którego nie umiem rozplątać.

Najgorsze jest to, że sam już nie pamiętam, co jest prawdą, a co kłamstwem, wszystko zlało się ze sobą w jedną mętną breję.

## *Trzy tygodnie wcześniej*

Jest dopiero dziesiąty maja, a mimo to doświadczamy właśnie pierwszego dnia lata.

Wieczorem, gdy wreszcie robi się chłodniej, siedzę w domu na sofie z laptopem na kolanach, przeglądam mejle, próbuję ułożyć sobie w głowie listę rzeczy do zrobienia. Idzie mi ciężko.

Munch zablokował mój projekt ustawy.

A tata miał właśnie wylew.

Wszystko bierze w łeb.

W tej samej chwili zaczyna mrugać leżący obok mnie telefon.

*Haavard komórka*, głosi napis na wyświetlaczu, te dwa słowa opatrzone są ikonką serduszka, musiał wprowadzić ją jeden z chłopców. Będę pamiętać, żeby ją usunąć.

– Tak? – mówię.

Przez kilka sekund słyszę tylko ciszę w słuchawce.

– Haavard?

Mój mąż chrząka.

– Mogłabyś sprawdzić, czy chłopcy dobrze śpią?

– Daj spokój – mówię.

A potem on opowiada mi o tym biednym maluchu i o facecie w niebieskiej koszulce Chelsea, który idzie właśnie do kaplicy się pomodlić.

Zaglądam do chłopców.

Nikolai leży na brzuchu w swoim łóżku, dziś postanowił spać w samych zielonych majtkach w dinozaury. Andreas leży na materacu na podłodze. Ma oczywiście własny pokój, ale woli spać u brata, równie dobrze moglibyśmy

przenieść jego łóżko tutaj. Nasz drugi synek ma na sobie szarą piżamkę z wizerunkiem Kapitana Szablozębego i kilkoma symbolami trupich czaszek.

Obaj chłopcy zasypiają wieczorami i śpią jak zabici, nie ma szans, żeby budzili się w nocy.

Składam Haavardowi raport i kończymy rozmowę.

Czterolatek.

Chłopiec tylko trochę młodszy niż Lars. Taki mały, a jednocześnie taki duży. Dziecko rozumiejące tak wiele, a zarazem tak mało.

Naczytałam się tyle raportów, wytycznych i regulacji w tego rodzaju sprawach, że jestem w stanie wyobrazić sobie to drobne ciało, bardzo podobne do dwóch pogrążonych w śnie ciał na piętrze i ciała Larsa, tyle tylko, że nieco ciemniejsze i mniejsze.

Małe ciało, które przyjmuje na siebie kolejne ciosy, wytrzymuje, myśli, że tak powinno wyglądać życie. Że tak musi być.

Małe ciało chłopca, który kocha mamę i tatę, przekonany, że jeśli dzieje mu się jakaś krzywda, to tylko z jego winy.

Przed oczyma stają mi obrazy z przeszłości. Rzeczy, których nie chcę pamiętać. Tata patrzący na Larsa, który siedzi w różowej wannie, wołający mnie do siebie.

A ja wtedy przychodzę. I widzę. I rozumiem.

To jest, kurwa, nie do wytrzymania.

I to w tej właśnie chwili podejmuję decyzję.

Muszę się spieszyć, mam mało czasu. Przed chwilą zaglądałam do chłopców, nie ma sensu znów do nich iść.

Zamiast tego ruszam prosto do pretensjonalnie urządzonego gabinetu Haavarda, biorę stamtąd zapasową kartę dostępu do jego pracy, doskonale wiem, gdzie jej szukać. Mój mąż używa wszędzie tego samego kodu 2205 – daty urodzin chłopców. Schodzę na parter, włączam alarm, zamykam drzwi na klucz i wyprowadzam rower.

Koła chrzęszczą na żwirze naszego podjazdu, od zakończenia mojej rozmowy z Haavardem minęły zaledwie cztery minuty.

Całe moje ciało napędza wielki silnik, wściekłość płonąca we mnie niczym

ognista kula, która zawsze gdzieś tam była, tyle że w stanie uśpienia, jak niektóre wulkany.

Ale teraz znów zaczęła się żarzyć.

O tej porze, późnym wieczorem, powietrze jest chłodne i ostre, nasycone zapachem czeremchy, tawuły i pierwszych bzów, rozkwitłych w tym roku tak wcześnie.

Jeszcze nie jest ciemno, w tych miesiącach trzeba długo czekać na zmrok.

Naciskam pedały z całych sił. Na ulicach jest mały ruch, prawie żadnych ludzi. Próbuję robić moje ćwiczenia oddechowe na tyle, na ile się da na rowerze. Nie są optymalne, ale na nic więcej nie mam teraz czasu.

Dojeżdżam do Ullevål i wchodzę do środka przez parking, zostawiam tam rower.

W jednym z korytarzy stoi ciężki wózek z ubraniami, które najwyraźniej wróciły właśnie z pralni. Wkładam kitel i luźne spodnie, dzięki temu mniej się wyróżniam, bo w końcu czas odwiedzin dawno już minął. Przechodzę obok koszy z brudną odzieżą i pościelą do prania, widziałam je już wcześniej, gdy razem z chłopcami odwiedzałam Haavarda w pracy. Wszystkie te rzeczy są wygotowywane.

Wspinam się po schodach na trzecie piętro, gdzie znajduje się biuro mojego męża, omijam przy tym dyżurkę. Haavard często się skarży, że w Ullevål nie ma monitoringu, pracowników to bardzo irytuje, zwłaszcza gdy pojawiają się agresywni pacjenci lub ich bliscy. Gdyby jednak jakimś cudem zdecydowali się gdzieś tu zamontować kamery, to w pierwszej kolejności zrobiliby to zapewne właśnie w dyżurce.

Skrzydło biurowe pogrążone jest w ciemnościach. Nikt o tej porze nie pracuje. Tak jest każdego dnia, mimo że niższe piętra tętnią życiem. Wkładam jednorazowe rękawiczki, wyciągam kartę dostępu, wpisuję kod, otwieram drzwi, nie chcę zapalać światła, zamiast tego włączam latarkę w komórce.

Gabinet Haavarda znajduje się za trzecimi z kolei drzwiami po lewej stronie. To mały, nieciekawy pokój, bardzo podobny do tych, w których siedzimy w ministerstwie. Każdy ma swoje biurko. Komputer, klawiatura, papiery. Rozpoznaję właściwy Haavardowi styl bałaganienia. Biurko rozbijaczki małżeństw Sabii stanowi natomiast wzór schludności. Stoi na nim fotografia,

troje ciemnowłosych dzieci, widziałam je na zdjęciu w tle na jej facebookowym profilu.

Bałagan zaczyna się dopiero na granicy blatów biurka jej i Haavarda, leży tam między innymi skalpel z trzonkiem w kolorze miętowej zieleni, w typie tych, których mnóstwo wala się u nas w domu. Wkładam go do kieszeni, kto wie, na co może mi się przydać. Zabieram ponadto ze sobą niewielką różową szczotkę do włosów, rozmiarów niemal dziecięcych, między jej kolcami wije się sporo ciemnych włosów.

Przystaję na chwilę i patrzę na szafkę z szufladami pod biurkiem Sabii.

„Co w sercu, to na języku”, mawia się w naszych stronach. Ta prawda ludowa potwierdziła się w dość perwersyjny sposób pewnego zimowego wieczora, gdy Haavard opowiedział mi o biednej Sabii, najmądrzejszej i najbystrzejszej koleżance w całym szpitalu, tkwiącej w szponach sadystycznego męża.

– I wiesz co? – powiedział na koniec długiego monologu.

– Nie – odparłam.

Jak można było oczekiwać, mój brak zainteresowania nie zamknął mu ust.

– Musisz mi obiecać, że nikomu o tym nie powiesz.

– Rany boskie, daj spokój...

– Po seminarium o nowotworach krwi siedzieliśmy, rozmawiając o tym, jak nam poszło, mieliśmy już iść do domów, musieliśmy tylko dojść chwilę do siebie po tych wszystkich rozmowach z rodzicami, było tyle pytań...

– Do sedna.

Haavard spojrzał na mnie z wyrzutem, jak zawsze, gdy tak się do niego zwracam.

– Ona wtedy wyciągnęła nagle pistolet z tłumikiem z szuflady swojego biurka i...

– Pistolet? – przerwałam mu szczerze zaskoczona.

– Owszem, pistolet. Chyba glock. I go we mnie wycelowała.

– Czy ona się nie boi, że ktoś go znajdzie?

– Szuflada jest oczywiście zamykana na klucz. Ale klucz leży na naszym regale z książkami.

Czemu on mi o tym opowiadał? Czyżby czuł się aż tak pewny tego, że nie

wiem o jego kochance? Może myślał, że w taki właśnie sposób wierni mężowie opowiadają swoim żonom o koleżankach z pracy?

Na koniec przytoczył historię sadystycznego męża i podkreślił, iż zażądał od niej usunięcia glocka ze wspólnego gabinetu, oraz wspomniał, że między sobą nazywają pistolet „zwierzem”.

Nie pytałam go nigdy więcej o tę kwestię, on też już o niej nie wspominał. Ale nie chce mi się wierzyć, by miał odwagę żądać czegokolwiek od swojej cudownej kochanki.

Pistolet leży pewnie na swoim miejscu, chyba że Sabija przełożyła go gdzieś z własnej inicjatywy.

Próbuję wysunąć szuflady szafki. Wszystkie są zamknięte na klucz.

Wspinam się na palce, sięgam na szczyt regału na książki, nie mam gwarancji, że klucz nadal tam leży. Ale faktycznie jest, nieco odsunięty od brzegu.

Otwieram kolejne szuflady pod uporządkowanym biurkiem ze zdjęciem pięknych dzieci.

Pierwsza okazuje się pusta. Podobnie jak druga.

W trzeciej z kolei szufladzie, pod wydrukami prezentacji w PowerPoincie, między rozsypanymi wykałaczkami, spinaczami, paragonami, obok ozdoby z koralików, którą zapewne zrobiły dla niej dzieci – musiała upchać w szufladzie wszystkie niepotrzebne śmieci – znajduję pistolet z tłumikiem.

Podnoszę go, sprawdzam magazynek, wpycham broń za gumkę spodni, zasłaniam ją bluzą, zatrzaszukuję wszystkie szuflady, zamykam je na klucz, który następnie odkładam na miejsce.

A potem wychodzę na korytarz.

Od chwili, kiedy zadzwonił do mnie Haavard, minęły dwadzieścia trzy minuty, a odkąd wskoczyłam na rower – zaledwie dziewiętnaście. Mimo to facet w koszulce Chelsea mógł już dawno skończyć się modlić.

Wszystko zależy od tego, czy zdążę do kaplicy, zanim on z niej wyjdzie.

Słyszałam kiedyś, jak pewien muzyk mówił, że aby grać na swoim instrumencie, musi się wyzerować, pozbawić się jakiegokolwiek podmiotowości. Dopiero wtedy może tworzyć muzykę, staje się bowiem zaledwie medium, przez które płyną dźwięki.

Czasami kiedy biegam, elementy rzeczywistości wpadają na swoje miejsce, a ja czuję, jak wszystko wokół mnie płynie, potrafię zapomnieć, że jestem bieżącym ciałem.

Po prostu pędzę przed siebie.

Tak czuję się właśnie teraz, stanowią przezroczystą nicość z kulą ognia we wnętrzu, ta kula ciągnie mnie do przodu, ku niemu, zupełnie jak pies tropiący. Do piwnicy. Na dwór, przez parking. Na prawo. W głąb terenu szpitala, ku przygnębiającemu placowi, z budką dla palaczy podobną do autobusowej wiaty. Aż pod niebieskie drzwi, które kiedyś wskazał mi Haavard, mówiąc, że to wejście do kaplicy.

Skalpel w mojej kieszeni nie zrobi najmniejszego hałasu. To duża zaleta. Ale nie mogę ryzykować bójkę na pięści z tym facetem. Lepiej zdać się na pistolet. Wyciągam go zza gumki spodni, trzymam mocno obiema dłońmi, naciskam klamkę łokciem, drzwi otwieram, napierając na nie barkiem.

Muszę działać szybko. I wierzyć, że tłumik zadziała jak trzeba.

Pomieszczenie ma jakieś dziesięć metrów kwadratowych.

Na rozłożonym na podłodze dywaniku modlitewnym klęczy facet w niebieskiej koszulce Chelsea. Modli się, odwrócony do mnie plecami. Słyszę, jak mamrocze pod nosem.

*Astaghfirullah.*

*Astaghfirullah.*

*Astaghfirullah.*

Puszczam drzwi, pozwalam, by się za mną zatrzasnęły.

Facet odwraca się, by zobaczyć, kto przyszedł.

W jego oczach w pierwszej chwili maluje się irytacja. Potem zaskoczenie. W końcu strach.

Postępuję kilka kroków do przodu, wciąż z uniesionym Glockiem.

– Co, do diabła...? – mówi mężczyzna.

– To za tego biednego chłopca w szpitalu – odpowiadam. – I za inne twoje dzieci. I za Larsa.

Pociągam za spust.

Z lufy strzela płomień w kolorze pomarańczowym. Słyszę cichy huk.



Wygląda na to, że trafiłam go w bok. Facet upada na twarz.

Pociągam za spust raz jeszcze.

Zdaje się, że trafiam go w plecy. Ale on nadal się rusza. Podchodzę do niego, chwytam go za ramię, odwracam na wznak i strzelam mu z bliska w serce.

Jego oczy gasną.

Na sekundę czy dwie całą moją wściekłość i niepokój zastępuje niejasne uczucie radości, ta radość jest jak bąbelki w kieliszku szampana, pieni się i wzbiera, nigdy wcześniej się tak nie czułam, przynajmniej przez ostatnich trzydzieści lat.

Mija jeszcze jedna, jasna jak szkło, cicha sekunda, zanim uruchamia się mój wewnętrzny alarm.

Nie mogę tu zostać.

Podnoszę z podłogi dwie łuski po nabojach. Trzeciej nigdzie nie widzę i nie mam czasu jej szukać.

Ostatni strzał zrobił w jego koszulce osmaloną dziurę. Biorąc pod uwagę fakt, że facet dostał trzy kulki, na podłodze jest zadziwiająco mało krwi. Pochylam się, unoszę niebieską tkaninę. Tłusty brzuch porośnięty czarnym włosiem. W miejscu, gdzie trafił go pocisk, wyrósł dziwny guz, niczym z komiksów o Kaczorze Donaldzie, wypełniony sinawą ciecżą.

Czym ja właściwie do niego strzeliłam?

Wpycham pistolet z powrotem za gumkę spodni, mogłabym przysiąc, że broń ma własny puls, metal tętni i parzy mi skórę. Wychodzę przez niebieskie drzwi, ruszam z powrotem w kierunku oddziału pediatrycznego.

Strach, jak wszystkie inne emocje, jest przede wszystkim iluzją.

Głupio zrobiłam, zostawiając wcześniej rower na parkingu, nie podoba mi się, że muszę się tu jeszcze kręcić, ale przecież nie mogę go porzucić.

Wchodzę do środka, używając karty dostępu, zdejmuję z siebie kitel i spodnie, wrzucam je do jednego z koszy na brudne ubrania oznaczonego nalepką PRAĆ W 60 STOPNIACH, po czym idę na parking.

Gdy wyprowadzam rower, wokół panuje ta sama co przed kilkoma chwilami cisza i spokój.

Dziesięć minut później jestem już w drzwiach naszego domu. Dopiero teraz

zdejmuję jednorazowe rękawiczki, tnę je na małe kawałki i spuszczaam w toalecie.

Chłopcy śpią w tych samych pozycjach, co przed moim wyjściem. Otwieram szeroko okno, wpuszczam do pokoju świeże powietrze, nachylam się i całuję synków.

Odwracam się na chwilę w progu.

– Dobranoc – szepczę.

A potem idę poszukać miejsca, w którym mogłabym schować należącego do Sabii glocka 17.

## 43 – Haavard

Przychodzi kolej na prokuratora policyjnego. Facet po raz kolejny przedstawia wszystkie dowody i ustalenia pozwalające powiązać mnie z zabójstwami i miejscami zbrodni. Zbiera mi się na mdłości, niedobrze mi, jakbym miał kaca i z zawiązanymi oczami musiał jechać szosą pełną ostrych zakrętów.

Wydaje się, że z każdym recytowanym przez prokuratora zdaniem sędziego jest coraz bardziej przekonany.

Już po mnie. Jestem Perem Lilandem, Fredrikiem Fastingiem Torgersenem i Harrisonem Fordem w *Ściganym*.

Wreszcie głos zabiera Christian. Opalenizna nie schodzi z jego twarzy cały rok. Jest żylasty i szczupły. Żyje zdrowo, jeśli nie liczyć wieczornego wina pitego z Jenny na tarasie albo w ogrodzie zimowym.

Wygląda na to, że się nie spieszy.

– Człowiek jest tak skonstruowany, że gdy tylko dochodzimy do jakiegoś przekonania, nasz mózg zaczyna pracować nad poszukiwaniem dla niego uzasadnienia, niezależnie od tego, czy przekonanie to jest słuszne, czy nie – zaczyna. – To fenomen, który w zawodzie obrońcy procesowego ogląda się w naszym kraju dość często. Zazwyczaj nie mówi się o nim na tak wczesnym stadium postępowania, ale w przypadku tej sprawy wydaje się, co zaskakujące, że wspomniane zjawisko ujawniło się już na etapie śledztwa. Stróże prawa skupili się niestety na jednej tylko hipotezie i wpadli w koleiny poszukiwania dla niej uzasadnień. W śledztwie popełniono kilka podstawowych błędów. Mój klient został między innymi poproszony przez policję o udanie się na miejsce zbrodni w celu identyfikacji ciała Mukhtara Ahmada, zanim jeszcze zjawili się tam technicy kryminalistyki. Stanowi to oczywiste złamanie zasady stanowiącej, że nie wolno doprowadzić do kontaminacji miejsca zbrodni. Ale nie poświęcajmy na to teraz przesadnie dużo czasu. Jest wiele innych wartych rozważenia kwestii.

Po sali rozchodzi się cichy, niesłyszalny niemal szmer.

– Policja jest przekonana o winie mojego klienta. Przedstawione zostały dowody w sprawie. Co nam one mówią? Po pierwsze, że mój klient żywił głęboką nienawiść do ludzi maltretujących dzieci, czego przykładem może być korespondencja elektroniczna datowana na szesnastego maja dwa tysiące osiemnastego roku. Gdybyśmy mieli aresztować wszystkich Norwegów o podobnych przekonaniach, nasze więzienia przepełniłyby się w błyskawicznym tempie...

– Proszę trzymać się meritum – upomina sędzia.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie. Organy ścigania podkreślają ponadto, że pan Fougner zmienił swoje zeznania dotyczące tego, gdzie przebywał w momencie popełnienia obu zabójstw. Faktycznie, może się to wydawać dziwne, ale tylko do chwili, w której zrozumiemy, że przyczyną utrzymywania prawdy w tajemnicy były względy natury osobistej. Na temat pozamałżeńskich romansów można mieć oczywiście bardzo różne zdanie, ale chyba wszyscy przyznają mi rację, gdy stwierdzę, że nie powinny one stanowić przedmiotu zainteresowania aparatu sprawiedliwości.

Christian rozgląda się po sali. Ma na sobie togę skrywającą jego cywilne ubranie.

– Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze kwestia broni. Pan Fougner dowiedział się od pani Rany, że jest ona w posiadaniu broni palnej, którą przechowuje w ich wspólnym gabinecie. Czy powinien być kogoś o tym zawiadomić? Tak! Z perspektywy czasu możemy oczywiście stwierdzić, że absolutnie tak. Lecz z tych samych powodów, dla których mój klient zataił prawdę o związku z Sabiją Raną – to jest silnego poczucia lojalności – zdecydował się również nie wspominać o pistolecie. Czy fakt, że o nim wiedział, czyni go zabójcą? Nie i jeszcze raz nie. Organy ścigania nie przedstawiły nam dziś żadnych dowodów technicznych. Ślady DNA mojego klienta nie zostały odnalezione na żadnym z miejsc zbrodni ani na jej narzędziu, którego organy ścigania zresztą po prostu nie mają. Wniosek z tego jest taki, że mój klient raczej na pewno nie zostałby w tej sprawie skazany. Chciałbym również przypomnieć, że decyzję o utrzymaniu aresztu wydaje się w sytuacji, w której prawdopodobieństwo, że oskarżony popełnił dany czyn, jest znacznie większe niż prawdopodobieństwo, że tego nie zrobił.

Stary sądowy wyjadacz nabiera powietrza.

Trochę mi ulżyło, ale wcale nie jestem pewny, że to wystarczy.

## 44 – Clara

Schowałam glocka za belką sufitową na zapuszczonym strychu naszego domu, w którym leżą jedynie ptasie szkielety oraz śpiewniki i prasa z okolic roku tysiąc dziewięćset dwunastego.

To już drugi raz. I wszystko przebiega inaczej, jest o wiele lepiej zaplanowane.

Podoba mi się myśl, że zdołałam odebrać Sabii coś z tego, co zostało mi skradzione.

Tymczasem poczytałam trochę i udało mi się ustalić, że glock 17 to pistolet, z którego korzysta się w wojsku, jest także popularny wśród prywatnych miłośników broni palnej z uwagi na poręczność i stosunkowo niewysoką cenę.

Kilka sztuk glocka 17 zaginęło w ostatnich latach na skutek kradzieży z wojskowych magazynów, prywatnych domów bądź sklepów z bronią. Snuję dalekosiężne plany i mam nadzieję, że ten konkretny glock jest legalny i zarejestrowany, najlepiej na Sabiję.

Pistolet strzela pociskami 9 milimetrów, takimi samymi, jakie używane są w służbowej policyjnej broni. Aby kupić amunicję, trzeba mieć na to specjalne zezwolenie. A ja go nie mam. Mogłabym również pomyśleć o zakupach na czarnym rynku. Ale to zbyt ryzykowne. Muszę zadowolić się tym, co zostało w magazynku, naboje powinny wystarczyć na dłuższy czas, bo glock wpadł mi w ręce z kompletem amunicji.

W kaplicy wystrzeliłam trzy pociski. Zostało mi jeszcze czternaście.

Amunicja nazywa się federal hydra-shok. Jest droga.

Wszystko to wyczytałam, siedząc w wybranej na chybił trafił kafejce internetowej na Dworcu Centralnym. Nie mogę przecież wyszukiwać takich informacji w domu ani w pracy.

Melika Omid Carter wydaje się najoczywistszym wyborem spośród wszystkich nazwisk na liście Haavarda, którą znalazłam, logując się na jego domowy komputer rankiem przed moim wyjazdem na zachód. Wiedziałam, że

mój mąż coś knuje, chciałam się tylko dowiedzieć, co takiego.

Postarałam się zapamiętać listę, zapisałam nazwiska na żółtej samoprzylepnej karteczce i ukryłam ją na strychu razem z glockiem.

Carter nie jest rdzenną Norweżką, więc wszyscy będą myśleć, że o to właśnie chodzi. I niech sobie na razie tak myślą. Carter dzięki swojemu pochodzeniu może być łączona z Sabiją, na tej samej zresztą zasadzie, co wcześniej Ahmad.

Czytając jakiś czas temu poświęcony Carter artykuł w „DN”, myślałam, że to kobieta pod wieloma względami godna podziwu. Twarda. Zdecydowana. Ale zebrane przez Haavarda informacje wskazują na to, że jest również do szpiku kości zepsuta.

Jej dzieci miały na ciałach ślady od uderzeń pejczem, podobno przypalała im także języki rozżarzoną łyżką, to nie do pomyślenia, że te biedne maluchy nadal z nią mieszkają.

Ale sama lista Haavarda w niczym nie pomoże.

Pomoże tylko jakieś działanie, takie jak w Ullevål, takie, które podejmę i tym razem.

Melika prowadzi kursy w każdy poniedziałek. Na blogu rozpisuje się o wysokim standardzie hotelowych pokoi, pysznym jedzeniu, twierdzi, że zawsze przyjeżdża poprzedniego wieczora na trzydaniową kolację z najbardziej wyszukanych produktów w restauracji z widokiem na wierzchołki drzew i miasto gdzieś daleko w dole, a potem przepływa dwa kilometry w cudownym basenie, który miewa na ogół wieczorem tylko dla siebie.

Najlepsze jest jednak to, że ma prowadzić kurs w Lysebu w tym samym czasie, w którym będą tam przebywać Haavard i Sabija.

Munch wybiera się tam na konferencję w czerwcu. Jego spece od bezpieczeństwa przeprowadzili w hotelu rekonesans i stwierdzili, że jest tam tylko jedna kamera, bezpośrednio przy wejściu. Na pewno uda mi się jej uniknąć. Budynek ma kilka par tylnych drzwi, można do niego wejść między innymi od strony basenu. Te drzwi zostaną z pewnością zamknięte na przyjazd Muncha, lecz zakładam, że z reguły są otwarte.

W kafejce internetowej udało mi się również znaleźć stary plan hotelu, załącznik do wniosku właścicieli nieruchomości w Lysebu skierowanego do urzędu gminy w związku z planami rozbudowy kompleksu. Leży

zarchiwizowany w prowadzonych przez gminę elektronicznych aktach sprawy i daje niezłe wskazówki, jak się poruszać po budynku.

Dokładnie o godzinie 22.40 wchodzę do środka bocznymi drzwiami. Haavard i jego kompani pewnie nadal siedzą w hotelowej restauracji nad kawą i koniakiem.

Pokonuję kilka schodków, po czym schodzę do piwnicy.

Sufity są tu niskie, ledwo się mieszczę. Idę przed siebie wąskim białym korytarzem, stanowiącym coś w rodzaju zminiaturyzowanej wersji katakumb w Ullevål.

Drzwi do przebieralni także nie są zamknięte. Nikt się tu nie stresuje, każdy każdemu ufa, w najlepszej duńsko-norweskiej tradycji. Żadnych ochroniarzy, żadnych kart dostępu, tylko otwarte drzwi. Przebieralnia jest pusta. Stoi w niej dziesięć szafek z kluczykami, żadna z nich nie jest zamknięta. Wkładam jednorazowe rękawiczki i foliowe ochraniacze na buty, na ubranie wciągam coś w rodzaju foliowego fartucha do sprzątania. Włosy ukryłam pod czapeczką z daszkiem. To dyskretne, lecz bardzo skuteczne rozwiązanie. Zerkam w lustro i stwierdzam, że wyglądam jak członek personelu sprzątającego, za którego chciałabym uchodzić. Wychodzę z przebieralni do pomieszczenia z basenem. Zegar wskazuje już 22.45.

Zaczynam się krzątać, chcę sprawiać wrażenie, że faktycznie mam tu coś do zrobienia. Pełen spokój, pełna kontrola.

Na jednej ze ścian ciągnie się rząd wielkich okien. Po drugiej stronie jest wejście do przebieralni, skąd właśnie przyszłam, i prysznic z deszczownicą. Zaraz obok – pogrążona w mroku sauna, spod drewnianych ławek sączy się tylko blada zielonkawa poświata.

Najbardziej przyciąga wzrok przestrzeń nad drzwiami prowadzącymi do damskiej przebieralni. Wisi tam wielka biała rzeźba. Matka z dziećmi. Inspiracja motywem Maryi z Jezusem jest tu niewątpliwa, kobieta trzyma maluchy na rękach, dzieci kierują na nią błagalne spojrzenia, oto matka idealna.

Gdybym wierzyła w tego typu rzeczy, uznałabym to za znak.

Wzdłuż brzegu basenu, niczym coś w rodzaju przegrody pomiędzy wodą a ścianą z wiszącą na niej rzeźbą, ustawiono rząd brzoźowych pni. Kładę na



jednym z nich dłoń, czuję cienką korę, warstwę brzozonej skóry. Drzewa przypominają mi o brzózkach, które w ostatnim czasie wyrosły przy górskiej chacie, będą je chyba musiała wyciąć.

Jest cicho, słychać tylko szum wentylacji, przytłumione głosy hotelowych gości, może nawet Haavarda i jego towarzyszy.

W końcu pojawia się Melika Omid Carter.

Można ją bez trudu rozpoznać, nawet w czepku kąpielowym i pływackich goglach. Kobieta zerka na mnie, wyraźnie zaskoczona i poirytowana faktem, że kogoś tu zastała. Na mój widok zmienia najwyraźniej plan, zsuwa gogle na czoło, idzie do sauny i zamyka za sobą drzwi. Na ramieniu niesie torbę.

Dostrzegam w zielonkawym mroku kontury jej sylwetki, patrzę, jak odstawia torbę, rozkłada ręcznik na najniższej ławie i się na nim mości.

Zegar na ścianie nad basenem pokazuje, że jest już 22.50.

Idę po swoją torbę, wchodzę do sauny i zamykam za sobą drzwi, stoję przy ławie, na której leży Malika, wydaję pistolet, celuję.

Kobieta unosi głowę i patrzy na mnie z zaskoczeniem.

– To za twoje dzieci – oświadczam. – I za Larsa.

Odrzut wydaje się silniejszy niż za pierwszym razem, mimo że jestem na niego przygotowana.

Trafiam ją prosto w serce, z bliskiej odległości. I tym razem nie ma zbyt wiele krwi, na jej skórze wykwita za to błyskawicznie złożony z czerwonych plam wzór.

Na stopach mam foliowe ochraniacze. Dzięki temu nie zostawię odcisków podeszew. Ale będzie widać, że ktoś tu chodził, a policja, określiwszy rozmiar buta, dojdzie zapewne do wniosku, że zabójcą jest kobieta. Mam co prawda nieco większe stopy niż Sabija, ale i tak małe jak na mój wzrost, rozmiar 38. Może to ich trochę wprowadzi w konfuzję.

Gdy wychodzę z sauny, basen jest tak samo błękitny i niewzruszony jak przed kilkoma minutami.

Znów zerkam na zegar. Spędziłam w środku zaledwie minutę.

W przebieralni zdejmuję fartuch, wsadzam go do torby. Melika zabrała wszystkie swoje rzeczy do sauny, w całym kompleksie basenowym nie został po

niej zatem żaden ślad. Przy odrobinie szczęścia znajdą ją dopiero jutro rano.

Wychodzę z kompleksu basenowego, poruszam się tak spokojnie i pewnie, jakbym tu mieszkała. Torbę zarzucam na ramię, dłonie ukrywam w kieszeniach, by nikt nie zauważył cienkich jednorazowych rękawiczek, a potem pokonuję wąski korytarz, schodki i jestem na poziomie, na którym mieszczą się sale konferencyjne, stoi przed nimi sofa z fotelami oraz automat z kawą, wokół wciąż panuje cisza i spokój.

Drzwi są zamknięte od wewnątrz. Otwieram je, wychodzę, staję pod ścianą, zdejmuję rękawiczki i chowam je do kieszeni.

Spokojnie pokonuję dziedziniec i odnajduję pozostawiony na skraju lasu rower.

## 45 – Haavard

Christian jeszcze nie skończył. Unosi palec wskazujący, jakby chciał poprosić zgromadzonych, by uważnie go słuchali.

– Na koniec chciałbym wspomnieć o pewnym istotnym szczególe. Wczoraj wieczorem doszło w Oslo do kolejnego zabójstwa, który to fakt prokurator policyjny postanowił w swoim wystąpieniu pominąć. Trzydziestoletnia kobieta została znaleziona martwa w swoim domu.

– Ależ to nie ma żadnego związku z tą sprawą – protestuje prokurator.

Christian posyła mu uśmiech.

– Nie ma to związku z moim klientem, owszem, z tym się mogę zgodzić. Ale faktem jest, że ofiara, Susanne Stenersen, była jedną z osób na tak zwanej „liście” rodziców maltretujących swoje dzieci, dokumencie, który organy ścigania wciąż przytaczają jako dowód winy mojego klienta i wyjaśnienie jego motywacji.

Kątem oka widzę, że Elin pochyla się do przodu i zaczyna słuchać w najwyższym skupieniu.

– Może to być oczywiście zupełny przypadek, choć moim zdaniem byłoby to mało prawdopodobne. Haavard Fougner teoretycznie mógłby popełnić dwa pierwsze zabójstwa. Ale wstępne badania techników kryminalistyki wskazują, że kobieta została zastrzelona z broni wyposażonej w amunicję typu Federal Hydra-Shok, bardzo charakterystyczny rodzaj pocisków odnalezionych w ciałach dwóch poprzednich ofiar. Według wszystkich znaków na niebie i ziemi te trzy zabójstwa łączy jedno i to samo narzędzie zbrodni. Policja poświęciła dużo czasu i sił na podważenie alibi mojego klienta. Ale, drodzy państwo, z trudem byłbym w stanie wymyślić lepsze alibi niż pobyt w areszcie. Dlatego też wnoszę o natychmiastowe zwolnienie pana Fougnera.

– Czy prokurator policyjny ma coś do dodania? – pyta sędzia.

– Nie – odpowiada zapytany, na jego twarzy maluje się zmęczenie.

Christian natomiast z trudem powstrzymuje uśmiech.

Zerkam na Elin i Mortena, oboje wyglądają, jakby się tego nie spodziewali, zakładam, że policjanci doskonale wiedzieli o relacjonowanych przez mojego adwokata faktach, nie przypuszczali po prostu, że tak szczegółowe informacje trafią również do Christiana.

Media pewnie nie mają jeszcze o niczym pojęcia.

Stary wyjadacz zadzwonił z pewnością do jakiegoś znajomka z komendy na Grønland „tylko po to, żeby wysondować, co w trawie piszczy”.

I ktoś z jego dawnych kontaktów się wysypał, opowiedział mu o zupełnie nowej sprawie, bardzo podobnej do tamtych dwóch.

– Dobrze, dziękuję – mówi sędzia. – Zarządzam piętnastominutową przerwę, po której zostanie ogłoszona decyzja.

## 46 – Clara

Powrót do domu zajmuje mi zaledwie trzy kwadranse.

To już trzeci raz, w moje działania zaczyna wkradać się pewna rutyna.

Wstukuję spokojnie kod w panel na klamce, naciskam ją i otwieram drzwi, które zatrząskują się za mną, zamykając się jednocześnie na elektryczny zamek. W domu panuje cisza. Ruszam w kierunku schodów, chcę wziąć prysznic.

Na stopniach siedzi mój tata. W ciemnościach, cicho jak mysz pod miotłą.

– Gdzie byłeś? – pyta, mierząc mnie wzrokiem.

– Na przejazdźce rowerowej. Przecież ci mówiłam, że się wybieram, prawda?

– Owszem, mówiłeś – odpowiada tata dziwnym tonem, zupełnie jakby doskonale wiedział, gdzie właśnie byłam i co zrobiłam.

– Zejdź na dół, bo obudzimy chłopców.

– Cała orkiestra dęta nie zdołałaby ich obudzić – stwierdza mój ojciec, dźwigając się z trudem ze stopnia, na którym przysiadł. Idziemy do kuchni, siadamy na naszych krzesłach od Wegnera w typie *wishbone*, kupionych przeze mnie pomimo protestów Haavarda, który twierdził, że są za bardzo mainstreamowe.

– Chłopcy zasnęli bez problemu?

– Pewnie. Ale i tak trochę u nich posiedziałem – mówi tata z uśmiechem.

Postarzał się przez ten ostatni rok, nadal jednak wygląda młodo jak na swój wiek. Włosy ma gęste, krótkie, nosi je tak od pobytu w wojsku, sam się strzyże maszynką. Wydaje się opalony, niezależnie od pory roku. Wygląda dzięki temu na zdrowego i silnego człowieka, choć wiem, że to pozory.

– Masz ochotę na herbatę? I kanapkę z serem? – pytam, nastawiając wodę.

– Tak, dziękuję – mówi tata, wychodząc do salonu.

Zauważyłam, że poruszanie się sprawia mu większy trud wieczorami, może dlatego, że jest wtedy zmęczony. Wyjmuję z lodówki masło i ser, zaczynam

robić kanapki. Z salonu dochodzą do mnie odgłosy telewizora, tata włączył pewnie wiadomości.

Ze wszystkich trzech zabójstw to właśnie dzisiejsze cieszy mnie najbardziej. Może dlatego, że Haavard ma najlepsze alibi na świecie, siedzi przecież za kratkami.

Policja z pewnością zainteresuje się teraz Sabiją.

Prześledziłam dokładnie listę Haavarda, na której zostali już praktycznie sami rdzenni Norwegowie, doszłam do wniosku, że Susanne i Sabija są właściwie sąsiadkami. Przesądziło to o mojej decyzji.

Musiałam zabić Susanne w czasie, gdy Sabija była poza domem na jednej ze swoich przebieżek. Chodzi o to, by później, gdy skupią się na niej wszystkie podejrzenia, nie była w stanie zasłonić się wiarygodnym alibi.

Przygotowałam się dobrze, kupiłam komórkę na kartę, by zadzwonić z niej na policję i donieść o śmierci Susanne, nie chciałam, by ciało znalazły jej dzieci. Komórka na kartę to stary i stosowany milion razy wcześniej trik, ale muszę przyznać, że wszystko zadziało idealnie.

Gdy wspięłam się na piętro domu Susanne, dobiegły do mnie odgłosy cichych, stłumionych uderzeń w ścianę. Zrozumiałam, że dzieci muszą siedzieć w schowku przy schodach.

Strzeliłam jej w skroń, tak mi było najwygodniej.

Z rany wlotowej wypłynęła wąska strużka krwi, sprawiając, że woda w wannie stała się różowa, zupełnie jak wino w stojącym na brzegu wanny kieliszku. Po wszystkim wyjęłam z kieszeni spodni małą foliową torebkę, z której wyciągnęłam trzy włosy Sabii.

Włosy w torebce zostały pieczołowicie przeze mnie wybrane, mają bowiem cebulki, z których możliwe jest pozyskanie jej DNA.

Byłam przekonana, że należąca do Sabii broń wystarczy, by policja powiązała ją z zabójstwami już na etapie Lysebu.

Ale tak się nie stało. Gdy do aresztu trafił Haavard, zrozumiałam, że potrzeba im mocniejszych dowodów.

Jeden włos upuściłam na martwą dłoń Susanne leżącą na skraju wanny. Drugi udrapowałam na jej ramieniu, trzeci zaś wrzuciłam do wody. Trzy włosy to dość, by zwrócili na nie uwagę technicy kryminalistyki z Kripos,

a jednocześnie nie aż tyle, by ktoś zaczął przypuszczać, że zostały podrzucone. Są ciemne, więc od razu widać, że nie pochodzą z jasnej fryzury Susanne.

Zobaczmy, jak ta dziwka się z tego wytłumaczy.

W drodze do domu zawiadamiam policję, przedstawiam się jako sąsiadka i mówię, że słyszę dochodzące z góry krzyki, boję się, że dzieci zostały same albo dzieje im się jakaś krzywda.

A potem rozbijam telefon, jego resztki wrzucam na wszelki wypadek do studzienki kanalizacyjnej.

Dzięki temu maluchy nie będą musiały dłużej siedzieć w schowku. Pogłębia to moje poczucie sensowności tego, co się właśnie stało.

Z listy można wykreślić kolejne nazwisko. Robię to na razie tylko w swojej głowie.

I tym razem mi się udało. Powinam się cieszyć.

Tylko że jest jeszcze tyle innych nazwisk. Na liście zostało ich siedem. A istnieje wiele nazwisk i dzieci poza tą listą. Ile maluchów siedzi w tej chwili zamkniętych w tym czy innym schowku?

To, co zdarzyło się w Ullevål, co zrobiłam kierowana właściwie impulsem, zmieniło się w pędzącą po górskim zboczu kulę śniegową. Teraz już nie jestem w stanie przestać.

Czuję się zupełnie tak jak wtedy, gdy byłam mała i zjeżdżałam z Langebakken na nartach, wszystko wokół mnie było białe, zimne i się skrzyło, jechałam coraz szybciej i szybciej, moje ciało zmieniało się w pędzącą w dół strzałę, wiedziałam, że powinnam zacząć hamować, tętno rosło, serce waliło jak szalone, ale nie zmniejszałam prędkości, nie zatrzymywałam się, mknęłam dalej i dalej.

Może to wszystko drzemało we mnie już od czasu, gdy tata poleciał do Libanu. Wciąż pamiętam, jeszcze z czasów sprzed jego wyjazdu, jakim uczuciem jest radość.

Zupełnie jakby ciało wypełniały setki mydlanych baniek.

Nie czułam się tak, odkąd tata wyjechał. Gdy wrócił, odetchnęłam z ulgą, ale nie było we mnie radości. Ani wtedy, ani już nigdy później.

## 47 – Leif

1982

W dniu, kiedy wróciłem, mgła wisiała przy samej ziemi, trawa w ogrodzie była śliska i wilgotna. Zastałem drzwi zamknięte na klucz, dzwoniłem, ale nikt mi nie otwierał, musiałem okrążyć dom i zacząć walić do okien na tyłach.

W końcu za szybą pojawiła się buzia Clary. Dałem jej gestem do zrozumienia, że musi mnie wpuścić.

– Cześć, kochanie – powiedziałem, gdy w końcu mi otworzyła. Ukucnąłem przed nią. Patrzyła na mnie bez słowa. W sieni było zimno i strasznie czymś śmierdziało.

– Może przytulisz tatusia? – zapytałem, a ona objęła mnie ostrożnie. Przycisnąłem ją do piersi, a ona wydała z siebie wtedy cichy pisk. Ale nie powiedziała ani słowa.

– Gdzie jest mama, Claro?

– Na górze.

– A Lars?

– Tam, w środku – odparła, skinieniem głowy wskazując salon. Podniosłem się, wziąłem ją za rączkę i ruszyłem do pokoju, dochodziły z niego odgłosy telewizora, mimo że był środek dnia. Zajrzałem po drodze do kuchni, wszędzie stały brudne naczynia, w szafkach nie było już czystych talerzy i szklanek. Po całym domu wałały się śmieci i stare gazety, podłoga była usłana stosami czystych i brudnych ubrań, wszędzie leżało pełno okruchów. Wyglądało na to, że nikt tu nie sprzątał i nie odkurzał od dnia mojego wyjazdu.

– Co jest z tobą, kurwa, nie tak? – wrzasnąłem na Agnes później tego dnia. Leżała w łóżku, jak zawsze blada i milcząca.

Nie doczekałem się odpowiedzi. Zabrałem się więc do pracy, bo ktoś musiał odgruzować dom.



Dzieci były równie blade i ciche jak ich matka. Zwierzęta wychudły i na wpół zdziczały, nie wyglądały na zdrowe. Świnie w ogóle zniknęły, bo Agnes oddała je na rzeź.

Przez kilka miesięcy dwoiłem się i troiłem, by wszystko jakoś doprowadzić do porządku, odratować gospodarstwo, nawiązać na powrót kontakt z dziećmi, zapanować nad finansami.

Z wojska przyszła wiadomość, że nie wolno mi nikomu mówić o moim pobycie w Libanie. A zwłaszcza o strzelaninie w Raszai, bo mogłaby na tym ucierpieć cała norweska operacja. Poza tym jednym razem nie miałem już żadnych wieści z wojska.

Z początku utrzymywałem nieregularne kontakty z moimi towarzyszami broni, ale spotkania i rozmowy z nimi bardzo mnie stresowały, miałem poza tym dość własnych spraw na głowie, więc wszystko się jakoś w końcu urwało.

Martwiłem się o to, co przeżyły dzieci, kiedy mnie nie było, zwłaszcza Clara, która się bardzo zmieniła. Przestała okazywać jakiegokolwiek uczucia, już nie płakała. Nie szukała u mnie pocieszenia, gdy się uderzyła czy doświadczyła jakiejś innej przykrości, nie chciała rozmawiać o swoich myślach, uczuciach, pragnieniach. Próbowałem ją pytać, co działo się w domu pod moją nieobecność, jak im tu było beze mnie, ale ona nie chciała nic powiedzieć.

– Opiekowałam się Larsem, tato – tyle tylko udało mi się z niej wycisnąć. Zresztą nie miałem wątpliwości, że tak właśnie było. Clara obejmowała brata, gdy razem oglądali dobranockę, opowiadała mu bajki, pomagała zakładać buty, z czym chłopiec wciąż nie bardzo sobie radził.

– Cicho, Lars – mawiała, głaszcząc go po włosach, gdy zaczynał płakać. Była dla niego małą mamą. Miniaturową dorosłą.

Po jakimś czasie znów zaczęła siadać mi na kolanach, zarzucać ramiona na szyję.

Ale wciąż nic nie mówiła. To ja musiałem gadać.

– Nie powinienem był nigdy wyjeżdżać – powtarzałem. – Ale teraz cię już nie zostawię, obiecuję. Wszystko będzie dobrze.

Clara nie odpowiadała, nic nie mówiła, choć widziałem, że uważnie mnie słucha.

Właściwie to mówiłem trochę do niej, a trochę do siebie.

Nocami źle sypiałem, budziłem się co chwila spocony i przerażony. Często zaczynałem drżeć. A czasem miałem wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi. Gdy doświadczyłem tego po raz pierwszy, byłem przekonany, że zaraz umrę, że to zawał. Drugi raz już wiedziałem, że to tylko atak paniki, że to przejdzie, jeśli położę się na sofie i przetrzymam kilka godzin.

Strzelanina w oliwnym gaju. Ludzie padający od kul.

Zielony przestrzelony beret, który znalazłem porzucony na ziemi i który stał się pierwszym okazem w mojej kolekcji.

I tamten epizod kilka tygodni później. Na posterunku przy pastwisku. Cisza. Słychać było tylko cykady i szczekanie psów. Dookoła kręciły się kozy, które drapałem czasami między rogami.

I nagle – głuchoe wybuchy i terkot broni maszynowej. Granat, który upadł tuż obok mnie.

Obejrzałem się potem i stwierdziłem, że całe biodro mam lepkie od krwi.

Odłamek wbił się w mięsień, tuż poniżej kamizelki kuloodpornej.

Stał się okazem numer dwa.

Te dwa przedmioty, beret i odłamek, zabrałem ze sobą do domu.

Fakt, że zastrzeliłem wielu ludzi, nie męczył mnie za bardzo sam w sobie, wiedziałem, że musieli zginąć, inaczej zginąłbym ja. Gdybym nie strzelał, Clara i Lars zostaliby bez ojca.

Cieszyłem się, że wróciłem do domu. Oczywiście, że tak.

Lecz jednocześnie tęskniłem do dni w Libanie, gdzie wszystko było kwestią życia i śmierci, gdzie nigdy nie wątpiłem w to, co mam zrobić, gdzie zawsze działaliśmy razem, jednocząc wysiłki w wielkiej, ważnej sprawie.

Wszystko w domu stało się takie obce, zupełnie jakbym przez przypadek wylądował na niewłaściwej planecie. To właśnie mnie przerażało. Przerażali mnie ludzie.

Wieczorami siadywałem często przy oknie i wgapiałem się w ciemność. Na ścianie w schowku wisiała moja strzelba. Po jakimś czasie zacząłem ją wsuwać przed snem pod łóżko.

Mniej więcej wtedy Agnes nagle ożyła, zupełnie jak zahibernowane muchy pod sufitem górskiej chaty, które budzą się, gdy ktoś rozpali tam ogień

w chłodny zimowy dzień. Wstała z łóżka, umyła się, uczesała, pojechała do nowego centrum handlowego i nakupowała ubrań, umalowała się, wyglądała zaskakująco zdrowo, zupełnie nie przypominała kogoś, kto leżał całe miesiące w łóżku, zawinięty w kołdrę, milczący i nieobecny.

Zrozumiałem, że zaczyna się jeden z jej lepszych okresów.

Niedługo potem przyszła do mnie i powiedziała, że rozpoczyna pracę asystentki w szkole. W końcu potrzebowaliśmy pieniędzy. Musiała zatem wstawać każdego ranka. Oddychałem z ulgą, gdy wychodziła do pracy, z przewieszoną przez ramię torbą i włosami zaplecionymi w schludny warkocz.

Dobrze, że ona wstała, gdy ja muszę trochę poleżeć, myślałem sobie.

## 48 – Haavard

– Fatalnie, że zostałeś w to zamieszany – mówi ojciec. – Ale teraz musimy uważać, żeby nie zaczęła o tym pisać prasa, choć właściwie nie wiem, czy da się tego uniknąć. Muszę przyznać, że martwię się trochę o Clarę i jej karierę.

W sumie to dość typowe. Ojciec od początku miał słabość do Clary, traktował ją jak córkę. Zawsze powtarza, jaka jest bystra, choć jego zdaniem zapewne nie powinna pracować w ministerstwie aż tyle lat.

– Twoja matka odchodzi od zmysłów. Powinieneś z nią porozmawiać – dodaje ojciec.

– W porządku – mówię. – Ale może nie dzisiaj?

– Na razie ja się nią zajmę. Słuchaj, Haavard. Najważniejsze w tej całej sprawie jest to... Masz rodzinę. Wspaniałą żonę.

– Tato – wzdycham. – Błagam cię.

Umoralniająca pogadanka na temat wierności małżeńskiej jest ostatnim, czego mi w tej chwili trzeba. Zwłaszcza pogadanka wygłoszona przez mojego ojca.

Naprawdę wierzę, że kocha matkę, nie jest sobie w stanie wyobrazić bez niej życia. Tyle że okazuje to w dość nietypowy sposób.

Przez te wszystkie lata doszło między nimi do kilku poważnych spięć. Pamiętam telefon dzwoniący późnym wieczorem. Matkę, która płakała i złorzeczyła, oraz milczącego ojca. Albo ten dzień, gdy wróciłem wcześniej ze szkoły, mama była w Paryżu, a ja zobaczyłem blady tyłek mojego ojca poruszający się jak tłok między udami Ninni Jessen. Jęki, chichoty, szepty.

Wymknąłem się na powrót z domu, nawet mnie nie zauważyli. Potem nie wspominałem o tym w rozmowach z ojcem, przyrzekłem sobie natomiast, że nigdy nie będę taki jak on.

A stałem się dokładnie taki sam.

Wszystko zaczęło się w dniu, gdy zamieszkaliśmy z Clarą w domu rodziców. Przejąłem tak jakby od ojca rolę wiarołomnego męża, w nim zaś chyba wypaliła

się chuć, bo zdaje się, że bardziej od kobiet zaczęły go interesować spacer, drogie wina i spotkania z kolegami.

– No cóż, Haavardzie, idź posprzątać swój bałagan – mówi, parkując auto przed bramą naszego domu.

## 49 – Clara

Wszyscy oprócz przebywającego aktualnie w Brukseli Muncha siedzą przy stole, wpatrując się w ten sam nagłówek na ekranach swoich iPadów. Na pierwszej stronie „VG” widnieje zrobione z bliska zdjęcie Cathrine Monrad ozdobione umieszczoną w rogu miniaturką portretu Muncha.

„Medialna kurwa!”, krzyczy nagłówek.

Pod spodem, nieco mniejszą czcionką, dodano zdanie: „Dymisja ministra sprawiedliwości?”.

– Rany boskie – mówi rzecznik prasowy. – Jak to się mogło stać?

– Jeśli ktoś wątpił, że babka się faktycznie sprzedaje mediom, to teraz chyba jest już pewien – oświadcza doradca.

– Zakładając, że choć połowa z tego, co ona mówi, jest prawdą, to naszym największym problemem nie jest bynajmniej Monrad – stwierdza Mona, posyłając mu karcące spojrzenie.

– Ale co my mamy w tej sytuacji zrobić? Oto pytanie – rzuca rzecznik prasowy.

– Ktoś już rozmawiał z ministrem? – pyta Mona.

– Jeszcze nie – odpowiada jej rzecznik. – Próbowałem się do niego dodzwonić, ale bez skutku, będę go jeszcze łapał. Słuchaj, Claro, przecież ty uczestniczyłaś w tej rozmowie. Czy on faktycznie powiedział coś takiego?

Widzę, że Mona posyła mi lodowate spojrzenie.

– Nie uważał na słowa. Nie pamiętam wszystkiego ze szczegółami, ale...

– Pójdę do niego zadzwonić – mówi rzecznik prasowy. – Resztę artykułu możecie przeczytać sami. I tak będzie to pewnie sprawa dnia.

– Albo miesiąca – rzuca Mona. – Lub nawet roku. Na dodatek media dostały jeszcze kolejne zabójstwo, o którym mogą pisać. Nie mam pojęcia, co się dzieje.

– No właśnie, rany boskie – mówi doradca. – Przecież to już jakieś zupełne szaleństwo. Babka zamordowana we własnej wannie? I żadnych świadków. Jak to możliwe?

– „Sąsiedzi z dołu mówili, że słyszeli wieczorem dochodzące stamtąd hałasy.  
– Mona odczytuje fragment innego artykułu. – W rozmowie z dziennikarzem przyznali, że było to na porządku dziennym i że wiele razy próbowali zawiadomić policję oraz służbę ochrony praw dziecka o tym, że w domu Susanne nie wszystko jest jak należy, ale nie pociągnęło to za sobą żadnych konkretnych działań...”.

– No właśnie...

– „Sąsiedzi zauważyli ponadto, że wcześniej tego dnia przyszedł do Susanne w odwiedziny jakiś mężczyzna – ciągnie Mona. – I ona gdzieś z nim pojechała w okolicach godziny ósmej. Zastanawiali się, gdzie przebywały w tym czasie jej dzieci, bo nie widzieli, by ktoś je zabierał, byli ponadto zaskoczeni, że Susanne w ogóle może prowadzić auto, bo z jej mieszkania dochodziły wcześniej odgłosy imprezy. Kobieta wróciła po zaledwie dziesięciu minutach. Potem już nie widzieli ani nie słyszeli niczego niepokojącego, dopiero koło dwudziestej trzeciej dziesiątej przyjechała policja i wystraszyła ich na śmierć”.

– Jezu Chryste...

– „Funkcjonariusze chodzili od domu do domu, wszystkich wypytywali, ale nikt nie zauważył niczego niezwykłego, może z wyjątkiem faceta, który wyszedł wieczorem na spacer z psem i twierdził, że widział blondynkę na rowerze. Policja przypomina, jak ważne jest zgłaszanie podejrzanych zdarzeń i zachowań”, bla, bla, bla. Zwłoki zostały odkryte, bo ktoś zadzwonił na numer alarmowy i przedstawił się jako sąsiad z dołu. Tyle że ci sąsiedzi twierdzą, iż nigdzie nie dzwonili, a telefonu, z którego połączono się z policją, nie da się namierzyć.

Siedzimy dłuższą chwilę pochyleni nad iPadami. Wraca do nas rzecznik prasowy.

– Ostatnie wieści: Munch dostał dwadzieścia minut, by się wytłumaczyć, jego komentarz poszedł już do „VG”. Minister zdecydowanie zaprzecza, by powiedział cokolwiek z tego, co zarzuca mu Monrad. Twierdzi, że pani komendant wszystko to sobie zmyśliła, by zrobić wokół siebie zamieszanie i podkopać jego autorytet.

– Rany boskie – wzdycham.

Kompletnie idiotyczne posunięcie. Ale to również straszne świństwo ze

strony dziennikarzy, że dają człowiekowi czas na przesłanie komentarza, ale tak czy inaczej, publikują artykuł po godzinie, niezależnie od tego, czy się zdążyło odpowiedzieć, czy nie, nieważne, gdzie się jest i co się robi. Moim zdaniem to zwykły, ordynarny szantaż.

– Mam tylko nadzieję, że Munch nie kłamie – stwierdza Mona, a w jej głosie słycać nutę mściwej satysfakcji. Wstaje i zaczyna zbierać swoje papiery. – Pójdę zadzwonić do Cathrine Monrad, może coś się jeszcze da uratować. Proponuję także, byśmy wyznaczyli Clare do odpowiadania na napływające w tej sprawie pytania od mediów – dodaje, zerkając na rzecznika prasowego, który oświadcza:

– W porządku. To ja wracam do moich dwudziestu pięciu nieodebranych połączeń.

– A z nim co teraz będzie? – pytam Vigdis, gdy wychodzimy z sali konferencyjnej, wskazując skinieniem głowy niedźwiedzia polarnego Oddbjørna. Dwóch facetów w kombinezonach z logo Centrum Serwisowego Ministerstwa owija go właśnie w folię, przypominającą moim zdaniem tę, w którą tradycyjnie zawija się zwłoki.

– Oddajemy go do czyszczenia – odpowiada Vigdis. Stoimy, spoglądając na oddalających się z misiem mężczyzn. – Chyba mu się zagnieździło w futrze jakieś robactwo.

– O rany – rzucam, po czym wchodzę do mojego gabinetu, zamykam drzwi i siadam w superergonomicznym czarnym skórzanym fotelu, który odziedziczyłam po Wollu.

Odchylam się w tył, rozmyślam przez minutę czy dwie.

Następnie otwieram na komputerze stronę informacji telefonicznej i wyszukuję numer Cathrine Monrad. Muszę się chwilę zastanowić, jak ładnie ubrać w słowa to, co chcę jej przekazać, ale w końcu jestem zadowolona.

Esemes zostaje wysłany z mojej komórki, która informuje o tym krótkim, szeleszczącym sygnałem dźwiękowym.

Chwilę później dzwoni Haavard z wiadomością, że jest już wolnym człowiekiem i właśnie jedzie do domu.



## 50 – Haavard

– Nareszcie wróciłeś – mówi Clara, gdy stoję w drzwiach, i rusza w moją stronę. Wyszedłem na spacer, nie miałem siły siedzieć tak po prostu w samotności i czekać na powrót domowników. – Wszystko okej?

– Właściwie to nie – mówię i zbiera mi się na płacz. Cudownie jest wrócić do domu, lecz jednocześnie czuję się psychicznie zmaltretowany, zmęczony, niezdolny do wykrzesania z siebie odrobiny radości. – Cóż to był za koszmar...

– Co teraz będzie?

– Nie wiem.

– Co sprawiło, że w końcu cię wypuścili?

– Christian – odpowiadam, siadając na kuchennym stołku. – Szkoda, że go nie widziałas. Był totalnie zajebisty. Zakończył swoje wystąpienie, mówiąc, że wczoraj wieczorem, gdy siedziałem za kratkami, miało miejsce kolejne, bardzo podobne zabójstwo. Do tego doszły jeszcze nowe dowody, ślady DNA, które, z tego, co zrozumiałem, kompletnie mnie wykluczają. A gdzie są chłopcy?

– W swoich pokojach.

– W porządku, pójdę do nich.

– Okej. Słuchaj, Haavard... oni są trochę rozstrojeni.

– Przez tę całą sprawę?

Clara kiwa głową.

– Nie oczekuj od nich zbyt wiele.

– Cześć, Haavardzie – odzywa się męski głos i od strony ogrodu wchodzi do domu Leif z kubkiem kawy w dłoni.

– O, cześć – mówię. – Przyjechałeś? To dopiero niespodzianka.

– Dobrze cię widzieć, Haavardzie. – Leif wyciąga do mnie rękę.

– Dzięki, nawzajem. Przepraszam, chciałem tylko... – zaczynam, ściskając jego dłoń.

– Tak, oczywiście, idź przywitać się z dziećmi – mówi Leif, śląc mi serdeczny

uśmiech.

Ruszam w stronę schodów, nie mogę się doczekać, by zobaczyć chłopców, porozmawiać z nimi, mocno ich uściskać.

Znów zaczynam się zastanawiać, jak im się żyło pod moją nieobecność. Clara, która w większości spraw doskonale sobie radzi na własną rękę, ma w zwyczaju wołać mnie na pomoc, gdy któryś z chłopców zaczyna tracić panowanie nad sobą, wrzeszczy na nią wściekle czy nawet próbuje ją bić, na przykład na cukrowym hajcu po pożarciu zbyt dużej porcji słodyczy. Ona sama nie ma pojęcia, jak sobie w takich sytuacjach radzić. Z reguły zamyka się w sypialni albo idzie pobiegać. Chłopcy są już na szczęście na tyle duzi, że takie wybuchy zdarzają im się dość rzadko. Ale nadal to ja radzę sobie z nimi dużo lepiej niż ich matka.

– Cześć – mówię, pukając do drzwi pokoju Andreasa.

Zastaję ich tam obu. Andreas siedzi pochylony nad iPadem, Nikolai grzebie w skupieniu przy pirackim statku z lego, nad którym pracuje już od dłuższego czasu.

– Cześć, tato – mówi Nikolai. Andreas milczy.

– Przytulicie mnie na powitanie czy coś? – pytam.

Nikolai wstaje i rusza do mnie z wahaniem, obejmuje mnie ostrożnie, wspina się na palce i stara trzymać na dystans, jakby się bał, że mogę go czymś zarazić.

– No daj spokój – mówię i podnoszę go z podłogi, biorę w ramiona i obracam się razem z nim dookoła.

– Oj, tato – mówi chłopiec, śmieje się i stara uwolnić z moich ramion. – Byłeś w więzieniu?

Potrzebuję chwili, by wziąć się w garść.

– Byłeś? – pyta znów Nikolai.

– Skądże – mówię. – Po prostu pomagam trochę policji.

– Długo cię nie było – stwierdza.

Andreas w końcu podnosi wzrok znad swojego iPada i zerka na mnie niepewnie.

– Cześć, Andreas – mówię i pochylam się, by go przytulić.

– Nie – mówi mój syn, odpychając mnie od siebie. – Brzydko pachniesz.

Gdy wracam na dół, Leif siedzi na stołku barowym w kuchni. Strasznie schudł, wygląda właściwie jak cień samego siebie.

– Idę dziś na przyjęcie w Pałacu – mówi Clara. – Byłoby miło, gdybyś mógł wybrać się ze mną. Tata popilnuje dzieci.

Rzucona w ten sposób propozycja wprawia mnie we wściekłość. Clara spodziewa się, bym dwa dni po tym, jak postawiono mi zarzut podwójnego zabójstwa, towarzyszył jej na balu, był dla niej tłem, na którym sama mogłaby błyszczeć.

– Pozwól na chwilę – mówię, chwytając ją za ramię, prowadzę ją na korytarz i popycham na ścianę.

Taka reakcja jest zdecydowanie przesadzona, zwłaszcza że po drugiej stronie ściany siedzi jej ojciec, ale w tej chwili mam to głęboko w dupie.

– Puść mnie – mówi Clara.

– Dobrze, puszcę cię.

– Świetnie. Mogę sobie iść?

– Nie – odpowiadam. – To cudownie, że twój ojciec do nas przyjechał. Ale może nie zostawiamy go samego z dwoma chłopcami, którzy mają za sobą dość trudny czas, tylko dlatego, że ty chcesz iść na bal... chwilę po tym, jak wyszedłem z aresztu... po to tylko, by spotkać się z nowymi koleżkami z pracy.

– Skończyłeś już?

– Nie, dopiero zaczynam.

– Wyobraź sobie, że naprawdę nie wszystko na tym świecie kręci się wokół ciebie.

– No nie, bo wszystko kręci się wokół pani sekretarz stanu Jego Wysokości Króla.

– Przecież sam wpychałeś fiuta nie tam, gdzie należy...

– Co masz na myśli? – pytam.

– Słyszałaś, co powiedziałam – mówi Clara, jak zwykle cicho i spokojnie. Moja żona nigdy nie podnosi głosu, niezależnie od sytuacji, muszę przyznać, że zyskuje sobie w ten sposób dodatkowy autorytet u słuchaczy. Ale mimo to

doskonale wyczuwam jej wściekłość. – Tkwiałam tu, gdy pojechałeś do Lysebu, potem na wieś urznąć się z Axelem, a potem siedziałeś w areszcie. Teraz muszę iść na to przyjęcie. I naprawdę miałam nadzieję, że się ze mną wybierzesz, skoro już cię wypuścili. Ale nie mam oczywiście najmniejszego zamiaru cię zmuszać.

– Wow – mówię. Rzadko się zdarza, by Clara wypowiedziała aż tyle zdań za jednym razem, może z wyjątkiem rozmów telefonicznych prowadzonych z obcymi ludźmi, nieodmiennie zresztą dotyczących spraw ministerialnych. Prawie od tego mięknę. Prawie.

– No to świetnie. Bo ja tu zostaję, nie wybieram się na żaden bal.

– Przyjęcie – odpowiada Clara ostrym tonem.

– Hmm? – pytam.

– Przyjęcie w Pałacu. Nie żaden bal.

– Nieważne. I tak nigdzie nie idę – mówię, kładąc nacisk na każde słowo.

– No i świetnie – oświadcza Clara, wchodzi do kuchni, gdzie zaczyna rozmawiać ściszym głosem ze swoim ojcem, ja zaś zostaję z poczuciem, że owszem, ona sobie to zapamięta, i owszem, będę tego jeszcze żałował. Ale przecież, cholera jasna, dopiero co wypuścili mnie z aresztu. Nie ma możliwości, żebym w takim stanie prowadził uprzejmą konwersację z panami ministrami i ich żonami.

Wychodzę do ogrodu i siadam na leżaku. Wstaję dopiero wtedy, gdy dobiega mnie trzaśnięcie drzwi wejściowych i wiem, że ona już wyszła.

– Pomyślałem, że moglibyśmy rozpaść grilla albo coś w tym rodzaju – mówię do Leifa.

– Świetnie. Ale sądziłem, że wybierzesz się na ten bal z Clarą...

– To przyjęcie w Pałacu, a nie bal. – Szczerzę zęby.

– Przyjęcie... Cóż, nieważne. Clara powiedziała, że mamy zamówić pizzę. Ale jedzenie z grilla to chyba jeszcze lepszy pomysł – mówi mój teść.

– Też tak pomyślałem – rzucam.

Leif nie należy do facetów, którzy pichcą przed domem. Nie widziałem u niego nigdy ani grilla, nawet jednorazowego, ani ogrodowego kociołka. Za to mięso z rusztu wręcz uwielbia, doskonale o tym wiem. Wystarczy stek,

kielbaska, piwo i już jest cały szczęśliwy, a teraz chcę go uszczęśliwić tak, jak się tylko da. Trzeba więc rozpalić grilla i przyprawić steki, wyciągnąć kielbaski z lodówki, przygotować sałatkę.

Nakrywam do długiego stołu w ogrodzie. Szklanki, serwetki, sztucce, talerze. Kwiaty w wazonie. Leif dołącza do mnie. Chłopcy szaleją, ochlapując się wodą ze zraszacza.

Jest ciepło i parno, w oddali rozlegają się grzmoty.

– Co u ciebie, Leif? – pytam, gdy już zjedliśmy, a chłopcy odbiegli od stołu. Mój teść schudł chyba jakieś dziesięć kilo od naszego ostatniego spotkania, a przecież nigdy nie był gruby. Cerę ma bladą, oczy podkrążone.

– Nie jest znów tak źle, mogłoby być gorzej. Zwłaszcza po tym, co się stało.

– Czyli...? – zaczynam ostrożnie, bo nie mam pojęcia, o czym on mówi.

– Ten mój wylew...

– No właśnie, ile to już minęło czasu? – pytam z nadzieją, że Leif nie zauważy mojego kompletnego braku wiedzy na ten temat. Przeklinam Clarę, która nie uznała za stosowne mi o tym powiedzieć.

Faktycznie, pojechała niedawno na zachód, bo chciała się zobaczyć z ojcem, ale o szczegółach nawet mi nie wspomniała. A ja zresztą jej o nic nie wypytywałem.

– Jakies dwa czy trzy tygodnie? Trochę więcej? Sam już dobrze nie pamiętam.

– I jak się czujesz?

– Przede wszystkim dość... słabo.

– To przejdzie – mówię. – Naprawdę. Chciałbym ci bardzo podziękować za to, że przyjechałeś, bardzo pomogłeś Clarze i nam wszystkim.

Na krótką chwilę zapada cisza. Wpatrujemy się w krzew bzu. Soczyste, fioletowe kiście kwiatów. Przy jednej z nich kręci się trzmiel. Bzy wprawiają mnie w nostalgiczny nastrój, przywodzą na myśl babcię Edith i jej przypominającą zamczysko willę, która chyli się ku upadkowi. A przede wszystkim to lato, kiedy poznałem Clarę i wszystko jeszcze było możliwe.

– Byłeś w pace, co? – pyta Leif, próbując mnie wysondować.

– Tak – rzucam w odpowiedzi i zastanawiam się, jak w takiej sytuacji

zachowałby się mój ojciec. Wciąż jestem dość roztrzęsiony, choć przygotowanie obiadu zdecydowanie pomogło mi się uspokoić. Czułbym się z pewnością dużo gorzej, gdybym musiał teraz stać w pałacowej sali z kieliszkiem szampana, próbując uprawiać niezobowiązujący small talk. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć. A wszystko przez głupią policyjną pomyłkę. Napijesz się może piwa?

Leif kiwa głową, przynoszę nam z lodówki dwie butelki carlsberga, otwieram obie, jedną podaję teściowi.

– Siedziałem tam tylko dwie doby, ale to więcej niż dość. Czuję się tym właściwie trochę straumatyzowany – dodaję i w tej samej chwili żałuję moich słów, uświadamiam sobie, że przecież siedzę przy stole z weteranem z Libanu. Rzucam więc pospiesznie: – Policja uważa, że za wszystkimi trzema zabójstwami stoi jedna i ta sama osoba.

– A jaki typują motyw? Jakies porachunki między Pakistańczykami?

– Cóż. Z początku mieli taką teorię. Dwie pierwsze ofiary faktycznie są imigrantami, ale łączy je poza tym to, że maltretowały swoje dzieci...

– Jezu. To się naprawdę zdarza tak często?

– Owszem – mówię. – Dużo częściej, niż nam się wydaje. Nawet w najlepszych rodzinach. Naprawdę zdziwiłbyś się, widząc niektóre przypadki. Ale w grupie stosujących przemoc rodziców mamy niestety nadreprezentację imigrantów...

Siedzimy przez chwilę w milczeniu.

– Jak chłopcy to przyjęli?

Wzruszam ramionami.

– Trzymają mnie trochę na dystans...

– Daj im czas.

– Chyba będę musiał – stwierdzam, upijając łyk piwa. – Clara na szczęście przyjęła to wszystko ze spokojem.

– Tak – mówi Leif i też pociąga łyk. – Jak zawsze zresztą. Ciekawe, jak się bawi na balu... to znaczy, przepraszam, na przyjęciu.

Ostatnie słowa wypowiada z nieznacznym uśmieszkiem, mam go ochotę za to uściskać.

– Czuje się tam z pewnością fantastycznie. Wypijmy za to – odpowiadam, unosząc butelkę. – Ta twoja córka osiągnie w życiu wszystko, co sobie tylko zamarzy.

## 51 – Clara

Na tyłach Pałacu ciągnie się długi rząd czarnych aut, rządowych limuzyn, samochodów dyplomatycznych i taksówek.

Na zaproszeniu opatrzonym monogramem pary królewskiej napisano, że goście powinni pojawić się przy bramie głównej pomiędzy 19.20 a 19.40. Oznacza to zapewne, że najlepiej przyjść o 19.30, tak też robię.

Kłębi się tu tłumek fotografów i dziennikarzy czekających na co bardziej prominentnych gości. Na mój widok zaczynają pstrykać migawki, paru facetów kładzie się na czerwonym dywanie, by zrobić mi zdjęcie pod właściwym kątem. Po weekendowej aferze ze śmigłowcami gaśniczymi stałam się chyba rozpoznawalna.

– Piękna stylizacja, Claro! – krzyczy jeden z dziennikarzy.

Suknia jest tak długa, że ciągnie się za mną po ziemi. Vigdis pobiegła dziś do sklepu i mi ją kupiła, sama nie miałam na to czasu. To fascynujące, jak szybko można przywyknąć do bycia obsługiwanym. Sekretarki załatwiają przede wszystkim różne sprawy dla Muncha, ale opiekują się także jego bliskimi współpracownikami.

Ani się obejrzałam, a ktoś zaczął odpowiadać na większość moich mejli. Rezerwować mi stoliki w restauracjach, umawiać mnie do dentysty, kupować sukienki i ogarniać wiele innych aspektów mojego życia.

Vigdis wyjaśniła mi między innymi, że „strój galowy” w przypadku kobiet oznacza długą suknię, ale nie białą ani czarną.

Zostawiam płaszcz w szatni i wstępuję na chwilę do toalety.

*Punktualnie o 19.40, w toalecie na parterze, napisała Monrad w odpowiedzi na mojego esemesa. Nie mamy zbyt wiele czasu, dodała.*

Zegar wskazuje 19.38. Jest tu dość chłodno. Woda z kranu wydaje się lodowata.

Przez sekundę czy dwie studiuję w lustrze swoją twarz. Makijaż jest dyskretny i wysmakowany, włosy elegancko ułożone. Wyglądam dobrze.



Mimo to na widok własnego odbicia w lustrze przeszywa mnie dreszcz, nachylam się i marszczę czoło.

Moja twarz. Tak dobrze znana. Rozpoznaję w niej rysy taty. I babci Klary, której nigdy nie poznałam, lecz którą oglądałam na wielu zdjęciach.

Mimo to wydaję się sobie zupełnie obca.

Kto to jest? Kim ja jestem? Co tutaj robię?

Stoję tak sekundę. Dwie. Trzy. Próbuję oddychać.

Drzwi po mojej prawej stronie otwierają się, do łazienki wchodzi Cathrine Monrad. Wygląda na zmęczoną, choć też jest starannie umalowana i uczesana – włosy upięła w wysoki kok, ma na sobie różową suknię.

Wyciągam pendrive'a z torebki.

– Proszę bardzo – mówię, podając go. Jest biały, zupełnie anonimowy, w odróżnieniu od błyszczących i opatrzonych logo pendrive'ów ministerialnych.

– Dzięki – odpowiada Monrad, kładąc dłoń na moim prawym ramieniu. – Jak ci się odwdzięczę?

– No cóż – mówię, próbując się uśmiechać. – Może powiesz, że sama to nagrałaś?

Moja rozmówczyni wybucha śmiechem.

– Jasne. Tylko nie rozumiem... dlaczego to robisz?

Wzruszam ramionami.

– Byłam tam, słyszałam, co powiedział. Irytuje mnie, że Munch oskarża cię o kłamstwo i wszystkiego się wypiera. I co, miałabyś teraz odejść z podkulonym ogonem, odarta z czci i chwały, a on nie poniósłby żadnych konsekwencji swoich słów? Mowy nie ma.

– Masz chyba świadomość, że to może uderzyć w ciebie? – pyta Monrad, wsuwając pendrive'a do niewielkiej torebki. – Jeśli Munch pójdzie na dno, może cię pociągnąć za sobą.

– Jeśli takie będą konsekwencje, to trudno.

Mogłabym jej podziękować, że nie wspomniała Munchowi o Haavardzie, ale nie chcę, by odniosła wrażenie, że robię to, bo jestem jej coś winna.

Opuszczamy łazienkę i wchodzimy na piętro po szerokich schodach. Jest

tam strasznie gorąco. Pootwierano wszystkie drzwi na tarasy, ale nie wolno mi na nie wychodzić, zostałam pod tym kątem pieczołowicie przeszkolona.

Rozglądam się dookoła, staram się nie sprawiać wrażenia zagubionej. Są tu ministrowie i premier, wydaje mi się, że wszyscy mierzą mnie wzrokiem. Poza nimi: znani aktorzy, biznesmeni, goście z Islandii, wszyscy tłoczą się w holu, gawędząc ze sobą.

Powtarzam w myślach to, czego się nauczyłam. Do króla i królowej mam powiedzieć: „Dobry wieczór, Wasza Królewska Mość”.

Do następcy tronu, jego małżonki oraz siostry króla powinnam się zwrócić: „Dobry wieczór, Wasza Królewska Wysokość”.

Do innych gości mogę po prostu powiedzieć: „Dobry wieczór”.

Czas wchodzić do sali bankietowej, łapię jakiegoś korpulentnego, spoconego i łysego faceta, który także przyszedł tu sam. Ruszamy przed siebie.

Pod ścianami stoją fotografowie, zrobione przez nich zdjęcia trafią zapewne do wszystkich plotkarskich magazynów.

W końcu docieramy do rodziny królewskiej i witamy się oficjalnie.

Dygam i udaje mi się nie zapomnieć, kto jest mością, a kto wysokością. Lecz w chwili gdy podnoszę dłoń, by przywitać się z wiekową księżniczką, siostrą króla, mój korpulentny kawaler przydeptuje mi suknię, potykam się i o mało nie wpadam na najbliższą krewną naszego władcy.

Stara księżniczka drga nerwowo i posyła mi przerażone spojrzenie.

– On mi wlaźł na suknię, dobry wieczór, Wasza Królewska Wysokość – mówię, na co kobieta wybucha śmiechem.

Zajmujemy miejsca przy stole i okazuje się, że po mojej lewej ręce usadowił się zmęczony życiem pisarz. Z drugiej strony mam faceta o jasnej grzywce i błękitnym spojrzeniu. Jest przystojny, ale ma dziwaczną, pretensjonalną mimikę, zupełnie jakby grał jakąś rolę w teatrze. Nie przedstawia mi się, wychodząc zapewne z założenia, że powinnam doskonale wiedzieć, kim jest.

Faktycznie, widziałam go już gdzieś wcześniej. Tyle że nie mam pojęcia gdzie.

Kelnerzy w liberii uwijają się za naszymi plecami, serwując kolejne dania. Król wstaje i wita wszystkich, zwłaszcza gościa honorowego z Islandii, który następnie wygłasza mowę na cześć gospodarza. Potem podnosimy się

i śpiewamy hymn Norwegii.

Facet, który mi się nie przedstawił, jest stosunkowo niewymagającym towarzyszem przy stole, bo cały czas gada o sobie i o swoich sprawach.

– A czemu nie ma tu Muncha? – pyta na koniec. – Boi się pokazać przez tę sprawę z Monrad?

– Nie. Musiał pojechać na spotkanie do Brukseli.

Król i królowa wstają od stołu, wszyscy inni idą za ich przykładem, rozmowy cichną i sterczymy tak w milczeniu do chwili, gdy królewska para opuszcza salę bankietową. Następnie zostaje nam podana kawa i koniak. Protokół dyplomatyczny nakazuje, by podtrzymywać towarzyskie kontakty w sąsiedniej sali. O ile ma się w ogóle jakieś kontakty.

Ruszam w stronę schodów. Zatrzymuje mnie jeden z facetów w liberii.

– Przepraszam. Dokąd się pani wybiera?

Jego uśmiech jest uprzejmy, ale sztywny.

– Do domu.

– To chyba nie jest dobra decyzja.

Wpatrujemy się w siebie przez chwilę.

Następnie robię w tył zwrot i daję nura w morze ludzi, postanawiając, że będę teraz nową Clarą. Tą, którą ludzie chcą fotografować, która sprawia wrażenie, że uwielbia czcze pogaduszki, kocha swoją nową pracę. Zanurzam się w tę szumiącą, rozplotkowaną, kipiącą gęstwinę, przechodzę od jednej osoby do drugiej, przedstawiam się, uśmiecham, kiwam głową. Przy paru okazjach nawet kogoś obejmuję, choć szczerze tego nie znoszę.

A potem podchodzi do mnie pani premier.

– Clara, prawda? – mówi i wyciąga do mnie dłoń.

– Owszem – odpowiadam i o mały włos znów nie dygam.

– Czyli to ty jesteś nową zdobyczą Muncha? – pyta. – Cóż, wcale mnie to nie dziwi, Anton chyba już dawno pojął, że opłaca się zatrudniać kobiety. No, ale oczywiście nie ma reguł bez wyjątku.

– Rzeczywiście – mówię.

Premier patrzy na mnie krytycznie, mam wrażenie, że sonduje mnie wzrokiem.

Jakiś facet próbuje zwrócić na siebie jej uwagę, kładzie jej dłoń na ramieniu. To pewnie jej doradca.

Premier kiwa mi głową.

– Muszę już iść – mówi, po czym odwraca się do czekającego faceta i odchodzi.

W końcu, po jakiejś godzinie, zebrani przerywają rozmowy i zapada cisza. Rodzina królewska opuszcza przyjęcie. W szatni ktoś zaprasza mnie do kontynuowania imprezy w Lorry.

Uprzejmie odmawiam, mówię, że muszę wracać do domu, bo dzieci zostały z opiekunką.

Dopiero idąc przez Dronningparken, uświadamiam sobie, kim jest ten znajomo wyglądający facet, obok którego siedziałam przy stole.

Nazywa się Erik Heier i prowadzi poświęcony polityce program w TV2. Muszę popracować nad zapamiętywaniem twarzy.

Najgorsze jest to, że Cathrine Monrad ma zupełną rację. Ewentualny nowy minister raczej nie zaprosi do swojego zespołu w charakterze sekretarza stanu takiej neofitki jak ja, neofitki, która na dodatek już zdążyła wmieszać się w skandal. Wcześniej mi się wydawało, że mam dużo czasu, by czegoś dokonać, ale teraz istnieje ryzyko, że moja kariera dobiegnie końca, zanim na dobre zdąży się zacząć. Mimo że Haavard został zwolniony z aresztu.

Na szczęście jest ze mną tata. Bardzo mi to pomaga.

## 52 – Leif

Była za mała, wiedziałem o tym przecież, choć jednocześnie nigdy taka mi się nie wydawała.

Z początku opowiadałem jej tylko o błękitnym niebie, upale, cudownych zapachach, niebiańskim smaku kawy i przyjaznych, pięknych ludziach.

Ale po jakimś czasie zacząłem mówić również o strzałach w Raszai.

O odgłosach wydawanych przez kule wbijające się w ludzkie ciała.

I dźwiękach, kiedy te ciała uderzają o ziemię.

Mówiłem, że nie myślałem o tym wcale jak o zabijaniu ludzi, postrzegałem to raczej jako strzelanie do celu, którego trafienie jest kwestią życia i śmierci.

Może chciałem, by pojęła, jak niewiele brakowało, bym nigdy nie wrócił do domu. Bo nie wydawała się szczególnie uszczęśliwiona faktem, że znów przy niej jestem. Ale gdy zaczynałem opowiadać o Libanie, miałem wrażenie, że Clara budzi się do życia, przysuwa do mnie bliżej, w jej oczach dostrzegałem zaciekawienie.

Często zasypiałem lekkim snem. Budziłem się zawsze po jakiejś godzinie.

Rankami bywałem wykończony, nie zawsze miałem siłę wstać z łóżka, zdarzało się, że popijałem. Szedłem do obory, przysypiałem na sofie, rozmawiałem z dziećmi, znów szedłem do obory, całowałem dzieci na dobranoc.

Ale czułem się przy tym tak, jakby już nigdy nic nie miało być proste ani przyjemne.

Lekarz zapisał mi tabletki na sen, po nich faktycznie zasypiałem, ale też źle się od nich czułem, za dnia snułem się niczym męczony kacem.

Z Agnes nie rozmawiałem wcale, z Clarą natomiast – zbyt wiele.

Pewnego dnia zjawił się u nas Magne, kolega Agnes z pracy. Był to facet o nalanej twarzy, zasiadający w zarządzie gminy. Nigdy go specjalnie nie lubiłem.

– Agnes się ciebie boi, Leif – oświadczył. – Martwię się o nią. Ona ma swoje

problemy, zostawiłeś ją przecież zupełnie samą na tak długi czas.

Jego głos był serdeczny, pełen troski, lecz wzrok wydawał się lodowaty i drwiący. Zupełnie jakby sądził, że naszej rozmowie przysłuchuje się ktoś trzeci.

Zerknąłem w stronę kuchennych drzwi, stała w nich Agnes, przypominała ducha albo upiora.

– Czy to ona cię poprosiła, żebyś tu przyszedł? – spytałem, lecz nie doczekałem się odpowiedzi.

– Nie dajesz sobie z tym wszystkim rady, Leif – powiedział zamiast tego Magne. – Potrzebujesz pomocy.

Najlepiej zapamiętałem, że trzęsły mi się nogi. I że Magne pokręcił w końcu głową, spoglądając na Agnes.

Biedny facet, zdawało się mówić jego spojrzenie.

A potem ona mi oświadczyła, że chce się wyprowadzić. Bo przecież tu nie da się żyć, powiedziała ona do mnie, choć wytrzymywałem z nią przez te wszystkie lata, gdy tylko leżała w łóżku i w niczym nie pomagała, ja zaś nosiłem dzieci na rękach, myłem z nimi zęby, szczotkowałem im włosy, gotowałem jedzenie, prałem ubrania, pucowałem kibel i Bóg wie co jeszcze.

Dodała, że zamierza zabrać ze sobą dzieci. Ale Clara nie chciała z nią odejść.

– Możesz sobie iść, ja tu zostaję – powiedziała matce.

– Ależ, Claro, tak nie można – zaprotestowała Agnes bez przekonania, choć podejrzewałem, że tak naprawdę odetchnęła z ulgą.

A potem pojechała, zabierając ze sobą Larsa.

Clara wyła, płakała, próbowała zatrzymać brata.

## 53 – Clara

Płacę za poranną kawę, podwójne latte na odtłuszczonym mleku, i – jak zawsze w takich razach – słyszę w głowie głos mojego taty.

Codziennie kupujesz kawę, a odkładając te pieniądze przez dwa lata, mogłabyś sobie kupić samochód, zwykły mawiać. Sam jest z tych, co to cerują swoje koszule, bluzy i skarpety. Reperują starą odzież przeciwdeszczową, wstawiają łątki do rowerowych dętek. Czytają gazety raz w tygodniu w bibliotece, kiedy przyjeżdżają do wsi na zakupy. W sklepie wybierają najtańszą kawę i najtańsze jajka. Płacą rachunki zaraz po ich otrzymaniu, kilka tygodni przed terminem, ze strachu, że zapomną i zostanie im naliczona kara.

Sama staram się oczywiście nie szastać pieniędzmi, ale do spełniania ojcowskich standardów sporo mi jeszcze brakuje.

Pomyśleć, że są idioci utrzymujący, iż pieniądze nie dają szczęścia.

Pieniądze bez wątplenia wpływają na redukcję lęku. A w sumie to właśnie jest w życiu ważne, przynajmniej dla wielu z nas.

Najważniejsze nie jest to, by móc sobie kupić wszystko, na co ma się ochotę. Albo zatrudnić kogoś do sprzątnięcia domu, mycia auta i przycinania trawnika. Ludzie nie chcą po prostu się zastanawiać, jak zdołają zapłacić rachunki albo czynsz, by nie wyrzucono ich na ulicę.

Taki komfort psychiczny to dobro, którego nie są w stanie zrozumieć ludzie żyjący z nim od urodzenia.

W drodze z Youngstorget ku Akersgata z kawą w dłoni przemierzam plac, na którym zginęła młoda dziewczyna, tak jak ja ministerialna urzędniczka. To właśnie tutaj, dwudziestego drugiego lipca dwa tysiące jedenastego roku, wybuchła bomba.

To tu o godzinie 15.25 w szary, deszczowy piątek, w samym środku okresu urlopowego, jej życie dobiegło nagle końca. Zaś moje miejsce pracy, które znałam jak własną kieszeń, zostało zmiecione z powierzchni ziemi.

Byłam wtedy w pracy, przeżyłam, zesłam po schodach, minęłam

zdemolowaną recepcję i już po chwili stanęłam na ulicy. Cała i zdrowa.

Na ciałach wielu moich współpracowników wciąż widoczne są obrażenia, jakie odnieśli tamtego dnia. Blizna na twarzy, kikut nogi, niesprawna ręka.

Do tego dochodzą jeszcze inne rany, te, których nie widać.

Mijam miejsce będące kiedyś westybulem Bloku Głównego, jak zawsze, gdy idę do pracy od tej strony miasta. Wielu moich kolegów nadkłada drogi, by tędy nie przechodzić, ale dla mnie stało się to czymś w rodzaju rytuału.

Przez wiele lat było tu moje miejsce pracy. Setki razy odbijałam kartę w tej recepcji, przychodząc do biura i wychodząc do domu.

Kochałam Blok Główny, tę kombinację kamiennych ścian i tekowych podłóg z lat sześćdziesiątych, gobelin Hannah Ryggen *Żyjemy na powierzchni gwiazdy*, który zawsze przywodził mi na myśl obrazy Astrupa.

Wszystko należało do mnie, ale mi to odebrano. I już tego nie ma.

Zostało starte na proch, poszło z dymem, wiatr rozwiął pył na cztery strony świata. A potem uprzątnięto zgliszcza i wywieziono gruz.

Ministerstwo Sprawiedliwości ugodził tamtego dnia szczególnie dotkliwy cios. Straciliśmy współpracowników, biura, poczucie bezpieczeństwa. To my ponosiliśmy ponadto odpowiedzialność za to, że służby nie zareagowały wówczas tak jak trzeba. Ale nie tylko my byliśmy winni. Za bezpieczeństwo publiczne odpowiadają różne ministerstwa, urzędy, województwa i gminy. Na samym szczycie tej piramidy zasiada kierownictwo, które stara się to wszystko koordynować.

Gobelin Hannah Ryggen, rozdarty na skutek eksplozji, został odrestaurowany, oczyszczony ze szklanych okruchów i betonowego pyłu, pieczołowicie zszyty, i wisi teraz wystawiony w tym czy innym miejscu.

Ale gmach stoi tak jak stał, już od niemal siedmiu lat. Nadal nie opracowano jakiegoś rozsądnego rozwiązania, nie uzgodniono, co zrobić z westybulem, będącym kiedyś tak przytulnym, tętniącym życiem miejscem, a teraz przywołującym na myśl pustą, martwą skorupę.

Jedynym niezmiennym elementem pozostała elegancka ozdobna sadzawka pomiędzy Blokiem Głównym a budynkiem R5, gdzie obecnie mieści się siedziba naszego ministerstwa.

Zdarzało się wcześniej, że nad nią siadałam, patrzyłam na spokojne, gładkie



lustro wody. Ale teraz nie mam już na to czasu.

– Dziennikarze z „VG” chcieliby któregoś dnia potowarzyszyć Clarze – mówi rzecznik prasowy po przejrzeniu nagłówek gazet. – Najlepiej w dniu, w którym coś się będzie działo, żeby była okazja do zrobienia ciekawych zdjęć w jakichś fajnych miejscach...

– Nie – odpowiadam, nie dając sobie nawet czasu do namysłu. Zarówno Munch, który zdążył już wrócić z Brukseli, jak i rzecznik prasowy patrzą na mnie ze zdziwieniem.

– Chodzi głównie o to, by towarzyszyć ci w zwyczajnym dniu pracy. O, i mamy jeszcze takie zapytanie. Od Erika Dammanna-Heiera z TV2. Chciałby zrobić reportaż o Clarze.

– Heier? Ten stary cap? – mamrocze Mona.

– TV2? I Clara? – dziwi się doradca i kręci głową, posyła Munchowi znaczące spojrzenie. – Przecież to ty powinienes skupiać na sobie uwagę, prawda? Mimo że Clara jest kobietą i w ogóle.

Mona chrząka złowieszczo.

– Dzięki za troskę, sam potrafię o siebie zadbać. Co ty na to? – pyta Munch, zerkając na rzecznika prasowego, który wzrusza ramionami.

– Chyba byłoby nam trudno się od tego wykręcić. Zrobiliby po prostu reportaż o tym, że im odmówiliśmy.

– Mona? – Munch przenosi spojrzenie na dyrektor administracyjną.

– Nie mam zamiaru mieszać się w waszą politykę medialną – odpowiada mu zapytana i wzdycha.

Widać, że jest sceptyczna, chociaż chyba w ostatnim czasie trochę mi odpuściła. Może docenia to, że się przykładam do pracy, szybko i precyzyjnie odpowiadam na wszystkie pytania i nie zarzucam jej ani jej oddziałów zbyt wieloma nonsensownymi i czasochłonnymi zadaniami.

– Zarówno dziennikarze „VG”, jak i TV2 zgłosili chęć odwiedzenia cię w domu – dodaje rzecznik prasowy. – Chcieliby przedstawić kontrast pomiędzy twoim życiem zawodowym a osobistym. Pokazać, jak tym wszystkim zonglujesz...

– Boże, czemu wszyscy nagle tak się nią interesują? Przecież to nie ona jest

ministrem – wzdycha doradca. Mimo że ma już trójkę dzieci, nie bierze w ogóle udziału w życiu rodzinnym, ale co weekend wpada do domu i zalewa Facebook oraz Instagram zdjęciami swoich pociech. Mimo wszystko w tej akurat sytuacji muszę przyznać mu rację.

– Piękna kobieta, charyzma, aura tajemniczości, sam wiesz – mówi rzecznik prasowy. – Więcej nie trzeba. No a poza tym z dnia na dzień załatwiła nam piętnaście nowych śmigłowców gaśniczych.

– Tak czy inaczej, do domu ich nie wpuszczę – zaznaczam.

Zbieramy się już do wyjścia, gdy nagle dzwoni telefon rzecznika prasowego.

– Tak? Co? Będę musiał sprawdzić. Oddzwonię do ciebie – mówi i się rozłącza.

– Rany boskie... to był dziennikarz z „VG” – mówi do mnie i rozgląda się dookoła. – Zgadnij, co się stało?

– Nie mam pojęcia.

– Co za koszmar. Pytają, czy Munch chciałby skomentować fakt opublikowania przez Cathrine Monrad pliku dźwiękowego, stanowiącego dowód na to, że faktycznie powiedział te wszystkie rzeczy, których tak się wypiera.

– Na przykład co? – pyta Mona, której twarz przybiera zatroskany wyraz.

– Na przykład to, że do jej obowiązków nie należy bycie medialną kurwą.

– O rany... czyli on tak naprawdę powiedział? – pyta Mona. – To by znaczyło, że został przyłapany na kłamstwie. Gorzej właściwie być nie może. Przypomnijcie sobie, ilu ludzi poleciało za drobnostki tylko dlatego, że byli na tyle głupi, by próbować kłamać na swój temat. A kazać podwładnej milczeć i grozić zwolnieniem to...

W tej samej chwili odzywa się jej komórka.

– To z kancelarii premiera – mówi, zerknąwszy na wyświetlacz, i poprawia broszkę w kształcie pelikana. – Można się było tego spodziewać.

– Czego oni mogą chcieć? – pyta rzecznik prasowy.

– Rzecz jasna prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. I to na cito – mówi Mona, krzywiąc twarz, odbiera telefon i rusza szybkim krokiem do swojego biura.

1982

W pewnym sensie po odejściu Agnes sprawy zaczęły iść trochę lepiej.

Mogłem oddychać pełną piersią, lepiej spałem, mniej przesiadywałem ze strzelbą na tarasie, rozmawiałem z Claram, opowiadałem jej o gajach oliwnych i górskich krajobrazach, o kozach i cykadach, o wybuchach przerywających wielką ciszę i o odłamku, który wyciągnęli mi z biodra i który przywiozłem do domu.

– Gdzie on teraz jest? – spytała mnie pewnego razu, a ja wyjąłem pudełko od zapalek z szuflady stojącej w sypialni komody i pokazałem jej odłamek.

– Mogę dotknąć? – spytała.

Siedziała chwilę, ściskając go w dłoni.

– To moja pamiątka – powiedziałem. – Jedna z moich pamiątek.

– Mogę z niej zrobić wisiołek?

– Wisiołek? – spytałem zaskoczony. – Może i tak, jeśli chcesz.

– Masz jeszcze inne rzeczy? Mogę zobaczyć? – pytała Clara, przekrzywiając głowę.

– Poczekaj chwilę – powiedziałem, wróciłem do komody i przyniosłem jej przedziurawiony zielony beret.

Położyła go sobie na kolanach, siedziała chwilę, obracając go bez słowa w rączkach.

– Zabrałeś go komuś? – spytała.

– Nie, znalazłem go na ziemi.

– To ty zrobiłeś w nim tę dziurę?

– Nie wiem do końca, ale możliwe, że tak. Wiesz... najdziwniejsze jest to, że w tym całym piekle bardziej niż kiedykolwiek wcześniej czułem, że żyję.

– Bo kogoś zabijałeś?

– Nie, to samo w sobie nie miało chyba znaczenia.

– To dlaczego?

– Nie da się wyjaśnić tego komuś, kto sam tam nie był. Ale tam się cały czas czuło, że wszystko ma jakieś znaczenie.

## 55 – Clara

Siedzę przy małym stoliku kawowym w ogrodzie, mam na sobie błękitną lnianą sukienkę i pozuję fotografowi „VG”, trzymając w dłoniach filiżankę z espresso. Chwilę później opieram się o pień gruszy. Klękam nad rabatką. Wychylam się z okna.

Wcześniej często nabijałam się z ministra, który jeździł to tu, to tam, byle tylko dziennikarze mogli mu zrobić jakieś korzystne zdjęcia, zamiast siedzieć na tyłku w swoim gabinecie i robić, co do niego należy. Ale teraz ja też próbuję się sprzedać, stręczę im samą siebie, uśmiecham się tak, że zaraz chyba popęka mi skóra na twarzy.

Przyjechali tu z własnym stylistą, wizażystą czy jak to się tam nazywa. Próbuję tłumaczyć, że nie przepadam za mocnym makijażem, zazwyczaj używam tylko tuszu do rzęs i odrobiny pudru, ale oni mnie nie słuchają, nakładają mi na wargi jaskrawoczerwoną szminkę i układają włosy w najlepszym stylu Betty Draper.

Gdy w końcu mamy przystąpić do sesji, udzielają mi szczegółowych instrukcji. Rękę trzymaj tak. Patrz na prawo, a potem na mnie. Dzięki. Trochę do przodu. Trochę w tył. Dzięki, dzięki, dzięki, pstryk, pstryk, pstryk.

Nasz rzecznik prasowy cały czas stoi z boku, kibicuje mi i unosi kciuk, zupełnie jakbym była jakimś tresowanym pieskiem.

Powiedziałam mu, że nie musi mi towarzyszyć, ale on i tak przyjechał.

Ogólnie rzecz biorąc, nigdy nie przepadałam za ludźmi. Ludzie mnie stresują. Wszystkie te wydawane przez nich dźwięki, ta wieczna gadanina wysysa ze mnie siły życiowe i uniemożliwia skupienie się.

Lubię przebywać z moim tatą. I do pewnego stopnia z chłopcami. Wcześniej czerpałam także radość z towarzystwa Haavarda, przynajmniej w małych dawkach. Ceniłam rozmowy z babcią Edith. Ale poza tym? Poza tym nie lubię gadać z nikim. To taka strata czasu.

Zawsze starałam się być jak najnormalniejsza. Przez jakiś czas rozważałam

zmianę imienia na Anne, Anita lub Marie, albo jakieś inne, które byłoby bardziej zwyczajne. Imię Clara wydawało mi się zbyt dziwaczne.

W końcu się na to nie zdecydowałam. Ale bardzo pilnuję, by nikt, nawet Haavard, nie dowiedział się, kim naprawdę jestem. Tak właśnie ma być. Pragnęłam wieść żywot niewidzialnej urzędniczki, idealnej kobiety z dobrej dzielnicy. Żołnierki w kamuflażu.

A teraz doszło do takiej sytuacji. Po moim ogrodzie kręci się banda dziennikarzy, gotowych, by obnażyć mnie przed całym światem. Przed współpracownikami, sąsiadami, ludźmi, których spotykam w sklepie, rodzicami szkolnych kolegów moich dzieci, wszystkimi tymi, którzy tak naprawdę nie mają o mnie pojęcia. Stwarzam im okazję, by podeszli do mnie bliżej.

Ale już za późno, by zawrócić, teraz mogę się tylko uśmiechać i patrzeć w obiektyw.

Może ten artykuł przeczyta moja matka. Może Bodil albo inna baba z domu opieki przyniesie jej gazetę lub nawet pieczołowicie wycięty z niej artykuł.

– Zobacz, Agnes, to Clara, twoja córka, wiesz, ta z Oslo.

Czyżbym postąpiła głupio, wybierając się do Kleivhøgda?

Powtarzałam sobie, że to było konieczne, że po tamtym wieczorze w Ullevål musiałam sprawdzić, w jakim stanie jest moja matka, ile pamięta, w jakim stopniu potrafi formułować logiczne wypowiedzi.

Przez te wszystkie lata próbowałam sobie wmówić, że ona nie istnieje. Że umarła, tak jak mówiłam wszystkim, którzy o nią pytali.

Lecz ona tymczasem jak najbardziej żyje. A spotkanie z nią tylko namieszało mi w głowie.

Większość mieszkańców moich rodzinnych stron zdążyło już dawno zapomnieć o Agnes Lofthus. Lecz pensjonariusze i pracownicy domu opieki, tacy jak Bodil, pewnie byliby mocno zaskoczeni, czytając w gazecie łzawy wywiad, w którym opowiadam o śmierci swojej matki. Ktoś mógłby zadzwonić do „VG” z informacją, że kłamię.

– Jest poważnie chora – mówię zatem długowłosej dziennikarce. – Ale sądzę, że lepiej w ogóle o niej nie wspominać. To bardzo bolesna sytuacja dla całej naszej rodziny.

– Okej – odpowiada kobieta, nawijając kosmyk włosów na palec. – Ale z ojcem masz bliski kontakt, prawda?

Wzdycham i odganiem dłonią osę, która krąży wokół mojej szklanki z mrożoną herbatą, dokładnie tak samo jak ta dziennikarka krąży wokół mnie.

– Nie sądziłam, że będziemy rozmawiać o tak prywatnych sprawach.

Kobieta podnosi głowę i spogląda na mnie zaskoczona.

– Przecież to nie są sprawy prywatne. Tylko trochę osobiste. Poza tym, chyba wypada, by...

– Tak? – pytam.

– Tak – odpowiada dziennikarka.

Toczy się pomiędzy nami milcząca bitwa. Długowłosa kobieta posyła mi słodki jak cukier uśmiech, ja zaś postanawiam powiedzieć jej prawdę.

– Mój ojciec od zawsze dawał mi poczucie bezpieczeństwa – mówię, bo to w końcu prawda. I jednocześnie kłamstwo. – Wszystkie dzieci potrzebują w życiu osoby takiej jak on. Nie wszystkie kogoś takiego mają.

– No tak – rzuca dziennikarka w zamyśleniu, przygryzając ołówek. Od czasów szkolnych nie widziałam nikogo, kto z takim zapalem by to robił. – A czy to prawda, że jako dziecko przeżyłaś wypadek drogowy? – pyta, nie dając mi czasu na dodanie niczego innego.

Kurwa, baba się nie poddaje, widać, że ma w tym wprawę. Przyczepiła się do mnie jak rzep do psiego ogona. Faktycznie, słyszałam o takich zagraniach, a także widziałam je w wielu głupawych reportażach tego typu, dziennikarz próbuje zawsze znaleźć jakiś traumatyczny, bolesny punkt w historii życia swojego rozmówcy, coś, od czego można by było zacząć. Skręt kiszek w wieku dziecięcym, cokolwiek.

– Owszem, ale to zbyt wielka trauma, by o tym rozmawiać – rzucam, oganiając się od osy.

Dziennikarka kiwa głową, mimo że lista tematów tabu zaczyna się wręcz absurdalnie wydłużać.

To właśnie główny powód, dla którego nie znoszę wywiadów.

– Moje zaangażowanie wynika ze wszystkiego, co sama widziałam i o czym czytałam, mnóstwo dzieci narażonych jest we własnym domu na przemoc. Gdy

próbują komuś o tym opowiedzieć, na przykład w szkole, nic się nie dzieje, może tyle tylko, że informacja dociera do ich rodziców i robi się jeszcze gorzej. Mnóstwo ludzi zna prawdę, ale nic z tym nie robi. Bo łatwiej wybrać bezczynność niż działanie. Właśnie to musi się zmienić – mówię.

– Dziękuję – mamrocze dziennikarka głosem, w którym próżno szukać zachwytu, dokładnie w chwili, gdy w końcu udaje mi się ubić uprzykrzoną osę. Okaleczony owad ląduje obok mojej szklanki i wykonuje kilka ostatnich, konwulsyjnych drgnięć.

Zabójstwo Susanne podkopało teorię Muncha o gangsterskich porachunkach i każdy próbuje mu teraz wytknąć wcześniejszy błąd. Minister musi wystąpić w wiadomościach o 18.00 i w wieczornym dzienniku, wszędzie zmuszony jest się tłumaczyć zarówno ze sprawy z Monrad, jak i tego nowego zabójstwa.

Czy Oslo stało się miastem śmiertelnie niebezpiecznym? I czemu tak zdecydowanie wypowiadał się o gangach, skoro okazało się, że zabójstwa nie mają z nimi żadnego związku? Czyżby zależało mu tylko na zaognieniu nastrojów i zgrywaniu charyzmatycznego stróża prawa? A może należy traktować jego wypowiedzi wyłącznie jako głos w debacie o dozbrojeniu policji, czego sam jest gorącym zwolennikiem?

Media snują spekulacje na temat przemocy w rodzinach wszystkich trzech ofiar, zaczęto pisać o dzieciach, które nadal mieszkają z opiekunami podejrzanymi o ich maltretowanie. Dlaczego tak się dzieje? Czemu system nie wyłapuje takich przypadków?

Na te wszystkie pytania musi odpowiedzieć Munch.

Nie idzie mu to zbyt dobrze. Mamrocze coś o projekcie ustawy, który jest już ponoć na etapie ostatnich poprawek, ale poza tym ma raczej niewiele do powiedzenia.

Parę dni później „VG” drukuje artykuł o tym, że Parlamentarna Komisja Nadzoru poprosiła Muncha o wyjaśnienia w sprawie konfliktu z Monrad. Sytuacji ma się przyjrzeć również Najwyższa Izba Kontroli.

W weekendowym dodatku do sobotniego wydania gazety zostaje natomiast zamieszczony wywiad ze mną, opatrzony tytułem *Narodziny gwiazdy*



w Ministerstwie Sprawiedliwości.

W pracy trwają próby gaszenia pożarów i ratowania Muncha, więc gloryfikujący moją osobę artykuł nie spotyka się z przesadnie ciepłym przyjęciem.

– Fajna autoreklama, Claro – mówi doradca, wtykając głowę do mojego gabinetu, oboje jesteśmy w pracy, by uporządkować jak najwięcej spraw przed urlopem. – Dobra robota! Dokładnie to, czego trzeba naszemu szefowi...

– Ten wywiad to nie był mój pomysł. Ludzie z „VG” skontaktowali się z naszym rzecznikiem prasowym. Przecież sam to wiesz.

– Owszem, taka wersja została nam przedstawiona – odpowiada doradca i krzywi twarz w grymasie. – Ale może dostali od kogoś cynk? O tym, że warto byłoby zrobić taki artykuł?

– Myśl sobie, co chcesz.

Facet zaczyna się wahać.

– Aha, czyli przyznajesz...

– Niczego nie przyznaję – przerywam mu. – Mówię tylko, że możesz sobie myśleć, co chcesz.

Doradca kręci głową i odchodzi z zaciśniętymi pięściami wepchniętymi w kieszenie garniturowych spodni opinających jego pośladki.

Jest grubawy, podobnie jak wszyscy chłopcy Muncha. Za dużo nadgodzin i śmieciowego jedzenia, za dużo batonów z automatu na korytarzu, za mało snu.

Muszę się pilnować, żeby i mnie to nie spotkało.

Po powrocie z pracy wybiorę się na długą przebieżkę po lesie, będę przeskakiwać korzenie i omijać bagna, biec, oddychać i się pocić, aż wypocę i wydalę z siebie wywiad, Muncha, doradcę i wszystkich dziennikarzy tego świata.

A potem czeka mnie urlop. I podróż do domu.

1986

Lars miał spędzać u mnie co drugi weekend. To bardzo niewiele, ale byłem w tej samej sytuacji, co wszyscy inni rozwiedzeni ojcowie. Z czasem na pewno będzie lepiej, myślałem, wystarczy poczekać, aż Agnes znów zanurzy się w swoim mroku i zacznie leżeć całe dni w łóżku.

Po jakimś czasie moja żona przestała odbierać telefony ode mnie. Któregoś dnia stanąłem więc pod drzwiami wynajmowanej przez nią sutereny. Nikt mi nie otworzył. Podobnie jak dzień później. W końcu odnalazłem ją na Liagarden, u Magnego. Gdy przyjechałem, stała na podwórzu. Nie było z nią Larsa.

– Chcę się zobaczyć z synem – zażądałem.

– A co, jeśli on nie chce widzieć ciebie? – zapytała Agnes, otulając się szczelniej różowym, kosmatym swetrem robionym na drutach, przekrzywiła głowę, odgarnęła z twarzy długie jasne włosy i zerknęła na mnie w sposób, który kiedyś tak mi się podobał. – Moim zdaniem przebywanie z tobą nie wychodzi mu na zdrowie. Clarze zresztą też nie. Przynajmniej odkąd wróciłeś z Libanu.

– Ty natomiast... – słuchałem własnego głosu, zupełnie jakby należał do kogoś innego. – Ty jesteś za to matką stulecia, ty...

– O Boże drogi – westchnęła Agnes, po czym weszła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Zacząłem go więc odbierać ze szkoły i jakoś to szło. Lars wydawał się na mój widok uszczęśliwiony, przytulał się do mnie przed telewizorem, gdy razem oglądaliśmy dobranockę, a ja obserwowałem jego mały nosek, puszek na buzi, wąskie wargi układające się w uśmiech. Lars był taki delikatny, kruchy, bardziej niemal dziewczęcy od Clary. I cichy. Często trzymał kciuk w buzi, wrócił do tego nawyku z najwcześniejszego dzieciństwa. Zdarzało się również, że sikał

w nocy do łóżka, zmieniałem wtedy prześcieradło, prałem jego piżamę i pokrowiec na materac, choć wcześniej od lat już nie musiałem tego robić.

Clara była zdania, że powinienem się starać o prawa rodzicielskie.

– To bzdura, że on ma mieszkać u mamy i Magnego, to mu nie służy – mówiła – zobacz, jaki jest wystraszony.

Twierdziła, że nie powinienem się przejmować moim gorszym samopoczuciem po powrocie z Libanu. Obiecywała, że będzie zeznawać na moją korzyść, wyjaśni wszystkim, że jestem najlepszym tatą na świecie.

A ja myślałem, że faktycznie spróbuję, załatwię to, na pewno mi się uda. Miałem zamiar wszystkim się zająć, tylko najpierw musiałem trochę odpocząć, zebrać siły, by móc stawić czoło Magnemu i Agnes.

I w końcu, w któryś weekend, zdołałem przywieźć Larsa do naszego domu.

W tę sobotę wykąpałem go w różowej wannie, do której zainstalowania przekonała mnie Agnes, mimo że kosztowało to kupę pieniędzy.

Najpierw stawiał mi opór i nie chciał się rozebrać, ale ja nalegałem, bo był naprawdę brudny.

W końcu zaczął zdejmować ubranie. Musiałem przełknąć ślinę i odwrócić wzrok.

Żadne dziecko nie jest w stanie zrobić sobie samo takich siniaków. Żadne dziecko nie miewa krwiaków pod pachami, na biodrach i na brzuchu.

– Co się stało? – spytałem Larsa.

– Uderzyłem się – odparł, pociągając nosem.

Zawołałem Clare, poprosiłem, by przyszła i sama na to spojrzała.

Po tym zdarzeniu poszedłem do urzędu gminy. Stałem przed biurkiem kobiety odpowiedzialnej za służbę ochrony praw dziecka.

– Czyli uważa pan, że matka chłopca...

– ...albo jego ojczym... – uzupełniłem.

– ...biją małego? Tylko dlatego, że zaczął nagle mniej mówić i złamał rękę?

– Nie chodzi tylko o to – westchnąłem. – Jest wiele innych rzeczy. No i, jak już wspominałem, te sińce na jego ciele.

– Cóż, moje dzieci też są całe poobijane, mimo że nie podnoszę na nie ręki.

Dla mnie to brzmi jak kompletnie nieumotywowane podejrzenia – stwierdziła urzędniczka, bębniąc palcami w blat biurka.

Chodziliśmy razem do szkoły i nigdy jej nie lubiłem. Ona mnie zresztą też chyba nie.

– Oczywiście przyjrzymy się sprawie. Ale Magne Lia to człowiek w najwyższym stopniu godny zaufania. Pan tymczasem miał ostatnio pewne życiowe perturbacje, prawda? – dodała, śląc mi wyzywające spojrzenie. – Oczywiście nie jest pan zachwycony odejściem żony, ucierpiała na pewno pańska duma, ale nie może pan chodzić po wsi i rzucać takich oskarżeń, chyba pan to rozumie...

– Czy to oznacza, że pani mi nie wierzy? – spytałem. Wezbrała we mnie ochota, by dać babie w gębę.

– Nic takiego nie powiedziałam – odrzekła mi.

Jej oczy mówiły jednak co innego.

Wychodząc stamtąd, czułem się tak, jakbym zużył na tę rozmowę wszystkie życiowe siły. Nie było we mnie więcej woli walki, zostawiłem ją w gaju oliwnym pod Raszają i na tamtejszych górskich pastwiskach.

Siedziałem więc beczynnie, czekając, aż wszystko się jakoś ułoży, aż Agnes pójdzie po rozum do głowy i wróci do domu albo przynajmniej zostawi Magnego, aż ktoś stwierdzi, że trzeba coś w tej sprawie zrobić, jakiś nauczyciel ze szkoły zgłosi zaniepokojenie albo coś w tym rodzaju lub okaże się, że Agnes mówi prawdę i wszystko faktycznie jest w najlepszym porządku. Bo ona i Magne śmiertelnie mnie przerażali. Wiedziałem, że wykorzystają przeciwko mnie historię z Libanem, oświadczą, że nie nadają się na ojca. Myślałem, że może nie powinienem ich prowokować, bo wtedy będzie jeszcze gorzej.

W końcu Agnes zadzwoniła do mnie, mówiąc, że Lars nie będzie mnie już odwiedzał.

– Jego to strasznie męczy – oświadczyła. – Mały potrzebuje spokoju. Stabilności.

Po tych słowach odłożyła słuchawkę. Poczułem, jak krew zamarza mi w żyłach. Musiałem coś zrobić, odwołać się, zadziałać, cokolwiek.

Ale najpierw położę się na chwilę i odpocznę, pomyślałem.

Zajmę się tym później. Jutro. Dzisiaj już nie.

## 57 – Haavard

Jutro wreszcie mamy wyruszyć na urlop, wyjazd był już kilka razy przekładany. Mam wolne. Clara urządziła sobie w domu kolejną sesję fotograficzną wbrew mojej woli i pojechała jeszcze na chwilę do biura.

Na naszych schodach stoi posłaniec z kwiatami.

– Proszę bardzo – mówi, wręczając mi wiecheć owinięty w brązowy papier.

– Dzięki – rzucam i odpakowuję bukiet, tak samo jak zrobiłem to wcześniej z trzema innymi. Kwiaty przesyłają firmy i organizacje chcące budować dobre relacje z nowym sekretarzem stanu, już zaczynają lobbować, biuro mojej żony też podobno zaczyna przypominać kwiaciarnię.

Ten konkretny bukiet należy do bardziej tradycyjnych i pompatycznych, są w nim białe lilie, są czerwone róże i kilka niezidentyfikowanych fioletowych ździebeł, wygląda jak coś, z czym mogłaby pójść do ślubu panna młoda. Żaden z czterech bukietów nie przypomina nawet kompozycji, którą sam mogłbym zamówić. Jutro mamy jechać na zachód. Mimo to sięgam po wazon, nalewam do niego wody i wtykam do środka nowy bukiet, nie zadając sobie trudu, by przyciąć łodygi kwiatów.

A potem zerkam na bilecik.

Serdecznie gratulujemy Ci nowej, wspaniałej pracy. Jesteśmy z Ciebie bardzo dumni. Cudownie, że do nas zajrzałaś. Mamy nadzieję, że odwiedzisz nas znowu, gdy przyjedziesz na zachód. Serdeczne pozdrowienia, Bodil i cały personel Kleivhøgda.

Kleivhøgda? Co to takiego? I kto też mógł przesłać mojej żonie tak serdeczne gratulacje? Clara nie utrzymuje znajomości z nikim z zachodu z wyjątkiem swojego ojca. Nikogo tam nigdy nie odwiedzamy, z nikim się nie spotykamy, czasem się zdarza, że Clara pozdrawia skinieniem głowy napotkanego w sklepie sąsiada, ale to wszystko.

Wrzucam hasło Kleivhøgda w wyszukiwarkę i dowiaduję się, że to instytucja opieki psychiatrycznej położona zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od rodzinnej wsi mojej żony. Nie zastanawiając się długo, wybieram numer telefonu na iPhonie i naciskam zielony klawisz.

Po paru sygnałach ktoś podnosi słuchawkę.

– Kleivhøgda, z tej strony Bodil.

– Dzień dobry, mówi Haavard Fougner, mąż Clary Lofthus...

– Ach, dzień dobry!

– Chciałem tylko podziękować za kwiaty, które właśnie odebrałem, Clary nie ma w domu, więc je odpakowałem, są naprawdę śliczne.

– Cudownie – odpowiada mi kobieta radosnym tonem. – Pomyślałam, że dobrze będzie zrobić dla Clary coś miłego... A pan często przyjeżdża w nasze strony?

– Tak się składa, że jutro ruszamy na zachód – mówię i nabieram powietrza.  
– Może moglibyśmy wpaść któregoś dnia? Jeśli to państwu pasuje?

– Ależ tak, oczywiście – odpowiada Bodil i terkocze dalej jak najęta: – Myślę, że takie ponowne spotkanie z Clarą zrobiłoby Agnes bardzo dobrze. Wie pan, ona nie oglądała córki od trzydziestu lat, więc pewnie nie chciałaby już tak długo czekać na kolejny raz. Poza tym Agnes wyraźnie się polepsza, trzeba robić wszystko, by wróciła do zdrowia.

– Ależ oczywiście – mówię. – Jeśli Clara będzie bardzo zajęta, to możliwe, że przyjadę sam. Zobaczymy.

Kilka kurtuazyjnych banałów później mogę wreszcie odłożyć słuchawkę. Siedzę chwilę ze zmarszczonymi brwiami, obracając telefon w dłoniach. Próbuję to wszystko przemyśleć.

Wedle opowiedzianej mi lata temu historii większa część rodziny Clary – to jest jej brat, matka i ojczym – zginęła w wypadku samochodowym, gdy ona sama była nastolatką. Clara też jechała tym autem i próbowała ratować pozostałych, niestety bezskutecznie. Od tamtego czasu nie jest w stanie o tym mówić, jeśli nie liczyć naszej jednej krótkiej rozmowy, którą mimo upływu lat nadal doskonale pamiętam.

Leżeliśmy w jej wąskim łóżku u babci Edith, wcześniej zjedliśmy kolację i trochę wypiliśmy. Oboje ułożyliśmy się na boku, zwróceniu do siebie twarzami,

tak blisko siebie, że jej czoło dotykało mojego, czułem na twarzy jej oddech, łączyła nas ta intymna zażyłość, która z początku jest taka cudowna, a potem zaczyna coraz bardziej wadzić.

Jej oczy były tak blisko moich, że nie potrafiłem skupić na nich wzroku, widziałem tylko jej niebieskie tęczęwki, rozmazany błękit, przywodzący na myśl pogodne niebo lub bezkresną łąkę chabrów.

I wtedy Clara opowiedziała mi o swojej matce, Larsie i Magnem, jej oddech przynosił słowa z jednych ust do drugich.

Musiałem jej obiecać, że już nigdy, pod żadnym pozorem, nie będziemy o tym rozmawiać.

Udało mi się dotrzymać tej obietnicy.

Wtedy myślałem rzecz jasna, że mamy przed sobą jeszcze wiele takich wieczorów, że to tylko początek, że będziemy do tego wracać, raz za razem, jeszcze bardziej się do siebie zbliżymy, zaczniemy jeszcze więcej ze sobą rozmawiać.

Nie podejrzewałem, że właśnie tamte dni, tamta krótka epoka to będzie czas naszej największej bliskości.

Słyszałem, jak chłopcy pytali ją kiedyś, czy nie mogliby pojechać na grób babci i wujka Larsa, ale ona zawsze zbywała ich jakimś wymówkami, w końcu więc przestali pytać. Sam też nigdy tam nie pojechałem. Leif również nie mówił o swojej żonie ani synu, nic więc o nich nie wiem, nie widziałem ich nawet na zdjęciu.

Trudno to właściwie uznać za dziwne, gdyż wiele rodzin reaguje w ten sposób na traumę. Próbowałem sobie nawet przez pewien czas tłumaczyć w ten sposób fakt, że Clara jest taka zamknięta.

A teraz okazuje się, że moja teściowa, która rzekomo zginęła trzydzieści lat temu, żyje i wraca do zdrowia.

Cóż za kolosalne kłamstwo zaserwowała mi moja żona.

# CZĘŚĆ 4



## 58 – Clara

1987

Tata codziennie powtarzał, że coś z tym zrobi. Niedługo.

I tak mijały kolejne dni, aż w końcu przyszła tamta środa.

Przyjechałam ze szkoły i jak zawsze wspięłam się na te wszystkie strome wzgórza, które trzeba było pokonać w drodze od przystanku autobusowego do domu. Usiadłam przy kuchennym stole nad podręcznikiem do matematyki, przygotowałam sobie szklankę mleka z dwiema łyżeczkami proszku kakaowego O'boy, gdy nagle rozdzwonił się stojący w korytarzu szary telefon.

– Tak? – powiedziałam, podnosząc słuchawkę.

– Clara?

Jego głos był tak cichy, że ledwie go słyszałam.

– Lars?

– Musisz po mnie przyjść. Nie chcę już tu być.

– Dobrze, przyjdziemy po ciebie. Co się dzieje?

– Chyba będą mnie bić, tak porządnie, chyba... muszę już kończyć.

Przepraszam.

– Czekał – powiedziałam. – Lars, poczekaj...

Ale w moich uszach brzmiał już sygnał przerwane połączenia.

Włożyłam kurtkę i buty. Wybiegłam na podwórze. Zawołałam tatę.

Wpadłam do stodoły. Do obory. Obleciałam wszystkie zabudowania.

Wróciłam do domu. Taty nigdzie nie było. Musiał pójść w pole. Ruszyłam w górę zbocza, w kierunku sadów, biegłam, nie przestając wołać, minęłam pierwszą, drugą i trzecią grupę jabłoni.

Tato, tato, tato!

Lecz taty nigdzie nie było.

Wróciłam więc na podwórze, przysiadłam tam i poczekałam chwilę.

Podróż rowerem zajęłaby mi dużo czasu, pewnie więcej niż zaczekanie na jego powrót. Ale taka bezczynność była nie do wytrzymania.

W końcu wskoczyłam na rower, był nowy, kupiłam go tej wiosny, oszczędzałam na niego całe lata. A teraz pędziłam na nim tak szybko, jak tylko się dało, w dół, w dół kolejnego wzgórza. Musiałam się bardzo starać, by utrzymać równowagę i się nie wywrócić.

Mknęłam wzdłuż fiordu, wiele kilometrów na samym skraju przepaści, mijaly mnie samochody, pęd powietrza zarzucał moim rowerem, aż w końcu dojechałam do skrzyżowania, gdzie skręcało się ku gospodarstwu Magnego. Ruszyłam pod górę, naciskając coraz mocniej na pedały, stawałam na nich, a kwas mlekowy zalewał mi mięśnie.

Gdy w końcu zajechałam na podwórze, stała tam już karetka.

Zniknął gdzieś ujadający szpic Magnego, który zawsze był przywiązany do flagowego masztu i czekał zajadle na każdego człowieka w zasięgu wzroku. Nawet ptaki nie śpiewały.

Było cicho jak makiem zasiał.

Wspięłam się po schodach na ganek, nacisnęłam klamkę i weszłam do przestronnej sieni. Lars leżał na podłodze.

Dwaj potężni faceci w obcisłych koszulkach i spodniach nachylali się nad nim, raz po raz naciskając na jego klatkę piersiową, zupełnie tak jak wtedy ja, gdy o mało nie utopił się w górskim jeziorze.

Magne stał nad nimi i się przyglądał, z dłonią uniesioną do ust w geście zatroskanego nauczyciela. Mamy nigdzie nie było.

– Och, Claro – powiedział Magne na mój widok. – Jesteś.

Wpatrywałam się w Larsa.

Jego twarz nie wyglądała jak wtedy, gdy wyciągnęłam go z wody, a potem ugniatałam jego pierś i wdmuchiwałam mu powietrze do buzi, aż woda trysnęła mu z ust niczym fontanna.

Teraz było zupełnie inaczej.

Siedziałam przy jego szpitalnym łóżku. Mama i Magne zostali na korytarzu,

przynajmniej teraz zrozumieli, że mają się trzymać od niego z daleka.

– Lars, Lars, obudź się – powtarzałam raz za razem.

Śpiewałam mu *Leć w świat, ptaszku miły*.

Ale on po prostu leżał w łóżku, zupełnie nieruchomo.

W końcu na korytarz wpadł tata.

– Gdzie one są? Gdzie są moje dzieci? – pytał.

Mama i Magne wstali, próbowali zagrozić mu drogę do szpitalnej sali.

– Lars potrzebuje teraz spokoju – oświadczyła mama, zupełnie jakby cokolwiek na tym świecie miało jeszcze dla Larsa jakiegokolwiek znaczenie.

– Tak, lepiej usiądź tu z nami, Leif – powiedział Magne, niezwykle jak na siebie słabym głosem.

– Mowy nie ma – rzucił tata, utorował sobie drogę do drzwi, wpadł do sali i nachylił się nad łóżkiem.

I w ten sposób wszystko zaczęło się na nowo.

Bo teraz tata musiał to pojąć, tak jak przed chwilą pojęłam to ja.

Lars leżał zupełnie bez ruchu, z drobnymi rączkami na kołdrze, jego paznokcie były krótkie i pozadzierane. Znow zaczął je obgryzać i skubać, próbowałam mu tłumaczyć, że tak nie można, ale on i tak po chwili znow to robił, skub, skub, skub. Strasznie mnie to irytowało.

Jak to mnie mogło irytować?

Jak cokolwiek w Larsie w ogóle mogło mnie irytować?

Teraz już nie oddychał, nie ruszał się, jego skóra była sina i chłodna, tata płakał, lecz ja nie uroniłam ani jednej łzy.

Czułam się równie martwa i zimna jak leżący w łóżku chłopiec, jakbym już nigdy nie miała odetchnąć pełną piersią.

Chciałam go wziąć na ręce, wynieść stamtąd, lecz tego nie zrobiłam. Było już za późno.

Zdecydowanie za późno. I to wszystko moja wina.

Skoro tata nie był w stanie pomóc, to ja powinnam była zareagować. Mogłam porwać Larsa z domu i z nim uciec, moglibyśmy zamieszkać w górskiej chacie. Mogłam go uratować, ale tego nie zrobiłam, a teraz nie zasługiwałam na to, by żyć.

Żadnej z tych myśli nie wypowiedziałam na głos. Pochyliłam się tylko nad braciszkiem i ucałowałam jego zimne czoło. A potem wstałam, podeszłam do taty, który padł na kolana, rzucił się na ciało Larsa i zaczął rozdzierająco szlochać.

O Boże, Boże, Boże, powtarzał raz za razem. Ubranko Larsa zamokło od jego łez, wiedziałam, że mały tego nie poczuje, lecz mimo to wcale mi się to nie podobało, nie chciałam patrzeć, jak tata traci nad sobą kontrolę, ale nic nie powiedziałam, zamiast tego zaczęłam głaskać go po plecach.

Lars milczał. Milczałam i ja.

Oboje byliśmy martwi, tyle że ja w nieco inny sposób niż on.

Musiałam jednak wziąć się w garść, oddychać, robić wdech i wydech.

Raz za razem.

Byłam pewna, że Magne zostanie ukarany.

Ale wkrótce udało mu się wyjaśnić całą historię, zaczęto opowiadać o podejrzeniu epilepsji i innych tajemniczych diagnozach, o których tata nigdy nie słyszał, lecz których słuszność potwierdzała mama.

Podobnie zresztą jak lekarz, dobry znajomy Magnego.

Lars miał podobno atak epilepsji, spadł ze schodów i doznał na skutek tego upadku poważnych obrażeń. W ten sposób doszło do krwotoku do mózgu, utrzymywali Magne z mamą.

To straszliwa tragedia, mówili.

Ludzie zasysali od nich te słowa i potem je znów wypluwali.

Tata próbował rozmawiać z panią z urzędu ochrony praw dziecka, ale ona zupełnie go zignorowała i była całą sprawą mało zainteresowana.

Ja natomiast nie rozmawiałam o tym z nikim, zrozumiałam, że to nie ma sensu, zaczęłam już myśleć zupełnie inaczej. A wręcz pilnowałam, by gawędząc z obcymi, jak najlepiej wypowiadać się o mamie i Magnem.

Na pogrzeb przyszliśmy tylko ja i tata oraz ciocia i jej mąż. Towarzyszyli nam kościelny i organista.

Dwa dni wcześniej zadzwoniłam do matki.

– Nie wolno ci przychodzić na pogrzeb – oświadczyłam. – Nie chcę tam widzieć ani ciebie, ani Magnego. Jeśli was tam zobaczę, to was zabiję.

Nalegałam, by pomóc w niesieniu trumny, choć tata powtarzał mi, że jestem na to za słaba.

Lars był mały, podobnie jak jego trumienka, ciężar okazał się mimo to zaskakująco duży, lecz ja postanowiłam, że nie dam tego po sobie poznać, dźwigałam drewniane pudło, podnosząc je tak wysoko, jak tylko się dało.

Wszyscy płakali. Ja nadal nie miałam łez.

Przy grobie ustawiliśmy trumienkę na kilku deskach. Odsunięto je, a Lars został opuszczony do czarnej dziury w ziemi. Usłyszałam dobiegający z grobu głuchy odgłos, to pewnie jego małe ciało obijało się o ściany trumny. A potem pudło dotknęło kamieni na dnie grobu i dobiegło do nas obrzydliwe szuranie, zaś chwilę później w drewniane wieko zaczęły uderzać grudy ziemi.

Ponadto słyhać było tylko krople deszczu padające na nasze kurtki, mokrą ziemię i trumnę.

Tam w dole, w ciemnościach będzie leżał Lars, myślałam o larwach i żukach, które najpierw oblepiają małą trumnę, a w końcu przedostają się do jej wnętrza.

## 59 – Haavard

Świat Leifa i Clary zaczyna się przy zjeździe z drogi wojewódzkiej na krętą, fatalnie utrzymaną gminną szosę prowadzącą w głąb doliny. Na samym jej końcu, za kilkoma opuszczonymi majątkami, leży gospodarstwo mojego teścia.

Gdy ludzie słyszą, że Leif mieszka „w głębi doliny”, wyobrażają sobie być może, że jest tam ciasno i ciemno, ale w rzeczywistości jego dom położony jest na szczycie stromego wzgórza i roztacza się stamtąd absolutnie bajeczny widok.

Pokazywałem zdjęcia moim rodzicom, byli zachwyceni. Zachód kraju jest taki majestatyczny, a wiersze Olava H. Haugego takie piękne, powiedziała moja matka. Chętnie przyjechaliby w odwiedziny, ale ani Leif, ani Clara nigdy ich tutaj nie zaprosili. Właściwie to sądzę, że Leif dostałby zawału serca, gdyby na jego podwórzu stanęła nagle moja matka, nie wspominając już o tym, że miałyby wejść do jego domu, oceniać go i komentować. Rodzice już dawno przestali mówić o wycieczce na zachód, matka robi tylko smutną i nieco obrażoną minę za każdym razem, gdy temat rozmowy schodzi na tę część kraju.

Zakochaliby się z pewnością w śnieżnych czapach na szczytach gór, pasących się na zboczach owcach, zielonych wodach fiordu i całym pięknie tutejszej przyrody.

Matka uznałaby pewnie, że ograniczony wybór towarów w spółdzielni jest czarujący. Ale raczej nie spodobałoby jej się na przykład, że w łazience przywodzącej na myśl kajutę na promie często brakuje wody. W lecie mamy w zwyczaju rozwiązywać ten problem, kąpiąc się w rzece, nawet jeśli na dworze jest zimno. Zupełnie mi to nie przeszkadza, jestem przyzwyczajony do długich pobyków w Kilsund i porannych kąpieci w lodowatej wodzie. Ale Clara zawsze wchodzi do rzeki jako pierwsza, natychmiast się zanurza, zupełnie jakby temperatura nie robiła na niej żadnego wrażenia.

Tym razem trochę dziwnie się czuję, przyjeżdżając tutaj.

Zawsze mi się tu podobało, pomimo uciążliwych much i innych utrudnień,

miałem wrażenie, że to część planety pozostająca pod ochroną, zielona oaza spokoju, relikwiny minionych czasów. Lubiłem patrzeć, jak Clara zmienia się tam z miastowej damy w wieśniaczkę z piłą mechaniczną.

Ale tym razem wszystko jest inaczej.

Dzień przed naszym wyjazdem, po rozmowie z Bodil pracującą w Kleivhøgda, postanowiłem, że sobie pogadam z Clarą zaraz po jej powrocie do domu albo przynajmniej wieczorem, gdy zasiądzie na tarasie ze swoim codziennym jointem.

Problem w tym, że nie wiedziałem, jak zacząć i jak przeprowadzić taką rozmowę.

W końcu nie zdobyłem się na odwagę i postanowiłem odroczyć konfrontację.

Pojechaliśmy na urlop.

I mam teraz, pomimo całej tutejszej idylli, mętne poczucie nierzeczywistości.

Teren wokół domu wydaje się dość dobrze utrzymany, trawa co prawda dawno nie była strzyżona, ale wszędzie jest pełno kwiatów i krzewów. Czerwienią się ściany stodoły, dom odcina się bielą na ich tle, maszt flagowy stoi na swoim miejscu. Na zboczach pasą się owce.

W stodole jest pełno różnego złomu nagromadzonego przez kolejne pokolenia. Leżą tam stare opony samochodowe, rowery, koła do traktora, balony na wino, worki z nawozem sztucznym, siano, mnóstwo trocin, wszystko to wała się tam bez ładunku i składu, pokryte dodatkowo grubą warstwą kurzu. Ciemna, ciasna obora o niskim suficie, śmierdząca intensywnie owczymi szczynami i paszą w granulacie przeraziłaby z pewnością każdą komisję nadzoru weterynaryjnego, jestem pewien, że nie spełnia żadnych wymogów ani wytycznych.

No i sam dom. Zagracony od podłogi po sufit. Są tu książki i czasopisma, które liczą sobie pewnie ze sto lat. Stare ubrania, należące chyba jeszcze do rodziców Leifa. Wygląda na to, że mój teść po prostu odpuścił sobie sprzątanie. Nic dziwnego, że nigdy niczego nie kupuje, bo nic by się tu już zwyczajnie nie zmieściło.

Pomiędzy gospodarstwem a górską chatą – różnica poziomów to jakieś trzysta czy czterysta metrów – huczy wodospad Huldrefossen. Jego spadek nie

jest przesadnie duży, ale w dół pędzi nieustannie szeroka, spieniona struga wody, zwłaszcza w okresach deszczowych. Na podwórzu słychać jedynie dochodzący z oddali jednostajny szum, ale do górskiej chaty dobiega wyraźne, donośne huczenie wodnych mas, mimo że wodospadu nie widać z okien.

Clara nalega, by nie nazywać górskiej chaty „domkiem letniskowym” na miastową modłę.

To dawne górskie pastwisko, mówi. Dom, w którym śpimy, to górska chata.

Pastwisko i chata. Chłopcy nauczyli się już, by używać właściwych słów.

Ja natomiast nadal mówię „domek letniskowy”.

Gdy tym razem otwieramy ciężkie drzwi chaty, od razu rzucają mi się w oczy małe, zasuszone truchelka mysiej matki i jej siedmiu młodych, leżące w zielonym wiadrze na wodę zaraz przy wejściu. Mysz dostała się pewnie do środka, urodziła, ale nie była już w stanie wyjść i zdechła razem ze swoimi dziećmi.

– Ożeż kurwa – mówię i odwracam wzrok.

Clara zagląda do wiadra z zainteresowaniem.

– Nieumyślne zaniedbanie obowiązków rodzicielskich – stwierdza i zabiera wiadro, zapewne po to, by wyrzucić truchelka w pobliskie krzaki. W innych okolicznościach pomyślałbym, że jest twarda, teraz jednak takie zachowanie wydaje mi się jedynie dowodem jej braku empatii.

W rogu izby znajduje się stara kuchnia z fajerkami, na ścianie wiszą rondle, osmalone po wielu latach użytkowania.

W trzech pozostałych rogach stoją łóżka, które w Oslo nazwalibyśmy raczej pryczami. Są tak krótkie, że zazwyczaj sypiam tu na materacu na podłodze. Same materace, kilka wełnianych koców w typie wojskowym i stare poszwy wiszą na belkach pod sufitem.

Pierwszy raz w życiu przyjechałem tu jesienią, kilka miesięcy po moim pierwszym spotkaniu z Clarą.

Gospodarstwo przyprószone było wtedy cienką warstewką śniegu. W okolicach górskiej chaty leżało natomiast jakieś trzydzieści czy czterdzieści centymetrów białego puchu, ścieżka była kompletnie zasypana, brodziliśmy w śniegu niemal po kolana. Gdy w końcu dotarliśmy na miejsce, usiedliśmy na podłodze przy kuchni i przez resztę wieczora dorzucaliśmy tylko drwa do



ognia. Dzięki temu nasze piersi, zwrócone ku palenisku, były stosunkowo dobrze ogrzane, w plecy było nam natomiast nadal koszmarne zimno.

Po dwóch godzinach coś zaczęło się kotłować pod sufitem. Na podłogę spadła oszołomiona mucha. Potem jeszcze jedna. Gdy uniosłem wzrok, ujrzałem wielką ciemną plamę na suficie. Musiały się tam zebrać wszystkie muchy z całej okolicy, przyleciały tu i zapadły w zimowy sen. Ale bijące od kuchni ciepło zaczęło je parzyć, muchy budziły się i spadały na nas jak deszcz, leciały na stół, sery i krakersy, między świeczki, leżały tam na grzbietach, przebierając odnóżami.

Wszędzie było pełno na wpół martwych, zupełnie bezradnych owadów. Prawie jak w filmie *Magnolia*, gdzie z nieba zaczęły spadać żaby.

Powinienem był zrozumieć, że to znak.

Teraz, po pierwszej spędzonej w górskiej chacie nocy, budzę się i podejmuję decyzję.

– Muszę coś załatwić w cywilizowanym świecie – mówię. – Mam kilka spraw. Nawet nie pytaj. To takie bzdury związane z pracą.

– Możemy iść z tobą? – pytają chłopcy chórem.

– Nie, nie dzisiaj.

Puszczam się szybkim truchtem wzdłuż wodospadu, schodzę w mniej niż pół godziny, mijam gospodarstwo, wsiadam do auta i ruszam w dół, ku drodze wojewódzkiej, ku fiordowi.

Skrećam w kierunku sąsiedniej wsi, wbijając w GPS hasło „Kleivhøgda”.

## 60 – Clara

1988

Próbowałam pocieszać tatę, siadałam na podłodze u jego stóp, obejmowałam jego kolana ramionami, opierałam na nich brodę, zerkałam na niego.

Ale wtedy zaczynał tylko szlochać, więc w końcu przestałam to robić.

Boże drogi. Nie wytrzymam tego, powtarzał tata.

Będzie dobrze, tatusiu, odpowiadałam mu, bo usłyszałam, jak ktoś tak mówił w jednym szwedzkim filmie.

Ale on wtedy płakał jeszcze bardziej, więc przestałam nazywać go tatusiem, mimo że nim przecież dla mnie był.

Parzyłam kawę, nakrywałam do śniadania, przygotowywałam mu ubranie, gdy zaczynał brzydko pachnieć, przypominałam mu, że powinien wziąć prysznic, gotowałam obiady, prałam, chodziłam do obory i stodoły, odbierałam pocztę, wyjmowałam rachunki z kopert, kładłam je na stole i pokazywałam mu, mówiąc, że powinien iść do banku i je opłacić, przypominałam, by zadzwonił do cioci i tej pani od ochrony praw dziecka, która nagle zaczęła się nami interesować i sprawdzać, czy niczego mi nie brakuje.

Robiłam tylko rozsądne, potrzebne rzeczy, od wszystkiego innego starałam się trzymać z daleka.

Przede wszystkim próbowałam nie myśleć o Larsie.

Bo on odszedł i wiedziałam, że nigdy nie wróci.

A ja nie miałam już matki.

Miałam tylko tatę, którego musiałam postawić na nogi, przypilnować, by nie osunął się w przepaść.

Po jakimś czasie przez gęstą ciemność zaczęły się przebijać pojedyncze promienie światła. Powoli, stopniowo. Mniej więcej w tym samym czasie tata

zaczął opowiadać o tym swoim śnie.

– Co noc śni mi się to samo. Jadę drogą wzdłuż fiordu. Jesteś ze mną. Nagle tracę panowanie nad autem, które wypada z trasy i ląduje w wodzie, a ja siedzę bez ruchu, nie jestem w stanie nawet kiwnąć palcem, tymczasem auto zanurza się coraz głębiej... Nie rozumiem, co to może znaczyć. Czyżbym miał stracić także ciebie?

Siedzieliśmy obok pieca na czerwonych fotelach uszakach, odziedziczonych przez tatę po jego dziadkach.

– Ależ, tato. Przecież ja nie utonę.

– To czemu mi się to cały czas śni, zupełnie jakby to było jakieś ostrzeżenie?

– Bo straciłeś Larsa. I boisz się, że mnie też stracisz.

– A co, jeśli to się naprawdę stanie?

– Poradzę sobie. Obiecuję.

Po tym, co się stało z Larsem, tata zupełnie stracił wiarę w siebie. Próbowałam mu przypominać o wszystkim, co mu się w życiu udało, na przykład o misji w Libanie. Ale to też było trudne, czułam się więc, jakbym chodziła po bagnie albo stąpała po bardzo cienkim lodzie.

– W Raszai przecież świetnie sobie radziłeś, tato.

– No tak – odpowiadał mi i chrząkał. – Ale to było coś zupełnie innego.

– Jak to?

– W takich sytuacjach można tylko walczyć albo uciekać. Człowiek nigdy nie jest bezradny.

– Myślisz, że i ja mogłabym zrobić coś takiego? Zostać żołnierką?

Rozgarnęłam żar w piecu szczapą drewna i wrzuciłam ją do środka.

– Oczywiście, moim zdaniem jak najbardziej, wychodzi ci przecież wszystko, do czego się tylko bierzesz – powiedział tata i posłał mi uśmiech, ale w jego spojrzeniu widziałam, że tak naprawdę we mnie nie wierzy.

Gdy tata w końcu znów zaczął sam chodzić do obory i pod prysznic, w mojej głowie został tylko Lars.

Zajeżdżałam rowerem na cmentarz codziennie po szkole. Siadałam tam, nachylałam się nad szorstkim, owalnym kamieniem, który znaleźliśmy dla

niego w naszej rzece, tym, na którym kazaliśmy wyryć dwa małe ptaszki.

Kosztowało to mnóstwo pieniędzy i właściwie nie było nas na to stać, ale postanowiliśmy, że ptaszki muszą się tam znaleźć.

Czasami mu nad tym grobem śpiewałam. Ale najczęściej siedziałam tylko i do niego mówiłam.

Na początku nie dostawałam żadnych odpowiedzi, ale w końcu zaczęłam go słyszeć. Mój braciszek powtarzał w kółko tylko dwa słowa. Było to zdanie, którego nigdy nie wypowiedział za życia, nie rozumiał pewnie nawet jego znaczenia.

A mimo to słyszałam je głośno i wyraźnie.

Pomścij mnie, prosił Lars.

## 61 – Haavard

– Czyli to ty jesteś mężem Clary? – mówi kobieta, która wita mnie w domu opieki i przedstawia się jako Bodil. Mierzy mnie wzrokiem.

– Tak, Haavard Fougner – mówię, wyciągając do niej rękę.

– O rany... No cóż, szczerze mówiąc, to nie sądziłam, że Clara kiedyś wyjdzie za mąż. Nigdy nie interesowała się chłopcami. Dziewczynami zresztą też nie – dodaje Bodil i chichocze. – Po prostu była tak jakby inna niż wszyscy.

– Nadal taka jest – mówię.

– Tak, niedawno z nią rozmawiałam. Poza tym ostatnio pełno jej w telewizji. No dobrze, chcesz się zobaczyć z Agnes? To właściwie nie do końca zgodne z regulaminem, ale myślę, że mogłabym przymknąć na to oko.

– Dzięki, to bardzo miłe z twojej strony.

– No tak, bo Clara właściwie przez kilkadziesiąt ostatnich lat nie była częścią życia Agnes. A teraz, kiedy biedaczka zaczyna wreszcie dochodzić do siebie, powinna mieć jak najwięcej kontaktu z rodziną. Rozumiem, że Clara nie może jej odwiedzać, ale sądzę, że spotkanie z tobą też jej dobrze zrobi. Mógłbyś też któregoś dnia przywieźć chłopców, co o tym myślisz?

– Byłoby miło.

– Cóż, Clara nie podziękowała nam nawet za bukiet, który jej przesłaliśmy.

O rany, ilu telefonów z podziękowaniami spodziewała się ta baba?

– No tak, jak sama powiedziałaś, moja żona to dość specyficzna osoba – odpowiadam. – Nie przejmuj się tym.

– Wcale się nie przejmuję – odpowiada Bodil tonem sugerującym coś zupełnie innego. – Gotowy na spotkanie z teściową? Masz szczęście, Agnes czuje się dziś całkiem nieźle. Nadal zdarzają jej się gorsze dni, ale ogólnie rzecz ujmując, jest coraz lepiej.

Zostaję poprowadzony przez budynek i ogród do sąsiedniego gmachu, wspinam się po schodach i wchodzę do wskazanego pokoju.

Siedzi tam w fotelu starsza kobieta. Świdruje mnie wzrokiem.

Wygląda trochę jak Clara, ale jedno oko ma brązowe, a drugie niebieskie, trudno przez to odczytać, co kryje się w jej spojrzeniu.

– Agnes, to jest Haavard – mówi Bodil. – Mąż Clary. Przyjechał cię odwiedzić. To bardzo miło, prawda?

Kobieta kiwa nieznacznie głową.

Jest zaskakująco piękna, ma wręcz dziewczęcy urok. Czy to możliwe, że jest już po sześćdziesiątce? Wygląda, jakby przez ostatnie trzydzieści lat leżała gdzieś zakonserwowana. Ma długie włosy, twarz niemal zupełnie pozbawioną zmarszczek i szczupłą sylwetkę, a jej strój przypomina kostium wypożyczony na imprezę w stylu lat siedemdziesiątych – ma na sobie długą kwiecistą spódnicę oraz tunikę.

– No to ja sobie idę. Bawcie się dobrze – rzuca Bodil i znika.

– Agnes – odzywam się. – Wiesz, kim jestem?

– Tym facetem, który ożenił się z Clary.

– Ona tu niedawno była, prawda?

Kobieta znów odpowiada nieznacznym skinieniem głowy. Nie przestaje mierzyć mnie spojrzeniem.

– A wcześniej bardzo długo jej nie widziałaś?

– Ponad trzydzieści lat.

– Czemu aż tak długo?

Agnes wzrusza ramionami.

– Cóż... oni mnie nie chcą znać.

– Oni? – pytam.

– Clara. I Leif – odpowiada kobieta takim tonem, jakby miała w ustach coś bardzo niesmacznego.

– Jeśli mam być szczerzy, to myślałem, że nie żyjesz, że zginęłaś w wypadku razem z Larsem i Magnem.

– W wypadku razem z Larsem i Magnem?

Agnes parska cicho. Po czym kręci głową.

– Nie, nie, jak widzisz, nadal żyję. W pewnym sensie – dodaje, patrząc na mnie z drwiną. – Spędziłam tu prawie pół życia bez kontaktu ze światem. Moją jedyną córkę oglądałam wyłącznie w telewizji. No i... no właśnie. Ale dają mi tu

przynajmniej jeść i mam dach nad głową.

– I zaczniesz odzyskiwać pamięć, prawda? Tak przynajmniej twierdzi Bodil...

– Ach, Bodil. Głupia ropucha – rzuca Agnes z pogardą, a ja nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Nie ma wątpliwości, że to matka Clary. Wydaje się, że ma bardzo jasny umysł.

– Czego właściwie ode mnie chcesz?

– Chciałem poznać moją teściową. Dopiero od niedawna wiem, że w ogóle żyjesz.

– No dobra – odpowiada Agnes z pewnym sceptycyzmem. – No to mnie poznałeś.

– A może chciałabyś zobaczyć swoje wnuki? – pytam, czując, że wchodzę na cienki lód. Nie wiem, czy Clara wydałaby na takie spotkanie zgodę. Ani czy sam chciałbym przywieźć tu chłopców i przedstawić ich tej kobiecie. – Poza tym może mógłbym się dowiedzieć trochę więcej...

– O czym? – pyta Agnes, znów ponurym tonem.

– Przede wszystkim o tamtym wypadku. Jak widać, nie utonęłaś. Co się wtedy właściwie stało?

Starsza kobieta wybucha krótkim, nieprzyjemnym śmiechem.

– Biedny chłopcze, ty nie masz o niczym pojęcia, prawda? – pyta, kręcąc głową. – Jesteś pewien, że chcesz o tym wiedzieć?

Jakaś część mnie ma ochotę powiedzieć, że nie, po czym wstać i stąd wyjść. By nigdy już nie wrócić. Lecz druga część szepcze, że muszę poznać prawdę. Teraz. Natychmiast.

– Tak – mówię. – Jestem pewien.

– Cóż, Clara i Leif byli jak jedna dusza w dwóch ciałach, może zresztą nadal tak jest, nie wiem... W każdym razie tak to wyglądało od początku. Dziecko przyszło na świat i tylko ono się dla niego liczyło. Kompletnie nie rozumiał, jak to jest być mną, zostać uwieczoną na tej samotnej skalnej półce. Dla Leifa to gospodarstwo było najpiękniejszym miejscem na świecie, jego zdaniem codziennie powinnam dziękować Bogu za to, że w ogóle wolno mi tam

mieszkać. Jak go o to zapytasz, usłyszysz pewnie, że byłam leniwa. Ale on nie miał pojęcia, jak to jest być uwięzionym w moim ciele.

– A jak to było? – pytam po kilku sekundach ciszy.

– Cóż, w ciąży czułam się jak otruta. Ramiona, nogi, dłonie i stopy, wszystko mi nagle zwiędło, całkiem opuściły mnie siły, zupełnie jakbym była sparaliżowana. Nawet pójście do toalety było dla mnie niewyobrażalnym wysiłkiem. Światło dnia mnie wykańczało. W ogóle wykańczało mnie wszystko. Nie jestem tego w stanie wyjaśnić. Gdy próbowałam coś zrobić, przesywał mnie nagle straszliwy ból, jakby ktoś mnie podłączył do prądu.

– Rozumiem – mówię, mimo że nie rozumiem.

Co się z nią działo?

Czyżby cierpiała na zespół chronicznego zmęczenia? Jakież cięższe dolegliwości związane z reumatyzmem? Coś innego? Boreliozę? A może to były objawy psychosomatyczne, związane na przykład z depresją?

– Zastanawiasz się pewnie, czy postawiono mi jakąś diagnozę. Otóż nie – mówi Agnes. – Szczerze mówiąc, nie pamiętam dokładnie, co się działo w tamtym okresie. Tyle tylko, że wokół mnie zapadła ciemność. Zupełnie jakbym już odeszła, stała się dla wszystkich niewidzialna. Clara i Lars sprawiali, że czułam się jak pusta skorupa. Nie odnajdowałam się w roli matki. Tak jakby oni byli dziećmi jakiejś innej kobiety i tylko przypadkiem mieszkali w tym samym domu co ja. Złościli mnie. Leif też. Złościło mnie wszystko w tym przeklętym gospodarstwie.

– Musiało ci być trudno – mówię, tonem tak neutralnym, na jaki mnie tylko stać, choć mam ochotę wzdrygnąć się z odrazą.

– Cała historia zaczyna się tak naprawdę parę lat później – ciągnie Agnes. – Jesteś pewien, że chcesz jej wysłuchać? Bo działy się wtedy różne koszarne rzeczy...

Jej nieznacznym uśmiechem bardzo mnie niepokoi.

– Opowiedz – proszę, choć jestem już prawie pewien, że będę tego żałował.



1988

Moja matka miała wiele negatywnych cech. Była tchórzliwą, nieodpowiedzialną, głupią babą. Czasami potrafiła uderzyć. Okazało się, że była w domu, gdy umierał Lars, twierdziła, że wyszła tylko na chwilę, by rozwiesić pranie.

Ale Lars był w końcu jej synem, nie mogła go tak po prostu zepchnąć ze schodów.

Mój braciszek bardzo się zmienił, odkąd zamieszkała z nim u Magnego. Radosny, grzeczny chłopiec, którego znałam, odszedł bezpowrotnie. Na jego miejscu pojawiło się wystraszone, milczące dziecko, które miewało od czasu do czasu dziwne napady wściekłości, potrafiło kopnąć kota na podwórku i prawie nigdy się nie bawiło.

Potem przeczytałam, że wszystko to było bardzo typowe.

Magne miał wolne w każdą środę, ze względu na gospodarstwo, chociaż je wydzierżawił, jak również z uwagi na całą tę swoją działalność społecznika. Mama trafiła do szpitala, gdzie mieli jej zrobić jakiś drobny zabieg. Zadzwoiła do mnie z tą informacją, zupełnie jakby mnie to miało obchodzić. Chciała, żebym ją odwiedziła. Wykluczone, odrzekłam i odłożyłam słuchawkę, nie widziałam się z nią od dnia śmierci Larsa i nie miałam zamiaru tego zmieniać.

Mimo to zanotowałam sobie termin jej hospitalizacji.

I byłam gotowa.

Całą długą drogę do gospodarstwa Magnego pokonałam piechotą. Zrobiłam sobie tylko jeden krótki postój, położyłam się na trawie między kilkoma brzożami, chwilę pooddychałam.

W końcu stanęłam przed jego domem, wspięłam się na ganek, podniosłam

palec do dzwonka, nacisnęłam.

– Puścili nas wcześniej ze szkoły, zachorowała nasza nauczycielka od robót ręcznych – oświadczyłam, gdy mi otworzył. – A potem już nie mieliśmy lekcji, więc mogliśmy iść do domu.

– Aha? – Magne patrzył na mnie wyczekująco.

– Pomyślałam, że tu zajrzę – powiedziałam.

Wiedziałam, że w środy Magne siedzi zazwyczaj w domu i pije, powiedział mi o tym Lars. W te dni mój braciszek bał się jeszcze bardziej niż zwykle, zamykał się w swoim pokoju i starał się być tak cicho, jak to tylko możliwe.

Także teraz widziałam po Magnem, że już sobie trochę wypił. Oczywiście miał podbiegnięte krwią i zamglone. To dobrze. Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem.

Cały pomysł wziął się z opowieści taty o koszmarze, w którym tonę uwięziona w aucie. Pojechałam do biblioteki, przejrzałam podręczniki pierwszej pomocy i wskazówki dla kierowców, porobiłam notatki, narysowałam nawet kilka ilustracji.

Dowiedziałam się przede wszystkim, że z reguły, gdy auto ląduje w wodzie, ludzie nie działają dość szybko. Dlatego toną. Trzeba się spieszyć. Działać. Od razu. Prawie nikt nie ginie od samego zderzenia z lustrem wody. Ludzie po prostu nie są w stanie opuścić pojazdu i idą z nim na dno.

Poprzedniej nocy pojechałam rowerem do gospodarstwa Magnego. Kluczyki do samochodu wisiały jak zwykle w szafce w sieni, drzwi do domu nie były zamknięte od środka, a on spał jak zabity.

– No tak – powiedział tamtego dnia, gdy stanęłam na progu, i zmarszczył brwi. – Ale Agnes nie ma w domu. Jest w szpitalu.

– Tak, wiem o tym. Bardzo bym chciała ją odwiedzić. Mógłbyś mnie tam zawieźć? Proszę!

– Cóż, właściwie to nie bardzo mi pasuje – odrzekł z wahaniem, nie chciał się pewnie przyznać, że pił w środku dnia.

– Chciałabym też porozmawiać z tobą o tacie – dodałam. – On się ostatnio nie czuje zbyt dobrze... Właściwie to trochę się o niego martwię.

I w tym właśnie momencie dostrzegłam błysk w jego oku. Uruchomił się instynkt drapieżnika. Miałam go już jak na widelcu.

– W porządku. Wezmę tylko portfel – powiedział Magne i wrócił na chwilę do środka.

Z miejsca, w którym stałam, dostrzegłam, że podchodzi do narożnej szafki w salonie.

To tam trzymał alkohol. Usłyszałam ciche podzwanie szkła. Teraz ważne było tylko to, by zdołał wyjechać autem na szosę.

Samochód był stosunkowo nowym, wypucowanym i wypolerowanym oplem w nieokreślonym odcieniu żółci. W kabinie pachniało czystością i chemikaliami, bijący od Magnego odór alkoholu stał się jeszcze bardziej wyczuwalny w tym sterylnym wnętrzu.

Magne nie tolerował bałaganu, Lars mógł trzymać zabawki wyłącznie w swoim pokoju, a po jakimś czasie nie wolno mu ich było mieć nawet tam. Ostatecznie został zmuszony do wyrzucenia wszystkich swoich rzeczy, nawet klocków lego i autek, które tak uwielbiał.

Ruszyliśmy wąską szutrową drogą prowadzącą z gospodarstwa na szosę. Magne wpatrywał się tępo przed siebie, był chyba jeszcze bardziej pijany niż początkowo sądziłam. Wjechaliśmy w końcu na szosę i skręciliśmy w prawo. Do szpitala mieliśmy stąd jakieś dwadzieścia pięć kilometrów. Przez pierwszych dziesięć droga wiodła nad fiordem, była wąska, kręta i niebezpieczna. Ryzyko zderzenia z jadącymi z naprzeciwka samochodami było tu całkiem spore. Już o tej porze roku, wczesnym latem, pełno było wszędzie aut niemieckich i holenderskich, wiele z nich ciągnęło dodatkowo przyczepy kempingowe. Samochody klinowały się na węższych odcinkach drogi, musiały się cofać, kierowcy nie dawali sobie rady, a okoliczni mieszkańcy rwali włosy z głowy.

Był jasny, słoneczny dzień z bezchmurnym niebem, górskie zbocza zieleniły się soczyście jak zwykle w tych wczesnych letnich miesiącach. Wody fiordu skrzyły się i migotały niczym płynne, ciepłe złoto, choć ja doskonale wiedziałam, że są lodowate.

Na górskich szczytach nadal leżały śnieżne czapy, strumienie wiły się po zboczach niczym tłuste białe żmije.

Wody roztopowe. To dlatego fiord był taki szmaragdowozielony.

Serce biło mi coraz szybciej.

Ale nie mogłam teraz zwątpić. Musiałam przeprowadzić swój plan do końca.

Wjechaliśmy na wąski, jednokierunkowy odcinek, musieliśmy poczekać, aż wyminie nas auto jadące z naprzeciwka. Magne zaczął cofać samochód, zaklął pod nosem. W końcu przysła kolej na nas, ruszyliśmy wąziutką, krętą trasą, po obu stronach mieliśmy niewiele, zaledwie po jakieś dziesięć centymetrów zapasu. Tu przynajmniej jechał dość wolno.

Kolejny odcinek trasy był już dużo szerszy. Magne dodał gazu.

Do szpitala zostało nam jakieś piętnaście kilometrów.

Zaś do miejsca, które sobie upatrzyłam – tylko dwa.

Byliśmy już bardzo blisko.

Magne jechał za szybko, było mi to bardzo na rękę, bo ułatwiało całą sprawę.

Wjechaliśmy w ostry zakręt, skraj drogi widziałam tuż za moimi drzwiami. Nie było tu barierek ani drzew na poboczu, tylko przepaść – i fiord daleko w dole. Ludzie, którzy chcieli się pozbyć swoich aut i wyłudzić za nie odszkodowania, spychali je w tym miejscu do wody późną nocą. Ktoś powinien lepiej zabezpieczyć ten odcinek, bo w końcu dojdzie do nieszczęścia, mawiali miejscowi.

Wszystko było teraz w moich rękach.

Widziałam to wcześniej oczyma duszy raz za razem, wielokrotnie odtwarzałam przebieg całego zdarzenia w myślach, wiedziałam, że będę miała tylko jedną szansę.

Chwyciłam kierownicę lewą ręką i pociągnęłam ją do siebie. Mocno i gwałtownie.

Samochód zjechał w przepaść.

Złapałam się mocno drzwi, stopy wbiłam w podłogę, zacisnęłam usta, bo krzyczeć nie miałam zamiaru pod żadnym pozorem.

Uderzenie w lustro wody także już wiele razy sobie wyobrażałam.

Ale nie przewidziałam głośnego huku, mocnego szarpnięcia, siły, z jaką spadający samochód zderzy się z wodą. Ani ogłuszającego plusku, który rozległ się w chwili, gdy przebiliśmy jej powierzchnię.

Głowa poleciała mi do tyłu, potem do przodu, a potem już zaczęliśmy się zanurzać. Magne coś wrzeszczał, przeklinał, a ja trzymałam się mocno drzwi.

Czytałam o tym wszystkim, wiedziałam, że woda zaraz znajdzie sobie otwory i szczeliny, zacznie się przez nie sączyć do środka, że auto szybko zatoni.

W takich sytuacjach wszyscy reagują paniką, zapominają o racjonalnym, rozsądnym działaniu. Ja miałam natomiast tę przewagę, że wiedziałam, co się stanie, przygotowałam się na to, miałam świadomość, że muszę zachować zimną krew, szybko reagować, opuścić szybę, odpinając jednocześnie pas bezpieczeństwa.

Bo po krótkim czasie wykonanie obu tych czynności równocześnie staje się niemożliwe. Wtedy trzeba spróbować zbić szybę i się wydostać.

Otwarcie drzwi będzie tak czy inaczej niemożliwe z uwagi na nacisk wody na pojazd.

W Stanach Zjednoczonych ginie w tonących autach około czterystu osób rocznie. Czekają, aż stanie się cud, podczas gdy mija trzydzieści czy sześćdziesiąt decydujących sekund.

Tak naprawdę ludzie są dość głupi.

Opuściłam szybę prawą ręką, jednocześnie odpinając pas lewą.

Dokładnie tak jak czytałam, woda zaczęła wlewać się do środka dużo szybciej, niż można by było sądzić.

Bul, bul, bul, bulgotała. A we mnie zaczęła wzbierać panika.

Auto szło właśnie na dno głębokiego fiordu. A ja byłam w środku.

Zerknęłam na Magnego, który siedział obok jak sparaliżowany.

– Otwórz drzwi, Magne – rzuciłam, odbiłam się nogami od swojego siedzenia i już za chwilę byłam za oknem.

Magne zaczął desperacko szarpać za klamkę, drzwi oczywiście nie ustąpiły. Gdyby nawet przyszło mu do głowy opuścić szybę, już by z tym nie zdążył.

Zaczęłam płynąć w kierunku lądu.

Gdy się odwróciłam, ponad powierzchnię wody wystawał już tylko bagażnik żółtego auta. Nie widziałam pod stopami dna. Tylko ciemność.

Dopłynęłam do kamieni, na które mogłam wpełznąć, sprawdziłam to miejsce dokładnie, objeżdżając okolicę na rowerze przed kilkoma dniami.

Wspięłam się na jeden z głazów, odetchnęłam, spojrzałam na wodę.

Magne nie wypłynął.

Wprowadziłam swój plan w życie, wszystko się powiodło.

Wiedziałam, że niedługo będę musiała wykonać kolejny jego etap, wspiąć się na zbocze, wyjść na szosę, zatrzymać jakieś auto, panikować, płakać, wszystkie te rzeczy, pozwolić się zawieźć do jednego z okolicznych miasteczek, porozmawiać z policją. Pominąć szczegół albo dwa, a poza tym powiedzieć, co się stało, w taki sposób, żeby mi uwierzyli.

Ale najpierw planowałam posiedzieć sobie chwilę, popatrzeć na fiord i uspokoić oddech.

1988

Mijaliśmy powoli miejsce, w którym Magne i Clara zjechali do fiordu. Stromą przepaść, gdzie zimą często schodziła lawina, zabezpieczono policyjnymi taśmami. Oczy mojej córki błysnęły niezdrowo, zupełnie jak wtedy, gdy była malutka i miała gorączkę.

W tej samej chwili policjantka, która siedziała za kierownicą, zerknęła na nas we wstecznym lusterku. Uśmiechnęła się ostrożnie ze współczuciem. Clara dostrzegła to spojrzenie i zrobiła smutną minkę małej dziewczynki.

Otoczyłem ją ramieniem i przytuliłem.

Zostaliśmy we dwoje. Mieliśmy być już tylko my, ja i Clara, na zawsze.

Ale krótko po tym, jak wróciliśmy do domu, rozległo się łomotanie do drzwi.

Wcześniej, gdy jechałem do szpitala, niebo się zachmurzyło, a w drodze powrotnej zaczął padać deszcz.

Na ganku stała Agnes, z włosami przylepionymi do czaszki, przemoczona do suchej nitki. Zęby jej szczerkały, drżała na całym ciele. Wciągnąłem ją do sieni, mimo że tak naprawdę miałem ochotę zatrzaskać jej drzwi przed nosem.

– Nie możesz tu być – oświadczyłem, zagradzając jej wejście do salonu. – Clara odpoczywa.

– Ta dziewczucha jest wszystkiemu winna – oświadczyła Agnes, kręcąc głową. – Gdzie ona się chowa? Muszę z nią porozmawiać.

– O nie, możesz o tym zapomnieć – odrzekłem i sam usłyszałem pogardliwy ton w swoim głosie. Cała nienawiść, którą czułem do Agnes w ostatnich latach, zwłaszcza po śmierci Larsa, wylała się teraz ze mnie i popłynęła z siłą wodospadu po wiosennych roztopach. – Nie będziesz rozmawiać ani z Clarą, ani o Clarze. Pójdiesz sobie stąd i nigdy już nie wrócisz. Słyszysz? Nigdy ci nie

wybaczę, że pozwoliłaś Magnemu zbliżyć się do moich dzieci.

Te ostatnie słowa wyrzeszczałem. Agnes patrzyła na mnie z szeroko otwartymi oczami i trupio bladą twarzą.

– To nie jest tak, jak myślisz, Leif – powiedziała zmęczonym głosem. – Nic nie jest tak, jak myślisz.

– Ach nie? To jak właściwie jest? Co? Mam ci tylko jedno do powiedzenia: trzymaj się z dala od mojej córki.

– To także moja córka...

– No patrzcie państwo, kto by pomyślał. Jedyne raz, kiedy zostawiłem cię samą z dziećmi i wyjechałem do Libanu, obchodziłaś się z nimi tak, że po moim powrocie były ledwie żywe. Cały ten cholerny czas przeleżałaś w łóżku i się nad sobą użalałaś. A jak wywiozłaś stąd Larsa, wbrew mojej woli, to doprowadziłaś, kurwa, do jego śmierci. Że też masz czelność się tu pokazywać. Że też masz czelność!

Wrzeszczałem, z uniesionym palcem wskazującym, który wycelowałem prosto w jej twarz.

Agnes stała przede mną, chuda, mizerna i przemoczona. Ale ja nie miałem zamiaru się nad nią litować. Byłem twardy, Clara dodała mi odwagi.

– Leif, Clara nie jest normalnym dzieckiem, trzeba na nią uważać... – zaczęła Agnes.

Odpowiedziałem jej cicho, ale bardzo wyraźnie:

– Powiem to raz jeszcze: wiem, co się stało z Larsem. Clara wie, co się stało z Larsem. Ty też to wiesz. I to twoja pieprzona wina, że do tego doszło. Więc skończ mi tu natychmiast z tymi swoimi niestworzonymi historiami. Natychmiast, rozumiesz? A teraz zadzwonię na policję i poproszę, żeby cię stąd zabrali – oświadczyłem.

– Nie ma takiej potrzeby. – Agnes pociągnęła nosem. – Sama pójdę.

– Świetnie, to idź, najlepiej od razu – rzuciłem, patrząc na nią z ogromną niechęcią.

– Ona nie będzie nas już niepokoić – powiedziałem, gdy Agnes w końcu sobie poszła, a Clara stanęła na schodach.

Faktycznie, już jej potem nie zobaczyliśmy.



Trzy dni później zostaliśmy zawiadomieni o tym, że moja była żona próbowała odebrać sobie życie i została umieszczona w szpitalu psychiatrycznym. Lekarze twierdzili, że cierpi na zespół stresu pourazowego, zaburzenie osobowości czy coś w tym rodzaju, i chcieli się ze mną w związku z tym spotkać.

Poinformowałem ich, że nie utrzymuję kontaktów z Agnes. I nie chcę mieć z nią do czynienia. Poprosiłem, żeby zrobili, co uważają za słuszne. Bo dla mnie i dla Clary ona jest już martwa.

Dzwonili do mnie jeszcze kilka razy. Powtarzałem im to samo.

W końcu przestali dzwonić.

Nie odwiedziłem jej.

Clara też jej nie odwiedziła.

W nasze życie wkroczył nowy spokój. Zacząłem lepiej sypiać. Clara chodziła do szkoły, wracała, odrabiała lekcje. Zdarzało się, że szła odwiedzić koleżankę albo przyprawiała kogoś do nas, tyle że moim zdaniem to nigdy nie miało dla niej większego znaczenia.

Zaczęła urządzać sobie przebieżki po górach. Czasami czytała mi na głos. Czasami ja czytałem jej. Chodziła ze mną do obory, w góry, do lasu, była pojętna i pracowita, żaden męski dziedzic gospodarstwa nie radziłby sobie lepiej niż ona.

Może powinienem był z nią porozmawiać o tym, co się wydarzyło, ale nie mogłem się na to zdobyć.

Doiłem i oporządzałem krowy, kosiłem, orałem i żąłem, gotowałem obiady i zmywałem, prałem ubrania, przepytywałem Clare z angielskich i niemieckich słówek.

Niekiedy budziłem się z krzykiem, ale zdarzało się to już dużo rzadziej niż wcześniej. Przestałem pić.

Czasami jeździliśmy razem na cmentarz, najchętniej w porach, gdy nie było tam nikogo innego. Wczesną jesienią przywoziliśmy ze sobą wrzosy. Zimą świerkowe gałązki i znicze. Latem ozdabialiśmy grób begoniami, pelargoniami i kwiatami lobelii.

Gdy pogoda była ładna, nie padało i byliśmy na cmentarzu sami, zdarzało

się, że siadywaliśmy po obu stronach nagrobka i każde z nas otaczało go ramieniem, jakbyśmy próbowali w ten sposób przytulić Larsa.

## 64 – Haavard

Clara wycina drzewka, zapowiedziała mi wcześniej, że się tym zajmie. Widzę, że właśnie zrobiła sobie przerwę i schodzi na wąską piaszczystą plażę, na której lubi siedzieć i medytować. W tym roku spędza tam naprawdę dużo czasu.

Zniknęła gdzieś elegancka, umalowana sekretarz stanu z pieczołowicie ułożoną fryzurą, drogimi kostiumami i butami na wysokich obcasach.

Zamiast niej pojawiła się chłopka, żołnierka, silna i gibka.

Clara kameleon.

Skończony ze mnie idiota, tak naprawdę nie znam kobiety, która jest moją żoną i z którą mam dzieci, najwyraźniej zresztą nigdy jej nie znałem.

Co mam teraz zrobić? Spróbować z nią porozmawiać? Udawać, że nic się nie stało? Zapomnieć o tym wszystkim?

– Skąd ta pewność? – zapytałem Agnes tamtego dnia. – Jak możesz wiedzieć, że to wszystko jest prawdą?

– Magne był świetnym kierowcą. Nawet jak sobie wypił, to bardzo uważał na drodze – odpowiedziała mi wtedy. – To nie do pomyślenia, że zjechałby do fiordu. Pracował na Morzu Północnym i był szkolony na wypadek takich sytuacji, na pewno nie siedziałby w tym aucie beczynnici. Uratowałby się.

Pokiwałem głową.

– I wiesz co? Ja naprawdę tylko czekałam, aż stanie się coś strasznego. Widziałam zapowiedź tragedii w oczach Clary. To dziecko nigdy nie było normalne. A już po tym, co się stało z Larsem, w ogóle zaczęła się zachowywać jak opętana. Po wypadku pojechałam do gospodarstwa, próbowałam z nimi porozmawiać. Leif nie chciał mnie wpuścić do domu. Wtedy zrozumiałam, że już nigdy nie zobaczę Clary. Jeśli mam być szczerą, to nie wiem, czy mnie to jakoś szczególnie dotknęło.

Zdaniem Agnes Clara cierpi na zaburzenie dysocjacyjne tożsamości. Diagnozę tę najpewniej postawiła sama albo też projektuje ją z siebie na córkę, bo moja żona przecież nigdy nie leczyła się psychiatrycznie.

Pewnego razu dałem się wciągnąć w dyskusję o tym, kim wolałbym być, gdybym musiał wybrać. Ofiarą czy mordercą? Stwierdziłem wtedy, że każdy z nas nosi w sobie potencjał do bycia i jednym, i drugim. I oto właśnie mam na to dowód.

Siedzę na schodach z tyłu chaty, wpatrując się tępo w zarośla porastające górskie zbocze. Paprocie są tu bardzo wysokie, mnie sięgają do piersi, chłopcom – do czubków głów. Z zamyślenia wytrąca mnie Andreas, który przybiega, bo zaciął się siekierą albo piłą, krwawi z rany na prawym palcu wskazującym. Więcej szczegółów nie jestem w stanie z niego wyciągnąć. Gdy coś go boli, nabiera wody w usta, zupełnie jak jego matka.

– To tak jak wtedy, gdy ja zaciąłem się przy śniadaniu. I wszystko się dobrze skończyło, pamiętasz?

Andreas kiwa głową.

– Możesz spróbować zgiąć palec?

Zgina palec.

– Świetnie. Czyli nie przeciąłeś ścięgna. To bardzo dobrze. A teraz znajdziemy apteczkę i opatrzymy ranę. Okej?

Andreas kiwa głową.

Ale apteczki nie ma w moim plecaku, przypominam sobie, że wyjąłem ją stamtąd przed wyjazdem w góry. Kurwa mać.

W chacie musi być przecież jakiś plaster. Albo kawałek gazy.

Zaglądam do swojej kosmetyczki. Niczego takiego tam nie znajduję.

Biorę kosmetyczkę Clary. Szczoteczka do zębów, pasta, dezodorant, szampon, różne produkty do pielęgnacji cery. Żadnego plastra. Żadnej gazy. Mam już zamykać kosmetyczkę, gdy nagle dostrzegam w niej coś jeszcze.

Skalpel. Skalpel z logo szpitala Ullevål.

Dokładnie taki, jaki mieliśmy u siebie w biurze.

Pełno podobnych skalpeli wałało się zresztą również u nas w domu, więc nie ma w gruncie rzeczy nic dziwnego w tym, że Clara trzyma w swojej kosmetyczce to właśnie narzędzie opatrzone tym właśnie logo.

Nie jest to dziwne samo w sobie.

Ale jakiś wewnętrzny impuls sprawia, że biorę skalpel do ręki.

Ostatniej jesieni Sabija przewróciła się w lesie i rozcięła sobie skórę na skroni. Była zdania, że nie potrzeba niczego z tym robić, ja oczywiście protestowałem i skończyło się na tym, że sam zszyłem jej ranę. A tydzień później własnoręcznie zdjąłem jej trzy szwy.

Od tamtego czasu skalpel, którego użyłem, leżał na złączeniu naszych biurków, niczym jakaś dziwaczna romantyczna pamiątka.

Aż nagle zniknął, w noc po pierwszym zabójstwie.

Skalpel z naszego biura miał widoczną szczerbę na trzonku, z tyłu, od strony nieoznakowanej logo szpitala. Sabija i ja nawet sobie z tego żartowaliśmy, ona twierdziła, że sama go tak oznaczyła, żebym go jej nie zwinął.

Wyjmuję skalpel z kosmetyczki Clary, podnoszę go w dwóch palcach, jakby był martwym szczurem. Nie ma wątpliwości.

Na trzonku widać wyraźnie szczerbę.

Clara musiała być w moim biurze. I to niedawno. Pod moją nieobecność.

I zabrać skalpel Sabii.

Wszystkie elementy układanki zaczynają nagle wpadać na swoje miejsce. Klik, klik, klik.

Clara była tamtego wieczora w domu. Trafił do nas Fajsal Ahmad. Chłopcy śpią jak zabici. Mogła bez problemu zostawić ich na godzinę.

Powiedziałem jej o maltretowaniu.

Wystawiłem jej Mukhtara Ahmada.

Poinformowałem ją, że wybiera się do kaplicy.

Wcześniej wyznałem jej, że w szufladzie w naszym biurze schowany jest pistolet.

Pozwoliłem, by zapasowa karta dostępu do mojej pracy wałała się u nas w domu.

Wszędzie ustawiłem sobie to samo, idiotycznie łatwe do odgadnięcia hasło.

Motyw i okazję podałem jej jak na tacy.

A Clara dopuściła się tego czynu.

Ale zrobiła jeden błąd: zabrała skalpel Sabii.

## 65 – Clara

Siedzę na mojej małej plaży i rozmyślam.

Dzień, w którym pomściłam Larsa odmienił moje życie. Zupełnie jakbym zaczęła widzieć świat dokładniej i wyraźniej niż wcześniej. Czułam się inna niż wszyscy, wywyższona. Wszystko wokół mnie zyskało nowy blask.

Zrozumiałam, że od teraz nic już nie będzie takie samo.

I miałam rację.

Lecz w miarę upływu czasu słońce w moim wnętrzu świeciło coraz słabiej. Radość na myśl o tym, że uwolniłam świat od takiej szumowiny jak Magne, zaczęła się wyczerpywać.

Bo to było dawno.

Od tamtego czasu pojawiło się wielu takich jak on. Może Magne i tak by już teraz nie żył, może zmarłby naturalną śmiercią. Wszystko to zdawało się zacierać znaczenie mojego czynu.

Każdego dnia wzbierała we mnie potrzeba przywołania w sobie tego uczucia, zrobienia czegoś konkretnego, co by naprawdę komuś pomogło, kogoś uratowało.

Ale przez te trzydzieści lat, od Magnego do Mukhtara, siedziałam tylko spokojnie, patrząc, co się wokół mnie dzieje, wkuwając kolejne paragrafy i pisząc kolejne projekty ustaw.

Przez te trzydzieści lat wegetowałam właściwie beczynn timer, tak jak beczynn timer wegetował mój tata.

Długo zabraniałam sama sobie myśleć o Larsie, nie zastanawiałam się, ile miałby lat, jak by wyglądał, czym by się interesował, o czym chciałby rozmawiać. Ale gdy Andreas i Nikolai zaczęli zbliżać się do wieku, w którym zginął mój braciszek, wszystko wybuchło z nową siłą.

Patrzyłam na ich zabawy i harce, słuchałam wszystkich ich pytań o cyfry i liczby, ich dziwnych powiedzonek i myślałam sobie, że to właśnie mógłby równie dobrze wymyślić Lars. Patrzyłam na ich drobne plecy i chude nogi, na

dłonie, które wciąż miały w sobie coś niemowlęcego.

Dłonie to z reguły ostatni element ciała, który przestaje należeć do malucha i zaczyna należeć do dużego dziecka.

A potem, nagle, w mgnieniu oka, moi chłopcy byli już starsi niż on, zaczęli go przerastać, przypominać mi o wszystkim, czego mój braciszek nigdy nie doświadczył.

Może Lars mieszkałby teraz w gospodarstwie z jakąś miłą żoną i trojgiem urwisów. Mogliby się wprowadzić do starego domu i przerobić przybudówkę dla taty, trzymać oprócz owiec kozy czy kilka świń. Sprawić sobie kury i psa. Podwórko tętniłoby życiem, dzieci bawiłyby się małymi traktorkami, miałyby trampolinę, drabinki do wspinaczki. Nowy czas w gospodarstwie, nowe pokolenie.

Ale najprawdopodobniej nie tak by to wyglądało. Lars mieszkałby w mieście, pracował w przemyśle naftowym, miałby za dużo pieniędzy i zbyt mało radości z życia, przeredzilyby mu się włosy, brzuch by mu urósł, parę razy w roku przyjeżdżałby do domu i nocował w swoim dawnym pokoju, a oprócz tego jeździłby na urlop do Dubaju, Bangkoku czy Bóg jeden wie dokąd.

Może byłby gejem i stworzył szczęśliwy związek z jakimś Erlingiem albo Raymondem, Mariusem, Bjørnem--Fredrikiem czy Hansem-Petterem. Albo siedziałby nieszczęśliwy wieczorami na forach typu Gaysir, kogoś lub czegoś na nich szukając.

Może nie byłby już Larsem, tylko Line albo Leną, albo Lone, która ledwie ma odwagę pojechać do rodzinnej wsi, a gdy już to robi, to musi cały czas siedzieć w gospodarstwie. Albo wręcz przeciwnie, paradowałaby przy drodze z wyprostowanymi plecami i uniesioną dumnie głową, z długimi włosami i w pełnym makijażu, a potem wszyscy rozmawialiby o tym wieczorem w piwiarni.

Może wieczorami i w weekendy przesiadywałby w lokalnej knajpie i oglądał mecze, zajadając frytki z roztopionym serem i czerwoną przyprawą do grilla, od czasu do czasu robiąc sobie przerwę na partyjkę bilardu.

Ale to, kim by był, nie miało dla mnie większego znaczenia. Bo tak czy inaczej miałabym brata. A nie ziejącą pustką otchłań, którą po sobie zostawił.

Coraz częściej czuję, jak przeszywa mnie podmuch wiatru, albo słyszę, jak on do mnie mówi.

Najbliżej niego jestem tu, na plaży. To w tym właśnie miejscu przywróciłam go kiedyś do życia. Dmuchałam mu w usta, uciskałam jego pierś, dmuchałam i uciskałam. To dlatego jest takie ważne, by ten brzeg i w ogóle wszystko tutaj było dokładnie takie jak zawsze. By nic się nie zmieniało.

Tylko w ten sposób uda mi się utrzymać go przy życiu.

Pamiętam jego klatkę piersiową pod moimi dłońmi, bałam się, że nacisnę za mocno, coś zgniotę, ale mimo to nie przestawałam, naciskałam raz za razem.

Pamiętam, jak wdmuchiwałam powietrze do jego ust.

Pamiętam jego oczy, kiedy je w końcu otworzył, drgnięcie jego ciała, gdy zaczął kasłać, wodę, która trysnęła mi w twarz.

Pamiętam, że rozejrzał się dookoła zdezorientowany.

Pamiętam, że kompletnie się nie przejęłam, gdy nadbiegła nasza nieużyteczna matka, jak zwykle za późno, by w czymkolwiek pomóc.

Śmiałam się tylko, czułam się niezwykcieżona, myślałam, że nic złego nie może nam się stać.

– Rozumiesz, że muszę to zrobić, prawda? – zwracam się do Larsa, który siedzi teraz obok mnie. – Że nie mam wyboru? Prawie tak jak wtedy?

Kilka godzin temu zadzwoniła Bodil z Kleivhøgda z informacją, że pozwoliła Haavardowi odwiedzić Agnes, nie zapytawszy mnie wcześniej o zgodę.

Zorientowała się, że ja najpewniej o niczym nie wiem, i ruszyło ją sumienie, chciała się więc do wszystkiego przyznać.

– Nic się nie stało. Naprawdę. Nie przejmuj się – odpowiedziałam jej.

Czyli to tam pojechał. Zastanawiałam się, gdzie też mógł przepaść na tak długi czas. Powiedział mi, że siedział w kawiarni i pracował, ale to do niego zupełnie niepodobne. A kiedy wrócił, wydawał się odmieniony.

– Sam nie wiem – odzywa się w końcu Lars. – Nie zawsze cię rozumiem, Claro. Przepraszam.

– Znowu to robisz. Nie przepraszaj – odpowiadam z uśmiechem. – Ja nigdy tego nie robię.

– Do widzenia, Claro – mówi Lars. I znika. Ja zaś wstaję i wracam do chaty.



## 66 – Haavard

– Słuchaj – mówi Clara. – Obiecałam tacie, że zostawimy z nim na trochę chłopców, żeby mogli pobyc razem tylko w trójkę. Może ich do niego odprowadzimy, a potem wrócimy tu sami? Spędzimy bez nich noc czy dwie, połączymy sobie po górach?

– Pewnie – odpowiadam.

Leif zazwyczaj w ciągu naszego urlopu bierze dzieci do siebie na jedną noc, a my ruszamy wtedy we dwoje na wyprawę.

Niedaleko naszej chaty zaczynają się zupełnie dzikie, magiczne górskie tereny, gdzie prawie nie chadzają ludzie, owce zresztą też raczej nie, lecz przyroda jest tam piękniejsza niż gdziekolwiek indziej.

Ze szczytu Trollskavlen rozpościera się widok na całą okolicę.

Muszę udawać, że wszystko jest jak zawsze, nie dać jej powodów do podejrzeń, ukryć fakt odwiedzin u Agnes.

Clara jest obecnie największą gwiazdą Ministerstwa Sprawiedliwości. Promieniuje od niej pewność siebie i profesjonalizm. To również najsprytniejsza osoba, jaką kiedykolwiek poznałem.

Nie należy do tych, co zostawiają po sobie ślady.

Sam okłamałem policję, byłem podejrzany, a nawet siedziałem w areszcie.

Nie wystarczy, że przyjdę do nich ze skalpelem znalezionym w kosmetyczce Clary, zwłaszcza że mamy mnóstwo takich narzędzi u siebie w domu, więc nikt nie będzie słuchał moich bajdurzeń o jakiejś szczybie. Nikt mi nie uwierzy, a ja nie będę w stanie jej powstrzymać. Istnieje natomiast duże prawdopodobieństwo, że ściągnę w ten sposób podejrzenia na siebie i znów wyląduję za kratkami. Albo sprowadzę na siebie śmiertelne niebezpieczeństwo.

Moja żona ma również alibi, przecież cały czas była w domu z dziećmi. Alibi być może nie jest żelazne, ale w każdym razie dość dobre. Bo kto zostawia dwóch śpiących synków, by pojechać do miasta i kogoś zamordować?

Za trzecim razem w domu był Leif, który na pewno w razie potrzeby

zeznałby na jej korzyść. On zresztą pewnie wie o wszystkim, ale nigdy nie wydałby córki. Lojalność między nimi wydaje mi się bezgraniczna.

Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze kwestia dziedziczności, widoczna praktycznie we wszystkich przypadkach, które przebywałem. Maltretowane dzieci same stają się często niewydolnymi rodzicami.

Clara nie była dzieckiem maltretowanym, ale za to zaniedbanym przez swoją pozbawioną instynktu macierzyńskiego matkę, przez ojca, który wyjechał do Libanu i z którym musiała potem mieszkać sam na sam.

Nie odziedziczyła po rodzicach najlepszej puli genów.

Mimo to wszystko układało jej się pozornie bardzo dobrze.

Była dziewczyną z ubogiego, wiejskiego domu, która wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu osiągnęła w życiu sukces.

Zawsze postrzegałem ją jako dość rozkojarzoną i zdystansowaną, ale w gruncie rzeczy całkiem dobrą matkę. Teraz zaczynam się zastanawiać, co będzie z naszymi chłopcami, jeśli pozwolę im przy niej dorastać. Na jakich ludzi ona ich wychowa?

– Jasne! Hurra! – krzyczą chłopcy, gdy pytam ich, czy mieliby ochotę spędzić parę dni u dziadka. I nic dziwnego, mogą u niego oglądać telewizję tak długo, jak tylko chcą, chodzić późno spać i są wręcz faszzerowani lodami w rożkach.

Biegają przede mną ścieżką, podskakują i tańczą, wiedzą, w których miejscach należy uważać, a gdzie lepiej zwolnić.

Krótko przed naszym przyjazdem nad okolicą przeszła ulewa. Wodospad huczy jak szalony, ale po kilku chwilach przestaje na to zwracać uwagę.

– Wszystko u was w porządku? – pyta Leif, gdy siedzimy przy kamiennym stole i pijemy kawę przed moim powrotem w góry. Wystawił nawet parę drożdżówek z budyniem, które kupił dziś w sklepie, każdą pokroił na cztery kawałki, dokładnie tak, jak robi to Clara. Moja żona nie lubi tych drożdżówek, ale kupuje je dla swojego ojca i chłopców.

– Tak – odpowiadam i kładę dłoń na kamiennym blacie. – Clara walczy z brzezina.

– Świetnie – stwierdza Leif. – Zobacz, Haavardzie, nad fiord nadciąga mgła znad morza. Dokładnie tak, jak zapowiadali w prognozie.

– Szkoda – mówię. Nauczyłem się tego od Leifa, przekonanego, że mgła nad morza to coś paskudnego, co psuje i widok, i humor. – Miejmy nadzieję, że będzie się jutro trzymać z dala od Trollskavlen.

Mgła zaskoczyła nas w drodze na szczyt jak na razie dwukrotnie, raz przed paroma laty i raz jeszcze przed urodzeniem się chłopców. Musieliśmy wtedy z Clarą zawrócić, nie zdobywszy Trollskavlen, kierowaliśmy się kompasem, bo widoczność mieliśmy ograniczoną do pół metra.

– No to na razie, chłopcy – mówię dwadzieścia minut później, przytulam najpierw Nikolaia, potem Andreasa. – Bądźcie grzeczni i słuchajcie dziadka.

– Nie idź, tato – prosi Andreas, patrząc na mnie z powagą, jeszcze chyba nie doszedł do siebie po moim aresztowaniu.

– Ależ, Andreas – mówię, nieco zażenowany, bo przecież słucha nas Leif, nie chcę, by teść sobie pomyślał, że chłopcy nie chcą z nim zostać.

– Nie idź – powtarza mój syn z przerażoną miną, ale ja głaszczę go po włosach.

– Bawcie się dobrze – mówi Leif, klepiąc mnie po ramieniu w geście męskiej przyjaźni.

## 67 – Leif

– Chodźcie, chłopcy – mówię. – Pójdziemy zobaczyć, czy są już czereśnie. A potem możemy poszukać lodów w zamrażarce.

Dzieci pędzą do ogrodu, podskakują i krzyczą, Haavard tymczasem rusza w stronę wodospadu.

Jutro chce pójść z Clarą na szczyt Trollskavlen.

Ostatnio dość często widuję moją córkę w telewizji. W dzienniku, a potem jeszcze w wieczornym wydaniu wiadomości. Jest elegancko ubrana. Ma kolczyki w uszach i starannie ułożone włosy odgarnięte z czoła. Piękna kobieta. To właśnie komentują mężczyźni w naszym wiejskim barze, czasem dochodzi do mnie parę słów, gdy tamtędy przechodzę. Mówią, że widzieli Clarę w telewizji, że moja córka to niezła babka. Nie sposób się z nimi nie zgodzić, ja też to widzę. Jej błękitne oczy. Budzące zaufanie spojrzenie. Chłodne i jasne, jak woda w górskim strumieniu.

Clara ma w sobie niezwykle spokoj. Ma też twarz, która niczego nie zdradza. I niski, nieco ochryply głos.

Ale w ostatnim czasie pojawiło się u niej jeszcze coś innego. Coś, co sprawia, że widząc ją na ekranie, pochylam się zawsze z pilotem w dłoni, próbując dokładniej jej się przyjrzeć. Naciskam zawsze czerwony klawisz nagrywania, gdy widzę ją w telewizji.

Jest naprawdę piękna. Elegancka.

Ale ma na policzkach gorączkowy rumieniec, widoczny nawet pod warstwą pudru. Na jego widok przeszywa mnie dreszcz.

Widziałem to już wcześniej, ten błysk w oczach, te zarumienione policzki.

Clara jest dobrą żołnierką, odziedziczyła po mnie wszystkie te pozytywne cechy, które musiałem kiedyś w sobie nosić.

Lecz drzemie w niej także odwaga i zuchwałość, o których sam mogłem zawsze tylko marzyć.

## 68 – Haavard

Clara jest tego wieczora jak odmieniona.

Podaje mi gulasz, który zrobiła w domu, a tu tylko podgrzała. Wyczarowuje skądś również butelkę drogiego wina. Po kolacji rozpalamy ognisko na wielkim płaskim kamieniu między chatą a jeziorkiem, tak jak czasem mamy w zwyczaju, przeważnie pieczemy tu z chłopcami kiełbaski. Teraz jednak leżymy przy ogniu na plecach, każde z nas z kieliszkiem wina, Clara trzyma między palcami swojego jointa, spoglądamy na niebo i płynące po nim chmury.

To dziwne, ale czuję, że moja żona stała mi się nagle bliższa, może dlatego, że w końcu dowiedziałem się o niej prawdy, a może dlatego, że to ostatni raz, kiedy jesteśmy we dwoje.

Clara prostuje plecy, chwytą szczapę drewna, rozgarnia żar w ognisku, zerka ku uskokowi, z którego pędzą w dół wodne masy, a za którym zaszło właśnie słońce.

– Mieszki zaraz mnie zjedzą żywcem – mówi. – Może wejdziemy do środka?

Dopijamy w chacie wino, rozgrywamy trzy partie szalonych ósemek. Clara wygrywa dwukrotnie, a ja raz.

A potem kochamy się, po raz pierwszy od jakiegoś roku.

To niepojęte, ale inicjatywa wychodzi od niej. Tu. Teraz.

Mimo to jest dużo lepiej, niż zapamiętałem. Naprawdę dobrze, czule i namiętnie. Może dlatego, że minęło już tyle czasu i mam wrażenie, że to zupełnie jak za pierwszym razem. A może dlatego, że wiem, iż kocham się z zupełnie szaloną kobietą. Albo może to wszystko przez mój melancholijny nastrój, bo przecież wiem, że to już koniec.

Przez maleńkie okienko widzę góry po drugiej stronie fiordu, w wieczornym półmroku wydają się mieć kolor ołowiu. Ale niebo tuż nad nimi jest złociste, a jeszcze wyżej przybiera głęboki odcień granatu.

– Ależ tu wszystko zarosło, jeszcze gorzej niż wokół chaty – oświadcza Clara,

gdy następnego ranka ruszamy w góry. Musimy się przedzierać między karłowatymi, powykrzywianymi wiatrem brzozaami i suchymi krzakami jałowca. W miejscach, gdzie jest mniej drzew, rosną osty i wysoka trawa.

– Nikt się już tu chyba nie zapuszcza – odpowiadam.

– Może tylko owce – stwierdza Clara. – Ale one wydeptują sobie własne ścieżki.

Chwytam jedną z brzózek i wspieram się na niej. Trasa biegnie tu na skos górskiej skarpy, tworząc coś w rodzaju schodów. W ostatnich latach faktycznie bardzo zarosła, momentami jest już tak wąska, że nie ma gdzie postawić stopy.

Po lewej stronie mam pięćdziesięciometrową przepaść.

Nikt nie przeżyłby upadku z takiej wysokości.

A w tym kraju faktycznie się zdarza, że ludzie giną w górach. Do takich tragedii dochodzi każdego lata, ofiarami są z reguły turyści, ale czasem dzieją się też wypadki z udziałem miejscowych. W zeszłym roku zginął w górach gospodarz z majątku po przeciwnej stronie doliny. Muszę się mocno koncentrować, by nie postawić źle nogi i się nie poślizgnąć.

Cały kłopot w tym, że ona idzie za mną.

– Może ty prowadź – powiedziała, gdy ruszyliśmy w trasę.

Clara, która zawsze idzie w górach jako pierwsza, zna tutejsze ścieżki jak własną kieszeń i która lubi przewodzić.

Coś jest nie tak.

Nie wiem, czy mnie na to stać, czy mam w sobie to, czego tu trzeba, to, co najwyraźniej ma w sobie ona. Ale zdaję sobie sprawę, że muszę to zrobić, dla siebie i dla dzieci.

Po dwóch godzinach docieramy do podnóża Trollskavlen, szczyt góry przypomina gigantyczne skalne rumowisko uformowane na kształt kopuły.

To właśnie u podnóża tej kopuły musieliśmy dwukrotnie zawracać we mgle, która przyszła znad morza. Ale dziś nie ma ani śladu mgły, niebo jest intensywnie błękitne, nie wieje nawet najlżejszy wiaterek. Dziś staniemy na szczycie. By się tam dostać, będziemy musieli wdrapać się na wielkie głazy, a potem wejść na lodowiec, który trzeba pokonać, by w końcu dotrzeć do ułożonej z małych kamyczków piramidki na samej górze.

Pomiędzy głazami pełno jest szczelin, gdzieś nie widać nawet, którędy dokładnie one biegną.

Wczoraj, gdy rozmawiałem z Leifem o mgłę nad morza i o Trollskavlen, teść przypomniał mi, jak niebezpieczna potrafi być ta góra.

To musi się stać tutaj. Tu będę musiał ją zepchnąć.

– Wysikam się, idź przodem – mówię, próbując przepuścić ją przed sobą.

Clara kiwa głową, mija mnie, idzie dalej.

Schodzę na bok, wyciskam z siebie kilka kropli, czekam chwilę, gmeram przy rozporku. Gdy się odwracam, ona jest już jakieś dziesięć czy dwadzieścia metrów z przodu. Spieszę się, muszę ją dogonić.

Dziesięć metrów od miejsca, w którym jest Clara, widzę skraj kolejnej przepaści. Idealne miejsce.

Zaczynam ją doganiać. Dzieli mnie od niej tylko pięć metrów.

Trzy.

Dwa.

Clara nadal się nie odwraca, nadal na mnie nie patrzy.

Przepaść tuż przed nami wydaje się czarna, jakby nie miała dna, czuję ucisk w żołądku, muszę uważać, by się nie potknąć i nie wpaść tam samemu.

Jestem już tak blisko, że mogę ją chwycić, popchnąć w bezdenną otchłań.

Muszę pamiętać, że to ona doprowadziła nas do tej sytuacji.

Albo ona, albo ja. Wiem, że ona o wszystkim wie.

Liczę w duchu do trzech.

W chwili gdy bezgłośnie wypowiadam „trzy”, Clara odwraca się, zarzuca mi ramiona na szyję i przyciska się do mnie, tak jak miała to w zwyczaju robić w dawnych czasach. Drgam nerwowo, prawie się potykam.

Jest spocona. Ale jej skóra wydaje się chłodna.

– Zobacz, Haavardzie – mówi, wskazując na fiord, którego wody migoczą w dole, gdzieś daleko od nas. Widzimy płynący punkcik. Prom. – Czyż to nie jest po prostu cholernie piękne?

Wypowiada te słowa radosnym, dziecięcym tonem, który często przybiera jej głos, gdy jesteśmy w górach. To okresowe, naiwne podejście do życia zawsze wydawało mi się takie czarujące.

– Tak – odpowiadam, przeklinając w duchu. – Cholernie tu ładnie.

– Jutro też ma być ładna pogoda – mówi Clara, gdy schodzimy do chaty, przedzierając się znów przez brzeziny i jałowce. – Może wybierzemy się na Heksefjell, a potem pójdziemy odebrać chłopców?

Obsiadły mnie jakieś irytujące zielonkawe owady, mam je na rękach, na T-shircie, w uszach, na karku i w ogóle wszędzie. Nie gryzą, ale są strasznie wkurzające.

Podnoszę wzrok i zerkam na Heksefjell. Góra przypomina pooraną bliznami, pomarszczoną twarz starej wiedźmy o długim, ostro zakończonym nosie. Chłopcom najbardziej podoba się głaz przywodzący na myśl brodawkę.

Trasa na Heksefjell jest dużo krótsza niż na Trollskavlen, z reguły to właśnie tam chadzamy, Clara uwielbia stać na koniuszku kamiennego nosa wiedźmy i patrzeć w dół, skraje przepaści zawsze ją fascynowały. Andreas zazwyczaj do niej tam dołącza, Nikolai natomiast protestuje, bo ma lęk wysokości.

– Pewnie. Czemu nie?

Śmierć na wiedźmier górze. Nawet trochę to pasuje do sytuacji.

Jutro musi mi się udać, nie mogę pozwolić wytrącić się z równowagi ani zwieść, świadomie czy nieświadomie.

– A może wykąpiemy się rano? – pyta Clara.

Zawsze się ze mną drażniła, twierdząc, że woda w jeziorunku przy chacie jest dla mnie za zimna.

Coś mi zaczyna świtać.

Okej, ona doskonale zna wszystkie podwodne prądy.

Ale ja jestem mężczyzną. Dużo od niej silniejszym.

Może wcale nie będę jej musiał spychać w przepaść.

– Pewnie – odpowiadam. – Dobry pomysł.



## 69 – Clara

Z jednej strony do jeziora wpada górską rzeką. Jej wody są zielone i lodowate, niezależnie od pory roku czy temperatury powietrza.

Z drugiej strony woda zbiera się, spływa z uskoku gładką, przejrzystą strugą, zmieniając się szybko w białą, huczącą kipieli.

Pośrodku zaś leży klasyczne górskie jezioro. Na wzgórzu wznoszącym się nad jednym z jego brzegów znajduje się nasza chata.

Światło nowego dnia wydaje się delikatne. Powietrze jest chłodne i przejrzyste. Haavard i ja stoimy obok siebie na plaży niczym dwoje wyczynowych pływaków, czekających na swoich słupkach, by rzucić się w wir walki. Obudziłam się dużo wcześniej niż on, leżałam w łóżku, wykonując ćwiczenia oddechowe. Dziś muszę być w naprawdę szczytowej formie.

– Widzę, że podchodzisz do sprawy sceptycznie? – pytam.

– I to bardzo – odpowiada Haavard, widać, że mu zimno, ma gęsią skórę i oklepuje się dłońmi.

Mimo to wygląda na zdeterminowanego.

Albo on, albo ja. Mój mąż przypieczętował swój los, gdy pojechał spotkać się z Agnes.

Wczoraj w górach bardzo pilnowałam, by iść z tyłu, nie mieć go za plecami. I wszystko poszło zgodnie z planem. Z pewnością byłabym zresztą w stanie wytrzymać jeszcze dłużej.

Przyjechał tu ze mną, nie wydał mnie, nic mi nawet nie powiedział. Ale na dłuższą metę tak nie może być. Jestem pewna, że doniesie na mnie policji albo mnie zabije. Obstawiam raczej to drugie.

Tylko w ten sposób mogę się uratować, tylko w ten sposób zrealizuję do końca swój plan, spełnię swoją powinność.

Podchodzę do niego, wspinam się na palce, całuję go, dostrzegam w jego oczach niepewną, podszytą strachem radość z tego pocałunku, który przypomniał mu pewnie o tych kilku chwilach bliskości minionego wieczora.

Telefony zostawiliśmy w chacie. Wyszliśmy, ale ja wróciłam na chwilę, mówiąc, że chcę jeszcze zdjąć zegarek, i napisałam szybko z jego komórki esemesa do Sabii Rany.

*Zakopałem zwierza w lesie, zgodnie z naszą umową. Ale nie wiem, czy nie zacznie śmierdzieć. Może go przenieść? Słoneczne pozdrowienia z zachodniego wybrzeża.*

To ich wina, sami zaczęli nazywać glocka zwierzem.

Podnoszę dłoń, gładzę Haavarda po policzku.

– Gotowy?

– Bardziej gotowy już chyba nie będę.

W tym miejscu dość długo jest płytko, z tego, co pamiętam, Haavard nie wchodził tu nigdy głębiej niż po kolana, ale teraz zanurza się z determinacją.

Sama przystaję w miejscu, w którym woda sięga mi do połowy uda. Słoneczne promienie na tafli jeziora, jasny piasek na jego dnie i drobne zmarszczki na lustrze wody sprawiają, że czuję, jakbym brodziła w płynnym złocie.

Zaczynam płynąć.

Woda jest lodowata. Ale jak zawsze po kilku zaledwie sekundach zaczyna wydawać mi się gorąca. Parzy mnie i oczyszcza.

– No chodź – mówię, odwracając się do Haavarda.

– Będę się trzymał bardziej z prawej – odpowiada, chce, bym znalazła się bliżej wodospadu.

Zdaje mu się pewnie, że prąd jest tam silniejszy.

– Lepiej pływać tutaj, pośrodku – rzucam. – Tu jest najbezpieczniej.

Słyszę za moimi plecami, jak Haavard gorączkowo nabiera powietrza, zimno zapiera mu pewnie dech w piersi.

Płynę szybko, trzymam się lewej strony, uważam na wodospad.

Zbliżamy się do miejsca, w którym robi się głęboko, a prądy są najsilniejsze.

– Claro? Panujesz nad sytuacją, prawda? – pyta Haavard. – Nie lepiej popłynąć bardziej na prawo?

Odwracam się, widzę go tuż za mną, ma dziwny wyraz twarzy.

– Przecież znam to jezioro jak własną kieszeń. Nie wygłupiaj się – mówię, zmuszając się do uśmiechu.

Jestem lepszą pływaczką niż on i faktycznie znam te wody, gram na własnym boisku. Lecz mimo to nie czuję się wcale pewna swego.

On jest mężczyzną. Wysportowanym. I dużo ode mnie silniejszym.

Nie pływałam tak daleko od brzegu od dnia, w którym uratowałam Larsa. Woda była wtedy cieplejsza, jezioro – nie takie wezbrane, prąd wydawał się słabszy.

W tym roku wiosna i lato były tu niemal tak samo suche jak na wschodzie kraju, ale w ostatnich tygodniach sporo popadało. Rzeki i jezioro wezbrały w rekordowym tempie, poziom wód jest wyższy, niż pamiętają najstarsi ludzie.

Nie mam gwarancji, że mi się uda.

W najgorszym wypadku nasi synkowie zostaną sierotami.

Jesteśmy już niemal na środku. Dotychczas Haavard płynął po prawej stronie, ja zaś po lewej. Ale teraz zaczyna się do mnie zbliżać. Czyżby planował mnie utopić? Pociągnąć w stronę wodospadu?

Tak czy inaczej, jestem gotowa, by powieść go do miejsca, które wybrałam. Na sam środek jeziora, gdzie woda jest pozornie spokojna i zupełnie niegroźna.

Znów się odwracam, widzę jego skupioną twarz, jest zdeterminowany i zacięty.

To się musi stać teraz. Oto chwila prawdy.

Liczę w myślach do trzech, nabieram powietrza i nurkuję.

W dół, w dół, w dół.

Jak najbliżej dna.

Jestem na dole. Lecz nawet tutaj ciągnie mnie na prawo. Prąd jest dużo silniejszy, niż zapamiętałam.

Kurwa. Naprawdę przestałam panować nad sytuacją.

Muszę zanurkować jeszcze głębiej. W końcu faktycznie czuję pod sobą dno, dotykam go koniuszkami palców u stóp i łokciami. Wodospad ciągnie mnie tu ku sobie dużo słabiej.

Ale teraz potrzebuję powietrza, muszę się wynurzyć. Zupełnie zeszywniałam, nie jestem się w stanie ruszyć.

Muszę płynąć w górę. Dla chłopców. W górę, do przodu, złapać powietrze,

złapać oddech.

Wynurzam się. Mam przed sobą przeciwległy brzeg. Ale gdzie jest Haavard?

Przewracam się na plecy, widzę go, nadal na środku jeziora. Odkąd się zanurzyłam, pokonał kilka metrów, rozpaczliwie macha rękoma.

– Claro! – krzyczy. – Claro! Co ty wyprawiasz? Wracaj tu!

Przez sekundę czy dwie zastanawiam się, czy faktycznie do niego nie popłynąć, nie spróbować przyciągnąć go na brzeg.

Ale przecież nie mogę. Teraz to już niemożliwe i to z wielu powodów.

Mimo to muszę zamknąć oczy, gdy mój mąż wpada w coś w rodzaju spirali, bez wejścia i bez wyjścia, w wir, który powoli, lecz nieuchronnie ciągnie go ku białej, huczącej kipieli.

Niknie mi z oczu, zbliża się coraz bardziej do wodospadu.

Jeśli wierzyć starym opowieściom, to w dawnych czasach sporo ludzi zginęło tu w ten sposób. Słyszałam legendy o wodnikach i rusałkach. Nie wiem, czy to prawda. Haavard będzie w każdym razie pierwszą ofiarą wodospadu w czasach współczesnych.

Mam nadzieję, że znajdą jego ciało.

Tak byłoby lepiej ze względu na chłopców, powinni mieć grób ojca, który by mogli odwiedzać.

Przypomina mi się nagle, jak zabrałam tu Haavarda pierwszy raz, biedaczek był w szoku, wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż w domkach wakacyjnych, do których przywykł w Ustaoset czy Kilsund.

Potem widzę oczyma duszy jego twarz w chwili, gdy po raz pierwszy bierze chłopców na ręce, układa sobie jednego w zgięciu łokcia jednej ręki, a drugiego – w zgięciu drugiej. Jest zmęczony, zdyszany, szczęśliwy. Widzę go w chwilach, gdy się z nimi bawi, skacze na trampolinie, łaskocze ich i udaje, że chce ich pożreć. Chłopcy nadal uważają, że to bardzo zabawne.

Magnego nigdy nie udało się wyłowić z fiordu. Opowiedziałam policjantom, jak próbowałam go ratować, tak jak opowiem teraz o moich rozpaczliwych próbach ratowania Haavarda.

Uwierzą mi. Ludzie zawsze mi wierzą. To jedna z moich mocnych stron.

– Żegnaj – szepczę w chwili, gdy Haavard znika mi z oczu.

A potem wychodzę na płytką wodę, kucam i zanurzam palce w jasnym górskim piasku przywodzącym na myśl pustynię. Unoszę dłoń, pozwalam, by piasek przesypał się pomiędzy moimi palcami, po chwili powtarzam ten sam ruch.

Kopię w piasku, próbuję się w nim zagrzebać.

Wokół mnie migocze i skrzy się przejrzysta woda, padają na nią pojedyncze promienie słońca, którym udało się przecisnąć pomiędzy wielkimi, ołowianymi chmurami.

I nagle, choć to o tej porze dnia niezwykle, ciszę przerywa kilka grzmotów, niosą się z gór, zza Heksefjell, w stronę Trollskavlen.

Chwilę później zaczyna się ulewa.

Krople deszczu przypominające właściwie grad przebijają lustro wody raz za razem, tworząc niewielkie, lecz szybko rosnące kręgi.

Smagają także moją skórę, są jak uderzenia bicia.

Po raz drugi w dorosłym życiu zaczynam płakać i tym razem nie jestem w stanie się uspokoić.

# CZĘŚĆ 5

## 70 – Sabija

*Wielkie dzięki*, piszę do mojego męża, w odpowiedzi na jego propozycję odebrania dzieci i zrobienia obiadu, żebym nie musiała spieszyć się do domu.

Wiadomość zostaje wysłana, a ja, kierowana impulsem, postanawiam sprawdzić stronę VG.no, choć z reguły nie korzystam w pracy z sieci.

Nagłówek na samej górze strony sprawia, że zaczyna mi się kręcić w głowie.

Haavard nie żyje. Utonął w dramatycznym wypadku w górach.

Na załączonym do artykułu zdjęciu widać białą kipieli wodospadu i żółty śmigłowiec ratunkowy, w tle zaś – błękitne niebo i kilka chmur, na to wszystko zaś nałożone jest jego zdjęcie portretowe, które znam ze strony naszego szpitala.

Fotografia ma kilka lat, Haavard jest na niej ubrany w biały lekarski kitel, opalony, długowłosy. Uśmiechnięty, radosny mężczyzna. Bardzo przystojny.

Czuję nagle zapach jego włosów, czuję jego twarz w moich dłoniach.

– Nie – szepczę i do oczu napływają mi łzy. – To nieprawda.

Nie chcę już tego czytać. Lecz czytam mimo to. Nie jestem w stanie przestać.

Nazwisko ofiary zostaje opublikowane w porozumieniu z najbliższymi.

Pediatra Haavard Fougner (43) z Oslo przebywał w górach, w pobliżu rodzinnego domu swojej żony Clary Lofthus (43), sekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, na zachodnim wybrzeżu. To właśnie tam doszło do opisywanej tragedii.

Przyczyna śmierci nie została jak na razie jednoznacznie określona, lecz sprawdzone źródła podają, że było nią utonięcie w górskim jeziorze. Zimna woda i silne prądy.

W chwili śmierci mężczyźnie towarzyszyła jego żona, próbowała go ratować, niestety bezskutecznie. Kobieta nie doznała żadnych obrażeń, ale jest w szoku.

Dalej podano kilka linków do artykułów dotyczących Clary, jej nominacji na stanowisko, działań, w które się zaangażowała, a także do reportażu, który ukazał się w gazecie przed kilkoma tygodniami. Przeczytałam go wtedy, nawet

się dziwiłam, że poświęcono jej aż tyle miejsca, w końcu jest tylko sekretarzem stanu. Ale musiałam przyznać, że ta kobieta ma niezwykłą charyzmę. Jest taka piękna, elegancka, inteligentna. Chłodna i twarda. I ma w sobie coś jeszcze, to coś, co trudno zdefiniować. Jestem w stanie zrozumieć, czemu Haavard zakochał się w niej swego czasu.

Wzdrygam się i wracam do artykułu o wypadku.

Jak to możliwe, że jego już nie ma? Czy to w ogóle prawda?

Już nigdy się nie odwróci, nie zaśmieje do mnie?

Nigdy już nie będzie pstrykał we mnie jak uczeń kawałkami gumki do ścierania ani zgniecionymi w kuleczki żółtymi samoprzylepnymi karteczkami, nie będzie mnie pocieszał w chwilach przygnębienia, już nigdy nie weźmie mnie w ramiona, nie przyciągnie do siebie, nie będzie całował w szyję, czoło, wszędzie.

– Ojej, Sabijo – mówi Roger, podchodzi do mnie na korytarzu, przystaje, kładzie mi dłonie na ramionach. Ostatnio dużo ze sobą rozmawiamy. – Dobrze się czujesz? – pyta, patrząc na mnie z troską.

Kręcę głową.

– Haavard – mówię i nie jestem w stanie dokończyć, czuję, że zaraz się uduszę.

Roger mierzy mnie zmartwionym spojrzeniem.

– Co z nim?

– On nie żyje.

– Rany boskie, co ty mówisz?

Nie jestem w stanie odwzajemnić jego zszokowanego spojrzenia, zerkam zamiast tego ponad jego ramieniem, zza rogu wychodzi Bente, jak zawsze radosna i pełna energii, na nasz widok gwałtownie przystaje.

– *Sorry* – mówię. – Muszę iść. Po prostu muszę iść.

Puszczam się pędem przed siebie.



## 71 – Roger

Sabija nie ogląda się za siebie.

– Co to było? – pyta mnie Bente. – Obraziłeś ją czymś?

– Ależ skąd...

Aż mnie zatkało, nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej.

– No to co się stało? – dopytuje Bente niecierpliwie.

– Zobaczyłem ją, gapiła się w telefon ze zrozpaczoną miną. A kiedy spytałem, o co chodzi, powiedziała mi, że Haavard nie żyje i że musi iść...

– Że Haavard nie żyje? – powtarza Bente, rozpuszcza koński ogon i znów wiąże włosy, jak zawsze, gdy coś ją zestresuje. – Przecież to nie może być prawda. Haavard ma urlop, jest na zachodnim wybrzeżu.

Irytuje mnie jej nieznoszący sprzeciwu ton.

– Wiem tyle co ty. Może miał jakiś wypadek? Tak czy inaczej, to straszne. Biedna Sabija...

– Co masz na myśli? – pyta Bente, marszcząc brwi. – Jeśli to prawda, to chyba cios jest jednakowo straszny dla nas wszystkich? Pracowaliśmy z nim na co dzień, i lekarze, i personel pielęgniarski...

– Rany boskie, niczego się nie domyślałaś? – Wzdycham. Ta kobieca intuicja, o której wszyscy gadają, jest zdecydowanie przereklamowana.

Idę do swoich obowiązków, wykonuję je wszystkie na autopilocie, a w mojej głowie kłębi się milion myśli. Nie byliśmy sobie z Haavardem nigdy przesadnie bliscy, ale tak czy inaczej, czuję się wstrząśnięty.

A tak się cieszyłem na nadchodzący wieczór, na kolejne spotkanie z moim nowym chłopakiem. Cudownym, ufnym, ślicznym Mohammedem, który pojawił się znikąd i rozświetlił moje życie, choć przestałem już wierzyć, że kiedykolwiek przydarzy mi się coś takiego. Mohammed, który uwielbia przesiadywać w restauracjach i popijać drogie białe wino, ale nie ma też nic przeciwko wylegiwaniu się przed telewizorem w dresie i oglądaniu seriali na HBO. Mohammed, z którym mogę rozmawiać o wszystkim.

Jak na razie wie o nim tylko Sabija. Bardzo się do siebie zbliżyliśmy w ciągu tego lata i wiem, że ona cieszy się moim szczęściem. A jednocześnie lepiej niż ktokolwiek inny rozumie, że sytuacja jest delikatna, że należy posuwać się do przodu powoli i ostrożnie.

Oczywiście nadal nie mogę się doczekać dzisiejszego spotkania. Ale tragiczna wiadomość kładzie się na wszystkim cieniem.

Haavard. Nie żyje.

Żałuję swojego postępowania, nie powinienem był mówić policji, że widziałem go razem z Sabiją. Chociaż to była prawda.

Przemilczałem za to co innego: wydawało mi się, że na schodach prowadzących na basen w Lysebu unosił się charakterystyczny zapach perfum żony Haavarda, pani sekretarz stanu.

Zwróciłem uwagę na te perfumy wcześniej, gdy zajrzała któregoś dnia na oddział. Zawsze zapamiętuję zapachy. A ten był naprawdę wyjątkowy, nie czułem go nigdy wcześniej na żadnej innej kobiecie.

Policjanci mają mnie już chyba po dziurki w nosie, nie chcą mnie dłużej wysłuchiwać, trudno zresztą mieć do nich o to pretensje.

Chociaż teraz, gdy nie muszę mieć z nimi już więcej do czynienia, myślę sobie, że ten zapach perfum być może był tylko wytworem mojej wyobraźni. Zawsze miałem bardzo bujną fantazję.

## 72 – Sabija

Wracam do domu. Myśli pędzą mi przez głowę niczym lawina.

W ostatnim roku były chwile, w których naprawdę mi się zdawało, że kocham Haavarda, mimo iż „miłość” to takie wielkie słowo, którego znaczenia nigdy chyba do końca nie rozumiałam.

Ale potem zaczęły się te zabójstwa, a on zachowywał się tak dziwnie, zupełnie jakby mnie o nie podejrzewał albo próbował zainteresować śledczych moją osobą.

Tak czy inaczej, to nas od siebie oddaliło.

Nie potrafiłam się do końca zaangażować w ten jego projekt z listą stosujących przemoc rodziców, wiedziałam, że nie pociągnie on za sobą żadnych praktycznych skutków, tylko dużo gadania i może związany z zabawą w detektywa dreszczyk emocji.

A potem zaczęli ginąć ludzie. Ludzie z tej listy. Zabójstwa nadal nie zostały wyjaśnione. Policja zdawała się błądzić po omacku.

Następnego dnia po śmierci Ahmada sprawdziłam, czy glock nadal leży w mojej szufladzie.

Nie było go tam. A ja go stamtąd nie zabrałam.

Zatrzasnęłam szufladę gwałtownie, jakbym się oparzyła. A potem starałam się o wszystkim zapomnieć. Ale nie mogłam. Po drugim zabójstwie opowiedziałam policji o pistolecie, zeznałam, że nikt prócz Haavarda o nim nie wiedział.

Czułam, że muszę o tym powiedzieć, bałam się, że milcząc, mogę ściągnąć na siebie nieszczęście, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że mam taką, a nie inną przeszłość oraz że jestem Pakistanką.

Wydawało mi się mało prawdopodobne, by to właśnie Haavard miał pozbawić tych ludzi życia. Choć nie sposób zaprzeczyć, że zachowywał się dziwnie. Na przykład wtedy, gdy napadł na mnie na korytarzu w Lysebu, wyglądał, jakby chciał mnie uderzyć, jego oczy wściekle błyszczały.

A potem go aresztowali. Nigdy nie sądziłam, by faktycznie był winny, poza tym szybko go wypuścili. Ale zaufanie pomiędzy nami zostało już zachwiane i wszystko tak jakby obumarło. W sumie odetchnęłam z ulgą, widząc, że nasz związek się kończy, miałam przynajmniej wymówkę, by uporządkować swoje życie.

Gdy Haavard próbował się ze mną ostatnio kontaktować, nawet nie odpowiedziałam na jego wiadomość. Od jakiegoś czasu w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy. Ale wczoraj rano dostałam od niego nagle esemesa, choć przecież uzgodniliśmy, że nie będziemy do siebie pisać. Siedziałam na sofie w domu, zobaczyłam wiadomość i wpadłam w panikę, natychmiast ją skasowałam, nie przeczytałam nawet, czego ode mnie chciał. Teraz tego oczywiście żałuję, gdyż Haavard musiał wysłać tego esemesa krótko przed śmiercią.

Boże drogi. Że też wszystko musiało się tak potoczyć.

Idę powoli przed siebie. Jest ciepły, piękny dzień, powietrze nad rozgrzanym asfaltem drga od upału, a ja wciąż jestem w szoku.

Wysiadam z kolejki, ruszam w stronę naszego domu, staję przed bramą i dopiero wtedy unoszę wzrok i stwierdzam, że coś jest nie tak. Pod naszą skrzynką na listy stoi zaparkowany radiowóz. Obok niego – funkcjonariusze, których zdążyłam już poznać zdecydowanie zbyt dobrze.

– Sabijo – mówi policjantka, której imienia nigdy nie mogę zapamiętać. – Jesteśmy zmuszeni poprosić, byś pojechała z nami.

W pokoju przesłuchań na komendzie zaczynają mówić coś o esemesie, który przyszedł do mnie wczoraj, będącym ich zdaniem zaszyfrowaną wiadomością od Haavarda. Informował mnie w nim podobno, iż zakopał pistolet w naszym miejscu w lesie.

Glock, którego odkopali, okazał się narzędziem zbrodni użytym we wszystkich trzech zabójstwach. Twierdzą, że to obecnie główny dowód w sprawie.

Policja zgromadziła zeznania świadków twierdzących, że widzieli mnie w pobliżu miejsca śmierci zarówno Mukhtara Ahmada, jak i Meliki Omid

Carter.

Udało się zabezpieczyć ponadto dowody DNA łączące mnie z ofiarami. Na pistolecie pełno jest moich odcisków palców.

Nic w sumie dziwnego.

Nie pojmuję natomiast, jak to możliwe, że moje włosy, z zawierającymi materiał DNA cebulkami, zostały znalezione na miejscu ostatniej zbrodni, w pobliżu ciała Susanne Stenersen. Przecież ja nigdy się do niej nawet nie zbliżyłam.

Jak to możliwe? Kto mógł mi zrobić coś takiego? Nie mogę oddychać, czuję bolesny ucisk w piersi, jakbym miała za chwilę dostać zawału. Ale wiem, że to tylko reakcja psychosomatyczna, że to atak paniki, który muszę przetrzymać, bo prędzej czy później to wszystko dobiegnie końca.

## 73 – Clara

Siedzę w domu, na sofie w ciepłym odcieniu ochry, kolana okryłam kocem, w tle stoją storczyki w doniczkach, mam skrzyżowane nogi, ale mój strój jest profesjonalny i służbowy, granatowa jedwabna bluzka i czarne spodnie. W dłoniach trzymam kubek z napisem NAJLEPSZA MAMA NA ŚWIECIE. Makijaż mam lekki, tylko trochę pudru i tusz do rzęs, żadnej szminki, żadnego różu. Włosy ułożyłam w dyskretne fale, które tak bardzo lubił Haavard, twierdził, że wyglądam z nimi jak Betty Draper z serialu *Mad Men*. Może dzięki temu sam czuł się czasem jak niewierny Don Draper.

Bizuteria, którą dobrałam do stroju, jest równie dyskretna, niewielkie kolczyki, obrączka, zegarek.

Bije ode mnie spokój i godność.

Jestem wdową, nigdy już nie wyjdę za mąż, choć tego oczywiście nie mówię. Nigdy już z nikim się nie zwiążę, to również postanawiam przemilczeć.

Mówię tylko, że Haavard był miłością mojego życia, że cieszyłam się na starość u jego boku. Że jestem zadowolona z tego, jak po wypadku zachowali się policjanci, którzy podeszli do mnie z troską i zrozumieniem. Że nie sądzę, bym kiedykolwiek się po tym wszystkim otrząsnęła, ale chcę pozwolić, by czas zagoił moje rany, skupić się na opiece nad dziećmi.

Nad wszystkimi dziećmi – dodaję z nieznacznym uśmiechem, umożliwiając w ten sposób przejście do tematu mojej pracy i kwestii, które są w niej dla mnie szczególnie istotne.

Muszę coś na ten temat powiedzieć, a dziennikarze muszą to wydrukować, był to jeden z warunków, pod którymi zgodziłam się na ten wywiad. Przystali na to bez wahania. Szybko zrozumiałam, że moja wartość rynkowa znacznie w ostatnim czasie wzrosła. Wywiad ma zatem dotyczyć nie tylko tragicznego wypadku i mojego nowego statusu młodej wdowy, lecz również zaangażowania w pomoc wszystkim dzieciom, które obecnie cierpią w Norwegii.

– A jest ich wiele – mówię. – Statystyki są zatrważające.

– Pani mąż również angażował się w tę sprawę? – pyta Erik Heier, któremu zgodziłam się udzielić wywiadu na wyłączność. Ma tę samą irytującą mimikę telewizyjnej gwiazdy, te same miny i gesty co wtedy, gdy poznałam go na uroczystej kolacji w Pałacu.

– Haavard podzielał mój niepokój – mówię, nieznacznie zmieniając pozycję na sofie. – Napatrzył się w swojej pracy na wiele ludzkich nieszczęść. Robiło to na nim ogromne wrażenie.

– A czy to prawda, że Haavard był w swoim czasie podejrzany w tak zwanej sprawie zabójcy wyrodnych rodziców?

– Skąd pan ma takie informacje? – pytam, obejmując się mocniej ramionami.

– Z pewnych źródeł – odpowiada Heier.

– Może zrobmy chwilę przerwy – mówię, a on kiwa głową kamerzyście. To kolejny warunek, jaki postawiłam. Zażądałam pełnej kontroli nad nagraniem, możliwości przerywania go w dowolnej chwili i decydowania o cięciach oraz montażu.

– Owszem – mówię, gdy kamera zostaje wyłączona. – Ale te podejrzania okazały się bezpodstawne. Policja nas przeprosiła. Aresztowano właściwą osobę. Ze względu na moich synów mam nadzieję, że nie będzie pan dalej w tym grzebał. W przeciwnym razie możemy się pożegnać.

– No dobrze, okej – mówi Heier, mimo że jest wyraźnie niezadowolony. Znów kiwa głową kamerzyście. Kontynuujemy nagranie.

– Jest pani w stanie pracować mimo tego, co panią spotkało?

– Tak, praca zawsze była dla mnie ważna, a teraz znajduję w niej wielką pociechę.

Reszta rozmowy przebiega całkiem nieźle.

Następnego dnia wymieniamy parę esemesów i Heier zaprasza mnie na obiad pod koniec miesiąca. Przyjmuję zaproszenie, może będę się mogła dowiedzieć, ile on tak naprawdę wie. Chociaż nie mam wcale ochoty na takie spotkanie. Czasu zresztą też nie.

Kolejne dni mijają mi jeszcze szybciej niż poprzednie.

Praca, praca, praca, opieka nad chłopcami po szkole, pomaganie teściom, którzy zupełnie się załamali po stracie jedyne syna. Muszę z nimi rozmawiać kilka razy w tygodniu, spotykać się co weekend albo jeszcze częściej. Na

szczęście Christian i Axel też ciągle do nich zagląдают.

No i jeszcze mój tata. Jego też staramy się jak najczęściej odwiedzać.

Nie pojechałam już więcej do Agnes, nie zamierzam się do niej więcej wybierać. Bodil czasem do mnie dzwoni, nagrywa się na pocztę głosową i prosi, bym do niej oddzwoniła. Twierdzi, że matka chce mi o czymś powiedzieć. O czymś bardzo ważnym.

Może powinnam tam wpaść, jakoś ją udobruchać, zrobić coś, by móc ją kontrolować. Ale nie mam na to siły.

Haavard był jedyną z moich ofiar, z którą faktycznie coś mnie łączyło, jedyną, która nigdy nie skrzywdziła żadnego dziecka. Postąpiłam właściwie, nie miałam innego wyboru. Ale dużo mnie to kosztowało.

Najwięcej czasu spędzam z chłopcami, staram się, by ich życie odzyskało chociażby pozory normalności.

Obaj byli zdruzgotani śmiercią Haavarda. Jeden okazuje to bardziej niż drugi, jeden płacze przez sen, drugiego budzą koszmary. Ale obaj rozpaczają, a ja muszę spróbować wynagrodzić im tę stratę najlepiej jak umiem.

Pocieszam się myślą, że dzieci zawsze się jakoś podnoszą po śmierci rodziców. Prędzej czy później. Stracić dziecko – to natomiast coś, z czym ludzie sobie nie radzą. Coś, co ich niszczy na zawsze.



## 74 – Leif

Siedzę przy kuchennym stole, tuż obok okna, w miejscu, w którym zjadłem wszystkie niemal śniadania całego mojego życia.

W oddali widzę górskie zbocza. Są jeszcze czarne i nagie, ale niedługo przysypie je pierwszy śnieg.

Zacząłem już palić w piecu, inaczej w domu szybko zrobiłoby się chłodno. Rąbanie drewna potrzebnego do ogrzania jednej chociażby izby przez całe zimowe półrocze to ciężka robota, ale ja ją lubię, podoba mi się świadomość, że wciąż sobie z tym dobrze radzę.

Haavard zaproponował kiedyś, by zamontować pompę ciepła.

Może kiedyś faktycznie to zrobię, lecz dopiero wtedy, gdy już nie będę miał wyboru.

Ale ostatnio ta pompa i tak co chwila staje mi przed oczami, bo ciągle myślę o Haavardzie.

To, co się stało, nie daje mi spokoju.

Tuż za szybą widzę rosnące na podwórzu klony, ich korony mieniają się odcieniami czerwieni i żółci, wyglądają, jakby płonęły. Eva Cassidy śpiewa w radiu *Fields of Gold*. Tuż przed nią leciała Kari Bremnes. Piękna, elegancka kobieta, chociaż jej oczy przypominają mi o Agnes i jej różnokolorowym spojrzeniu.

Wieczorami muszę łykać tabletki, inaczej nie zasnę. Radziłem sobie bez nich całe lata, lecz teraz byłem zmuszony do nich wrócić.

Ale pilnuję, by brać tylko jedną tabletkę dziennie, nie więcej, nie mogę stracić nad tym kontroli, muszę myśleć o innych sprawach poza Haavardem, Clarą, chłopcami i Agnes.

Ta Bodil ciągle wydzwania do mnie z Kleivhøgda, mówi, że muszę przyjechać porozmawiać z Agnes, że to ważne, że ona chce mi o czymś powiedzieć. Ale ja nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

Bella ociera się o moje nogi. Wstaję, podchodzę z nią do lodówki, wyciągam

karton z kocim jedzeniem, pochylam się i wsypuję czerwone, żółte i zielone granulki do jej miski. Kotka pochyla łepkę i mruczy zadowolona, zaczyna jeść, jak zawsze głośno przy tym chrupiąc.

Wracam do stołu, siadam nad moimi dwiema kromkami chleba z brązowym serem i upijam łyk kawy. Otwieram gazetę, która przychodzi do mnie trzy razy w tygodniu, Clara wykupiła mi w prezencie prenumeratę.

Dziś prawie całą pierwszą stronę zajmuje jeden artykuł.

„Nurkowie znaleźli auto na głębokości 180 metrów”, głosi nagłówek.

Czuję, że skacze mi ciśnienie, ogarnia mnie to samo klaustrofobiczne uczucie jak wtedy, gdy lekarz czy pielęgniarka zakłada mi na ramię rękaw do jego pomiaru i zaczyna go pompować. Przymykam oczy, staram się spokojnie oddychać, otwieram oczy, upijam łyk wody.

Po pięciu minutach jestem w stanie przeczytać cały artykuł.

Kilku amerykańskich nurków należących do światowej elity i wyposażonych w najnowszej generacji sprzęt zawitało w nasze strony przed paroma tygodniami, by zbadać dno fiordu. Mieli za zadanie zgromadzić dokumentację dotyczącą fauny i flory, związani są bowiem z Greenpeace'em i walczą z idiotami, którzy spuszczaają do fiordu szlam z kopalni i inne nieczystości. Od jakiegoś czasu regularnie pojawiają się raporty dotyczące wpływu, jaki ma to na plankton i inne wodne organizmy. Było na ten temat kilka artykułów w gazecie.

Nurkowie dokonali przypadkowego znaleziska. Odkryli wrak auta. Na głębokości stu osiemdziesięciu metrów, w pobliżu miejsca, gdzie niemal co zimę schodzą lawiny.

Numery rejestracyjne nie pozostawiają wątpliwości: to ten sam pojazd, który zaginął po dramatycznym wypadku w pobliżu Storagjelet w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym. Samochód wpadł wtedy do fiordu, razem z nim na dno poszedł kierowca. Z katastrofy uratowała się tylko mała dziewczynka. Wraku ani mężczyzny nie odnaleziono. Nikt nie był w stanie zanurkować na taką głębokość.

Aż do teraz.

Policja bada obecnie możliwości podniesienia pojazdu z dna. To bardzo interesujące i nad wyraz niespodziewane znalezisko, powiedział lensman w rozmowie z dziennikarzami.

Składam gazetę, odsuwam talerz z kanapkami i wstaję, kręci mi się w głowie i chyba zaraz zwymiotuję.

## 75 – Clara

I tak, pewnego dnia, gdy powietrze zdążyło się już zrobić chłodne, a ulice zostały zasłane morzem żółtych liści, w drzwiach mojego biura staje Vigdis.

– Dzwonili z Kancelarii Premiera – mówi, z nieudolnie skrywaną ekscytacją.  
– Masz chwilę na rozmowę z panią premier?

– Ach... tak, jasne – odpowiadam. – Teraz? Mam do niej iść razem z Munchem?

– Za godzinę. I nie, masz iść sama. Bóg jeden raczy wiedzieć, co to może oznaczać.

Premier nie ma w zwyczaju zapraszać do siebie sekretarzy stanu. I to jeszcze na spotkanie w cztery oczy? To właściwie niesłychane.

Zamieniam jeszcze parę słów z Vigdis, za jej plecami pojawia się dwóch mężczyzn niosących jakiś ogromny, zawinięty w folię pakunek.

– Czy to przypadkiem...? – pytam.

– Oczywiście. Nasz Oddbjørn. Świeżo wyczyszczony, odpchlony i gotów na kolejne wyzwania.

W tej samej chwili ze swojego biura wychodzi Mona.

– Ach tak, wybierasz się na przesłuchanie w sprawie Monrad? – mówi, kręcąc głową. – To już chyba lekka przesada. Nie powinni cię zmuszać do zeznań na niekorzyść własnego ministra. No, ale cóż, nie masz chyba wyboru.

– Chyba nie – mówię, zerkając na zegarek.

– Szepnę o tym przy okazji parę słów szefowi Urzędu Rady Ministrów. A na razie powodzenia.

– Dziękuję – mówię i wychodzę z biura.

Sprawa Monrad napytała kłopotów całemu ministerstwu, a sposób, w jaki stawiono jej czoło, jeszcze pogorszył sytuację. Munch został wezwany przed Parlamentarną Komisję Nadzoru i zrobił z siebie kompletnego palanta.

Facet jest na wylocie, widzę to po sposobie, w jaki mówią o nim politycy

z jego partii i inni ministrowie – zupełnie tak, jak kobiety opowiadają o porzuconym kochanku, o którym nie mają już nawet siły myśleć i którego imię zdążyły już właściwie wyrzucić z pamięci.

A ja zostałam przecież przez niego stworzona, jestem prawniczką, biurokratką, która w ciągu jednej nocy zmieniła się w sekretarza stanu, skupiając na sobie żywsze zainteresowanie mediów niż większość ministrów. Sytuacja jest dla mnie dość niefortunna.

Z wielu względów dobrze będzie teraz z tym skończyć, przestać usiłować być politykiem, móc skupić się na innych rzeczach.

Może mogłabym przenieść się z chłopcami na zachód i zacząć wszystko od nowa. Tak czy inaczej, nie będzie nam brakować pieniędzy, mamy spadek po Haavardzie i odszkodowanie z jego ubezpieczenia na życie.

Godzinę później siadam na jednym z foteli dla gości w biurze premier. Patrę jej w oczy i jestem zupełnie spokojna.

– No cóż, Claro – zaczyna premier i splata dłonie.

Całe to otoczenie przypomina mi o tradycyjnej noworocznej przemowie do narodu, wrażenie psują tylko stojące między nami filiżanki z kawą. Pani premier ma na sobie błękitny kostium. Białą bluzkę. Jej jasne włosy są kunsztownie ułożone. W powietrzu unosi się zapach zmiękczacza do tkanin i lakieru do włosów.

– Znów się spotykamy. Masz za sobą ciężki okres. Proszę, przyjmij moje wyrazy współczucia.

– Dziękuję.

– No tak, przepraszam, że zawracam ci tym teraz głowę. Ale Munch zdążył już wielokrotnie udowodnić, że nie nadaje się na swoje stanowisko. Cała ta historia z Cathrine Monrad – co o tym sądzisz?

– Faktycznie, dość przykra sytuacja...

– Nawet nie mam siły o tym rozmawiać... Tacy mężczyźni jak on są do niczego. I wcale mi się nie podoba, że cała zgraja pozbawionych skrupułów cyników czeka tylko na okazję, by popchnąć mnie za nim w przepaść. Polityka jest tak samo krwawa jak w czasach Szekspira, ludzie po prostu lepiej się pilnują, żeby nikt ich nie oglądał z krwią na rękach.

Śmieję się cicho, uznawszy, że będzie to najlepsza reakcja.

– Przyjemnie jest być numerem dwa, tak jak ty teraz. Być numerem jeden – to coś zupełnie innego. Wtedy nie można się nigdzie ukryć. Minister musi mieć oczy dookoła głowy i cały czas uważać, by nie poddawać się naciskom, tak wewnętrznym, jak i tym, które wywierają na nas media, i jeszcze nie dać się przy tym zepchnąć z obranego kursu. A to prawie niemożliwe. Wielu z nas do upadku wie dzie pycha, potrzeba skupiania na sobie uwagi, żądza władzy, chęć zdobycia pozycji.

Teraz to ona się śmieje, choć jej śmiech jest pełen rezygnacji.

– Ci wszyscy biedni ludzie czują się bardzo samotni w swojej walce z ograniczeniami narzucanymi przez budżet państwa i Kancelarię Premiera, dostają lęku wysokości, dają się sparaliżować swoim strachom. Ciągłe ta sama stara historia. Właściwie to wszyscy powinni mieć na biurkach tabliczkę z napisem MEMENTO MORI. Bo na wszystkich przyjdzie kiedyś czas. Teraz akurat padło na Muncha. Chciałabym zapytać, na czym twoim zdaniem powinien się skupić nowy minister sprawiedliwości, gdybyś tak miała wymienić jedną czy dwie kwestie? Może postarać się o jeszcze więcej śmigłowców gaśniczych?

Uśmiecham się nieznacznie, chrząkam.

– Cóż, nie podoba mi się, że wsadzamy ludzi do więziennych karcerów, mimo że nie są agresywni ani nie stanowią zagrożenia dla samych siebie. Nie postępuje się tak w żadnym z sąsiednich krajów. Więc chyba bym coś z tym zrobiła. Zadbałabym także o lepszą pomoc prawną dla najsłabszych. No i oczywiście spróbowałabym przepchnąć przez parlament projekt ustawy, nad którym tyle czasu pracowałam. I to niezwłocznie.

– Ach tak – mówi premier i uśmiecha się do mnie. – To wszystko brzmi dość obiecująco. Słuchaj, Claro, co byś powiedziała na przejęcie teki ministra sprawiedliwości?

## Podziękowania

Historia opisana w tej książce to fikcja. Dlatego pozwoliłam sobie na przykład umieścić Ministerstwo Sprawiedliwości w pobliżu jego dawnej siedziby na Akersgata, nie zaś w Nydalen, gdzie zostało przeniesione w 2011 roku.

Warunki klimatyczne w lecie 2018 roku częściowo odzwierciedlają rzeczywistość, choć pozwoliłam sobie nieco ją podkoloryzować. To samo dotyczy lata roku 1981.

W pracy nad tą książką towarzyszyło mi wielu kompetentnych i ważnych pomocników.

Przede wszystkim pragnę podziękować mojemu mężowi i dzieciom, rodzicom i teściom – za to, że wytrzymują z czasami kompletnie rozkojarzoną pisarką.

Dziękuję Ginie Winje i Emilie K. Sunde z Winje Agency za wiele wartościowych rozmów w trakcie powstawania tej powieści – i za całą świetną robotę, którą robią.

Dziękuję Lise Reitan With, Mari Oppebøen, Wasimowi Zahidowi i Siri Lillegraven za pomoc w różnych kwestiach medycznych oraz Christianowi Schulzowi za sugestie dotyczące ćwiczeń oddechowych Clary, jak również Usmanowi Ranie za dopilnowanie szczegółów muzułmańskiej modlitwy.

Dziękuję Larsowi Krukenowi Ericssonowi, Elin Kruken i Cathrine Grøndahl za odpowiedzi na pytania dotyczące śledztwa, przesłuchań, więzienia itd.

Dziękuję moim wspaniałym przyjaciołom, którzy słuchali czytanych im fragmentów i mocno mi kibicowali: Monice Isakstuen, Sunnive Fosso, Berit Laurze Bjerke i Einarowi Bjørndalowi.

Droga Brit Bildøen: dziękuję za bardzo celne sugestie, jak zawsze!

Szczególne podziękowania dla Evy Hildrum za lektury kolejnych wersji, ogromną pomoc i ciekawe rozmowy w toku pracy nad tą książką.

Dziękuję Erlendowi Sørskaarowi, Runhild Skjølaas i Hilde R. Johnsrud z Bokklubbene za sugestie i komentarze.

Dziękuję pracownikom wydawnictwa Kagge Forlag, którzy czytali wstępne i zaawansowane wersje tej powieści: Hansowi Petterowi Bakketegowi, Mariusowi Fossøyowi Mohaugenowi, Erlingowi Kagge, Inie Strøm, Jorunn Sandsmark, Anji Gustavson, Bjørnowi Fredrikowi Drangsholtowi, Ninie Tandberg.

Dziękuję Terese Moe Leiner za piękną okładkę oraz pracownikom działu marketingu, sprzedaży i całej załozce wydawnictwa, która pracowała i nadal pracuje nad moją książką.

Dziękuję również Trude Marstein za celne i niezwykle potrzebne komentarze, Kari Lyngstad i Idzie H. Solberg za redakcję i korektę oraz Dagowi Brekke, który zamienił mój dokument wordowy w prawdziwą książkę.

Tuva Ørbeck Sørheim zasługuje na osobne podziękowania jako dokładna, błyskotliwa i uważna czytelniczka kolejnych wersji książki. A także jako osoba, która wspierała mnie na ostatniej prostej.

Największe podziękowania kieruję do mojego redaktora prowadzącego Aslaka Norego. To jego inicjatywa, entuzjazm i wiara popchnęły mnie, by usiąść do tego projektu. Niezwykła wiedza Aslaka dotycząca tego konkretnego gatunku literackiego, miłość do niego i rozumienie go sprawiły, że moja powieść w ogóle ujrzała światło dzienne. Serdeczne dzięki, Aslak, za pomoc małą i wielką, od samego początku do samego końca.

Ruth Lillegraven,  
sierpień 2018



# Spis treści

Motto

## **PROLOG – CLARA**

1988

### **CZEŚĆ 1**

1 – Haavard

2 – Clara

3 – Haavard

4 – Clara

5 – Haavard

6 – Roger

7 – Haavard

8 – Clara

9 – Haavard

10 – Clara

11 – Roger

12 – Haavard

13 – Clara

14 – Haavard

15 – Clara

### **CZEŚĆ 2**

16 – Leif

17 – Clara

18 – Haavard

19 – Clara

20 – Leif

21 – Clara

22 – Haavard

23 – Clara  
24 – Haavard  
25 – Clara  
26 – Haavard  
27 – Roger  
28 – Haavard  
29 – Clara  
30 – Haavard  
31 – Clara  
32 – Haavard  
33 – Clara  
34 – Haavard  
35 – Clara  
36 – Haavard  
37 – Clara  
38 – Haavard  
39 – Clara  
40 – Susanne

### **CZĘŚĆ 3**

41 – Haavard  
42 – Clara  
43 – Haavard  
44 – Clara  
45 – Haavard  
46 – Clara  
47 – Leif  
48 – Haavard  
49 – Clara  
50 – Haavard  
51 – Clara  
52 – Leif  
53 – Clara  
54 – Leif  
55 – Clara

56 – Leif

57 – Haavard

#### **CZEŚĆ 4**

58 – Clara

59 – Haavard

60 – Clara

61 – Haavard

62 – Clara

63 – Leif

64 – Haavard

65 – Clara

66 – Haavard

67 – Leif

68 – Haavard

69 – Clara

#### **CZEŚĆ 5**

70 – Sabija

71 – Roger

72 – Sabija

73 – Clara

74 – Leif

75 – Clara

Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału  
*ALTER MITT*

Projekt okładki  
*Mariusz Banachowicz*

Zdjęcia na okładce  
*Kiev.Victor/Shutterstock*  
*KC Keller/Shutterstock*

Redakcja  
*Joanna Popiołek*

Korekta  
*Monika Pruska*

Copyright © 2018 Kagge Forlag AS  
Copyright © for the Polish translation by Karolina Drozdowska, 2019  
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2019

ISBN 978-83-8032-336-0



Wielka Litera Sp. z o.o.  
ul. Kosiarzy 37/53  
02-953 Warszawa

Odwiedź  
nas na 

### **POBIERZ NA TELEFON APLIKACJĘ WIELKA LITERA AR**

Aplikacja WielkaLitera wykorzystuje technologię rozszerzonej rzeczywistości (AR) i umożliwia odtwarzanie wideo, audio oraz e-booków, a także przekierowuje na wybrane strony www. Aplikacja WielkaLitera jest dostępna w wersjach na [Android](#) oraz [iOS](#). Pobierz ją za darmo i zobacz więcej.



Konwersja: [eLitera s.c.](#)